NIEPŁODNOŚĆ
W Polsce walczy z nią 1,5 miliona par

KS. ADAM BONIECKI
Co widziałem w Watykanie

ZASADY BIDENA
Ameryka patrzy, co zrobimy w Unii

MARADONA
Sześćdziesiąt lat namiętności

HANNA KRALL
Zapisane za pamięci

Kraków 6 grudnia 2020 nr 49 (3726) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Fiasko operacji „Premier”

W WYDANIU DODATKI
- **WIELKIE PYTANIA NA NOWO: JĘZYK**
- **NADZIEJA RAZ JESZCZE. DNI TISCHNEROWSKIE**

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

PIERWSZE ŚWIĘTA ZOSI

REKLAMA

Zosia straciła rodziców jako mała dziewczynka i przez kilka lat wychowywała się w domu dziecka. Święta nie wyróżniały się niczym od smutnej codzienności – tak, jakby odbywały się daleko od niej, w innym, zupełnie niedostępnym świecie. Oznaczały dla niej przede wszystkim tęsknotę za prawdziwym domem i rodziną.

Dziewczynka nie miała szansy poznać świątecznych rytuałów, ale przed snem zanurzała się w marzeniach… Jak to jest ubierać choinkę czy śpiewać kolędy z rodziną? Jakby to było krzątać się po kuchni z mamą, razem z nią piec pierniczki i nakrywać do wigilijnego stołu? Jak to jest, kiedy mama przytula i czyta do snu?

Los dziewczynki odmienił się, kiedy trafiła pod opiekę pani Małgosi w Wiosce SOS. To właśnie tu po raz pierwszy zasiadła do wigilijnego stołu, dzieliła się opłatkiem, śpiewała kolędy przy świetle choinki. Tu mogła odkryć to, o czym zawsze marzyła – niezwykłą atmosferę świąt spędzonych w gronie rodziny. A co najważniejsze: otrzymała troskę i ciepło, za którymi tak tęskniła.

REKLAMA

Podaruj dzieciom ich pierwsze święta

Wiele opuszczonych i osieroconych dzieci dopiero w Wioskach SOS obchodzi pierwsze święta.

Wejdź na **www.dzieciSOS.org** i podaruj święta dzieciom, które jeszcze ich nie znają. Przekaż darowiznę na numer konta:
07 1240 6247 1111 0000 4975 0683
Tytuł wpłaty: **Pierwsze rodzinne święta**

SOS WIOSKI DZIECIĘCE

KS. ADAM

Boniecki: *Boże Narodzenie będzie*

Trochę czasu zostało nam jeszcze do Świąt, ale ministerialne dyrektywy i lęk przed zakażeniem sprawiły, że już teraz dopadł nas niepokój: spotkamy się czy się nie spotkamy? Na Boże Narodzenie 1973 r. jechałem z Francji do Rzymu. Pociągiem, chyba nawet dodanym ekstra do rozkładu jazdy. Pociąg był długi i pełen Włochów. Wesołych, zadowolonych Włochów, którzy pracowali we Francji, a teraz, na Święta, jechali do rodzin w kraju. Ogromny pociąg pełen wesołych ludzi, rozgadanych, częstujących mnie zabranymi na drogę wiktuałami, rozradowanych perspektywą spędzenia Świąt w domu, z bliskimi. Ten świąteczny pociąg mi uświadomił, jak bardzo Boże Narodzenie jest świętem rodzinnym. W tym roku wesołych pociągów nie będzie.

Od Świąt dzieli nas zaledwie tyle czasu, ile trzeba do zorientowania się, czy nasze przedświąteczne poluźnienie polegające na niedzielnym otwieraniu galerii handlowych było dobrym, czy złym pomysłem. Rozumiem tę decyzję, przecież zawsze przed Świętami szliśmy do galerii kupować gwiazdkowe podarki. Lubiłem to błąkanie się po galerii, lubiłem to głowienie się, co komu pod choinką ofiarować. Przecież nie prezent najbardziej cieszy, ale to, że ktoś się pogłowił nad tym, co może mnie, właśnie mnie, ucieszyć. Dlatego lubię przedświąteczne zakupy na Boże Narodzenie. To nie jest żaden „szał zakupów", ale koncert życzliwego myślenia o innych.

Potrzebne nam są te święta. Kiedyś w Paryżu, w okresie Bożego Narodzenia, ankieterzy pytali przechodniów, co to znaczy *Noël* (po francusku „Boże Narodzenie"). Tylko nieliczni potrafili na to pytanie odpowiedzieć. A my mamy jasną nazwę święta, mamy kolędy i mamy tradycję.

Pandemia jest bezlitosna. Mowy nie ma o zatłoczonych kościołach na Pasterce, wiele rodzin się nie spotka jak co roku przy wigilijnym stole, pewnie nie będzie kolędowania u Jana w Krzakach Czaplinkowskich. W ogóle wielu rzeczy w tym roku nie będzie. Ale Boże Narodzenie będzie. To święto, które – jak żadne inne – obchodzone jest nie tylko w kościele, ale przede wszystkim w domu, będzie tym razem, nawet w domu, uboższe, bo pozbawione możliwości pełnego rodzinnego spotkania. Także możliwości udziału w liturgii będą okrojone.

Ale nie narzekajmy, bo może właśnie dzięki temu na przyszłość bardziej będziemy cenić to, co do tej pory traktowaliśmy jako oczywiste: obecność żyjących daleko od nas bliskich, swobodę w przedświątecznych zakupach, udział w Pasterce i w ogóle w liturgii, odebrane nam wzajemne odwiedziny (w drugi dzień Świąt). Może dzięki narzuconej przez wirusa ascezie i dzięki zamknięciu w domu, we własnym gronie będziemy inaczej się łamać opłatkiem. Może tegoroczna nieobecność przy wigilijnym stole tych, którzy zawsze tam siedzieli z nami, uświadomi nam, jak ważna była i jest dla nas ta obecność, którą dotąd traktowaliśmy jako oczywistą i ważną, nawet jeśli czasem nieco kłopotliwą. Może skazani na samotność nie będziemy od niej uciekać do telewizora, ale uczestnicząc w transmitowanej mszy świątecznej, skupimy uwagę na Tajemnicy Wcielenia, co często trudno nam przychodziło w tłumie lekko woniejących szlachetnymi trunkami, umiłowanych sióstr i braci w wierze.

Może też zwrócimy baczniejszą uwagę na tych, dla których Boże Narodzenie jest czasem bólu dotkliwszego niż w inne dni roku: na bezdomnych, samotnych i chorych. A odległości można zmniejszyć dzięki szeroko dostępnym cudom techniki.

Czy nie sądzicie, że pandemiczne Boże Narodzenie 2020 może, lepiej niż inne Boże Narodzenia, zaprowadzić nas do ubogiej groty w Betlejem? ©℗

TP

Komunikat dla Czytelniczek i Czytelników

Szanowni Państwo,

od grudnia 2020 r. cena pojedynczego wydania drukowanego naszego pisma ulega zmianie na 9 zł. Choć od dawna wiedzieliśmy, że podwyżka jest nieunikniona, wprowadzamy ją później niż większość tytułów na rynku. Tak jak innych wydawców, i nas dotknęły podwyżki cen spedycji, dystrybucji, papieru i obsługi nakładu. Wielkim kosztem, jaki przyszło nam oraz innym ponosić, jest dostosowanie łańcucha produkcyjnego do wymogów procedur bezpieczeństwa związanych z epidemią. „Tygodnik Powszechny" utrzymuje się głównie ze sprzedaży egzemplarzowej i jest suwerenny dzięki Państwu, swoim Czytelnikom. Podwyżka o złotówkę ceny pojedynczego wydania pozwoli nam dalej wydawać pismo najwyższej jakości – pismo, jakiego oczekujecie.

WYDAWCA

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TEMAT TYGODNIKA

12 Coś ze mną jest nie tak
MAŁGORZATA NOCUŃ
Znajomi pytają: „No, a wy kiedy?", „Staracie się?". On słyszy: „Zabierz się wreszcie za żonę", „Pokazać ci, jak to się robi?". I jeszcze te cholerne rady albo pocieszanie i klepanie po ramieniu.

16 Życie nie obiecało mi dziecka
ROZMOWA Z AGNIESZKĄ GLICĄ, PSYCHOTERAPEUTKĄ:
W gabinecie lekarskim nigdy nie pada słowo „żałoba". Ale to jest żałoba. To jest strata.

24 Fiasko operacji „Premier"
ANDRZEJ STANKIEWICZ
Miał otworzyć PiS na klasę średnią oraz młodych i dogadać się z Unią. Dziś ma klasę średnią i młodych na ulicach, a tak fatalnych stosunków z Brukselą nie było jeszcze nigdy.

34 Oczy szeroko zamknięte
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM:
To jak z przecięciem wrzodu. Widok odrażający, ale jest początkiem leczenia. Takich raportów jak ten o McCarricku powinno powstać wiele.

59 Krajobraz po bitwie
PAWEŁ PIENIĄŻEK Z AZERBEJDŻANU I ARMENII
Ormiańscy mieszkańcy Górskiego Karabachu z obawą patrzą na to, co przynosi im powojenny ład.

95 Się nie liczy
PREMIEROWY FELIETON HANNY KRALL
Nie jest pewne, czy Maria H., jedna z dwóch bohaterek „Synaps Marii H." (ta starsza, z getta i z wieży World Trade Center), przeczytała książkę. Podobno zajrzała do niej. Podobno zaraz odłożyła, bo smutna.

110 Nieśmiertelny
MICHAŁ OKOŃSKI
„Ludzie muszą zrozumieć, że Maradona nie jest maszyną do uszczęśliwiania ich" – mówił zmarły w wieku 60 lat argentyński piłkarz i trener. Nie chcieliśmy tego słuchać.

JOANNA RUSINEK DLA „TP" // ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES // PAWEŁ PIENIĄŻEK // GENNARO GIORGIO / AGF / SIPA / EAST NEWS // ANDRZEJ WIKTOR DLA DEKALOGU WARTOŚCI // MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

KOMUNIKAT DLA PRENUMERATORÓW

Z uwagi na dramatycznie narastającą liczbę zachorowań w kraju, a co za tym idzie, duże prawdopodobieństwo zakażeń wirusem SARS-CoV-2 także wśród pracowników Poczty Polskiej – naszego głównego dystrybutora prenumeraty – zostaliśmy powiadomieni przez Pocztę Polską o możliwości zaistnienia przejściowych opóźnień w dostarczaniu do Państwa skrzynek pocztowych prenumerowanej prasy, w tym „Tygodnika Powszechnego". W przypadku ewentualnych opóźnień upraszamy Państwa o wyrozumiałość w tej trudnej i niekomfortowej dla nas wszystkich sytuacji. Serdecznie prosimy o cierpliwość, dołożymy wszelkich starań, abyście Państwo otrzymywali nasze pismo bezzwłocznie.
WYDAWCA

6 Obywatele z zawiązanymi oczami
MACIEJ MÜLLER

7-11 Obraz tygodnia

22-23 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

24 Fiasko operacji „Premier"
ANDRZEJ STANKIEWICZ

28 Wiosna będzie paskudna
ROZMOWA Z PIOTREM KRUPĄ, PREZESEM FIRMY WINDYKACYJNEJ:
Klienci, którzy kupują i zadłużają się pod wpływem impulsu, ograniczyli aktywność

31 Mężczyzna w innym miejscu
ANNA GOLUS:
Popularne reality show walczy z nierównością płci. Przy okazji tę nierówność pogłębiając

■ ■ WIARA

34 Oczy szeroko zamknięte
ROZMOWA Z KS. ADAMEM BONIECKIM

39 Nowe wino, nowe bukłaki
MARIUSZ SEPIOŁO *o siostrach zakonnych, które podpisały się pod „Apelem zwykłych księży"*

42 Prorok – rzadki gatunek
ARTUR SPORNIAK
o najnowszej książce o. Ludwika Wiśniewskiego „Czarne z białym. Zapiski niepokorne"

■ ■ ŚWIAT

52 Czas na nowe sojusze
ŁUKASZ GRAJEWSKI Z NIEMIEC:
Nowe ruchy ekologiczne krytykują nie tylko politykę klimatyczną rządu, ale coraz częściej także partię Zielonych

DODATKI SPECJALNE

45 Dni Tischnerowskie: Nadzieja raz jeszcze

65 Wielkie Pytania na Nowo: Język
Skąd wiemy, że mówimy po polsku? Czy da się nauczyć komputer rozmawiać z sensem? Skąd wzięło się pismo i dlaczego mowa to za mało? Który obszar w mózgu odpowiada za rymowanie? I po co szympansowi znajomość języka migowego?

■ FELIETONY ■

33 DOROTA MASŁOWSKA
44 ZUZANNA RADZIK **95** HANNA KRALL
108 JAN KLATA **109** PAWEŁ BRAVO
114 STANISŁAW MANCEWICZ
114 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MATEUSZ MORAWIECKI
FOTOGRAFIA: DOMINIK GAJDA/REPORTER
Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

57 Czerwoni baronowie przechodzą do historii
KAMIL CAŁUS: *Rumuńska rewolucja w cieniu epidemii*

59 Krajobraz po bitwie
PAWEŁ PIENIĄŻEK

62 Ostatnie słowo
MARTA ZDZIEBORSKA:
Administracja Trumpa rozpoczęła przekazywanie władzy Bidenowi

63 Na nowych zasadach
ROZMOWA Z MICHAŁEM BARANOWSKIM Z FUNDACJI GERMAN MARSHALL FUND:
Amerykanie uważnie przyglądają się debacie w sprawie unijnego budżetu

■ ■ HISTORIA

90 Miłość na Syberii
KAROL FRYTA: *Jak Maria Wołkońska stała się rosyjskim symbolem wierności*

■ ■ KULTURA

96 Drugie życie wyrazów
ROZMOWA Z ELIF ŞAFAK:
Pisarki i pisarze powinni trzymać się z dala od władzy i być blisko tych, którzy zamieszkują peryferia

100 Geniusz z klubu Hipokrytów
DOROTA KOZIŃSKA:
Robert Byron, urodzony prowokator, był w istocie czujnym i wrażliwym obserwatorem świata

104 Słowa piromana
JERZY JARNIEWICZ
o Johnie Lennonie, pisarzu

106 Kanapka z mortadelą
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Elegia dla bidoków" Rona Howarda*

108 Profesorowa się zmienia
LEKTOR *o książce „Złoty róg" Maryli Szymiczkowej (Jacka Dehnela i Piotra Tarczyńskiego)*

■ ■ ZMYSŁY

110 Nieśmiertelny
MICHAŁ OKOŃSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Woś się jeży
Bój o choćby częściowe zmiany na rynku franczyzy w Polsce, na którym duży może wszystko, a mały prawie nic, toczy się po cichu. Lecz ta walka jest przecież do bólu realna – pisze **RAFAŁ WOŚ** tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

Opowieści z Izraela [Podkast Powszechny]
Wygrana Joego Bidena jest w Izraelu sensacją. Czy Bliski Wschód czekają radykalne zmiany? – opowiada **JUDY MALTZ**, korespondentka dyplomatyczna i była korespondentka dziennika „Haaretz" do spraw żydowskiej diaspory, Izraelka i Amerykanka **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

OBYWATELE Z ZAWIĄZANYMI OCZAMI

Polski system kontroli epidemii przeszedł zawał. Zostaliśmy odcięci od informacji, a lekarze, pielęgniarki i ratownicy czują się oszukani.

MACIEJ MÜLLER

Szkolenie personelu medycznego w trakcie tworzenia szpitala tymczasowego dla pacjentów z koronawirusem na terenie Międzynarodowych Targów Poznańskich. 26 listopada 2020 r.

Wskaźniki przeprowadzanych testów, do niedawna sięgające nawet 70 tys., spadły w zeszłym tygodniu do 45 tys., a w niedzielę szorowały po dnie (24,6 tys.). Liczba wykrywanych zakażeń (w dniu zamknięcia tego numeru: 5,7 tys.) w coraz mniejszym stopniu odpowiada prawdziwym rozmiarom epidemii, niemniej eksperci uważają, że jesienna fala opada. Powoli, bo nie spada liczba hospitalizacji i zajętych respiratorów. Wciąż bardzo wysokie są wskaźniki zgonów, choć w tym tygodniu powinny zacząć maleć (korelują z wykresami nowych przypadków sprzed 2 tygodni). Lekarze alarmują, że pacjenci trafiają do szpitali zbyt późno, a leczenie przeciwwirusowe jest skuteczne tylko we wczesnej fazie choroby. W rezultacie na oddziały intensywnej terapii trafiają ludzie z tak zniszczonymi płucami, że ich uratowanie graniczy z cudem.

Na malejącą liczbę prowadzonych testów wpływa wiele czynników. Coraz więcej Polaków obserwujących u siebie podejrzane, ale niezbyt ostre objawy, nie zgłasza się do lekarza – obawiając się samego badania bądź nie chcąc „wpadać" wraz z rodziną w państwowy system izolacji i kwarantanny. W ostatnim czasie z raportowania wyłączono sanepid: la-

boratoria zgłaszają wyniki bezpośrednio do systemu państwowego. W środku epidemii polskie służby sanitarne, niedofinansowane i pozbawione narzędzi informatycznych, zostały odesłane na tyły.

Wpłynęło to nie tylko na liczbę raportowanych testów, ale też jakość statystyk. Od 24 listopada powiatowe sanepidy przestały publikować dane epidemiczne, a ministerstwo ogłosiło, że tworzy własną bazę. „Scentralizowanie podawania danych o liczbie zakażeń koronawirusem jest sprzeczne z konstytucyjnym prawem do informacji publicznej" – ostrzegł rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar. „To odcinanie obywateli od możliwości jakiejkolwiek weryfikacji tych danych" – ocenił Michał Rogalski, znany z tego, że od początku pandemii tworzył gigantyczny arkusz kalkulacyjny ze szczegółowymi statystykami. I miał rację. Na stronie rządowej nie ma danych historycznych, a w tych publikowanych na bieżąco są błędy (np. 27 listopada resort na Twitterze podał liczbę 16 310 zakażonych, a na stronie 17 060; w zeszłym tygodniu prawie 700 przypadków nie przypisano do konkretnych województw itp.). Zniknęły szczegóły obecne dotychczas na stronach sanepidów, jak liczba hospitalizowanych i zakażonych na poziomie gminy. Trudno nie odnieść wrażenia, że rząd irytowali patrzący mu na ręce obywatele.

Ofiarą epidemii w Polsce padło (do reszty) zaufanie społeczne. Lekarzom, pielęgniarkom i ratownikom posłowie odmówili dodatków za pracę z zakażonymi. Mają je dostać tylko ci skierowani do pracy przez wojewodów. Pozostali, w tym ochotnicy, czują się oszukani. Trudno traktować poważnie jakiekolwiek zapowiedzi rządu, skoro 21 listopada premier przestrzegał, by nie szykować się w tym roku na narty, bo wyciągi będą zamknięte, a dwa dni później wicepremier Gowin zapowiadał początek sezonu narciarskiego. Efekt: zatłoczone stoki tydzień później. Minister edukacji, mówiąc o planach powrotu do szkół, oznajmia, że „decyzja będzie podjęta z kilkudniowym (sic!) wyprzedzeniem". Beztroska przedstawicieli rządu tworzy wrażenie, że epidemią nie trzeba się za bardzo przejmować. Tymczasem – ostrzegają lekarze – przed powszechną akcją szczepień przyjdzie jeszcze jedna fala zakażeń. Od naszych obecnych zachowań zależy jej wysokość. ©℗

PiS lawiruje w sprawie aborcji

ANDRZEJ STANKIEWICZ

Trybunał Konstytucyjny ponad miesiąc temu stwierdził, że przepisy dopuszczające przerywanie ciąży w przypadku ciężkiego uszkodzenia płodu są niezgodne z konstytucją. Na razie jednak można przeprowadzać takie zabiegi, bo Jarosław Kaczyński w obliczu masowych protestów wstrzymał wydrukowanie tego orzeczenia. Ta taktyka przyniosła skutek. Demonstracje Strajku Kobiet są w ostatnich dniach znacznie mniej liczne, co pokazuje, że protest słabnie.

Tyle że wszystko to prowizorka. Po pierwsze, Kaczyński wstrzymując druk orzeczenia, łamie konstytucję, która nakazuje bezzwłoczną publikację. Po drugie, część lekarzy odmawia usunięcia ciąży w przypadku uszkodzenia płodu, bo nie chce kłopotów.

Niewykluczone przy tym, że ta prowizorka potrwa długo. Powód jest prosty – podziały w obozie władzy. Gdy ludzie wyszli na ulicę i władze się wystraszyły, z odsieczą ruszył prezydent Andrzej Duda. Choć zaraz po decyzji TK mówił, że się z niej cieszy, to skierował do Sejmu projekt ustawy, który ma łagodzić skutki decyzji Trybunału – chodzi o pozwolenie na aborcję w przypadku wad śmiertelnych płodu. To wykluczałoby aborcję np. w przypadku zespołu Downa. Szkopuł w tym, że w Zjednoczonej Prawicy nie ma większości, by taki projekt uchwalić. Ludzie Zbigniewa Ziobry oraz mniej więcej połowa posłów PiS popierają orzeczenie TK i domagają się jego publikacji.

Duda to wyczuł, zresztą zrozumiał, że łagodzenie orzeczenia TK naraża go na konflikt z Kościołem. Znów dokonał wolty: ostatnio domaga się wydrukowania orzeczenia i stracił zapał do własnej ustawy.

Rząd twierdzi, że z drukiem poczeka na pisemne uzasadnienie do wyroku, które ma przedstawić Trybunał. Obóz władzy wysyła do obsadzonych tam swoich sędziów zapotrzebowanie, by tak napisali uzasadnienie, aby w razie potrzeby można było orzeczenie złagodzić przez dalsze dłubanie przy ustawie. Może być jednak i tak, że uzasadnienie będzie powstawać tak długo, iż protesty zanikną zupełnie. Wtedy wydrukowanie orzeczenia nawet przy radykalnie wykluczającym aborcję uzasadnieniu także jest możliwe. ©

Autor jest dziennikarzem Onet.pl. Stale współpracuje z „TP".

Możliwy protest ratowników medycznych

NIE PIERWSZY RAZ chcą lepszych warunków pracy, ale tym razem podnosi to wielu – w proteście przeciw stawce 30 zł brutto za godzinę dyżuru ok. 300 pracowników kontraktowych Wojewódzkiego Pogotowia Ratunkowego w Katowicach miało nie złożyć ofert konkursowych na przyszły rok. Dyrekcja WPR tłumaczy, że NFZ nie zwiększył finansowania; zapewnia też, że od stycznia Śląskowi nie grozi paraliż, wielu zaś pracowników kontraktowych oferty składało „po cichu" (termin to 2 grudnia). Niektórzy ratownicy rozważali jednak przyłączenie się do ewentualnego strajku pielęgniarek.

Kilka dni temu NFZ zapowiedział natychmiastowe przeznaczenie 922 mln zł z rezerwy ogólnej na opiekę zdrowotną. Pieniądze nie trafią jednak do ratowników, a niektórzy pracują w miesiącu nawet 400 godzin. – Epidemia jeszcze wyraźniej pokazała, że większość wyjazdów karetek nie dotyczy sytuacji zagrożenia życia – mówi „Tygodnikowi" Piotr Dymon, szef Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Ratowników Medycznych. Jego zdaniem pomogłoby zwiększenie finansowania ratownictwa o 3 mld zł rocznie, ujednolicenie stawki minimalnej dla pracowników kontraktowych, a także uszczelnienie budżetu (część pieniędzy przeznaczonych na zespoły ratownictwa medycznego stacjonujące przy szpitalach trafia na ich oddziały). – Ratownictwo jest jak Pomysłowy Dobromir, który ma łatać luki systemu. Głównie te, na które wskazujemy od lat, a których wciąż nie załatano – mówi związkowiec. – Obecnie większość zgłoszeń dotyczy duszności i niskiej saturacji. Na miejscu okazuje się, że to nie sytuacja nagła, a już któryś dzień dolegliwości, na które wcześniej mógłby zareagować lekarz.

Tymczasem Ministerstwo Zdrowia zapowiedziało, że do karetek trafią testy antygenowe, których wynik pozytywny będzie oznaczał skierowanie pacjenta bezpośrednio do szpitala covidowego, z pominięciem SOR-u. Ratownicy wskazują, że system może być nadużywany przez osoby chcące wykonać bezpłatny test. ©℗ MARCIN ŻYŁA

PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA GAZETA

ADRIANA POROWSKA, SPOŁECZNICZKA:

Bufory bezdomności

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Idę Piotrkowską w Łodzi, wzdłuż Centralnego w Warszawie albo krakowskimi Plantami. Zero stopni, na ławce ktoś śpi – co robić?

FILIP KLIMASZEWSKI DLA „TP"

ADRIANA POROWSKA: Reagować. Najlepiej dzwoniąc na straż miejską, bo jest świetnie zorientowana w lokalnym systemie wsparcia. Reagować, bo machnięcie ręką może oznaczać śmierć tego człowieka w ciągu dwóch albo trzech godzin.

Co jeszcze możemy zrobić?
Zorientować się, czy nasza gmina, miasto są przygotowane do udzielania wsparcia. Najlepsze będzie pismo do pomocy społecznej z żądaniem udzielenia informacji. W ten sposób nie tylko dowiemy się, jaka jest sytuacja, ale wywrzemy też nacisk na władze. Wielokrotnie uczestniczyłam w naradach z urzędnikami: według ich relacji obywatel w Polsce interweniuje w sprawie osoby bezdomnej zwykle wtedy, gdy ta osoba mu przeszkadza, np. śpiąc na klatce. Warto to zmienić.

Trwa epidemia, zaczęły się mrozy. Jak miasta są przygotowane do udzielania pomocy?
Różnie. W wielu może zbraknąć miejsc w schroniskach. Większość przygotowała tzw. bufory. Trafiają tam na 10 dni osoby w kryzysie bezdomności, zanim zostaną przyjęte np. do szczególnie zagrożonego zarażeniem i ciężkimi powikłaniami schroniska dla osób chorych. Ale po pierwsze nie wszystkie miasta takie „bufory" mają – dotyczy to np. Krakowa. Po drugie, podobnych placówek jest za mało. Po trzecie, nie są gotowe, by przyjmować najbardziej potrzebujących.

W Warszawie takie miejsce zorganizowaliście sami.
Trafiają do nas ludzie w najgorszym stanie: pan z nowotworem trzustki, inny po operacji, pani po amputacji nóg, ktoś cierpiący na chorobę psychiczną, chłopak na głodzie narkotycznym. Ktoś musi się tymi ludźmi zajmować, biorąc na siebie ryzyko zakażenia, a my musimy temu komuś zapłacić. Dlatego organizujemy zbiórkę pieniężną – jej szczegóły można poznać na naszej stronie internetowej. ©℗

ADRIANA POROWSKA *jest szefową działającej na rzecz osób w kryzysie bezdomności Kamiliańskiej Misji Pomocy Społecznej.*

KRAJ W SKRÓCIE

POWIETRZE POLSKA
Najbardziej rakotwórczym powietrzem oddychają mieszkańcy Nowego Targu, a najwięcej dni smogowych w roku ma Pszczyna – wynika z raportu Polskiego Alarmu Smogowego. Poprawiła się sytuacja w Krakowie, gdzie wszedł w życie całkowity zakaz palenia węglem.

POLICJANT POLSKA
W trakcie kolejnej manifestacji w ramach Strajku Kobiet pokazująca policjantowi legitymację poselską Barbara Nowacka została przezeń zaatakowana gazem łzawiącym.

CZAREK SOKOŁOWSKI / AP / EAST NEWS

OPOZYCJA POLSKA
„Pseudokompromis aborcyjny – bo on nigdy nie był kompromisem – został pogrzebany przez PiS i w tym momencie wiadomo, że nie ma powrotu do tej sytuacji" – powiedział Rafał Trzaskowski z PO, polemizując z Grzegorzem Schetyną z PO, który uważa, że „trzeba spokojnie porozmawiać, w jaki sposób wrócić do kompromisu aborcyjnego".

PREZYDENT POLSKA
„Dzisiaj bardzo trudno jest naszej młodzieży to zrozumieć, tę subtelną, a jakże gigantyczną różnicę, że coś się nazywa, a coś jest naprawdę" – powiedział Andrzej Duda w rocznicę wybuchu powstania listopadowego, mówiąc o władzy wybranej w wyborach przez samych Polaków i o sytuacji, „kiedy obcy przychodzi, narzuca ci swoją wolę, swoje prawa".

Ćwiczenia z wetowania

W CIENIU GROŹBY weta do unijnego budżetu i funduszu odbudowy Polska i Węgry toczą inny bój przeciwko dyktatowi Brukseli – tym razem semantycznemu. W ub. środę Komisja Europejska ogłosiła „Plan działań na rzecz równości płci i podmiotowości kobiet w działaniach zewnętrznych Unii na lata 2021–25" (te działania to w tym wypadku po prostu pomoc rozwojowa dla państw trzecich). Chociaż plan nie wymaga akceptacji przez rządy krajowe, Komisja chciała uzyskać dlań w Radzie polityczne poparcie. Polska i Węgry zapowiedziały jednak sprzeciw – chodzi o równość płci (w angielskich oryginałach dokumentów unijnych: *gender equality*). Przedstawiciele obu stolic stwierdzili, że takiego sformułowania nie ma w traktatach (gdzie zapisano tylko „równość kobiet i mężczyzn"). Można się domyślać, że na polskich polityków samo słowo „*gender*" działa jak płachta na byka. Z tego samego powodu w październiku polski rząd (tym razem samotnie) storpedował na Radzie długo negocjowany dokument mający określić sposób ochrony praw podstawowych w obliczu dalszej cyfryzacji życia i rozwoju sztucznej inteligencji. ©℗ PB

Piękno i piekło

ITA NOSIŁA ciężkie ładunki, przez co dwukrotnie poroniła. Inną dziewczynę, 16-latkę, gwałcił szef plantacji. Ola krwawi z nosa, bo od 10 lat rozpyla bez ochrony pestycydy.

To niektóre z przykładów przestępstw i patologii ujawnionych w raporcie Associated Press na temat traktowania kobiet zatrudnionych przy produkcji oleju palmowego w Indonezji i Malezji. Tylko w Indonezji pracuje ich w tej branży 7,6 mln. Oba kraje dostarczają na światowy rynek 85 proc. oleju. Przez pośredników trafia on m.in. do zakładów produkujących kosmetyki znanych marek – do firm, które, jak głoszą slogany: „pomagają kobietom czuć się pięknie". W odpowiedzi koncerny L'Oréal i Unilever zadeklarowały, że położą nacisk na bezpieczeństwo kobiet. Czy jednak da się to zrobić, nadal korzystając z najbardziej przynoszącego cierpienie oleju świata?

©℗ EB/AP

ARUN SANKAR / AFP / EAST NEWS

LITER ŁACIŃSKIEGO ALFABETU zabrakło w tym sezonie (trwał od początku czerwca do końca listopada) badaczom huraganów na Atlantyku do nazywania burz w kolejności alfabetycznej. Zaczęło się od Arthura i Berty, które uderzyły w Karaiby w maju. Naukowcy spodziewali się, że do końca listopada nad Atlantykiem przejdzie ok. 19 huraganów, ale już po wakacjach sięgnąć musieli po litery z alfabetu greckiego. Sezon zakończył dopiero huragan Iota. Nad Pacyfikiem też szalało dużo silnych burz tropikalnych. Na zdjęciu: w indyjskim mieście Puducherry po przejściu cyklonu Nivar, 26 listopada 2020 r. ©℗ MR

Zamach pod Teheranem: sukces i ryzyko

NIE ŻYJE MOHSEN FAKHRIZADEH – irański naukowiec i oficer Gwardii Rewolucyjnej, uważany za kluczową postać programu atomowego Teheranu. Zginął, gdy jego auto zostało ostrzelane przez nieznanych sprawców w pobliżu stolicy kraju; świadkowie mówią też o odgłosie eksplozji. Iran jest przekonany, że za zamachem stoją izraelskie służby. „Śledztwo w sprawie zbrodni" i „stanowczy pościg za sprawcami" zapowiedział ajatollah Ali Chamenei. Zalecił też kontynuowanie pracy rozpoczętej przez Fakhrizadeha.

Choć oficjalnie Jerozolima nie potwierdziła ataku, jest prawdopodobne, że za nim stoi. Fakhrizadeh to nie pierwszy irański naukowiec związany z programem atomowym, zabity przez Mosad. Nie ulega wątpliwości, że to krok, który może skutkować eskalacją konfliktu w regionie. Izraelczycy postawili swoje ambasady w stan najwyższej gotowości. To, że zabójstwa dokonano teraz, zapewne nie jest przypadkiem: to ostatnie chwile urzędowania Donalda Trumpa, który w 2018 r. wycofał się z umowy nuklearnej z Iranem. Zamach to także pokaz determinacji Izraela adresowany do jego następcy Joego Bidena – na wypadek, gdyby chciał do tej umowy powrócić.

©℗ KAROLINA PRZEWROCKA-ADERET z Tel Awiwu

Szkoccy pionierzy

JAKO PIERWSZY KRAJ ŚWIATA Szkocja zapewni kobietom darmowy i powszechny dostęp do środków higieny osobistej. Podpaski i tampony mają być dostępne we wszystkich szkołach, uczelniach i budynkach publicznych.

Szkocki parlament opowiedział się za tym jednogłośnie, uznając, że to prawo każdej obywatelki (już wcześniej darmowe podpaski były dostępne w szkockich szkołach i na uczelniach).

Jak wynika z danych jednej z organizacji kobiecych, aż 20 proc. mieszkanek Szkocji doświadczyło sytuacji, gdy nie było je stać na kupno podpasek. To wpływa na ich szanse edukacyjne i zawodowe oraz na zdrowie. Nie jest to też tylko problem szkocki, bo tzw. ubóstwo menstruacyjne dotyka wiele krajów, ale w walce z nim Szkocja jest pionierem. Za jej przykładem idą Walia i Anglia, zapewniając darmowy dostęp do podpasek w szkołach. Zapowiedziano też likwidację w 2021 r. obowiązującego dziś w Wielkiej Brytanii 5-procentowego VAT-u na kobiece produkty higieniczne. ©℗ PATRYCJA BUKALSKA z Londynu

Niepewny sezon w Alpach

ŁUKASZ GRAJEWSKI
Z LIPSKA

Pomimo pandemii Austria i Szwajcaria przygotowują się do otwarcia stoków narciarskich. Francja, Włochy i Niemcy chcą poczekać przynajmniej do stycznia.

Okazuje się, że to temat trudny nie tylko w Polsce: także kraje alpejskie spierają się o sezon narciarski. Rząd Niemiec chce, by wszystkie państwa Unii solidarnie wstrzymały otwarcie stoków. W tej sprawie Berlin ma wsparcie Rzymu i Paryża. Niemieccy politycy powtarzają, że na początku roku to narciarze wracający z austriackich kurortów jako jedni z pierwszych przywieźli koronawirusa do kraju. Kanclerz Merkel obiecała społeczeństwu możliwość spędzenia okresu świątecznego w rodzinnym gronie. Ale w domach, a nie w ośrodkach sportowych – nie pozostawiła wątpliwości. Trudno przewidzieć, czy gdyby jeszcze w grudniu część amatorów nart ruszyła na alpejskie stoki, nie skończyłoby się ponownym wzrostem zakażeń i nowymi problemami dla decydentów.

O odwołaniu sezonu nie chce słyszeć Wiedeń i wylicza, że zimowa turystyka odpowiada za 750 tys. miejsc pracy, a każdy tygodniowy postój to straty rzędu 1,5 mld euro. Podkreśla też wyśrubowane normy higieniczne, które przygotowała branża. Mając wsparcie władz, austriackie ośrodki proponują organizację sezonu skoncentrowanego na sporcie, bez Après-Ski, czyli hucznych i szczodrze podlewanych alkoholem imprez. I z błyskawicznym dostępem do testów. Na podobne rozwiązania stawia Szwajcaria. Austriacki kanclerz Kurz podejmie ostateczną decyzję 6 grudnia. Sąsiednia Bawaria wolała nie czekać: chcąc zniechęcić swych obywateli do wypadów za pobliską granicę, bawarskie władze wprowadziły obowiązek 10-dniowej kwarantanny dla wszystkich wracających ze stref ryzyka. Czyli także z austriackich Alp. ©

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

W AUSTRII
Św. Mikołaj w tym roku przyjdzie do dzieci, ale będzie musiał zatrzymać się w progu, a przy rozdawaniu prezentów zachować przepisy dystansu społecznego. To wynik ustaleń między austriackim Ministerstwem Kultury a Kościołem. Nowe rozporządzenie dotyczące pandemii uznaje wizytę św. Mikołaja za realizację dopuszczalnych „celów zawodowych". Kościół katolicki w Austrii organizuje liczne wizyty św. Mikołaja w diecezjach i parafiach.

TOMASZ MAJEWSKI / EPISKOPAT.PL

W POLSCE
Papież ustanowił nową eparchię (diecezję) olsztyńsko-gdańską Kościoła greckokatolickiego w Polsce z siedzibą w Olsztynie. Została wydzielona z północnych części dwóch dotychczasowych eparchii: wrocławsko-gdańskiej (obecnie wrocławsko-koszalińskiej) oraz archieparchii przemysko-warszawskiej. Biskupem nowej eparchii został dotychczasowy proboszcz parafii pw. Podwyższenia Krzyża Pańskiego w Wałczu – ks. Arkadiusz Trochanowski (na zdjęciu).

W WATYKANIE
Na placu św. Piotra stanęła choinka. Jest to 30-metrowy świerk z miejscowości Kočevje w południowo-wschodniej Słowenii. W ciągu najbliższych dwóch tygodni trwać będą prace nad zainstalowaniem oświetlenia oraz ceramicznej szopki, która przyjedzie z Castelli w prowincji Teramo we włoskiej Abruzji.

Lekarze na tak, biskupi na nie

MACIEJ MÜLLER

Nie przyjmujcie ekip medycznych aplikujących szczepienie przeciw HPV" – wezwał diecezjan polski biskup misyjny Jan Ozga, ordynariusz Doumé-Abong' Mbang w Kamerunie. Postąpił zgodnie z postanowieniem konferencji episkopatu. Biskupi ocenili, że bezpieczeństwo preparatu Gardasil „budzi wątpliwości", a w takim przypadku „należy się powstrzymać od działania". To ich odpowiedź na rządową kampanię szczepienia dziewczynek w wieku 9-13 lat. W rozmowach z przedstawicielami rządu biskupi stwierdzili, że sprawa ma „wyjątkowo delikatny charakter" i „wymaga podjęcia głębokiej refleksji zarówno naukowej, jak etycznej". Szef kameruńskiego episkopatu zażądał najpierw „bardziej pogłębionych badań nad stosowaniem" preparatu.

Dostępnych publicznie wyników badań nad skutecznością szczepionki są dziesiątki, a ich jednoznacznie pozytywne wyniki sprawiają, że na refundację szczepień w ostatniej dekadzie decydują się kolejne państwa (Polska wciąż nie, choć istnieją plany refundacji w roku 2021). Onkogenne typy HPV, czyli wirusa brodawczaka ludzkiego, odpowiadają za rozwój raka szyjki macicy. Do zakażeń dochodzi przede wszystkim drogą płciową, choć znane są też przypadki np. infekcji noworodka przez matkę lub na skutek kontaktu z rzeczami osobistymi chorego. Ta pierwsza przyczyna stoi za protestami przeciw szczepieniom środowisk konserwatywnych: także w Polsce argumentowano, że akcja szczepień „sprzyja rozwiązłości" i powinno się raczej promować seks małżeński.

Konferencja biskupów nie jest gremium powołanym do medycznej oceny preparatów stosowanych do szczepień. Hierarchowie, przed wydaniem jakichkolwiek wartościujących ocen, powinni zasięgnąć opinii ekspertów zdrowia publicznego, bądź przynajmniej przeczytać dostępne opracowania naukowe. Kameruńscy biskupi nie tylko grzeszą niedoinformowaniem – lub ideologicznym zamknięciem na dowody naukowe – ale wystawiają młode pokolenie swojego kraju na ryzyko śmiertelnej choroby, której można w łatwy sposób zapobiec. ©℗

Afront wobec papieża

„SKANDAL". „Kolejny rozdział w żałobnej historii diecezji Chur" – tak zareagowali niektórzy kanonicy po tym, jak kapituła katedralna tej szwajcarskiej diecezji odmówiła wyboru biskupa spośród trzech kandydatów zaproponowanych przez papieża. Stało się to pierwszy raz w historii. O tarciach między konserwatystami a liberałami wewnątrz kapituły świadczy fakt, że mimo tajemnicy papieskiej protokół z głosowania wyciekł do mediów. Okazało się, że, przy jednym głosie wstrzymującym się, za odrzuceniem kandydatur papieskich było 11, a przeciwko – 10 kanoników. Konserwatyści uznali, że papież oraz liberalni biskupi z innych diecezji szwajcarskich chcą „przejąć katolickie Chur". W obecnej sytuacji Franciszek będzie mógł swobodnie zadecydować o nominacji.

Diecezja Chur – obok diecezji salzburskiej w Austrii i kilku diecezji niemieckich – posiada przywilej współdecydowania o wyborze biskupa, jako historyczną pozostałość po sporach między cesarzem niemieckim a papieżem o wpływy w Europie. ©℗ ARTUR SPORNIAK

Wyższe odszkodowania dla ofiar

Z 5 DO AŻ 50 TYS. EURO niemieccy biskupi podnieśli wartość wypłacanych odszkodowań ofiarom wykorzystywania seksualnego w Kościele. W szczególnie drastycznych przypadkach ten limit może być nawet przekroczony. Nowy regulamin wypłat odszkodowań opracowała Rada Stała Konferencji Biskupów Niemiec – zacznie obowiązywać od 1 stycznia 2021 r. Wypłatą odszkodowań oraz ustalaniem ich wysokości zajmie się Niezależna Komisja Uznaniowa, złożona z siedmiu specjalistów z dziedziny medycyny, prawa, psychologii i kryminologii. Członkowie komisji nie są związani zawodowo z żadną diecezją lub inną instytucją kościelną, pracują niezależnie. Oprócz odszkodowań Kościół finansować będzie także terapie osób poszkodowanych.

Od 2011 r. Kościół wypłacił ok. 2,4 tys. odszkodowań według dotychczasowych zasad. Osoby, które już wcześniej złożyły wniosek i otrzymały świadczenia, mogą ubiegać się o nie ponownie. Nowe zasady opracowano pod wpływem raportu z 2018 r. przygotowanego przez trzy niezależne od niemieckiego Kościoła zespoły uniwersyteckie (Studium MGH), który ukazał skalę zjawiska wykorzystania seksualnego. ©℗ ASK

Szczepionki coraz bliżej

PRZEŁOM W NAUCE czasem zależy od przypadku. Tak było, gdy na szalce z bakteriami Alexander Fleming odkrył pleśń, która zabiła część kolonii, produkując penicylinę. Przypadek spowodował również, że szczepionka Uniwersytetu Oksfordzkiego i firmy AstraZeneca wykazała 90 proc. skuteczności. Według doniesień prasowych, wśród ochotników, którzy otrzymali dwie pełne dawki szczepionki na SARS-CoV-2, skuteczność wynosiła 70 proc. Jednak wzrosła znacząco, gdy podano tylko połowę pierwszej dawki. Jak przyznała firma, zabieg ten był niezamierzony. Nie spodobało się to części naukowców, którzy wątpią w wiarygodność wyników.

W fazie badań klinicznych wciąż jest ponad 50 preparatów, ale na czoło wysunęły się trzy. Obiecujące dane prezentowały również firmy Moderna (deklarowane 94,5 proc. skuteczności) i Pfizer (95 proc.). Ta ostatnia chwali się wysoką skutecznością u osób powyżej 65. roku życia, czyli w grupie najbardziej narażonych. Wszystkie szczepionki ponadto są bezpieczne – nie zaobserwowano żadnych poważnych powikłań.

Przed przesadnym optymizmem powstrzymuje fakt, że wyniki oparte są na badaniach wąskich grup pacjentów i nie wszystkie jeszcze zostały opublikowane w recenzowanych czasopismach naukowych – głównym źródłem informacji są nadal komunikaty prasowe firm.

Zdumienie wzbudziły też niezwykle wymagające warunki przechowywania szczepionki Pfizera: w temperaturze -70 stopni Celsjusza. Jednak firma uspokaja, że w punktach szczepień preparat można trzymać w zwyczajnej lodówce do pięciu, a w specjalnym pudle obłożonym suchym lodem nawet do 15 dni.

Choć żaden z preparatów nie został jeszcze dopuszczony do użytku, a w społeczeństwach widoczny jest sceptycyzm, Komisja Europejska, USA oraz kilka innych krajów zamówiły już setki milionów dawek różnych preparatów. Tempo prac nad szczepionkami jest wyjątkowo szybkie, jednak kryteria bezpieczeństwa nie uległy zmianie. Europejska Agencja Leków w komunikacie przypomina, że konieczna jest minimum sześciotygodniowa obserwacja badanych i co najmniej 50 proc. skuteczności.

© BARTOSZ KABAŁA

KULTURA W SKRÓCIE

FANTASTYKA
Laureatami Nagrody im. Janusza Zajdla – najważniejszego wyróżnienia dla twórców literatury fantasy – zostali Marta Potocka oraz Radek Rak. Potocka odebrała wyróżnienie za opowiadanie o systemie kontroli społecznej w Chinach. Za najlepszą powieść uznano natomiast „Baśń o wężowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli" Radka Raka – zdobywczynię tegorocznej Nagrody Nike.

REŻYSERIA
Katarzyna Szyngiera odebrała Laur Konrada – główną nagrodę Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje" w Katowicach za realizację przedstawienia pt. „Lwów nie oddamy".

EPISTOLOGRAFIA
Biblioteka Narodowa zakupiła na aukcji antykwarycznej sześć listów Adama Mickiewicza do Alfreda de Vigny – poety, powieściopisarza i dramaturga, autora dramatu „Chatterton".

ZAANGAŻOWANIE
Games for Impact – międzynarodowy festiwal gier wideo opowiadających o problemach współczesnego świata – odbędzie się już po raz trzeci w dniach 8–12 grudnia. Tegoroczna edycja poświęcona zostanie kwestiom uzależnienia od gier, projektowania z myślą o ludziach z niepełnosprawnościami i używania gier w kampaniach społecznych.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

DZIENNIKARZE I AUTORZY „Tygodnika" co tydzień goszczą w programie „Światopodgląd" Agnieszki Lichnerowicz w Radiu TOK FM. Zapraszamy do słuchania w czwartek o 15.20.
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

Roślina pod presją

CURRENT BIOLOGY / MAT. PRASOWE

W ODPOWIEDZI NA WYZWANIE, jakim są roślinożercy, rośliny przyjmują różne ewolucyjne strategie. Niektóre zabezpieczają się kolcami lub twardymi tkankami. Inne produkują toksyny i zniechęcające zapachy. Jeszcze inne stosują kamuflaż. Badanie chińsko-brytyjskiego zespołu naukowców opublikowane w „Current Biology" wskazuje, że występujący w Górach Sinotybetańskich gatunek *F. delavayi* musiał przyjąć dwie ostatnie z tych strategii. Roślina ta produkuje alkaloidy odstraszające gryzonie – ale jednocześnie przyciągające człowieka, który od ponad 2000 lat intensywnie wykorzystuje jej bulwę w tradycyjnej chińskiej medycynie.

W regionach, w których presja ze strony ludzi (jedynych współczesnych naturalnych wrogów *F. delavayi*) jest najmniejsza, roślina zachowała zielone liście, dobrze widoczne na tle podłoża. Tam, gdzie zbieractwo jest nasilone, liście przybrały kolory szaro-brązowe. Wszystko po to, by utrudnić życie zbieraczom, którzy za kilogram suszu (wymagający zniszczenia 3,5 tys. osobników) mogą otrzymać nawet równowartość 480 dolarów.

©℗ ŁK

Oszukać drapieżnika: gdy pająk brzmi jak osa

EWOLUCYJNY WYŚCIG ZBROJEŃ między drapieżnikami a ich ofiarami może doprowadzić do mimikry batesowskiej. Mamy z nią do czynienia, gdy ofiary idą na skróty: zamiast inwestować w uzbrojenie albo toksyny, jedynie upodabniają się w jakiś sposób do osobników innego gatunku występującego na tym samym terenie – takiego, którego drapieżniki zostawiają w spokoju. Taka mimikra to dla gatunku naśladującego opłacalna inwestycja, ponieważ koszty związane ze zmianą wyglądu czy zakresu wydawanych dźwięków są często niższe niż koszty wyprodukowania własnej broni. Gatunkowi modelowemu obecność naśladowcy nie zawsze musi być na rękę, ale jeśli oba nie wchodzą sobie w drogę – ponieważ wykorzystują różne zasoby środowiska – mimikra batesowska ma szansę utrzymać się w kolejnych pokoleniach.

Jak donoszą Stano Pekár z Uniwersytetu w Brnie i współpracownicy, właśnie z taką sytuacją mamy do czynienia u pająków z rodzaju *Palpimanus*. Są one słabo zabezpieczone przed większymi drapieżnikami, takimi jak gekony, ale w chwili zagrożenia pocierają się, wydając specyficzne odgłosy – bardzo przypominające dźwięki wydawane przez osy z rodziny żronkowatych, obdarzone niebezpiecznymi żądłami. Badacze przeprowadzili eksperyment, w którym podawali drapieżnikom osy oraz pająki zdolne i niezdolne do wydawania odgłosów. Te ostatnie zjadane były najchętniej. ©℗ ŁK

TEMAT TYGODNIKA

COŚ ZE MNĄ JEST NIE TAK

Znajomi pytają: „No, a wy kiedy?", „Staracie się?". On słyszy: „Zabierz się wreszcie za żonę", „Pokazać ci, jak to się robi?". I jeszcze te cholerne rady albo pocieszanie i klepanie po ramieniu.

TEKST MAŁGORZATA NOCUŃ | ILUSTRACJA JOANNA RUSINEK

W Polsce około 1,5 miliona par cierpi z powodu niepłodności. Problem ten dotyka 10-20 proc. populacji na świecie. Ginekolog-położnik powinien zdiagnozować niepłodność po roku podejmowanych przez parę systematycznych prób zajścia w ciążę. Jeśli kobieta skończyła 35 lat, diagnozę stawia się po pół roku regularnego współżycia.

Zanim para (bądź sama kobieta – a tak dzieje się częściej) trafi do gabinetu specjalisty, najczęściej długo i nieskutecznie szuka pomocy u ginekologa-położnika niespecjalizującego się w problemie niepłodności. Na niepłodność Polacy leczą się „po cichu", w tajemnicy. Stanowi jedno z największych społecznych tabu w naszym kraju. Nie umiemy o niej rozmawiać. A kiedy to robimy, ranimy osoby nią dotknięte.

Te liczby to ja

Do gabinetu Joanny Piątek-Perlak, psycholożki zajmującej się m.in. terapią par cierpiących na niepłodność, trafiają kobiety (albo pary) kilka miesięcy, kilka bądź kilkanaście lat bezskutecznie sta-

rające się o ciążę. Niektóre są na początku leczenia. Niekiedy – dzięki odpowiednim zabiegom albo farmakoterapii – dochodzi do zapłodnienia już po miesiącu, dwóch. Na przykład wystarczy podać kobiecie clostilbegyt, lek podnoszący poziom progesteronu. Bywa, że potrzebna jest inseminacja albo zapłodnienie drogą *in vitro*. Niekiedy, po długim leczeniu i kilku próbach zapłodnienia pozaustrojowego, orzeka się bezpłodność. Z pomocy Piątek-Perlak korzystają kobiety dwudziestokilkuletnie, które mają krótką historię choroby, i kobiety po czterdziestym roku życia. Przeszły już kilka inseminacji i prób zapłodnienia pozaustrojowego. Tym pacjentkom pomaga się najtrudniej.

Nie można nakreślić jednego obrazu niepłodności. Choroba ta ma wiele przyczyn medycznych, czasem psychologicznych, bywa też, że kobieta jest zdrowa i mężczyzna jest zdrowy, ale nie mogą począć wspólnie dziecka. Mogą je mieć z innymi partnerami.

Pracę z parą Joanna Piątek-Perlak zaczyna od zebrania wywiadu. Pyta: „Na jakie choroby państwo cierpicie?". Wymieniają: nadczynność albo niedoczynność tarczycy, insulinooporność, nadciśnienie tętnicze itd. Nikt nie mówi o niepłodności. Uważają, że niepłodność jest: „ubytkiem", „defektem", „brakiem". Człowiek niepłodny jest „gorszy", oni czują się więc gorsi. Ale nie uważają, że niepłodność jest chorobą. Psycholożka uczy pacjentów oswajać i akceptować niepłodność. Uczy się jej nie wstydzić i o niej rozmawiać.

– Chciałabyś zobaczyć te kobiety, które kilkanaście lat starają się o ciążę? – pyta. – Myślisz, że są zrozpaczone, słabe, bezsilne, płaczą? Nie. One zamieniają się w roboty, wyłączają emocje, przestają myśleć i czuć. Ich życie wyznacza cykl dni płodnych albo data kolejnego zapłodnienia *in vitro*. Poza tym jest pustka. Pojawiają się w gabinecie z segregatorem i recytują z niego: mam takie wyniki badań, ostatnia wizyta u ginekologa odbyła się dziesięć dni temu, ostatnia próba *in vitro* miała miejsce – pada konkretna data; kolejną planujemy – i znów data.

Wtedy psycholożka pokazuje na palcach: dziesięć! To pani dziesięć razy poroniła. To pani próbowała zapłodnienia pozaustrojowego osiem razy. Kobieta powoli się otwiera. Oswaja swoją historię, zaczyna rozumieć, że te liczby dotyczą jej. Że to ona przeżyła tak wiele.

Minie dużo czasu, zanim zacznie się ze swoją historią mierzyć.

RITA
PIEKŁO

Miałam 22 lata, byłam już matką, ale chcieliśmy z mężem starać się o drugą ciążę. Nie wychodziło nam, lekarz uspakajał, że wszystko jest w porządku. Po dwóch latach zrobiłam dokładne badania, diagnoza: endometrioza (tkanka wyścielająca macicę znajduje się poza nią), duży guz na prawym jajniku. Trafiliśmy do kliniki leczenia niepłodności, tam po dokładnych badaniach stwierdzono niepłodność wtórną (para posiada ↦

↦ już biologiczne dziecko, nie udaje się począć kolejnego). Lekarz powiedział, że mamy szanse na dziecko z *in vitro*. Moi rodzice, a nawet babcia nie widzą kłopotu w zapłodnieniu pozaustrojowym, ale rodzina męża ma skrajne poglądy. Zaczęło się piekło. Teściowa mówiła, że Bóg wie, komu dać dzieci. Przecież niektórzy mają nawet czwórkę, mnie widocznie pisane jedno i mam się z tym pogodzić. Mąż mnie wspierał, kiedy ktoś pytał, dlaczego nasza córka nie ma rodzeństwa, kłamał, że problem leży po jego stronie.

Na zabieg *in vitro* wzięliśmy kredyt. Pierwsza próba: sześć jajeczek, trzy dojrzały, trzy udało się zapłodnić. Podano mi jeden zarodek, cierpię na niewydolność szyjki macicy, dlatego lekarz nie zdecydował się na podanie dwóch zarodków, to mogłoby się skończyć przedwczesnym porodem. Dziesięć dni po transferze otrzymałam telefon z kliniki: brak zarodków do zamrożenia, wszystkie obumarły. Obumarł także ten, który był we mnie.

Nie mieliśmy pieniędzy na drugą próbę *in vitro*. Zaczęłam myśleć o adopcji. Szanse nie były duże, ponieważ mamy biologiczną córkę. Mijał czas. Poprosiłam męża, żebyśmy spróbowali zapłodnienia pozaustrojowego raz jeszcze. Znów zaciągnęliśmy kredyt, mąż musiał wziąć dodatkową pracę, czasem dwa tygodnie nie było go w domu. Kolejna próba, tym razem było osiem jajeczek, sześć dojrzało, cztery zarodki się rozwijały. Podano mi jeden z nich. Po kilku dniach kontrola: ciąża pozamaciczna.

Rozpadłam się na kawałki. Byłam w żałobie. Po pewnym czasie zaczęłam się źle czuć, ciągle chciało mi się wymiotować. Chodziłam do gastrologa. W końcu wykonałam tekst ciążowy, był pozytywny. Zabieg *in vitro* wyciszył endometriozę, w ciążę zaszłam naturalnie.

Od trzech miesięcy jestem mamą dwóch córek. O drugie dziecko staraliśmy się siedem lat. Niepłodność wtórna także boli i również jest stratą. I te pytania, które zewsząd padają. Do mojej córki mówiono: „Powiedz mamie, że chcesz brata", „A Mikołaj nie przyniósł ci braciszka?". Umiem słuchać zwierzeń o ciąży i dzieciach. Nigdy i nikomu nie zadaję żadnych pytań.

JOANNA
ŻYLETKA

Nie chciałam odkładać macierzyństwa na później. Z mężem postanowiliśmy, że zaraz po ślubie będziemy starać się o dziecko. Byliśmy młodzi, zdrowi. Przez głowę nie przeszła mi myśl, że mogłoby się nie udać. Spędzaliśmy razem dużo czasu, czułość, bliskość, częsty seks. Minęło kilka miesięcy, nie udało mi się zajść w ciążę. Z czasem zaczęłam odczuwać skrajne emocje: kiedy spóźniała mi się miesiączka, była radość i nadzieja, kiedy jej dostawałam – rozczarowanie. Zaczęłam o sobie myśleć: „Jesteś wybrakowana", „Inna jakaś".

Otaczały nas młode związki. Co kilka miesięcy dowiadywałam się, że któraś z tych par oczekuje dziecka. Zazdrościłam im, pytałam się losu: „Dlaczego nie ja? Co jest ze mną nie tak?". Z upływem czasu gorycz się potęgowała. Płakałam na wieść o cudzej ciąży. Znajomi często zadawali nam pytania: „No, a wy kiedy?", „Staracie się?". Mój mąż słyszał: „Zabierz się wreszcie za żonę", „Pokazać ci, jak to się robi?". Czułam, jakby ktoś przecinał mi skórę żyletką. Upłynęło trochę czasu i zapadło milczenie, już nikt nas o nic nie pytał, nikt z nami nie rozmawiał o dzieciach. Niekiedy tylko ktoś rzucił: „Młoda jeszcze jesteś, masz czas na pieluchy". Boże, jak to bolało. Kobiety cierpiące na niepłodność nienawidzą tych cholernych rad, albo takiego pocieszania i poklepywania po ramieniu.

Z czasem stałam się automatem: seks nie oznaczał już bliskości, kochaliśmy się co dwa dni, tylko w dni płodne, jakbyśmy działali według jakiejś instrukcji. Zaczęliśmy się od siebie oddalać, mąż był czuły i rozumiał moje cierpienie, ale ja tej czułości do siebie nie dopuszczałam, jakbym oglądała świat zza szyby. Miałam w głowie jedną myśl: „Zajść w ciążę, mieć dziecko". Tu zaczynał się i kończył mój świat.

Wyniki badań miałam książkowe. Mąż także. Lekarz zadecydował o inseminacji. Pierwsza próba nieudana. Druga też. Umówiliśmy się na trzecie, ostatnie podejście. Leżałam w szpitalu, przygotowana do zabiegu, mąż oddał nasienie i nagle lekarz zakomunikował, że jedno z badań niezbędnych do przeprowadzenia zabiegu jest nieaktualne, data jego ważności upłynęła trzy dni temu. Próby nie będzie. Prosiłam, żeby przymknął oko na to badanie, żeby nas nie odsyłał. Nie zgodził się.

To mnie załamało. Nie byłam w stanie wrócić do pracy, byłam słaba – fizycznie i psychicznie. Dwa tygodnie przeleżałam w łóżku. Skomplikowało nam się życie prywatne: sprawy rodzinne, majątkowe. Pierwszy raz od czerech lat pomyślałam, że to dobrze, że nie jestem w ciąży, byłoby mi teraz ciężko. Nie zażywałam nawet kwasu foliowego, który jest tak potrzebny do prawidłowego rozwoju płodu. Minęły trzy miesiące, spóźniał mi się okres. Zrobiłam test ciążowy, wynik pozytywny. Lekarz, który mnie prowadził, nie chciał uwierzyć, że zaszłam w ciążę naturalnie. Pierwsze USG – są dwa pęcherzyki płodowe, będą bliźniaki. Za pieniądze, które mieliśmy odłożone na *in vitro*, urządziłam im pokoik i kupiłam wyprawkę.

MAGDALENA
MIŁOŚĆ

Chciałam mieć trójkę dzieci, planowałam, że przyjdą na świat jak najszybciej, żebym miała siłę się nimi opiekować. Szybko zaszłam w ciążę. Diagnoza: ciąża biochemiczna, poroniłam, kiedy tylko zarodek zagnieździł się w macicy. Zaczęliśmy znów starać się o dziecko. Minął rok, dwa lata, nie udawało się. Lekarze na Śląsku i Opolszczyźnie mówili, że wszystko jest w porządku. Mam regularne cykle (co 28 dni), podczas których wykształcają się pęcherzyki płodowe. Jestem młoda. Nikt nie przeprowadzał szczegółowych badań, choć cierpię na niedoczynność tarczycy i Hashimoto (zapalenie tarczycy, choroba autoimmunologiczna). Zbadano nasienie mojego partnera. Stwierdzono, że najprawdopodobniej to jego zła jakość nie pozwala nam zajść w ciążę. Zaproponowano *in vitro*.

Pierwsza próba nieudana. Druga też. Wydaliśmy mnóstwo pieniędzy. Pojawił się ogromny stres, partner pogrążył się w poczuciu winy. Mówił, że „to przez niego". Zaczęliśmy się kłócić o byle co i oddalać od siebie. Wciąż chodziłam do różnych lekarzy. Usłyszałam, że nie mamy szans na poczęcie dziecka jako para, że może się udać z innymi partnerami, ale nie razem. Na jakiej podstawie padła ta diagnoza? Nie wykonano mi praktycznie żadnych badań. Byłam zmęczona. Rozgoryczona. Myślałam, że jestem bezpłodna. Chyba się nawet już z tym godziłam.

Przyjaciółka poprosiła, żebym skonsultowała się z profesorem przyjmującym w Łodzi. Profesor zebrał wywiad, zlecił badania. Powiedział, że mogę za pomocą *in vitro* zajść w ciążę, ale ponie-

waż mam we krwi przeciwciała uniemożliwiające utrzymanie ciąży, będę musiała przyjmować leki immunosupresyjne, sterydy i zastrzyki przeciwzakrzepowe.

Sterydy uszkadzają łożysko, wiedziałam, że ciążę trzeba będzie rozwiązać przed terminem. Znaleźć ten odpowiedni moment, w którym płód jest już odpowiednio dojrzały i zdolny do życia poza moim organizmem.

W szesnastym tygodniu zaczęłam krwawić, pojechałam do szpitala. Na izbie przyjęć położna zapytała: „Jak pani woli: ronimy tu czy w domu?". Nie słuchałam jej. Krwawienie ustało. W 28. tygodniu ciąży pojawiło się nadciśnienie tętnicze. Znów trafiłam do szpitala, lekarz powiedział mojemu partnerowi, że życie płodu i moje jest zagrożone. Urodziłam Kalinę przez cesarskie cięcie, ważyła kilogram. Lekarze mówili, że może umrzeć, że wcześniactwo niesie ze sobą powikłania, że trzeba być przygotowanym na różne scenariusze. Ale ja miałam dziecko, byłam już matką. Nic innego się nie liczyło. Czekałam na nią sześć lat. Nigdy w nikogo tak nie wierzyłam i nigdy nikogo nie kochałam takim rodzajem miłości – zupełnie bezwarunkowej.

Stres nie odpuszczał. Towarzyszył mi cały czas, podobnie mojemu partnerowi. Każde z nas się winiło. Każde czuło się w jakiś sposób wybrakowane. W ciąży partner nie dotykał brzucha, nie chciał oglądać zdjęć z USG. Bał się, że dziecko (nigdy nie używałam słowa „płód") może umrzeć, bał się, że i mnie grozi niebezpieczeństwo.

Nie unieśliśmy tego i krótko po narodzinach córki się rozstaliśmy, choć Kalina jest wyczekanym dzieckiem i oboje ją kochamy.

Włącznik

Prof. Robert Jach, kierownik Oddziału Klinicznego Endokrynologii Ginekologicznej i Ginekologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, opowiada o niepłodności trochę jak strateg, analityk. Wymienia narządy i układy w ciele kobiety odpowiedzialne za poczęcie dziecka (ośrodkowy układ nerwowy, podwzgórze, przysadka mózgowa, tarczyca, jajniki i narząd rodny). I analogicznie u mężczyzny (ośrodkowy układ nerwowy, podwzgórze, przysadka, tarczyca, jądra, mechanizm erekcyjny).

W Polsce in vitro wciąż budzi duży opór społeczny, przyznanie się do tej procedury może oznaczać stygmatyzację. **„Fajny jest, a przecież z in vitro"**, usłyszała młoda matka, która kilka lat bezskutecznie starała się o ciążę.

Jeśli parze nie udaje się począć dziecka, należy sprawdzić, gdzie leży przyczyna. Przeprowadzić badania: krwi, nasienia, ultrasonograficzne. Niepłodność z tą samą częstotliwością dotyka kobiet i mężczyzn. Należy więc zbadać parę, nie wyłącznie kobietę, co często ma miejsce.

Najczęstszą przyczyną niepłodności kobiet są zaburzenia owulacji – o różnym podłożu, w większości przypadków z powodu zachwianej równowagi hormonalnej – i endometrioza, na którą cierpi 35 proc. kobiet z niepłodnością. Niepłodność wywołują też m.in. radioterapia i chemioterapia.

O niepłodności męskiej także decydują hormony, i jakość nasienia – czyli liczba żywych plemników, ich ruchliwość. Aż w 25 proc. przypadków nie można określić genezy choroby. Lekarze mówią wtedy o przyczynie idiopatycznej.

Pierwsze pytanie, które prof. Jach zadaje podczas zbierania wywiadu, brzmi: „Proszę podać datę ostatniej miesiączki".

– Sposób udzielania odpowiedzi mówi mi trochę o moich pacjentach – wyjaśnia prof. Jach. – Pierwsza grupa pań się waha: „To było chyba dwa tygodnie temu, w okolicach środy". Druga ma zainstalowaną w telefonie komórkowym aplikację. Pada odpowiedź: „Piąty listopada, godzina siedemnasta". Trzecia grupa: odpowiedzi udziela mąż albo partner. Mówi: „Żona miała okres wtedy a wtedy". I już wiem, kto w tym związku planuje ciążę. Mówię wtedy, że staranie się o dziecko wymaga zaangażowania dwojga ludzi.

Joanna Piątek-Perlak także szybko rozpoznaje w gabinecie, kto, jak mówi psycholożka, „dowodzi" całym procesem. – Na lodówce kobieta przypina harmonogram badań, „płodną" dietę, rozpisane wizyty u specjalistów, on pozostaje obok, bo taka jest jej wola – mówi.

Do gabinetu prof. Jacha trafiają pary – albo same pacjentki – które od wielu lat bezskutecznie starają się o potomstwo. Rekomendacje i algorytmy Polskiego Towarzystwa Ginekologów i Położników określają, jaką podspecjalizację w ginekologii powinien mieć lekarz leczący niepłodność.

Nie wszyscy stosują się do tych wytycznych i podejmują się prowadzenia pacjentek, którym nie mogą pomóc. Pary tracą czas i pogrążają się w frustracji. – Niedawno przyszła do mnie młoda kobieta. Kilka lat podejmowała próby zajścia w ciążę, regularnie uczęszczała do ginekologa. Rozpoznanie było rzadkie i tragiczne: nie miała macicy – mówi prof. Jach.

Czasem same kobiety odkładają wizytę u specjalisty. Paraliżuje je lęk, że „coś może ze mną być nie tak", lepiej nie wiedzieć co. Występuje także zależność pomiędzy psychiką i ciałem: nie dochodzi do zapłodnienia, ponieważ kobieta, mężczyzna albo para borykają się z problemami natury emocjonalnej. – Najbardziej „seksownym" narządem jest ośrodkowy układ nerwowy – komentuje prof. Jach. – Stres, traumatyczne wydarzenia, choroby psychiczne mogą zablokować owulację albo miesiączkowanie.

Joanna Piątek-Perlak: – Tak, problem czasem tkwi w głowie. Ale walczę ↦

↦ z mitem, że wystarczy sobie „odpuścić" i zajdzie się w ciążę. Bo skoncentrowanie się na „odpuszczaniu" może doprowadzić do jeszcze większego kryzysu. Psycholog, który ma rozpoznać, jaki problem pacjentka bądź pacjent „ma w głowie", wchodzi do dużego, ciemnego pokoju. Wie, że gdzieś tu znajduje się włącznik światła. Ale nic nie widzi. Porusza się po omacku i centymetr po centymetrze dotyka każdej ściany. Pary w niepłodności żyją w ciągłym biegu, stresie, bo przecież czas ucieka. To stanowi kolejne obciążenie.

W Polsce *in vitro* wciąż budzi duży opór społeczny. W niektórych środowiskach przyznanie się do tej procedury oznacza stygmatyzację. Albo jest przyczyną żartów. „Mam jeszcze trochę pieniędzy, to może sobie fundnę takiego dzieciaka jak ty", usłyszała młoda matka, która kilka lat bezskutecznie starała się o ciążę. Albo: „Fajny jest, a przecież z *in vitro*". Z tego powodu niektóre pary nie informują nawet najbliższej rodziny, że nie poczęły dziecka naturalnie. Bywa, że gdy na skutek zapłodnienia pozaustrojowego rodzą się bliźniaki, bo podczas transferu podano dwa zarodki i dwa się przyjęły, rodzina się dziwi: „Bliźniaki? Skąd to, przecież nigdy w naszej rodzinie nie było bliźniaków".

Stygmatyzuje też dawstwo nasienia bądź adopcja komórek jajowych. Psycholożka: – Nagle na świecie pojawia się dziecko, babcia ma wreszcie tego wyczekanego wnuka. Kocha go. Ale i tak czyni jego matce, a swojej synowej wyrzuty, że jest to dziecko z „obcego nasienia", że „winien" niepłodności na pewno nie był jej syn.

Koniec

Kobiety, które przeszły kilka albo kilkanaście poronień, czują, że przez chwilę były matkami. Ich ciało nastawiało się na macierzyństwo. Z powodu choroby się nie udało. Niepłodność i bezpłodność zmieniają kobietę i mężczyznę, zmieniają pary.

Zwłaszcza u par, które leczyły się kilkanaście lat, pojawia się żal do lekarzy, do medycyny (bo nie da się wszystkiego wyleczyć, nawet gdy para ma pieniądze i nawet w XXI wieku), do rodziny (bo nie wspiera). Jest zmęczenie (ponieważ odwiedziło się już wszystkie kliniki leczenia niepłodności w Polsce, a czasem i za granicą). W związku dochodzi do kryzysu. Kiedy zapada diagnoza: bezpłodność – zaczyna się trudny i bolesny czas. Przychodzi żałoba.

Joanna Piątek-Perlak: – Kobiety uświadamiają sobie, że mogą już odłożyć ten swój segregator z dokumentacją na półkę. Mogą powiedzieć: „Taka była moja droga: długa, bolesna, właśnie ją kończę". Kolejny mit dotyczy adopcji: powszechnie uważa się, że kiedy pada diagnoza bezpłodności, para stara się o adopcję. Nie. Czasem pojawia się bezdzietność. Uczę moich pacjentów, że w dwójkę także stanowią rodzinę, że nieposiadanie dziecka nie jest końcem świata. Po przejściu żałoby, pogodzeniu się z bezdzietnością, można wrócić do siebie i do życia.

Czasem mężczyznom godzenie się przychodzi łatwiej. Piątek-Perlak słyszy, jak mówią do żon: „Słuchaj, mamy siebie, kochamy się".

W niektórych krajach rozmawia się o dzieciach bez tabu. Kiedy kobieta leczy się na nowotwór albo ma powyżej 35 lat i nie ma dziecka, zamraża swoje jajeczka. Korzysta się z dawstwa nasienia i komórek jajowych. Mówi się o tym jak o leczeniu każdej innej choroby. Moja niepłodna koleżanka w Polsce o swojej chorobie milczy. Zapytała mnie kiedyś: „Jak mam mówić o swoich uczuciach? Jak mam zakomunikować światu, że nie chcę otrzymywać esemsem tych wszystkich zdjęć niemowlaków w śpioszkach z uszami królika, albo dużych już dzieci na placu zabaw. Mnie to boli".

Najciężej jej w Boże Narodzenie.

Jedna z bohaterek tego tekstu poprosiła o zmianę imienia. Joanna i Magdalena występują pod prawdziwymi imionami. Ich rodziny i przyjaciele na pewno je rozpoznają. Ale one uważają, że ich historia może komuś pomóc. I nie chcą się jej wstydzić.

© MAŁGORZATA NOCUŃ

RDC POLSKIE RADIO

O tym, czym jest język, i o porozumiewaniu się nie tylko z innymi ludźmi ŁUKASZ KWIATEK opowie Grzegorzowi Chlaście (tekst na s. 86) w środę 2 grudnia o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia.
| Warszawa 101 FM |Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Życie nie obiecało mi dziecka

AGNIESZKA GLICA, PSYCHOTERAPEUTKA:

W gabinecie lekarskim nigdy nie pada słowo „żałoba". Ale to jest żałoba. To jest strata.

KRZYSZTOF STORY: Dwoje ludzi regularnie uprawia seks bez antykoncepcji. Po roku nie udaje im się zajść w ciążę – tak WHO definiuje niepłodność. Leczenie często trwa dużo dłużej niż 12 miesięcy.

AGNIESZKA GLICA: Czasem żałuję, że na początku diagnostyki nikt nie zadaje pytania: „Ile czasu jesteście gotowi walczyć?".

Kiedy należy powiedzieć „Stop"?

To zależy wyłącznie od pary. Ale pytanie o granicę musi się pojawić. Tym bardziej że nowoczesna medycyna oferuje coraz więcej możliwości terapii. Trzeba o tym rozmawiać od początku, inaczej proces pogodzenia się z ewentualnym niepowodzeniem jest bardzo trudny.

Co przeżywają pary zmagające się z niepłodnością?

To bardzo trudny moment. Zaskakuje nas nasza własna biologia, na którą przecież nie mamy wpływu. Mimo to niepłodność często rzutuje na nasze poczucie własnej wartości, na relacje między partnerami. Wielu pacjentów i pacjentek, z którymi pracuję, to osoby bardzo zaradne, energiczne, doskonale radzące sobie w życiu. I nagle, wobec tego problemu, stają kompletnie bezsilne.

W którym momencie decydują się na pomoc psychoterapeuty?

Zwykle pracuję z osobami, które są już w trakcie leczenia. Pacjenci często

trafiają do mnie nawet po pięciu – sześciu latach starań o dziecko. Niektórzy szukają wsparcia po trzecim nieudanym cyklu *in vitro*. Inni – już po pierwszym, bo do dziś zdarza się nam traktować *in vitro* jako metodę o skuteczności sto procent. Niepowodzenie jest wtedy bardzo dużym zawodem. Osoby w takiej sytuacji przychodzą często w ogromnym smutku, nie mogą spać, normalnie pracować. Spotyka je rozczarowanie, na które nie były przygotowane.

Zaburzenia nastroju, blokady psychiczne często są konsekwencją niepłodności. Ale czy mogą być jej przyczyną?

I tak, i nie. Płodność to oczywiście nie tylko temat medyczny, wiąże się z dojrzałością emocjonalną, z akceptacją siebie i swojego ciała. Jestem przekonana, że psychika i ciało wzajemnie na siebie wpływają. Ale psychoterapia nie jest przepustką do upragnionej ciąży. Wiele przypadków niepłodności diagnozuje się jako idiopatyczne. To znaczy, że medycyna nie pozwala ustalić dokładnej przyczyny choroby [wg klasyfikacji WHO niepłodność jest chorobą – red.]. Przez wiele lat poszukiwano psychogennego podłoża niepłodności idiopatycznej. Zwracano uwagę na dietę, styl życia, czynniki środowiskowe. Ale dzisiaj od tej teorii, od tak mocnego skupienia na psychice się odchodzi, a czasem nawet zupełnie pomija. Wiadomo natomiast, że sam stres może utrudniać zajście w ciążę. A ponieważ samo leczenie niepłodności jest niezwykle stresujące, powstaje błędne koło. I tutaj psychoterapia może pomóc.

Z raportu „Wspieramy płodność" z 2018 r.: „Przyszłości zadań psychologicznych należy upatrywać właśnie w minimalizowaniu negatywnych kosztów diagnostyki i leczenia niepłodności".

To prawda, bo te koszty są ogromne. Nie tylko emocjonalne i społeczne, ale też logistyczne, finansowe, a nawet moralne, zwłaszcza w przypadku metody *in vitro*. Mam doświadczenie pracy z osobami, które były gotowe się zapożyczyć, by kontynuować terapię. To jest olbrzymia presja, która bardzo utrudnia zajście w ciążę. Pamiętam, kiedy w 2013 r. ówczesny rząd wprowadził program refundacji zabiegów *in vitro*. Trzy moje pacjentki zakwalifikowały się do tego programu

ARCHIWUM PRYWATNE

AGNIESZKA GLICA jest psychoterapeutką i superwizorką Europejskiego Stowarzyszenia Terapii Gestalt, specjalizuje się w pracy z osobami zmagającymi się z problemem niepłodności.

i była to dla nich taka ulga, że chwilę później naturalnie zaszły w ciążę. Wcześniej nie pozwalał na to ciągły stres.

Kobiety częściej korzystają z terapii?

Tak. Najczęściej para na konsultację przychodzi razem. Potem zostaje kobieta albo oboje, bardzo rzadko sam mężczyzna.

Lepiej we dwójkę czy pojedynczo?

Dla pary terapia staje się obszarem wzajemnego wsparcia. Mogą wypracować zachowanie w kryzysie, metody komunikacji, bo tego najczęściej brakuje A gdy nie umiemy rozmawiać, łatwo zacząć się obwiniać, oddalać od siebie. Na terapii mężczyzna dowiaduje się, czego potrzebuje kobieta. I vice versa. Przestajemy funkcjonować na zasadzie: „ja mam oczekiwania, cierpię, potrzebuję wsparcia, a ty się domyśl, co masz robić". Jeśli przychodzi do mnie para, zawsze zachęcam do wspólnej terapii pod warunkiem, że żadna z osób nie jest w głębokiej depresji.

W 2008 r. przebadano 638 par leczonych z powodu niepłodności. Depresję zdiagnozowano u 48 proc. kobiet i 23,8 proc. mężczyzn. Skąd ta różnica?

Niepłodność, niepowodzenia w ciąży są przeżywane przez kobiety dużo bardziej namacalnie. Kobieta co miesiąc musi zetknąć się z własną niemocą. Mężczyzna słyszy opowieści żony, czuje tę niemoc, wspiera, ale nie dotyka go w tak dosłowny sposób. A dla kobiet każdy cykl jest szansą i nadzieją.

Pracuję też z kobietami po poronieniach. Często nadal mówi się, że poronienie to „nic takiego". Pokolenia obecnych babć czy matek nie rozmawiają o tym z córkami. Dla kobiety dziecko istnieje od momentu, w którym jest ona je sobie w stanie wyobrazić. A to następuje bardzo wcześnie, bo medycyna coraz szybciej informuje o ciąży. Zapewniam: dla moich pacjentek poronienie to nie „nic takiego". To ogromna strata.

A mężczyźni? Statystycznie dużo rzadziej korzystają z psychoterapii. W przypadku niepłodności jest podobnie?

Mężczyźni decydują się na terapię dopiero, kiedy dowiadują się, że problem jest „po ich stronie". Często czują się winni za coś, na co zupełnie nie mają wpływu.

Mężczyźni dużo chętniej korzystają z terapii dla par, sami ją inicjują. Ta troska, poszukiwanie rozwiązań często wychodzi od nich.

Myślę, że to przez wdrukowaną potrzebę działania, radzenia sobie, opiekowania się.

Być może. Kulturowo facet ma działać, ma się wyrabiać, ma być silny. Pokazywanie emocji jest mylnie traktowane jako słabość. Niepłodność podobnie. Powoduje ogromne poczucie winy. Zwolnienie z niego mężczyzny zajmuje w trakcie terapii sporo czasu.

Mężczyźni inaczej przeżywają ten proces?

Z mężczyznami częściej pracuję w obszarze złości. Tu trzeba dodać, że złość to nie to samo, co agresja. Złość jest nam potrzebna, bo służy do zaznaczania naszych granic. Wielu mężczyzn boi się tej emocji. Wtedy czasem uciekają w bierność, oddalają się.

Muszą też czuć wstyd. Przecież jeszcze kilkanaście lat temu niepłodność była uznawana za prawie wyłącznie kobiecy problem.

To prawda. Zdarzało się, że kobieta przechodziła przez szereg badań, była diagnozowana miesiącami, zanim ↦

wykonano choćby podstawowy test męskiego nasienia. W naszej kulturze funkcjonuje mit męskości oparty właśnie o płodność, o sprawność seksualną. Mężczyzna „może” niezależnie od wieku i okoliczności – nawet o tym nie dyskutujemy. Gdy słyszymy o „zegarze biologicznym”, myślimy wyłącznie o biologii kobiecej. A przecież płodność mężczyzn też gwałtownie spada po osiągnięciu pewnego wieku. Wy też macie swój zegar i nie ma w tym nic wstydliwego.

Ten mit chyba właśnie się zmienia.

To prawda, mężczyzn w terapii jest coraz więcej. Prowadzi się też coraz więcej badań, bo w efekcie nie mamy nawet jeszcze dobrego klinicznego obrazu męskiej niepłodności. A według nowych wytycznych dla służby zdrowia w Kanadzie w ogóle nie zaczyna się diagnostyki kobiet, dopóki nie zbada się nasienia partnera. Bo to najprostsze, najmniej inwazyjne badanie. To są realne zmiany.

Jedną z najbardziej skutecznych technik wspomaganego rozrodu jest IVF, czyli in vitro. Wiele osób, zwłaszcza katolików, staje przed arcytrudnym dylematem moralnym.

To jedne z najtrudniejszych rozmów. Zawsze staram się sprawdzić, co powstrzymuje człowieka, parę przed *in vitro*. Dla niektórych cała procedura jest sprzeczna ze światopoglądem. Dla większości problemem jest kwestia zamrożonych komórek. Ja rozmawiam z parami o tym, co ich porusza, blokuje. Na ile to ich pogląd, na ile presja otoczenia? Często udaje się wypracować rozwiązanie. Można np. oddać zarodki do adopcji, choć to niełatwa decyzja.

> Wokół płodności dominuje myślenie magiczne. Że najpierw praca, oszczędności, mieszkanie, a potem „na ostatni dzwonek” dziecko. Po drodze zapominamy, że **nikt nam na to wszystko nie dał gwarancji.**

Takie pary muszą wybierać między własnymi przekonaniami a marzeniem o dziecku.

Para musi spojrzeć na sytuację z perspektywy innej niż własna. Zawsze pytam, czy jest na przykład gotowa porozmawiać z innym księdzem niż do tej pory. Są kapłani, którzy wspierają pary w procesie *in vitro*.

Osobom wierzącym trudniej jest przez to przejść?

Nie ma tutaj reguły. Widziałam osoby, które z dojrzałej wiary czerpały dużo siły. Widziałam takie, które nie mogły znieść poczucia niesprawiedliwości tego, co ich spotyka. Osoby niewierzące z kolei mają często większe poczucie sprawczości. Tu nakłada się dużo czynników. Z mojej perspektywy najtrudniej pracuje się z poczuciem winy. Mamy je bardzo głęboko osadzone, bo na nim opiera się cały system dyscypliny w procesie wychowania dzieci. I potem, zmagając się z niepłodnością, bierzemy na barki coś, co jest daleko poza naszymi możliwościami. Przecież jaki my mamy wpływ na naszą biologię, na kształt naszych komórek i organów? Żaden.

Wiara może być pozytywnym bodźcem, ale nie musi. Na pewno pomaga towarzyszenie drugiej osoby. Niektórzy moi pacjenci korzystają z grup wsparcia, ale najważniejsza jest komunikacja w związku. Często jej brakuje. Kobiety uważają, że mężczyźni się nie przejmują. Mężczyzna czuje się bezsilny.

To nie sprzyja zajściu w ciążę.

Racja. Terapia niepłodności to często potężne zaburzenie sfery seksualnej. Po pierwsze, nie czujemy się atrakcyjni. Po drugie, seks w ogóle przestaje być postrzegany jako sfera przyjemności. Nie ma czasu dla siebie. Jest tylko środek do celu.

Jak sobie z tym radzić?

Nie ma jednej dobrej odpowiedzi. Bo to jest sytuacja, w której lekarz mówi: „wtedy i wtedy są dni płodne, wtedy musicie współżyć”. A ja, jako psychoterapeutka, mówię o swobodzie, przyjemności, o dawaniu sobie czasu i uwagi. Para sama musi wypracować kompromis.

Czasem się nie udaje.

Tak. Diagnoza ostateczna. Wtedy niepłodność staje się bezpłodnością [trwałą, nieuleczalną niezdolnością do zajścia w ciążę – red.].

TYGODNIK POWSZECHNY ▪ **www.TygodnikPowszechny.pl**

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Joachim Trenkner
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny”

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

Co wtedy?

W gabinecie lekarskim nigdy nie pada słowo „żałoba". Ale to jest żałoba. To jest strata dziecka.

Trzeba ją przepracować.

W momencie dojścia do ściany bardzo ważne jest spojrzenie w tył i powiedzenie: „Zrobiliśmy wszystko, co mogliśmy". Musimy zaakceptować realność. Do leczenia podchodzimy życzeniowo. Że na pewno się uda. Medycyna pozwala dzisiaj bardzo długo starać się o dziecko, oferuje cały wachlarz metod. Ale nie daje gwarancji. I w pewnym momencie trzeba zacząć się godzić z rzeczywistością. To trudne, ale psychoterapia nie jest metodą walki o dziecko, tylko o siebie. Warto o tym pamiętać.

Niejedna para w tym momencie usłyszała: „Zawsze możecie adoptować".

To jedna z najmniej empatycznych rzeczy, które można w takiej chwili powiedzieć. Adopcją nie przykryjemy tej traumy, tych emocji. Ją trzeba przepracować. Choćby po to, by nie skrzywdzić adoptowanego dziecka.

Czy psychoterapeuta musi mieć w takich przypadkach specjalne kwalifikacje?

Wraz z doświadczeniem każdy wypracowuje sobie sposób pracy, swoją empatię.

Mnie na pewno pomogła praca w klinice niepłodności. Dzięki temu znam procedury, które przechodzą moje pacjentki.

Jak wygląda dostęp do opieki psychologicznej w klinikach niepłodności?

Niektóre od zawsze oferowały takie wsparcie. W większości pojawiło się, gdy stowarzyszenie Nasz Bocian stworzyło ranking klinik. Opieka psychologiczna była jednym z kryteriów, więc nagle wszyscy zaczęli nawiązywać współpracę z terapeutami i psychologami. A w publicznej służbie zdrowia można skorzystać z poradni zdrowia psychicznego.

Psychoterapia na NFZ jest praktycznie nieosiągalna.

Wiem.

Odwrócę pytanie. Pani w pracy terapeutycznej pomaga znajomość procedur medycznych. A czy personel medyczny umie odpowiednio rozmawiać z ludźmi w tak trudnych sytuacjach?

To jest problem całego polskiego systemu ochrony zdrowia. Jako psychoterapeuta i superwizor latami przygotowywałam się do pracy z ludźmi i ich cierpieniem. Ale lekarka i pielęgniarka też powinny mieć podstawy takiej wiedzy. Bez wrażliwości i cierpliwości, jednym niefortunnym stwierdzeniem bardzo łatwo można zrobić komuś krzywdę. A ludzie w tak dramatycznej sytuacji naprawdę zasługują na to, by obchodzić się z nimi jak z jajkiem.

Program refundacji in vitro trwał w Polsce tylko trzy lata. Dzięki niemu urodziło się ponad 21 tysięcy dzieci. Po 2016 r. rząd PiS nie zdecydował się go przedłużyć. Pani zdaniem in vitro powinno być refundowane?

Patrząc na to, ile cierpienia jest w osobach, które nie mogą mieć dzieci – tak. Ale potrzebna jest rozmowa nie tylko o metodach, ale też o granicach. Choć na pewno nie w formie sztywnego ograniczenia liczby refundowanych prób.

W 1990 r. statystyczna Polka rodziła pierwsze dziecko w wieku 26,2. W 2017 r. – 29,5.

Ten trend obejmuje całą Europę. Ale w Polsce i tak wcześnie zakładamy rodziny, także ze względu na presję społeczną. Nawet w klinikach niepłodności dużo jest osób przed trzydziestym rokiem życia.

Problem niepłodności dotyka nawet 1,5 miliona polskich par rocznie. To około 15 procent.

Ten procent niestety się zwiększa, bo zapomnieliśmy, że nie możemy mieć wszystkiego. Z punktu widzenia psychologii akceptacja realiów jest kluczowa. A tymczasem wokół płodności dominuje myślenie magiczne. Snujemy idealne plany, bo staramy się być odpowiedzialni. Że najpierw praca, oszczędności, mieszkanie, podróże, a potem „na ostatni dzwonek" dziecko. I to się w naszym magicznym myśleniu na pewno uda. W ciążę zajdziemy szybko, donosimy ją bez problemu i wszystko będzie jak w bajce. Ale po drodze zapominamy, że nikt nam na to wszystko nie dał żadnej gwarancji. Że życie nam tego dziecka wcale nie obiecało.

© Rozmawiał KRZYSZTOF STORY

REKLAMA

Sprzedaj używane książki w **Tezeuszu** – największym antykwariacie w Polsce!

Wszystko załatwimy za Ciebie

Szybka wycena książek

Miejsce na nowe książki

Recykling literatury

Działamy na terenie całego kraju! Bezpłatny dojazd i odbiór książek! Płatność gotówką przy odbiorze. Interesują nas także duże zbiory instytucjonalne, wycofywane z bibliotek. Mniejsze zbiory możesz sprzedać samodzielnie na **www.skupksiazek.pl**

tel. +48 539 915 890
kontakt@skupksiazek.pl
www.skup.tezeusz.pl

weź, czytaj!

zanim zabraknie

Zamów nasze *the best of* – tematyczne numery „Tygodnika Powszechnego. Wydania Specjalnego", zanim ich nakłady się wyczerpią. Napisz na adres: **zamowienia@TygodnikPowszechny.pl**, my zajmiemy się resztą.

Do kompletu 4 wybranych wydań piąte dodajemy GRATIS*!

* Cena pojedynczego wydania archiwalnego – 15 zł.

i w prenumeracie:

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania

Pomocy przy problemach technicznych udziela Anna Dziurdzikowska pod nr. tel. 660 692 101 (w godz. 10.00–14.00) lub adresem e-mail: kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ*

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia**	365 zł	
Karta Dużej Rodziny***	365 zł	

+ PREZENT!

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE" W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM"

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia** + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny*** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

+ PREZENT!

* ważny od 2 grudnia 2020

** z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

*** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago marketing automation

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Już teraz zaprenumeruj „Tygodnik Powszechny” i otrzymaj prezent

„Ks. Adam Boniecki.
Ćwiczenia z optymizmu.
Książka do pisania”
– to wyjątkowy notes
z fragmentami wypowiedzi
księdza Bonieckiego
ilustrowany zdjęciami
autorstwa Grażyny Makary
i z prywatnego archiwum
bohatera książki.

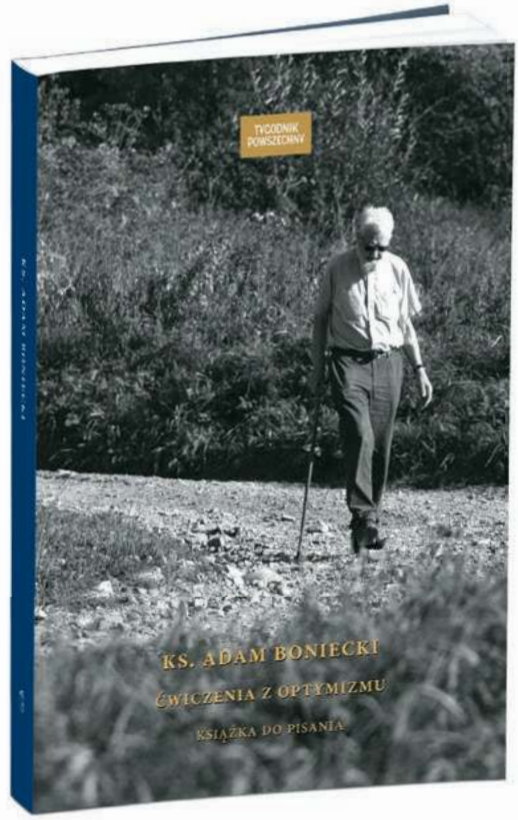

1. **Już dziś** zamów lub przedłuż roczną, półroczną lub kwartalną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”.
2. Możesz to zrobić przez stronę **TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate** lub przez wpłatę na konto – cennik i szczegółowe zasady znajdziesz na sąsiedniej stronie.
3. „Książkę do pisania” otrzymasz razem z wydaniem „TP” 3/21 (17 stycznia 2021) – bez dodatkowych kosztów przesyłki.

   Książkę w limitowanej ofercie otrzymają osoby, które 3 stycznia 2021 r. będą miały aktywną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”*.

* Nie dotyczy Prenumeratorów, którzy otrzymają książkę przed świętami Bożego Narodzenia

Życie ks. Adama Bonieckiego to długie pasmo podróży, przeprowadzek, wyjazdów i rozstań. Czasami planowanych, ale równie często nagłych i dramatycznych.
Jak zachować optymizm i pogodę ducha?
Jak nie poddać się zwątpieniu?
Czy Bóg ma poczucie humoru?
Ten zbiór cytatów pozwala nieco lepiej zrozumieć, jaką receptę na szczęśliwą wędrówkę przez życie posiadł redaktor senior „Tygodnika Powszechnego”.

Michał Olszewski, redaktor tomu

WYDAWCA:

TYGODNIK POWSZECHNY AUSTERIA ZAiKS

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY // FOTOGRAFIA NA OKŁADCE GRAŻYNA MAKARA DLA „TP”

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Była własnością

Dina jest jedyną córką praojca Jakuba, której imię dane jest nam poznać. Księga Rodzaju w rozdziale 34 opowiada o zgwałceniu jej przez księcia Chiwwitów Sychema. Według prawa biblijnego, niebiorącego kompletnie pod uwagę uczuć zgwałconej, sprawca – o ile jego ofiara nie należy jeszcze do innego mężczyzny – może „naprawić" to, co zrobił, biorąc ją sobie za żonę. Jeśli kobieta jest już czyjąś żoną bądź narzeczoną – karą jest śmierć. Czasownik „zhańbić", użyty w wersach 5, 13 i 27, odnosi się w kontekście seksualnym w innych wersach biblijnych do obcowania z cudzą żoną.

Owo „zhańbić" można przetłumaczyć dosłownie z hebrajskiego jako „uczynić nieczystym". Koncepcja nieczystości narodów Kanaanu – czyli również Chiwwitów – pojawia się u Ezdrasza, który zakazuje małżeństw mieszanych. Już Abraham i Izaak wypowiadają się krytycznie na temat izraelicko-kananejskiej egzogamii. Miasto Sychem, w przeciwieństwie do większości miast kananejskich, prawdopodobnie staje się częścią Izraela bez konieczności walki zbrojnej. Wygląda na to, że nasza historia dotyczy kwestii egzogamicznego małżeństwa, z którą zmagają się Dzieci Izraela. Takie związki mogą być przydatne w ekspansji terytorialnej, ale wiążą się z groźbą destabilizacji przez rozbieżne wartości kulturowe.

Podobieństwa w warstwie fabularnej i językowej opowieści o Dinie i Sychemie oraz o Tamar i Amnonie (2 Sm 13) są zadziwiające: sprawca i ofiara są szlachetnie urodzeni, brat bądź bracia z tej samej matki mszczą się, ojciec zaś nie podejmuje żadnych działań. Akt ten jest opisany jako „zbrodnia w Izraelu", dzieje się to na własnym terytorium sprawcy, a zemsta dokonuje się poprzez oszustwo: śmierć przychodzi, gdy ufni sprawcy zakładają, że wszystko jest w porządku.

Księga Rodzaju nie interesuje się Diną jako osobą, a jedynie jako przedstawicielką Dzieci Izraela. Również Sychem reprezentuje Kananejczyków. Historia ta nie dotyczy zła wyrządzonego samej Dinie, ale hańby sprowadzonej na klan poprzez splamienie jego honoru. Dina jest podmiotem tylko w otwierającym wersie: podejmuje niezależne działanie i wychodzi zobaczyć dziewczęta tej ziemi. Wychodzi zobaczyć, ale jest „zobaczona" przez Sychema i pozostaje przedmiotem do samego końca. Uczestnictwo dziewiczej Diny (choć niedobrowolne) w akcie seksualnym powoduje trwały spadek jej społecznej wartości. Żadna kobieta, która doznała napaści seksualnej, nie chciałaby wyjść za mąż za gwałciciela, ponieważ takie małżeństwo skazałoby ją na dożywotni gwałt. Ale gwałt w Rdz 34 jest przede wszystkim uważany za kradzież własności ojca, a ofiara gwałtu – za „problem". To nie jest historia Diny, ale historia mężczyzn: jej ojca, jej braci, a nawet gwałciciela. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Prywatyzacja Kościoła

Kościoły pustoszeją, rodzice wypisują dzieci z katechezy, młodzież protestuje na ulicach przeciwko zaostrzeniu prawa o ochronie życia „od poczęcia aż do naturalnej śmierci" i przeciwko władzy, a Franciszek nie tylko szeregowych księży, ale również biskupów i kardynałów odsyła *ad statum laicalem*. Nawiasem mówiąc, dlaczegoż to odesłanie do stanu świeckiego ma być najwyższą karą? Bycie świeckim to coś gorszego od bycia duchownym? Źle się dzieje w państwie duńskim.

Przyczyn takiego stanu jest wiele, ale jedną z najważniejszych jest uprzedmiotowienie i sprywatyzowanie sakramentów, co łatwo zauważyć, ale uznać znacznie trudniej. Wystarczy posłuchać zapowiedzi intencji, w jakich będą odprawiane msze. Najczęściej chodzi o zdrowie i „zbawienie wieczne dusz zmarłych". Na wiosnę: o matury i egzaminy na studia. W czasie suszy o deszcz, o pogodę na wakacje, w czasie epidemii o jej odwrócenie itp. W tych i innych intencjach ofiarowujemy Bogu również nowenny, spowiedź i komunię, pielgrzymki, posty itd. Tym sposobem liturgia, zamiast być czasem wsłuchiwania się w to, co dzisiaj i tutaj mówi Duch Kościołowi, staje się monetą przetargową. Ofiarowujemy Bogu mszę, jakby to była rzecz, prezent, boję się powiedzieć, że łapówka. Dzięki temu Bóg, miejmy nadzieję, bo pewności nie ma, popatrzy na nas przyjaźniejszym okiem i udzieli nam łask, których potrzebujemy. Najczęściej dotyczących naszej ziemskiej *prosperity*.

Idę do kościoła i gorliwie się modlę, a nawet płacę za modlitwę kapłanom, gdyż mam sprawę do załatwienia. Idę z takim nastawieniem, z jakim wybieram się do sklepu czy urzędu. A jak już dojdę, broń Boże przeszkadzać mi w modlitwie. A najczęściej przeszkadzają nam ludzie. Słyszy się nieraz, że w pustym kościele modli się najlepiej. Cisza, cichutka muzyka organowa, w lecie chłód, zimą ciepełko, wtedy tak, wtedy jestem najbliżej Boga – tymczasem kościół jest domem zgromadzenia i wspólnotowego modlenia się, a nie prywatną kaplicą. Ale cóż, jak w kościele ma się zgromadzić wspólnota, skoro jej po prostu nie ma? Istnieją katolicy, ale nie istnieje Kościół. Ten proces prywatyzowania Kościoła i uprzedmiotowienia liturgii zaczął się w chwili, kiedy religia stała się państwowotwórczą ideologią, a Kościół jedną z państwowych instytucji. Być może ten etap w rozwoju Kościoła i państwa był potrzebny, ale dzisiaj już nie do utrzymania. Skutek? Chrzest, sakramenty stały się wydarzeniem rodzinno-towarzyskim i państwowym – ale nie są kościołotwórcze. Jak, bo nie czym, zostaliśmy ochrzczeni? Żywym Świętym Duchem czy tylko wodą? ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
W każdym czasie

Zależy tylko
od mego pragnienia,
czy coś jest błotem,
czy Bogiem.

SIMONE WEIL

Człowiek przechodzi
przez trzy stadia.
Na pierwszym
czci cokolwiek:
mężczyznę, kobietę, dzieci,
pieniądze, kamienie.
Na trochę wyższym
poziomie rozwoju
czci Boga.
W końcu przestaje mówić:
„Oddaję cześć Bogu”
albo „Nie oddaję czci Bogu”.

RUMI

Wybrał PIOTR SIKORA

W ostatnim czasie w Liturgii – zapewne w związku ze zbliżającym się Adwentem – słuchaliśmy fragmentów Mowy Eschatologicznej Pana Jezusa w zapisie św. Łukasza (Łk 21, 5-36). Sprowokowało ją pytanie uczniów: „Nauczycielu, kiedy to nastąpi?”. Pojawiło się także drugie pytanie: „Jaki będzie znak, gdy to się dziać zacznie?”.

Odpowiadając, Pan wyliczył „znaki” nadejścia czasów ostatecznych: „Powstanie naród przeciw narodowi i królestwo przeciw królestwu. Wystąpią silne trzęsienia ziemi, a miejscami głód i zaraza; ukażą się straszne zjawiska i wielkie znaki na niebie”.

Wojny, głód i zaraza – czy to nie są znaki występujące w każdym ludzkim pokoleniu? Czy to nie są znaki występujące w naszym pokoleniu?

Wojny? W chwili, gdy to piszę, wojna trwa choćby w Syrii.

Głód? Według raportów kompetentnych agend ONZ w roku 2019 głód cierpiało 690 milionów ludzi na ziemi. Wedle prognoz tych samych agend do końca roku 2020 liczba ta wzrośnie (również z powodu pandemii) o kolejne 130 milionów.

Zaraza? Dziś polskie służby sanitarne podały liczby: 16 687 nowych osób zakażonych i 580 zmarłych w ciągu ostatniej doby z powodu koronawirusa. Tylko w ciągu ostatniego półtora tygodnia pochowałem w swojej diecezji trzech zmarłych proboszczów. Pół godziny temu dostałem wiadomość o śmierci kolejnego...

Znaki czasów ostatecznych pojawiają się w każdym pokoleniu – w każdym czasie i w każdym miejscu.

Uświadomiwszy to sobie, zaczynamy powoli odkrywać znaczenie tzw. eschatologii.

Nie ma ona najwyraźniej w sobie nic z pasjonującej „zgaduj-zgaduli”: kiedy to będzie? Nie ma ambicji przepowiadać (kolejnego już przecież) terminu „końca świata”. Nie obstawia zakładów co do czasu i pokolenia, na które Paruzja spadnie znienacka jak potrzask.

Nie! Jej rolą jest raczej uświadamiać nam to, że wieczność i tzw. „czasy ostateczne” pozostają właściwym punktem odniesienia dla każdego pokolenia.

W każdym pokoleniu, w każdym czasie i miejscu człowiek jest wezwany do tego, by widzieć siebie – swoje wybory, decyzje i działania – w perspektywie wieczności, nie dając się zredukować do najbardziej nawet atrakcyjnego i wciągającego „tu i teraz”.

Człowiek jest większy.

I dlatego chwała Bogu, że właśnie rozpoczyna się Adwent – może na nowo uchwycimy najistotniejsze punkty sensownej antropologii. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (6 – 13 XII)

2. niedziela Adwentu: Iz 40, 1-5. 9-11; Ps 85; 2 P 3, 8-14; Mk 1, 1-8;
Poniedziałek: Iz 35, 1-10; Ps 85; Łk 5, 17-26;
Wtorek, uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP: Rdz 3, 9-15; Ps 98; Rz 15, 4-9; Łk 1, 26-38;
Środa: Iz 40, 25-31; Ps 103; Mt 11, 28-30;
Czwartek: Iz 41, 13-20; Ps 145; Mt 11, 11-15;
Piątek: Iz 48, 17-19; Ps 1; Mt 11, 16-19;
Sobota: Syr 48, 1-4. 9-11; Ps 80; Mt 17, 10-13;
3. niedziela Adwentu: Iz 61, 1-2a. 10-11; Ps: Łk 1, 46-50. 53-54; 1 Tes 5, 16-24; J 1, 6-8. 19-28.

FIASKO OPERACJI PREMIER

Miał otworzyć PiS na klasę średnią oraz młodych i dogadać się z Unią. Dziś ma klasę średnią i młodych na ulicach, a tak fatalnych stosunków z Brukselą nie było jeszcze nigdy.

ANDRZEJ STANKIEWICZ

ARTUR WIDAK / NURPHOTO / GETTY IMAGES

Mateusz Morawiecki na konwencji PiS w Jasionce koło Rzeszowa, 9 marca 2019 r.

Najbardziej posępne wystąpienie premiera poświęcone Unii Europejskiej. Kilkanaście dni temu Mateusz Morawiecki nagle poprosił o sejmowy czas, by wygłosić antyuniją tyradę. „Dobrze znamy z czasów komunistycznych użycie tych pałek propagandowych: rewizjonizm, kułak, element antysocjalistyczny. Odrzucamy te pałki propagandowe, bo praworządność jest dzisiaj stosowana w Unii Europejskiej jako swego rodzaju straszak i w sposób odwrotny do wartości i zawartości tego sformułowania".

„Bardzo często jesteśmy konfrontowani z takimi sytuacjami, że środki europejskie to jest coś takie »kieszonkowe« dla nas, albo może jakaś jałmużna, może jakieś pieniądze, bez których nie możemy żyć i w ogóle powinniśmy na kolanach klęczeć, żeby te pieniądze otrzymać i zachować".

Poszło o przyszły budżet UE – nie o kwoty, a o dołączone do niego rozporządzenie, zgodnie z którym wypłata pieniędzy będzie uzależniona od przestrzegania praworządności. Rządy polski i węgierski oczywiście zrozumiały, że to o nie chodzi. Stąd zapowiedź weta wobec budżetu. I dlatego Morawiecki wszedł na sejmową mównicę.

Szef polskiej edycji serwisu Politico Michał Broniatowski znalazł poruszające analogie: „To mogą być jedynie niefortunne słowa, ale pamiętajmy, że brexit też zaczynał się od retorycznych popisów. Na przykład Boris Johnson wołał przed referendum brexitowym: »po wyzwoleniu się z kajdan Brukseli będziemy mogli stworzyć setki tysięcy nowych miejsc pracy w całej Wielkiej Brytanii«. A dziś jako brytyjski premier próbuje ratować kraj przed gospodarczą katastrofą, w jaką spycha go rozstanie z Unią. Kiedy Morawiecki mówi, że »będziemy sami decydować o naszych sprawach, o tym, czy nasz los jest w naszych rękach, czy będzie w rękach innych«, to słychać w tym echo hasła brytyjskich zwolenników brexitu: »*take back control*«, czyli »Weźmy kontrolę z powrotem w swoje ręce«".

Fatalna passa

Konflikt z Unią to zwieńczenie fatalnej passy premiera. Od wielu tygodni Morawiecki jest całkowicie osamotniony w walce z koronawirusem. Nie pomaga mu szef PiS, nie pomaga prezydent, większość ministrów też się nie wychyla.

Gdy na przełomie czerwca i lipca odbywały się wybory prezydenckie, pod naciskiem Kaczyńskiego premier zniósł większość wprowadzonych wiosną ograniczeń – wszystko po to, by wywołać wrażenie, że rząd zwalczył wirusa, a zatem można swobodnie głosować. Na Andrzeja Dudę rzecz jasna.

Dziś Morawiecki ponosi konsekwencje tamtych decyzji z lata – chaotycznie próbuje zapanować nad sytuacją, zamykając na nowo szkoły, sklepy i restauracje. Jest kolejnym politykiem obozu władzy, który politycznie płaci za bezkrytyczne wypełnianie woli Kaczyńskiego.

Jakby tego było mało, Kaczyński ściągnął Morawieckiemu na głowę dodatkowe kłopoty. Nikt w PiS nie wie, czemu w samym apogeum pandemii prezes dał Trybunałowi Konstytucyjnemu zielone światło na zaostrzenie prawa aborcyjnego. Przeciwnicy praktycznego zakazu aborcji masowo wylegli na ulice, doszło do starć z policją, z biegiem czasu wobec protestujących coraz ostrzejszą – bo takie były oczekiwania Kaczyńskiego.

To stało w całkowitej sprzeczności z planami premiera, który od momentu podjęcia decyzji przez TK starał się wyciszać nastroje. Gdy Kaczyński domagał się pałowania, Morawiecki apelował do przeciwników orzeczenia TK, by protestowali... w internecie.

Morawiecki był zresztą wcześniej jednym z niewielu polityków PiS popierających otwarcie kompromis aborcyjny, który Trybunał teraz naruszył. Już po orzeczeniu Morawiecki próbował wciągnąć opozycję w rozmowy na temat wyjścia z kryzysu. A Kaczyński regularnie wyzywał polityków opozycji od przestępców i obiecywał im odsiadkę. To widowiskowy dowód, jak bardzo rozjeżdżają się myśli i czyny prezesa oraz jego niedoszłego delfina.

No i do tego ta Unia.

Wewnętrznie sprzeczny plan

A przecież miało być zupełnie inaczej. Trzy lata temu wszechmocny jeszcze wówczas prezes usuwał popularną w elektoracie PiS premier Beatę Szydło, by zastąpić ją wicepremierem Mateuszem Morawieckim. Szydło coraz bardziej Kaczyńskiego irytowała, bo była nazbyt przaśna, doraźna, nie nadążała za jego wielkimi wizjami. Na odchodne w swym stylu ją upokorzył – zamienił ją i Morawieckiego stanowiskami, została wicepremierem we własnym rządzie. Potem odeszła do Europarlamentu i dziś jest cieniem dawnej „naszej Beaty".

Czemu Morawiecki? Wyglądało to na genialny plan prezesa obliczony na podbicie elektoratu, do tej pory wobec PiS krytycznego – ludzi młodszych, lepiej wykształconych, mieszkańców miast. ↦

↦ Pisałem wówczas w „Tygodniku": „Jeśli ma rzeczywiście zmniejszyć napięcia i ułatwić PiS wygranie wyborów w 2019 r., to kluczem są jego relacje z Kaczyńskim. Jeśli posiadł realny wpływ na prezesa – którego walcząca o uznanie Szydło nigdy nie zdobyła – to przy dotychczasowej politycznej zręczności może się stać premierem nie tylko bardziej niezależnym, ale też bardziej skutecznym. Może dla PiS pozyskać część dużego biznesu, zniesmaczonego opozycją albo też po prostu pragmatycznego. Może pozyskać wyborców centrowych, zwłaszcza jeśli złagodzi polityczny kurs – czego zrobić bez przyzwolenia Kaczyńskiego nie sposób".

Dziś widać, że w premierostwo Morawieckiego wpisana była zasadnicza sprzeczność. Jako człowiek spoza środowiska PiS, premier najpierw musiał się uwiarygodnić w elektoracie prawicy – zwłaszcza że wchodził w buty może niezbyt błyskotliwej, ale jednak popularnej Szydło. Podejrzanych rys na wizerunku Morawieckiego było masę: bankier-milioner przez lata pracujący dla zagranicznego właściciela, były doradca gospodarczy Donalda Tuska, w dodatku nagrany na taśmach przez kelnerów z knajpy u „Sowy", gdzie biesiadował z wierchuszką Platformy, bluzgał i snuł opowieści odległe od doktryny politycznej PiS.

Odpowiedzią premiera na biograficzne rysy była maska prawicowego, nacjonalistycznego, konserwatywnego fundamentalisty. Morawiecki ścigał się na radykalizm wypowiedzi z najbardziej drapieżnymi jastrzębiami partii władzy, chciał być bardziej pisowski niż PiS. Nawet jeśli elektorat kupił to nowe wcielenie, to jednocześnie odrzuciło ono elektorat centrowy. Tych legendarnych wyborców młodszych, lepiej wykształconych, wielkomiejskich – których miał ponoć przyciągnąć.

W tym sensie Morawiecki nie okazał się żadną wartością dodaną. Choć PiS wygrywa wszystkie wybory, odkąd Morawiecki jest premierem, to nie zdobywa nowych wyborców w grupach, które premier miał uwieść. A zatem wygrywa nie dzięki premierowi.

Nikt mu dobrze nie życzył

Morawiecki zawiódł pokładane w nim przez PiS nadzieje – to fakt bezsporny. Pytanie brzmi jednak: czy to na pewno jego wina? Nie tylko jego, może nawet głównie nie jego. Winne są także realia, w jakich przyszło mu działać.

Po wyznaczeniu Morawieckiego na premiera Kaczyński zrobił wiele, by pokazać, że typuje go na swego następcę, przyszłego lidera PiS i prawicy. To musiało uruchomić w obozie władzy ruchy odśrodkowe, takie jak opór Ziobry, który od dawna planuje zastąpienie Kaczyńskiego.

W tym sensie spora część polityków Zjednoczonej Prawicy – tu symbolem jest Ziobro, ale to szersze zjawisko, bo dotyczy także PiS – nie miała interesu w tym, by Morawieckiemu się udało. Z premierem zaciekle walczył i walczy do dziś prezes TVP Jacek Kurski, wpływowa postać, z bezpośrednim dostępem do ucha Kaczyńskiego. Epitetów, jakich używa Kurski na określenie Morawieckiego podczas zamkniętych spotkań, nie da się w tym tekście przytoczyć.

Oni wszyscy czekali, aż Morawieckiemu powinie się noga. Nie zabił go konflikt z Izraelem i USA o kontrowersyjną ustawę o IPN, która miała służyć do ścigania oskarżających Polskę o współodpowiedzialność za niemieckie zbrodnie wojenne, a została za granicą odebrana jako chęć ukrycia tego, że część Polaków krzywdziła Żydów. Nie poległ na protestach niepełnosprawnych ani nauczycieli. Teraz wszyscy jego przeciwnicy czują, że to jest ten moment.

Jeszcze kilka miesięcy temu Morawiecki był murowanym kandydatem do schedy po Kaczyńskim – w listopadzie miał już zostać podczas zjazdu partii pierwszym zastępcą prezesa. Zamiast tego prowadzi dramatyczną walkę na kilku frontach, by nie polec w starciu z koronawirusem, Unią, a nade wszystko ze swym największym dopustem – Zbigniewem Ziobrą.

Pułapka za zgodą prezesa

Ziobro walczył z Morawieckim najdłużej i najbardziej konsekwentnie. Planowana przez Kaczyńskiego sukcesja byłaby przekazaniem obecnemu premierowi szyldu i pieniędzy. A choć Ziobro jest popularny w elektoracie prawicy, to jego Solidarna Polska jest bieda-partią, z marną rozpoznawalnością i bez grosza (co Ziobro obchodzi finansując polityczną robotę z państwowego Funduszu Sprawiedliwości, który powinien pomagać ofiarom przestępstw).

Dlatego w sprawie negocjacji z Unią Morawiecki znalazł się w pułapce zastawionej przez Ziobrę. Wszak to Ziobro najechał i spacyfikował sądownictwo, co jest głównym zastrzeżeniem Brukseli i powodem niezliczonych procedur kontrolnych, na które musi odpowiadać Morawiecki. Budżet to tylko kwintesencja tej sytuacji – Unia ma dość, więc chce mieć wreszcie mechanizm patrzenia Ziobrze na ręce. I to jest ta pułapka: ten sam Ziobro, który narobił Morawieckiemu kłopotów, teraz ustawia się w roli patriotycznego recenzenta i naciska na premiera, by wetując budżet uzależniony od kontroli Brukseli nad Ziobrą, popełnił efektowne polityczne samobójstwo. Bo weto to byłoby polityczne samobójstwo, Morawiecki zapłaciłby za nie gigantyczną cenę we wciąż jednak proeuropejskim polskim społeczeństwie. Ziobro mógłby zacierać ręce.

Ustawienie tej pułapki nie byłoby możliwe, gdyby Ziobro nie miał wsparcia Kaczyńskiego. Tak, przez ostatnie miesiące lider PiS wściekał się na Ziobrę wielokrotnie – także dlatego, że Morawiecki skarżył się na jego intrygi. Tak, Kaczyński rozważał wyrzucenie go z rządu – tyle że nie znalazł chętnych do zastąpienia Solidarnej Polski, bo zachowawcze, ostrożne PSL nie chce się pakować do koalicji z prezesem znanym z nieprzewidywalnych pomysłów i dyktatorskich zapędów.

Ale mimo że Kaczyński wściekał się na Ziobrę i chciał go wyrzucić, to – trzeba powiedzieć jasno – tak naprawdę Ziobro jest mu światopoglądowo i politycznie znacznie bliższy niż Morawiecki. W tym sensie „projekt Mateusz" – czyli sugerowana sukcesja – był pomysłem w istocie chybionym, bo Morawiecki nie przypomina Kaczyńskiego, nawet gdy bardzo się stara udawać. W tej sytuacji Ziobrze o wiele łatwiej pozyskać poparcie dla swych pomysłów ze strony Kaczyńskiego – a to zazwyczaj oznacza kłopoty dla Morawieckiego.

Gdy Ziobro najeżdżał sądy – promując ludzi wiernych, a karząc niezależnych – spotykało się to z wewnętrzną krytyką Morawieckiego. Ale cóż z tego, skoro Ziobro robił to, o czym marzył Kaczyński, opętany wizją korupcyjnego, postkomunistycznego układu panoszącego się w sądach. Podobnie jest z prokuraturą, którą Ziobro trzyma żelazną ręką, całkowicie poza kontrolą Morawieckiego. Tak jest wreszcie z TVP, która – kierowana przez życzliwego Ziobrze Kurskiego – zwalcza

premiera i jego ludzi. Również jeśli chodzi o relacje z Unią, wrogi jej Ziobro lepiej rezonuje z myśleniem Kaczyńskiego o zgniłym Zachodzie, wyzutym z wartości, wykorzystującym Polaków i dybiącym na nasz majątek narodowy.

To myślenie prezesa – czasem inspirowane przez Ziobrę, czasem w niezależnym unisono – także poważnie przyczyniło się do kłopotów z unijnym budżetem. W połowie października Kaczyński udzielił wywiadu „Gazecie Polskiej", w którym powiedział, że Unia Europejska jest gorsza od ZSRR, a jeśli budżet unijny zostanie powiązany z praworządnością, to Polska go zawetuje. Zrobił to przekonany przez Ziobrę, że Morawiecki go oszukał, powtarzając, że jest z Brukselą dogadany, by kontrola praworządności nie była dla PiS groźna. Kaczyński tym wywiadem praktycznie storpedował rozmowy między polskim rządem a krajami Unii w sprawie rozmycia kontroli praworządności. Unijni negocjatorzy uznali, że z prezesem nie da się dogadać i postanowili pójść na rękę krajom, które – jak Holandia czy Francja – chcą na poważnie przykręcić finansowy kurek rządom PiS.

Koledzy z menażerii

Ziobro napisał do Morawieckiego list w sprawie Unii – samo w sobie osobliwe jest to, że minister pisze list do premiera. „Propozycja powiązania wypłat z budżetu Unii Europejskiej z tzw. zasadą praworządności, w przypadku jej wejścia w życie, radykalnie pogorszyłaby status oraz pozycję Polski w UE i to na dziesięciolecia. (...) »Praworządność« to jedynie pretekst do wprowadzenia instytucjonalnego i politycznego zniewolenia państwa polskiego" – taki ton listu stawia Morawieckiego pod ścianą. Ziobro grozi, że brak weta oznaczać będzie całkowitą utratę zaufania do szefa rządu, ze wszelkimi tego konsekwencjami – czyli albo Morawiecki straci fotel premiera, albo rozpadnie się koalicja.

To dość zabawne wzmożenie, biorąc pod uwagę unijną aktywność Ziobry w ostatnich latach. Otóż kiedy w 2011 r. Ziobro z grupą swych pretorian odszedł z PiS – po przegranych przez Kaczyńskiego wyborach do Sejmu miał plan strącenia go z fotela lidera prawicy – był wówczas europosłem. Odchodząc z PiS, opuścił też grupę w Europarlamencie, w której zasiadali europosłowie tej partii. Związał się wówczas z frakcją Europa

Wrogi Unii Ziobro lepiej rezonuje z myśleniem Kaczyńskiego o zgniłym Zachodzie wyzutym z wartości i dybiącym na nasz majątek narodowy niż Morawiecki.

Wolności i Demokracji (EFD). To była istna menażeria: zachodni wrogowie polskich pracowników w UE, antysemici kwestionujący Holokaust, tropiciele UFO w krajach członkowskich, fani manifestu politycznego norweskiego zamachowca Andersa Breivika i wielbiciele libijskiego kacyka Muammara Kaddafiego. A nade wszystko: w zdecydowanej większości przeciwnicy hojnego budżetu UE dla Polski, który negocjował rząd Tuska.

Wtedy to Ziobrze nie przeszkadzało. Jego poczucia narodowej dumy nie gwałciło nawet to, że współpracował z litewską partią Porządek i Sprawiedliwość. To ugrupowanie europosła Rolandasa Paksasa, który wiosną 2004 r. w atmosferze oskarżeń o korupcję i współpracę z KGB został usunięty z urzędu prezydenta Litwy. Tuż przed usunięciem odznaczył pośmiertnie najwyższym litewskim odznaczeniem gen. Povilasa Plechavičiusa. Generał podczas II wojny światowej dowodził podporządkowanymi Niemcom litewskimi formacjami powołanymi do zwalczania Armii Krajowej. „Honorując Plechavičiusa, Paksas obraził Polaków, czczących pamięć Armii Krajowej" – komentował wówczas w „Rzeczpospolitej" Bohdan Cywiński.

To nie był jednostkowy przypadek. Kolegą Ziobry był wówczas także były gwiazdor duńskiego „Big Brothera" Morten Messerschmidt, w 2002 r. skazany za propagowanie nienawiści rasowej, a w 2007 r. przyłapany na używaniu nazistowskiego pozdrowienia.

W Europarlamencie Ziobro nie zajmował się budżetem dla Polski i narodową dumą, tylko tuczył osobiste konto, a marginalna, egzotyczna frakcja była do tego zręcznym narzędziem, bo dysponowała dodatkowymi środkami. Mówiąc wprost: do niedawna polityka europejska nie była agendą Ziobry. Operacja przeciwko Morawieckiemu w sprawie unijnego budżetu to świadoma taktyka, wybór boiska, na którym najłatwiej pokonać przeciwnika, czy też – na którym przeciwnik może pokonać się sam.

Gra na fobiach

Ziobro zręcznie gra na emocjach i fobiach Kaczyńskiego, jednocześnie coraz bardziej otwarcie go ignorując. Ostatnim momentem, gdy się cofnął, był wrzesień – wtedy wściekły prezes wysyłał jasne sygnały, że wyrzuci go z rządu za sprzeciw wobec ustawy o ochronie zwierząt oraz przepisów o bezkarności urzędniczej, na których mógłby skorzystać Morawiecki, bo przygotowywał wybory korespondencyjne w oparciu o kaprys Kaczyńskiego, a nie przepisy prawa. Nie znaczy to, że Kaczyński stanął wówczas po stronie Morawieckiego – oba projekty dotyczyły *de facto* jego osobiście.

Zresztą z tego wrześniowego kryzysu Ziobro wyszedł zwycięski – obie ustawy upadły, zaś Kaczyński wszedł do rządu jako wicepremier. Niby miał nadzorować Ziobrę, ale tak naprawdę osłabił Morawieckiego, który przestał być najważniejszy we własnym rządzie.

Dziś Ziobro – podobnie jak wielu innych polityków obozu władzy – czuje, że Kaczyński politycznie i fizycznie słabnie. Dlatego wikła go w swą grę. Najpierw zyskuje poparcie dla radykalnych pomysłów, takich jak unijne weto. A w kolejnych krokach coraz bardziej otwarcie, czasem bezczelnie, rzuca wyzwanie Morawieckiemu.

Spór Morawieckiego z Ziobrą toczy polską politykę od momentu objęcia władzy przez PiS, czyli od 5 lat. Do tej pory jednak buzował w tle, pacyfikowany przez wszechmocnego Kaczyńskiego. Dziś jest inaczej: to konflikt napędzający obóz władzy, właśnie dlatego, że Kaczyński przestał być wszechmocny.

To kopernikański przewrót w polskiej polityce, tyle że niezauważalny, bo dzieje się stopniowo, wraz ze słabnięciem Kaczyńskiego i jego kolejnymi ekstrawaganckimi wystąpieniami, które uzmysławiają partii, że czas myśleć o przyszłości obok niego. Albo bez niego.

© ANDRZEJ STANKIEWICZ

Autor jest dziennikarzem Onet.pl, stale współpracuje z „TP".

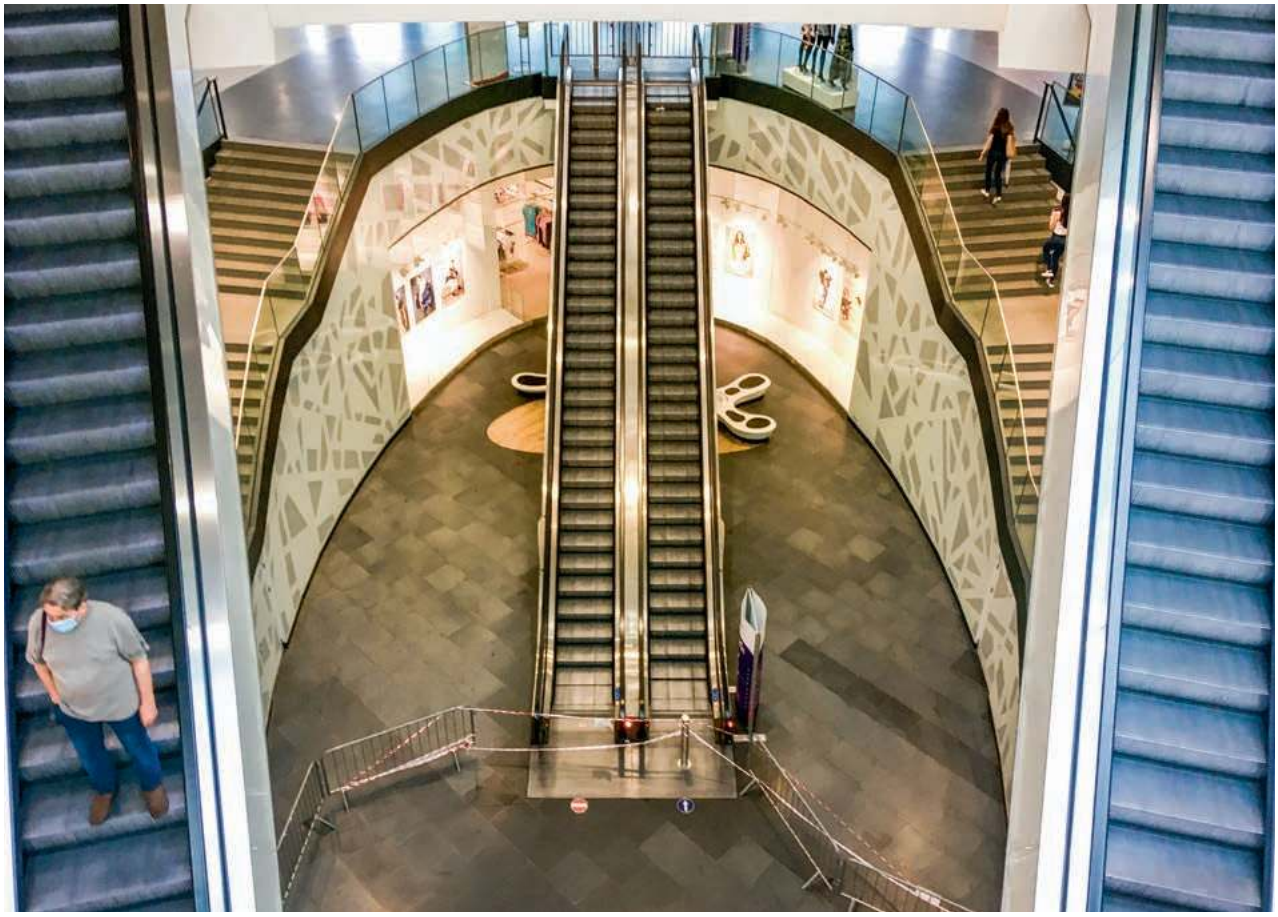

TADEUSZ WYPYCH / REPORTER

Łódzka galeria handlowa Sukcesja, która ogłosiła bankructwo z powodu pandemii. 30 czerwca 2020 r.

Wiosna będzie paskudna

PIOTR KRUPA, PREZES FIRMY WINDYKACYJNEJ:

Doszło do korekty postaw konsumenckich w stronę większej ostrożności. Klienci, którzy kupują i zadłużają się pod wpływem impulsu, wyraźnie ograniczyli aktywność.

MAREK RABIJ: Co u Pana słychać?

PIOTR KRUPA: Wszystko dobrze. Dziękuję.

Kiedy szef firmy windykacyjnej mówi, że u niego wszystko w porządku, to doprawdy nie wiem, czy powinniśmy się wszyscy cieszyć.

Proszę pana, od 22 lat, czyli niemal przez całe zawodowe życie, próbuję udowodnić, że windykator nie musi być wrogiem osoby zadłużonej. Przeciwnie – może być sojusznikiem w wychodzeniu z finansowego dołka. Wie pan, kim jest nasz typowy klient?

Nie wiem. Nie zdawałem też sobie sprawy, że dłużników nazywacie klientami.

A jak mielibyśmy ich nazywać? Dług to pojęcie, które w naszej kulturze działa piętnująco. Masz długi? To znaczy, że coś z tobą nie tak.

Wiem. Czytałem Davida Graebera.

Tymczasem przeciętny Polak, którego sprawa trafia do naszej firmy, nie jest ani cwaniakiem unikającym spłaty zobowiązań, ani też hulaką, który przecenił swoje możliwości. Słowem – nie zasługuje na napiętnowanie. Choroba, kłopoty osobiste, niezawiniona utrata pracy, każdemu z nas może się powinąć noga. Naszym klientom na pewnym etapie życia i z rozmaitych powodów po prostu zaczyna brakować pieniędzy na pokrycie bieżących zobowiązań.

Na początku roku przyszła pandemia i noga powinęła się prawie całemu światu. Dlatego mówi Pan, że jest dobrze?

I tu się pan myli. Obraz, jaki wyłania się z naszych baz danych, jest zwykle opóźniony o kilka, czasem kilkanaście miesięcy w stosunku do wydarzeń w realnej gospodarce. Jeśli ktoś dziś straci pracę, zalegać ze spłatą zacznie dopiero za miesiąc lub dwa. Potem minie jeszcze kilka kolejnych, aż wierzyciel ostatecznie straci wiarę w dogadanie się z zadłużoną osobą lub firmą i skieruje sprawę do nas.

Czyli teraz mamy u Was mniej więcej marzec-kwiecień. Apogeum wiosennego lockdownu. Co Pan widzi w swoich bazach danych?

Przede wszystkim przezornych i odpowiedzialnych ludzi. Pandemia się roz-

kręca. Nie wiadomo, jak będzie z gospodarką i pracą. Eksperci snują raczej pesymistyczne scenariusze. A co robią klienci? Zdziwi się pan, bo my też byliśmy tym bardzo zaskoczeni. Otóż klienci zaczynają chętniej spłacać raty. Większość symbolicznie, po kilkadziesiąt złotych miesięcznie, ale jednak. Z naszych obserwacji wynika, że swoje zobowiązania zaczęli regulować również ci, którzy wcześniej tego nie robili. Od początku roku spłaty od klientów sięgnęły 1,34 mld zł i były wyższe o 3 proc. w porównaniu z analogicznym okresem zeszłego roku.

Ludzie spłacają z obawy przed dalszym pogorszeniem sytuacji materialnej?

Oczywiście, proszę jednak zauważyć coś jeszcze. *Lockdown* wymusił na większości z nas zmniejszenie konsumpcji. Zamknięci w domach, mieliśmy po prostu mniej okazji do wydawania pieniędzy. To, że osoby z problemami finansowymi, które rzadko mają wolną gotówkę, w takiej sytuacji wolą spłacić więcej długu, niż po prostu te nadwyżki przejeść, świadczy moim zdaniem właśnie o dużej odpowiedzialności.

Prawdę mówiąc, po pierwszych dniach lockdownu byliśmy przekonani, że będzie na odwrót, bo na początku marca strumień wpłat wyraźnie się zmniejszył. Dopiero po kilku tygodniach sytuacja uległa poprawie i wtedy zrozumieliśmy, co tak naprawdę się stało. Klienci nie płacili na czas nie dlatego, że nie mieli z czego uregulować rat lub woleli zachować gotówkę na czarną godzinę. Wielu z nich po prostu nie potrafiło z dnia na dzień przenieść obsługi finansów osobistych do internetu. Zamknięto przecież punkty poboru płatności, część agencji pocztowych również przestała działać, w bankach i w pozostałych placówkach Poczty Polskiej obostrzenia epidemiczne wydłużyły czas obsługi. To nam pokazało, jak słabo polska gospodarka i całe społeczeństwo są osadzone w realiach cyfrowych.

Popatrzymy jeszcze z lotu Kruka na polską gospodarkę. Rząd chwali się, że tarcze antykryzysowe uspokoiły sytuację i najgorsze już za nami, choć oczywiście daleko do wyraźnego odbicia. Przedsiębiorcy – jak to polscy przedsiębiorcy – płaczą, że jeśli rząd im nie pomoże, popadają jak muchy. Rzeczywiście, konsumpcja słabnie, nastroje konsumenckie też lecą w dół. Ale z drugiej strony bezrobocie, które miało na koniec roku sięgnąć nawet 14 proc., zatrzymało się na poziomie 6 proc. Kto bardziej koloryzuje – rząd czy biznes?

Mam panu na to odpowiedzieć jako jeden z tych rzekomo płaczących przedsiębiorców? Czy jako szef spółki, która w kilku krajach Europy prowadzi proces windykacyjny około 8 mln spraw – zarówno osób fizycznych, jak i firm – i ma własną wywiadownię gospodarczą?

Narzekań już się nasłuchałem.

Widzimy, że nadal rosną zatory płatnicze, zwłaszcza w sektorze małych i średnich firm. Było to naturalnie do przewidzenia, bo są to w większości podmioty gospodarcze z niewielkim zapasem kapitału, a czasem w ogóle bez żadnych zaskórniaków, które pozwoliłyby przetrwać czas bez dochodów. Ale widać też wyraźnie, że te ponad 100 mld zł, które od wiosny zrzucono na polską gospodarkę z helikoptera, jak mówiła wiosną wicepremier Jadwiga Emilewicz, przyniosły jednak rezultaty. Udało się uniknąć najgroźniejszego scenariusza, czyli zamrożenia konsumpcji, i w efekcie fali upadłości, która przetoczyłaby się przez całą gospodarkę. Niektóre branże dostały oczywiście strasznie po kieszeni. Firmy wystawiennicze, szkolenia, imprezy masowe – tu było najgorzej, ale tym akurat pana raczej nie zaskoczę. Z naszych danych wyłania się dokładnie taka sama lista największych przegranych wiosennego lockdownu, jaką kreślą media i ekonomiści.

Tylko że teraz mamy początek grudnia i sezon zakupów świątecznych, w którym wiele branż inkasuje nawet 50-60 proc. rocznych przychodów. A koronawirus nadal paraliżuje handel i usługi.

Rzeczywiście, jedynie przemysł jest obecnie w lepszej sytuacji niż wiosną, bo zdążył zabezpieczyć łańcuchy dostaw – choć i tu widać spadek popytu. Co czeka resztę? Na pewno nie przyleci kolejny helikopter z setkami miliardów złotych. Mam nadzieję, że rząd znajdzie pieniądze na więcej punktowych programów pomocowych dla wybranych branż, a w tej sytuacji kluczowe będzie prawidłowe rozpoznanie potrzeb. Bo muszę przyznać, że kiedy patrzę w nasze dane, nie rozumiem niektórych decyzji z ostatniej wiosny.

Ekonomiści, z którymi o tym rozmawiam, nadziwić się nie mogą zwłaszcza bonowi, który wspomógł polski sektor turystyczny cieszący się w tym roku – z racji ograniczeń w podróżowaniu za granicę

↦

REKLAMA

Pomóż syryjskim dzieciom stanąć na nogi.

Przekaż darowiznę:
62 1240 2294 1111 0000 3718 5444

PMM.ORG.PL

Polska Misja Medyczna
BUDUJEMY POMOC

– rekordowym zainteresowaniem ze strony krajowych klientów.

Taki bon bardziej przydałby się tej branży teraz, bo czas prawdziwej próby moim zdaniem dopiero się zbliża. Współpracujemy ściśle z bankami i innymi instytucjami finansowymi. Spotykam się, i prywatnie, i na płaszczyźnie zawodowej, z innymi przedsiębiorcami. Obraz, jaki rysuje się z tych rozmów, jest niestety bardzo niepokojący. Nie znam branży, która w Polsce miałaby się dziś lepiej niż przed pandemią. W tym sensie nikt na niej nie wygrał. Za to właściwie wszyscy sygnalizują, że ponieśli przez nią straty. Najgorzej jest w sektorze małych i średnich firm, w tej chwili wiele z nich już znajduje się na granicy upadłości. Jeśli ograniczenia, które wprowadził ostatnio rząd, potrwają jeszcze miesiąc, dwa, ruszy fala bankructw. A to oczywiście oznacza zwolnienia, pogłębienie spadku konsumpcji i problemy kolejnych branż, które pociągną za sobą jeszcze inne. Najbliższa wiosna będzie naprawdę paskudna.

Także dla Pańskiej branży?

Proszę nie popełniać błędu opartego na założeniu, że im gorzej w gospodarce, tym lepiej dla windykatorów. Banki już sygnalizują spadek liczby i wartości udzielanych kredytów. Wiosną, tuż po wprowadzeniu lockdownu, akcja kredytowa w Polsce właściwie zamarła – sytuacja niespotykana od jesieni 2008 r., kiedy upadł Lehman Brothers. Myśli pan, że to w nas nie uderzy? Nie wiemy, jak długo klienci, którzy wiosną zaczęli spłacać zadłużenie, będą w stanie kontynuować ten wysiłek. Być może wkrótce zmienią się im priorytety. Dlatego cały czas monitorujemy sytuację i pozostajemy w kontakcie z klientami, słuchamy i dostosowujemy kwotę raty do indywidualnej możliwości spłaty zobowiązań.

Bo?

Bo trzeba brać pod uwagę także ludzką psychikę. Wiosną wszyscy stanęliśmy w obliczu nieznanego, ale mogliśmy też mieć nadzieję, że ryzyko zarażenia koronawirusem, choć realne, jest relatywnie mało prawdopodobne. Liczba nowych infekcji nie przekraczała przecież stu, dwustu dziennie, szpitale działały z grubsza bez zakłóceń.

Dziś liczba odnotowywanych infekcji to kilkanaście albo i więcej tysięcy dziennie. System ochrony zdrowia nie ma już praktycznie odwodów, funkcjonuje na granicy zapaści. Jesteśmy też coraz bardziej zmęczeni pandemią. Ostatnio pojawił się wprawdzie promyk nadziei w postaci szczepionki, ale i na nią trzeba będzie czekać jeszcze co najmniej sześć-siedem miesięcy. Wszystko to przekłada się niestety na zachowania konsumenckie. Z naszych najnowszych analiz, które przeprowadziliśmy z końcem października br., wynika, że przybywa ostatnio bardzo szybko osób zadłużonych, których nazywamy „unikającymi". To tacy, którzy zamiast próbować się z nami umówić na jakieś warunki spłaty, po prostu chowają głowę w piasek. Nie odpowiadają na wezwania, nie odbierają telefonów. Zero kontaktu.

Może nerwy nie wytrzymują?

Proszę mi wierzyć, ja to rozumiem. Wszyscy mamy ograniczoną odporność na złe wiadomości. Kiedy zagrożone jest zdrowie i życie najbliższych, problemy finansowe muszą zejść na dalszy plan. Mogę tylko apelować do rozsądku, przypominać, że ucieczka od problemu zadłużenia nigdy go nie rozwiąże. W dobie komputerów żaden dług nie wpada już „za szafę", nie zostanie przegapiony pośród tysięcy umów. Podejmując z wierzycielem rozmowę, możemy negocjować warunki. Każda osoba zadłużona, która podpisuje z nami umowę na restrukturyzację zadłużenia, może być spokojna, bo – jeśli spłaca regularnie raty określone w umowie ugodowej – dane o jej zadłużeniu nie są upublicznione w biurach informacji kredytowej. Dane o wcześniejszych problemach oczywiście nie wyparują. Zniknie jednak adnotacja, że klient nie reguluje zobowiązań i będzie mógł znów korzystać z usług banków.

I dalej się zadłużać. A banki właśnie naskarżyły premierowi na Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który chciałby większej równowagi w relacji klient–kredytodawca. Bankowcom nie podoba się na przykład to, że UOKiK zabrania im jednostronnie zmieniać warunki umów kredytowych.

Cóż, w naszej branży działamy już po obsłudze klienta przez sektor finansowy. Muszę jednak zaznaczyć, że w moim odczuciu nie jest źle. Edukacja finansowa Polaków pozostawia wciąż sporo do życzenia, ale i tu zmiany zachodzą na lepsze.

A co do samego zadłużenia się: dług to nic złego, o ile tylko ma się go pod kontrolą. Kiedy opanujemy pandemię, gospodarka, mam nadzieję, szybko odbije i liczę na to, że będzie to mocne odbicie. Wtedy dobra historia kredytowa stanie się znów czymś, o co warto zadbać.

A nie boi się Pan, że te trudne miesiące nie zmienią nastawienia wielu Polaków do konsumpcji? Zwłaszcza do życia na kredyt? Nie jesteśmy nadal najbardziej zadłużoną nacją Europy, ale w minionych latach zadłużaliśmy się na potęgę. Do tej pory łatwo było brać kredyty, mając poczucie, że wciąż jesteśmy, jako kraj, na fali wznoszącej.

Już doszło do korekty postaw konsumenckich w stronę większej ostrożności. Wspominałem o kategorii klientów, których nazywamy „unikającymi". Mamy też inną grupę – „beztroskich". To ci, którzy kupują i zadłużają się pod wpływem impulsu, często na granicy płynności finansowej. Z naszych badań wynika, że w ciągu ostatnich miesięcy ta grupa wyraźnie ograniczyła aktywność konsumencką. Częściowo na pewno pod wpływem otoczenia, bo okazji do zakupów było po prostu mniej, ale zapewne również w obawie przed pogorszeniem kondycji finansowej. Czy to zmiana trwała? Tu byłbym już ostrożniejszy.

Znajoma prowadzi hotel z drogimi zabiegami spa. Nawet bardzo drogimi. Ale kiedy ją ostatnio zapytałem, kto ze znanych polskich milionerów jest jej klientem, zareagowała zdziwieniem. Okazuje się, że gości u siebie głównie młodych ludzi na początku ścieżki zawodowej, może i dobrze zarabiających, ale wciąż, jak to się mówi, na dorobku.

„Zastaw się, a postaw się"?

Myślę, że jedna pandemia to za mało, żeby to zmienić.

©Ⓟ Rozmawiał MAREK RABIJ

MAREK WIŚNIEWSKI / PULS BIZNESU / FORUM

PIOTR KRUPA jest założycielem, głównym akcjonariuszem i prezesem KRUK S.A., największej firmy zarządzającej wierzytelnościami w Polsce.

WESTEND61 / GETTY IMAGES

Mężczyzna w innym miejscu

ANNA GOLUS

Popularny program reality show walczy z nierównością płci. Przy okazji tę nierówność pogłębiając.

Rok 2020. Pierwsza kobieta zostaje wiceprezydentką Stanów Zjednoczonych, a Lech Wałęsa komentuje to słowami: „Jestem staroświecki, więc kobietę umiejscawiam w innym miejscu". Marszałek Senatu Tomasz Grodzki próbuje wesprzeć kobiety protestujące przeciw orzeczeniu TK w sprawie aborcji, mówiąc: „To kobiety sprawiają, że nasze codzienne życie toczy się harmonijnie i gładko w sposób trochę jakby niezauważalny". Ministrem Edukacji i Nauki jest Przemysław Czarnek, według którego kobiety są powołane przez Boga do rodzenia, więc nie powinny studiować ani pracować, tylko rodzić kolejne dzieci od 20. roku życia. Dlaczego nie od pierwszej owulacji? Nie wiadomo.

Wiadomo natomiast, że jeśli chodzi o równość płci, w 2020 r. nadal dużo jest u nas do zrobienia, a proces ten utrudniają nie tylko „dziadersi", ale również media uważające się za postępowe.

Małpy w cyrku

„Boże, oni są wszyscy tacy sami!", „Inicjatywa to jest taka rzecz, o którą naprawdę bym mężczyzn nie podejrzewała", „Oni mają ograniczone horyzonty", „Mam dwoje dzieci i jednego bachora (i to jest mój mąż)", „Jak bym mu nie podała, to by nie zjadł" – w ten sposób wypowiadają się o swoich mężach kobiety uczestniczące w emitowanym na antenie TVN Style programie „Tata w tarapatach".

To kolejny z ogromnej liczby programów reality TV nagrywanych w prywatnych domach rodzin i ukazujących mniej lub bardziej reżyserowane „prawdziwe" życie rodzinne Polaków w celach rozrywkowych, ale pod przykrywką pomocy uczestnikom i/lub promocji takich czy innych wartości (tu: właśnie równości płci). Kolejny, który łamie prawa dzieci do prywatności, pokazując ich skrajne – z pewnością nieodgrywane – emocje, nawet jeśli dzieci te ewidentnie nie chcą być nagrywane. I równocześnie drugie już – po emitowanym w 2014 r. na TV4 programie „Tata sam w domu" – telewizyjne widowisko przedstawiające mężczyzn, którzy podczas nieobecności partnerek zajmują się dziećmi i domami. Jaki jest wizerunek mężczyzn w obu tych programach, można domyślić się po samych tytułach.

W każdym odcinku „Taty w tarapatach" występuje jedna rodzina z co najmniej dwojgiem dzieci. Matka wyjeżdża na trzy dni, a ojciec ma zająć się nie tylko opieką nad dziećmi i codziennymi obowiązkami domowymi, ale też wyznaczonymi przez żonę specjalnymi zadaniami o różnym stopniu trudności i wredności. Np. jedna z kobiet wysłała męża na lodowisko tylko dlatego, że on źle się czuje w tak tłocznych miejscach, i była ciekawa, czy to przeżyje; inna kazała mężowi zrobić placki ziemniaczane, bo wiedziała, że mu się to nie spodoba.

Na początku każdego odcinka lektor wyjaśnia, że kobiety wyjeżdżają, ponieważ „zajmowanie się domem i rodziną to ciężka praca. Często są przemęczone oraz czują się niedocenione i raczej nie mogą liczyć na pomoc domowników. Ale zamiast narzekać, postanowiły działać". To „działanie" nie polega jednak na rozmowie z partnerem o podziale obowiązków domowych, lecz na ↦

↦ przerzuceniu na niego wszystkich tych obowiązków, dołożeniu kolejnych (zadania specjalne) i naśmiewaniu się z niego wraz z trzema innymi kobietami, które również wzięły się do „działania" i wyśmiewają swoich mężów w kolejnych odcinkach programu.

Mężczyźni, którzy zostają w domach z dziećmi, ekipą telewizyjną i kamerami umieszczonymi w różnych miejscach i nagrywającymi ich przez całą dobę, są podglądani i oceniani przez swoje partnerki i ich „koleżanki". Kobiety siedzą na kanapach, oglądają w telewizorze nagrania ze swoich domów i komentują na bieżąco, przy kawce i ciasteczkach, wszystkie wykonywane przez mężów czynności. Z reguły w sposób zacytowany powyżej: lekceważący, pogardliwy, upokarzający. Czasem zachwycają się i wzruszają, częściej jednak krytykują i wyśmiewają.

Czy Grupa TVN próbuje w ten sposób osiągnąć równowagę po setkach odcinków takich upokarzających kobiety programów jak m.in. „Perfekcyjna pani domu" czy „Projekt Lady" (gdzie zresztą „dziadersami" dyscyplinującymi kobiety i mówiącymi im, że mają być grzeczne, schludne i ciche, były inne kobiety, co dowodzi, że patriarchalny „dziaderyzm" zinternalizowała nie tylko Kaja Godek)? A może wyśmiewanie mężczyzn zajmujących się dziećmi i domem (nawet jeśli robią to dobrze) służy w istocie podtrzymaniu u widzów przekonania, że mężczyźni się do tego nie nadają, że to rola kobiet, czyli utrzymania *status quo*?

Kamil Nowak, autor bloga o ojcostwie BlogOjciec.pl, uważa, że „pokazanie mężczyzny zajmującego się domem jako małpy w cyrku to już *faux pas*. Dzisiaj widok ojca rozwieszającego pranie czy spacerującego z wózkiem to powinno już być coś zupełnie normalnego". Według niego „Tata w tarapatach" to „krzywdzący, seksistowski program, który nie powinien mieć miejsca w telewizji w 2020 roku". Kacper Peresada, redaktor serwisu DadHero.pl, był tak oburzony wizerunkiem ojca w tym programie, że „po trzecim odcinku poczuł przemożną chęć pójścia do kuchni, wyjęcia widelca z szuflady i wbicia go sobie w oko". Peresada zauważa, że „każdy odcinek kończy się niesłychanym zdaniem: »Miejmy nadzieję, że od teraz tata będzie częściej pomagał mamie«" i apeluje: „Musimy wreszcie przestać postrzegać rodzicielstwo jako relację dwóch jednostek, w której jedna osoba pomaga drugiej. Musimy w całości brać odpowiedzialność za wspólne życie".

Czy wyśmiewanie mężczyzn zajmujących się dziećmi i domem służy podtrzymaniu przekonania, że się do tego nie nadają, że to nadal rola kobiet?

Harmonijnie i gładko

Niestety takie stanowisko nadal jest w mniejszości. Według badań CBOS-u z 2018 r. obowiązki domowe spoczywają przede wszystkim na kobietach – i to zarówno nieaktywnych, jak i aktywnych zawodowo. Jak czytamy w raporcie z tych badań, „polskie rodziny deklarują realizowanie partnerskiego modelu rodziny. Okazuje się jednak, że opiera się on głównie na pracy zawodowej obojga małżonków, bez większego wpływu na współdzielenie obowiązków w domu. Zadania »typowo kobiece« pozostają takimi mimo upływu czasu, a zadania »typowo męskie« coraz częściej są wykonywane wspólnie lub zamiennie".

W większości gospodarstw domowych wyłącznie kobiety wykonują następujące obowiązki: pranie (82 proc. gospodarstw), prasowanie (81 proc.), przygotowywanie posiłków (65 proc.), sprzątanie (61 proc.), gruntowne porządki, np. mycie okien, trzepanie dywanów (57 proc.), zmywanie naczyń/obsługa zmywarki (56 proc.). Wyłącznie mężczyźni zajmują się praniem w 2 proc. gospodarstw, prasowaniem – w 6 proc., przygotowywaniem posiłków – 5, sprzątaniem 4, gruntownymi porządkami 8, zaś myciem naczyń/obsługiwaniem zmywarki – 13. W pozostałych gospodarstwach te obowiązki wykonywane są zamiennie albo wspólnie.

To przede wszystkim na kobietach spoczywają również czynności opiekuńczo-wychowawcze – kobiety częściej niż mężczyźni zajmują się dziećmi i innymi wymagającymi opieki członkami rodziny (osobami starszymi i niepełnosprawnymi), a nawet zwierzętami. Marszałek słusznie więc zauważył, że kobiety sprawiają, iż codzienne życie wielu mężczyzn toczy się harmonijnie i gładko w sposób przez nich niezauważalny.

To jednak bardzo poważny problem i to nie tylko dlatego, że te kobiety są po prostu przemęczone, że nie mają czasu na rozwój zawodowy, aktywność w życiu społeczno-politycznym, hobby, odpoczynek czy cokolwiek poza swoimi dwoma etatami (jednym płatnym w pracy, drugim bezpłatnym w domu), ale również ze względu na fakt, że są bardziej narażone na przemoc niż kobiety w związkach partnerskich. Zwróciła na to uwagę Fundacja Centrum Praw Kobiet w zorganizowanej w tym roku kampanii „Równość zaczyna się w domu". Urszula Nowakowska, prezeska CPK, pisała w poradniku podsumowującym kampanię: „Przemoc mężczyzn wobec kobiet, której od lat przeciwdziała nasza fundacja, przybiera różne postaci, ale jej źródłem najczęściej jest brak równości płci. Aby skutecznie przeciwdziałać przemocy, musimy sięgać do korzeni, odnajdywać jej przyczyny i przeciwstawić się dyskryminacji kobiet w różnych sferach życia: w tym również w domowej. A w tej sferze zmiany wciąż zachodzą bardzo wolno".

Materiały graficzne tej kampanii przypominają reklamy stworzonych specjalnie dla mężczyzn sprzętów AGD oraz środków czystości i w żartobliwy sposób opisują wspomniane powyżej badania CBOS-u. Na jednym z plakatów widnieje na przykład zdjęcie mopa z przymocowanymi hantlami oraz hasło „Mięśnie rosną, podłoga błyszczy" i opis „Jedynie 4% mężczyzn bierze na swoje barki sprzątanie w domu. Cała reszta czeka na mop z obciążeniem". Niestety twórcy kampanii zapomnieli o tych 35 proc. mężczyzn, którzy sprzątają na zmianę lub razem ze swoimi partnerkami. Dyskusyjna jest również walka ze stereotypami płciowymi za pomocą stereotypów płciowych – i to nie tylko mężczyzny-maczo czy dużego chłopca (odkurzacz-bolid), ale również pijaka (płyn do mycia naczyń „Piwna piana"). CPK chodzi oczywiście o przełamywanie tych stereotypów i przekonywanie, że prace domowe nie są „niemęskie", ale sądząc po reakcjach internautów, ta kampania bawi tylko kobiety.

A właściwie część kobiet, zapewne tę samą, która utożsamia się z matkami występującymi w programie „Tata w tarapatach" i naśmiewa się z ich partnerów. Seksistowskiego śmiechu kobiet nie zagłusza w tym programie nawet płacz ich pozbawionych prywatności dzieci.

© ANNA GOLUS

DOROTA

Masłowska:
Mgła

Niewątpliwie osoby chore na covid wzbogacają się w fizycznym cierpieniu i wzrastają jako ludzie, stają się jednak nie najlepszymi felietonistami. Felietonistami niewziętymi, nieciętymi, niebłyskotliwymi, wreszcie i zwyczajnie niepiszącymi; nie chcę generalizować, ale łapanie sytuacji na gorąco nie jest ich najmocniejszą stroną, łapanie czegokolwiek zresztą też, wymaga to bowiem refleksu, a niekiedy i podniesienia na czas rąk.

Nie bierzcie covidowców do swoich drużyn koszykówki, nie mówcie „łap!", rzucając im jajko; nie opowiadajcie im długich konceptualnych dowcipów z Ruskami, Niemcami i Polakami, nie wymagajcie od nich przenikliwości, wglądów, szerokich horyzontów. Ci stali bywalcy łóżek, kuchni i łazienek, błąkający się krokiem dostawnym po przedpokojach gapie nie rozumieją z tego wszystkiego wiele. Świat często zatrzaskuje się przed nimi z dnia na dzień, rzeczywistość zawęża się nagle do mieszkania albo jeszcze ciaśniej: do niedającego spokoju, udręczonego ciała. Gdzieś niemrawo, jak nieciekawa, niemająca co ze sobą zrobić koleżanka, ciąga się za nimi ich umysł, jałowy, cichy, oskubany z piórek, wsobny; skupiony na konotowaniu kolejnych niedogodności fizycznych, śledzeniu niezrozumiałych, ale alarmujących komunikatów, liczb, wykresów, procentów, wskaźników. Gdybym jednak wzięła się w garść i próbowała mimo wszystko uchwycić nerw ostatnich tygodni...

„Już jesień."

„Oj, taki chleb, jaki nie lubię. Czemu taki kupił?"

„Te strajki...
Protesty."

Walory literackie tych tekstów byłyby nieoczywiste, jednak miałyby w sobie jedno: prawdę. Wyrażałyby głuchą ciszę covidowego umysłu. Amerykańscy i nieamerykańscy naukowcy od dawna mówią o objawach i powikłaniach ze strony układu nerwowego, o „mgle mózgowej". To trudne do wytłumaczenia, ale jej nieostry cień spowił i moje dni, tygodnie; niektóre przypominały te męczące sny o zdawaniu jakichś pilnych, ważnych, mających uprawnić mnie do dalszego życia egzaminów czy niespodziewanej konieczności napisania znowu matury. Rozwleczony nadmiernie, ale nieuchronnie wytracający się czas i paniczne gapienie się w pustą, bardziej z chwili na chwilę, kartkę. To skojarzenie nie jest przypadkowe: dni choroby są długie, bezczynne, pozbawione podziałki, powtarzalne. Na ich oniryczność składają się: cisza budynku, z którego wszyscy wyszli, zapętlone melodie z infolinii, na które nie można się dodzwonić, ubieranie wyłącznie partii ciała, które widać na Zoomie, bliższe i dalsze sygnały karetek i policji, krzyki protestujących, a w końcu dystopijny ryk kołujących nad Śródmieściem helikopterów. To czas niemożliwy, rozszczepiony: łączy w sobie stagnację z kompletnym amokiem, półsen z histerią. „Spokojnie" z „jak na wojnie". „Rejs" z „Years and years". A pomiędzy jest jeszcze wszystko to, co – równolegle? mimo? wbrew? – pozostaje NORMALNE. Toczy się swoim torem – siłą ciężkości, przyzwyczajenia, konieczności.

Gdy wychodzę z mieszkania po raz pierwszy po trzech tygodniach, zastaję całkowitą nienormalność ramię w ramię z całkowitą normalnością, jakby zaczęły się już do siebie przyzwyczajać. Jest wieczór, siąpi, ulicą mknie kolumna furgonetek policyjnych, tynk odpada ze ścian kamienic od ich porykiwań i zawodzeń. Równolegle widok kobiety wracającej z dzieckiem z przedszkola, dyskutującej z nim racjonalnie o liściach czy tam kasztanach, z twarzą raz po raz smaganą niebieskim spazmatycznym światłem. W głębi ulicy w ciemnościach stoją stragany z warzywami, niedraśnięte nawet nienormalnością marchwie, dynie, cebule, kapusty. Po torach suną świetliste, puste tramwaje. W piekarni – szykującej się do zamknięcia – zastaję sprzedawczynię wśród przetrzebionych półek, ostatnich łysych bochenków, w intymnej chwili głupawki po całym dniu pracy. Disco polo ma rozkręcone na full i ze zmęczenia śpiewa głośno, chyba nieświadomie. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Stalowej Woli pod sygn. akt I Ns 376/20 wszczęte zostało postępowanie z wniosku Zbigniewa Żelasko, Lucyny Żelasko, z udziałem Ryszarda Żelasko, Haliny Chutkowskiej, o nabycie przez zasiedzenie własności działki ewidencyjnej nr 2044/2, o powierzchni 0,03 ha, położonej w Jastkowicach, gmina Pysznica, dla której Sąd Rejonowy w Stalowej Woli, V Wydział Ksiąg Wieczystych, prowadzi KW nr TB1S/0003519/2.

Sąd wzywa wszystkie osoby zainteresowane, w szczególności następców prawnych Honoraty Lipki, Agnieszki Rak-Kapinos, Wiesława Żelasko, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosiły się do Sądu i wykazały swoje prawa, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięte w postępowaniu, a sąd stwierdzi zasiedzenie, jeżeli zostanie ono udowodnione.

WIARA

OCZY SZEROKO ZAMKNIĘTE

KS. ADAM BONIECKI:

To jak z przecięciem wrzodu. Widok odrażający, ale jest początkiem leczenia. Takich raportów jak ten o McCarricku powinno powstać wiele.

ANNA GOC, EDWARD AUGUSTYN: Rozmawiałeś kiedykolwiek z Janem Pawłem II o pedofilii w Kościele?
KS. ADAM BONIECKI: Nie.

Ale próbowałeś poinformować Watykan o sprawie proboszcza z Tylawy.
Ona nigdy nie doszła do szczebla papieskiego.

Dlaczego?
Nie wiem. Wtedy nie było jeszcze wytycznych, jak zgłaszać takie sprawy w Watykanie. Miałem dokumenty przedstawiające, co działo się w Tylawie. Jeden z naszych biskupów poradził mi, żebym je złożył w Sekretariacie Stanu. Człowiek, który tam pracował w Sekcji Polskiej, bardzo mi to odradzał i długo przekonywał, żebym się w to nie mieszał. Mówił, że to nie moja sprawa. Dopiero gdy powiedziałem, że mogę pójść prosto do kardynała sekretarza stanu, przyjął moje pismo. Potem biskup, który miał przejąć sprawę, opowiadał mi, że został zaproszony do Stanisława Dziwisza, który temat wyhamował. Ale wiem, że reportaż o Tylawie, który opublikowaliśmy w „Tygodniku Powszechnym", trafił na biurko papieża.

To potwierdzałoby zarzuty, że bp Dziwisz, sekretarz papieża, był hamulcowym w sprawach pedofilskich. Tomasz Polak, który przed laty był rektorem seminarium w Poznaniu, opowiadał niedawno podczas debaty w Teatrze Słowackiego, że na początku września 2000 r. pojechał do Rzymu z listem w sprawie abp. Juliusza Paetza. Rozmawiał na ten temat z bp. Dziwiszem, który zabronił mu mówić o tym przy kolacji z papieżem.
Zapytałem o to kiedyś Dziwisza. Powiedział, że przekazał sprawę Paetza do Kongregacji Biskupów czy Kongregacji Nauki Wiary. I dodał, że to wcale nie Wanda Półtawska powiadomiła Watykan, tylko on. Mówił, że chciał, żeby sprawa została wyjaśniona drogą formalną. I że trudno, żeby papież zajmował się szczegółowo dochodzeniami w sprawie każdego biskupa. Od tego ma kurię.

Ale na to, czy rzeczywiście przekazał sprawę dalej, nie mamy żadnych dowodów. Możliwe, że też została wyhamowana i ruszyła dopiero dzięki Półtawskiej. ↦

PIER PAOLO CITO / AP / EAST NEWS

Watykan, 8 kwietnia 2005 r.

↦ Rzeczywiście, niektóre informacje, które miały za jego pośrednictwem dotrzeć do papieża, mogły nie docierać. O wielu sprawach Jan Paweł II dowiadywał się natomiast podczas spotkań z prefektami kongregacji, które odbywał regularnie. Oczywiście, jeżeli z kolei ci uznali je za priorytetowe i o nich papieżowi opowiedzieli.

Czy tego typu działania bp. Dziwisza były zgodne z prawem i procedurami? Czy gdzieś mógł zostać ślad po rozmowie o Paetzu?

Prowadził diariusz, ale co tam odnotowywał, nie wiem. Nie wyobrażam sobie jednak, żeby jakieś dokumenty przekazane do kongregacji mogły nie zostać zarejestrowane.

Może dbał o to, by jego nazwisko nie pojawiało się w dokumentach? W opublikowanym ostatnio raporcie na temat McCarricka czytamy, że dzwonił do nuncjatury w USA i prosił, by usunąć jego nazwisko z oficjalnej korespondencji z kandydatem na metropolitę Waszyngtonu.

Prosił, ale, jak widać, nie zostało usunięte.

Wanda Półtawska uparła się, by dokumenty na temat Paetza przekazać do rąk własnych Jana Pawła II. Czy to nie dowód, że obawiała się zatrzymania sprawy na etapie przedpapieskim?

Wanda Półtawska nie miała zaufania do Stanisława Dziwisza. Może myślała, że jeśli przekaże te dokumenty papieżowi, to sprawa ruszy z kopyta.

Nie ma bardziej wyrazistej poszlaki mówiącej o tym, że Dziwisz zatrzymywał sprawy. W słynnej wypowiedzi papieża Franciszka podczas podróży samolotowej z Abu Dhabi pojawiają się słowa, że był filtr, który chronił Jana Pawła II przed bolesną prawdą. Tym filtrem był jego osobisty sekretarz?

Ale taka była jego rola. Jeśli chciało się spotkać z papieżem prywatnie, pisało się do jego sekretarza. Sam tego doświadczyłem. Z Dziwiszem znaliśmy się jeszcze z czasów krakowskich, gdy był kapelanem Wojtyły. Po przyjeździe do Watykanu odwiedziłem go w jego apartamencie, mieszkał nad papieżem.

MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP"

KS. ADAM BONIECKI w 1979 r. na życzenie papieża Jana Pawła II przyjechał do Watykanu, by zorganizować redakcję polskiej edycji „L'Osservatore Romano". Był redaktorem naczelnym tego wydania do roku 1991, pełniąc jednocześnie funkcję watykańskiego korespondenta „Tygodnika Powszechnego".

Zaproponował mi przejście na „ty". Umówiliśmy się, że jeśli będę potrzebował jego pomocy, zadzwonię, a on się nie obrazi, nawet jeśli sprawa wyda mu się zawracaniem głowy i postąpi według swego uznania. Jeśli odmówi, nie mogę mieć żalu. I tak to funkcjonowało.

Pytanie, czy swojej roli nie nadużywał? Decydował o tym, z kim spotyka się papież?

Tak. Po liście papieża na 50-lecie „Tygodnika Powszechnego", tego z wyrzutem, że Kościół w Polsce nie czuł się przez redakcję „Tygodnika" kochany, napisałem do Dziwisza właśnie o tym, ile w efekcie tego listu niesprawiedliwych i okrutnych ciosów spadło na chorego już wówczas Jerzego Turowicza. Jan Paweł II zaprosił mnie na kolację. Byłem sam. Przy nakryciu papieża leżał mój list do Dziwisza. Zapytał, jak może naprawić sytuację. Ustaliliśmy, że podczas nadchodzącej pielgrzymki do Polski papież spotka się w Krakowie na moment z redakcją „Tygodnika". Ale potem Dziwisz mnie powiadomił, że to absolutnie nie zmieści się w programie. Co najwyżej papież może się gdzieś spotkać z redaktorem naczelnym, Jerzym Turowiczem – i tak to się skończyło.

Często odmawiał ludziom takich spotkań?

Mówimy o prywatnych spotkaniach na obiedzie lub po porannej mszy w papieskiej kaplicy. Pamiętam, że kiedyś nie zgodził się na zaproszenie do Watykanu Władysława Bartoszewskiego. Jak mi wyjaśnił – ze względu na jego nieuregulowaną kościelnie sytuację małżeńską. Nie zgodził się też, o ile pamiętam, na zaproszenie ojca Camila Maccise, karmelity i przewodniczącego Konferencji Przełożonych Generalnych. Powodem było jego zaangażowanie w teologię wyzwolenia. Nie wiem, czy o tych niedopuszczonych ludziach ks. Dziwisz informował Jana Pawła II, czy nie.

Czyli do papieża prowadziły tylko jedne drzwi, które kontrolował jego sekretarz?

Mówimy cały czas o spotkaniach prywatnych, nieoficjalnych, poza programem, o spotkaniach, którymi zawiadował Dziwisz. Organizowaniem spotkań oficjalnych zajmowała się Prefektura Domu Papieskiego.

Zatem filtrów też było więcej. Nigdy nie było wiadomo, czy urzędnik kongregacji albo Sekretariatu Stanu przyjmie skargę, czy położy ją na właściwym biurku, czy jego przełożony zgodzi się nią zająć i wreszcie czy wszystkiego nie wyhamuje papieski sekretarz. Trudno się dziwić ludziom, że mają złą opinię o papiestwie i watykańskim dworze.

Myślę, że tak to rzeczywiście wyglądało. Oczywiście jakaś selekcja jest potrzebna. Taka jest logika gigantycznej instytucji, jaką jest Kościół. Natomiast to, że ona może podlegać zwyrodnieniu – to inna kwestia. Ja też byłem rozczarowany, kiedy moja akcja w sprawie Tylawy, podjęta w trosce o ofiary, przemyślana i przecież kościelna, prawowierna, została nagle wyhamowana.

Pamiętajcie, że jeśli idzie o zgłaszanie spraw pedofilskich, nie było wtedy procedur. Dopiero Jan Paweł II zdecydował, by kierować je do Kongregacji Nauki Wiary. To była jego inicjatywa.

We wspomnianej wypowiedzi papieża Franciszka pojawia się też inny zarzut. W pewnej sprawie – być może chodziło o kard. Groëra, a może o Maciela Degollado – nawet kard. Ratzinger nie zdołał przekonać papieża do wszczęcia dochodzenia. Schował dokumenty do archiwum mówiąc, że „wygrała druga partia". Na ile decyzje papieża były wynikiem ścierania się partii, frakcji, które walczyły o swoje?

Nie wiem. To pytanie do komisji, która będzie się zajmowała tą sprawą.

Mimo informacji, jakie napływały do Watykanu, Maciel Degollado jako założyciel prężnie działającej rodziny zakonnej był dla papieża niemal ideałem kapłana i duchowego przywódcy.

To, że zakon Legionistów Chrystusa świetnie się prezentował, zapewne przesłaniało obraz. Ale też tego nie pojmuję.

Podobnie było w sprawie kard. Groëra. O tym, że molestował kleryków, donieśli papieżowi austriaccy biskupi. Jan Paweł II uwierzył jednak komuś innemu.

Uwierzył Groërowi.

Podobnie jak za kilka lat McCarrickowi. W przypadku zwolenników teologii wyzwolenia nie był tak ufny i dobrotliwy: potrafił być surowy i działać zdecydowanie.

Tak twierdzi Stanisław Obirek.

To samo mówił nam Leonardo Boff.

Mówienie o negatywnym nastawieniu papieża do teologów wyzwolenia jest uproszczeniem. Sam mi kiedyś powiedział, że księża z Ameryki Południowej często nie mają alternatywy: nie znają żadnej innej niż teologia wyzwolenia możliwości reagowania na niesprawiedliwość. Chcąc być blisko swoich wiernych, angażują się w nią. I że on to rozumie. Z drugiej strony był świadom, że często przedstawiciele teologii wyzwolenia byli finansowani przez Związek Radziecki. Dla niego to była infiltracja Kościoła.

Obirek podawał przykład potępienia przez Watykan o. Jacques'a Dupuis. Rozmawiałem z nim. Został zawiadomiony, że jest przeciwko niemu prowadzone dochodzenie w kongregacji i zawieszono jego wykłady na Uniwersytecie Gregoriańskim. Podczas debaty wykazał, że zarzuty nie mają pokrycia w tym, co znajduje się w jego książce. Skończyło się na poleceniu, by do przyszłych wydań książki dołączył jasny wykład jej treści. W tym przypadku nie chodziło zresztą o teologię wyzwolenia.

Czy ludzi wzywanych przez kongregację było dużo? Nie wiem. Mogę natomiast się zgodzić z opinią, że za pontyfikatu Jana Pawła II promowano niezbyt wybitnych teologów. Według Obirka większe szanse promocji i kariery mieli autorzy ortodoksyjni w tematach antykoncepcji i aborcji.

Spora część raportu na temat McCarricka dotyczy lat 80., kiedy zaczęły pojawiać się pierwsze doniesienia o jego zachowaniu. To był też czas, gdy byłeś w Rzymie jako redaktor naczelny polskiej wersji „L'Osservatore Romano". Czy mówiło się o tym w Watykanie? Coś do Ciebie docierało?

Nie. Jestem jednym z tych, którzy dopiero teraz dowiadują się o wielu sprawach i którzy muszą mocno skorygować swój obraz Kościoła-instytucji.

Dotąd na biskupów patrzyliśmy jako na tych, którzy są następcami apostołów. Myśleliśmy: jeśli już człowieka wybrali na kardynała, to musieli go naprawdę obejrzeć z każdej strony. Dziś te wszystkie mity wokół urzędów kościelnych się rozpadają. Wystarczy się przyjrzeć historii Gulbinowicza czy McCarricka.

Z pewnością nie doceniano też wagi problemu pedofilii w Kościele. Ale gdy byłem w Watykanie, za Jana Pawła II, miałem wrażenie, że panuje tam moralna i etyczna poprawność. I że pewne zachowania są niemożliwe. Jak widać, były możliwe.

Jaka refleksja towarzyszy Ci, gdy czytasz dziś raport o McCarricku?

To jest straszna lektura, ale w jej trakcie czułem ulgę. Wspaniale, że takie sprawy wychodzą. Obrastająca od dwóch tysięcy lat w różne patologie instytucja zaczyna się oczyszczać. Franciszek apeluje: bądźmy jak apostolski Kościół. Czy się uda? Nie wiem. To, co dzieje się teraz w Kościele instytucjonalnym, albo go zabije, albo wzmocni, ale w zupełnie innym kształcie. Jesteśmy odruchowo, przynajmniej w mentalności księżowskiej, zmartwieni. Jednak to, co się dzieje, jest jak przecięcie wrzodu. Widok jest odrażający. Takich raportów powinno powstać wiele. Jest nadzieja, bo z Janem Pawłem II rozpoczął się proces leczenia.

W raporcie mamy przykład biskupów, którzy widzieli na przyjęciu, jak podpity McCarrick przytula kleryków, głaszcze ich po pośladkach. Później, gdy nuncjusz prowadzi dochodzenie, ci sami biskupi zapewniali, że nigdy niczego zdrożnego w zachowaniu McCarricka nie widzieli.

To się w głowie nie mieści.

↦

POŻEGNANIE

26 listopada 2020 r. zmarł

Ś.†P.

Marcin Król

Historyk idei, filozof i publicysta,
profesor Uniwersytetu Warszawskiego,
założyciel i redaktor naczelny „Respubliki" i „Respubliki Nowej".
Działacz opozycji demokratycznej przed 1989 r.
i współtwórca nowego demokratycznego ładu III Rzeczypospolitej.

Niezależny intelektualista, wychowawca i inspirator,
autor ważnych książek, w których duch
był niezbywalnym towarzyszem wszelkiej polityki.
Publicysta i felietonista „Tygodnika Powszechnego".

Rodzinie i bliskim Zmarłego
składamy wyrazy głębokiego współczucia

„Tygodnik Powszechny"

Może i w Watykanie lepiej było nie widzieć wielu rzeczy. McCarrick przywoził drogie prezenty i rozdawał pieniądze, mógł więc być bardziej uprzywilejowany?

Mógł. Bogaty amerykański Kościół od lat wspierał działalność wielu innych Kościołów, także polskiego. Dostawaliśmy nie tylko brewiarze, także pieniądze na potrzeby Kościoła.

McCarrick był wielokrotnie w Polsce, także tuż po zniesieniu stanu wojennego. Parę lat później, w 1993 r., Konferencja Episkopatu USA postawiła go na czele komisji ds. pomocy Kościołowi w Europie Środkowej i Wschodniej. W jaki sposób pieniądze z prowadzonej przez niego Fundacji Papieskiej trafiały do Polski?

Pomoc Stolicy Apostolskiej dla Solidarności jest dla mnie tajemnicą. Włożyłem nawet trochę energii, żeby się dowiedzieć, czy pieniądze szły, czy nie szły z Watykanu. Nie udało mi się wydobyć od kogokolwiek słowa na ten temat. Więc nie wiem. Mówiło się, że zarządzał tym abp Marcinkus, a papież jego działania inspirował, ale nie znalazłem nikogo, kto by to potwierdził.

Wiem, że wsparcie z Ameryki przychodziło, sam przekazywałem pieniądze z USA dla rodzin więźniów w czasie PRL. To były pieniądze od prywatnych ofiarodawców, wysokich urzędników. I wiem, że była mocna presja, choćby na nas, w „L'Osservatore Romano", by nie łączyć wydarzeń w Polsce z Watykanem. Po pierwszych aresztowaniach w stanie wojennym zdobyliśmy z Markiem Lehnertem listę aresztowanych i przesłaliśmy ją jakiejś humanitarnej światowej organizacji broniącej praw człowieka telefaksem z redakcji „L'Osservatore Romano". Nigdy nie dostałem takiego ochrzanu od władz pisma jak wtedy. Lęk przed tym, by nie przypisywać Watykanowi wspierania jakiejś rewolty, był ogromny.

Kard. Dziwisz mówił kiedyś, że każdy biskup z Polski, który przyjeżdżał do Watykanu, wychodził od papieża z kopertą: na seminarium, na diecezję, na dzieła dobroczynne.

Nie wątpię w to. Wojtyła wspierał różne rzeczy. Gdy był biskupem krakowskim, pomagał finansowo duszpasterstwu akademickiemu. Przekazywał mi pieniądze na ten cel i zastrzegał: „Tylko nie mów o tym w kurii". To było wsparcie wewnątrzkościelne. Ale jak było z Solidarnością – nie wiem.

Papież był jej entuzjastą. Wielu w nią zwątpiło, znaczna część biskupów była sceptyczna. Jednym z nielicznych, którzy przyjeżdżając do Rzymu manifestowali swoją wiarę w Solidarność, był kard. Gulbinowicz.

Może to dobry moment, by wrócić do kurialnych frakcji. Czy w Watykanie działa lawendowa mafia?

Nie spotkałem się z nią osobiście. Żadnych propozycji czy zaproszeń nie miałem. Nie zdawałem sobie sprawy z jej istnienia. Na pewno widziałem w Watykanie karierowiczów. Ale może byłem zbyt zajęty, nie miałem czasu obracać się w kręgach towarzyskich, księżowskich. Jedynie karierowiczostwo rzucało się w oczy. Chore ambicje.

Papież Franciszek ma o kurii wyrobione zdanie. Mówił nieraz o chorobach, które ją trawią. Jan Paweł II tego nie zauważał?

Wybitny francuski watykanista z „Le Figaro", o. Joseph Vandrisse z zakonu ojców białych, napisał gdzieś, że Jan Paweł II zajmował się oczyszczaniem źródeł, a nie naprawianiem kanalizacji. Coś w tym jest. Myślę, że Wojtyła widział swoją misję – to taka nieśmiała hipoteza, co mógł mieć w głowie papież – w głoszeniu Ewangelii, w dawaniu świadectwa, w docieraniu do współczesnego świata. Natomiast kurię traktował jako dobrodziejstwo inwentarza. I chętnie różne sprawy na nią składał. Nie wiem, czy wypada cytować prywatne rozmowy, ale gdy zaczęła się afera banku Ambrosiano i było wiadomo, że Watykan jest zagrożony finansowo, papież przy jednej z kolacji powiedział: „Ciekawe, jak oni sobie z tym poradzą?". Uderzyło mnie to, pamiętam. Nie powiedział: „jak my sobie z tym poradzimy". Ten jego dystans do kurii był bardzo widoczny.

Jemu zawsze chodziło o coś innego: o pracę pasterza, głosiciela Ewangelii, który ma do dyspozycji instytucję, której ufa i na którą składa masę rzeczy. Niecierpliwił się, gdy mu zbyt szczegółowo przedstawiano jakieś sprawy personalne, dyscyplinarne. Nie mówię teraz o pedofilii. Na pewno uważał, że kuria to sprawny mechanizm, który sam z siebie dobrze działa. Mawiał, chyba kogoś cytując, o kurii krakowskiej: „Lepiej czy gorzej, ale zawsze jakoś się kręci".

Kiedyś to się nawet mogło podobać: taki papież od wielkich rzeczy, a nie przyziemnych procedur i biurokracji. Ale teraz okazuje się, że ta maszyna pozwala robić karierę seksualnym przestępcom. A ofiary zostawia samym sobie.

Na początku pontyfikatu Jan Paweł II obsadził stanowiska znajomymi z soboru. Wyciągał z emerytury tego i owego, i stawiał na czele kongregacji, bo miał do nich zaufanie. Potem to pokolenie wymierało lub odchodziło na emeryturę. Wybór współpracowników na kluczowe stanowiska był coraz trudniejszy. No i potem ten ostatni etap, kiedy Jan Paweł II był coraz bardziej chory i siłą rzeczy musiał zdawać się na opinie i pomoc innych. Zatwierdzał te nominacje, które mu prezentowano. Przyszedł z zewnątrz, nie znał kurii. Kard. Ratzinger, gdy zostawał papieżem, znał ją już na wylot.

Choć akurat w kurii byli jednakowo długo. Obaj przez ćwierć wieku. Jan Paweł II nie zorientował się przez 25 lat, że ma wokół siebie patologię?

Coś widział, bo przecież musiał widzieć. Może mniej niż kard. Ratzinger, bo bardziej niż on był zdany na innych. Na pewno ponosił odpowiedzialność za działania kurii. Wtedy był chwalony za odcinanie się od jej funkcjonowania, ale z dzisiejszej perspektywy – wiedząc, jakie sprawy zostały zamiecione pod dywan – ocena sytuacji się zmienia. Raczej powiedzielibyśmy o braku nadzoru czy przymykaniu oczu.

Myślę też, że liczyło się źle pojmowane dobro instytucji. Próbowano rozwiązywać problemy po cichu, bano się skandalu. To najbardziej uderza, gdy czytamy raport o McCarricku. Nie myślano o jego ofiarach, tylko o tym, by nie uderzyć w biskupa, w księdza. Troska o wizerunek Kościoła była ważniejsza. Ofiary nikogo nie interesowały.

To wszystko sprawia, że obraz Kościoła ulega na naszych oczach jakiejś strasznej przemianie. Rozwiewa się mit Kościoła. Czy coś zostanie? Wierzę, że tak: to, co jest poza mitem.

©℗ Rozmawiali
ANNA GOC i EDWARD AUGUSTYN

TYTUS ŻMIJEWSKI / PAP

„Apel zwykłych księży" to wezwanie, by nie wykorzystywać religii do celów politycznych. Na zdjęciu uroczystość konsekracji kościoła pw. Najświętszej Maryi Panny Gwiazdy Nowej Ewangelizacji. Toruń, 18 maja 2016 r.

Nowe wino, nowe bukłaki

MARIUSZ SEPIOŁO

Zadaniem Kościoła nie jest popieranie tej lub innej opcji politycznej, ale ewangelizowanie – mówią siostry zakonne, które podpisały się pod „Apelem zwykłych księży".

Wpełni zgadzam się z postulatami sygnatariuszy apelu. Nie mam poczucia, że był to akt jakiejś szczególnej odwagi – mówi s. Agnieszka Fortuna ze Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa. – Jeśli uważam, że sprawa jest słuszna i powinnam się zaangażować, po prostu to robię.

Jest świadoma, że jej poglądy mogą się niektórym siostrom nie podobać. Zdarza się, że kiedy publicznie zabiera głos, potem piszą do niej anonimowi hejterzy. Ale nie stara się nikogo nawracać. Woli szukać zrozumienia motywów kryjących się za wrogimi postawami.

– Mamy obecnie w Kościele mocną tendencję, by się zamykać – mówi s. Barbara Radzimińska ze wspólnoty Słudzy Ewangelii Miłosierdzia Bożego. – Stajemy się oblężoną twierdzą, w której usiłujemy się schronić przed światem, przed tymi, którzy myślą inaczej. Dla mnie apel jest kładką wyciągniętą nad fosą podziałów. Jest zaproszeniem, powiedzeniem, że w części z nas, ludzi Kościoła, jest chęć dialogu.

Rozbrajanie z lęku

Cztery siostry ze wspólnoty Słudzy Ewangelii Miłosierdzia Bożego pracują w diecezji gdańskiej. Wszystkie mają doświadczenie misji w różnych krajach: Niemczech, Hiszpanii, Argentynie. Pracują z młodzieżą i dorosłymi. Przygotowują świeckich do zaangażowania i współodpowiedzialności w Kościele.

– Studiowałam chemię – opowiada s. Magdalena Obarska. – W duszpasterstwie akademickim poznałam wspólnotę sióstr. Z czasem zaczęłam coraz bardziej odkrywać, że Bóg mnie potrzebuje. Studia skończyłam i zaczęłam pracę w zawodzie.

Zrezygnowała po roku. Przyjechała do Sopotu i zamieszkała z siostrami. Później była na misjach w Hiszpanii. Poznała też gorący i dynamiczny Kościół argentyński, mieszkając przez pięć lat w ubogich dzielnicach Buenos Aires. Od dwóch lat jest w Polsce i kontynuuje formację.

– Polskie „skostnienie" może dać się we znaki. Czasem tęsknię za tym południowoamerykańskim Kościołem – mówi. – Ale traktuję to jako inspirację, żeby tamtejszy braterski klimat Kościoła zaszczepić i tutaj.

S. Izabela Fink, urodzona w Nowogardzie, miała siedem lat, kiedy z rodzicami wyjechała do Niemiec. Tam się wychowała, skończyła szkołę i studia, tam zaczęła pracę. Wspólnotę poznała w Kolonii. – Jezus długo o mnie walczył – mówi. – Miałam trzydzieści lat, kiedy ostatecznie powiedziałam Mu „tak".

Jako misjonarka wyjechała do Hiszpanii, na parę lat do Argentyny, trzy lata temu przyjechała do Polski. – Co najbardziej zwróciło moją uwagę w polskim Kościele? – zastanawia się s. Iza. – Lękowe podejście do wielu kwestii, np. do uchodźców. Wychowałam się w kraju, gdzie żyje wielu uchodźców i nie brakuje wynikających z tego problemów. Ale nie pamiętam, żebym spotkała się w Kościele ↦

↦ z taką niechęcią. Życie w różnorodności nie jest łatwe, ale ostatecznie zawsze poszerza nasz horyzont.

Woda i wino

S. María Pilar Casadó Tarín, z pochodzenia Hiszpanka, studiowała pedagogikę i psychologię. Zdała państwowy egzamin i odtąd o pracę mogłaby się nigdy nie martwić. Dziś mówi o swoim powołaniu: – Dostałam więcej, niż ośmieliłabym się prosić. Czuję, że moja „woda" nieustannie zamienia się w „wino" – mówi. – Odkryłam, że to, jaka jestem: spontaniczna, czasem roztargniona, przestało być słabością (wodą), a stało się siłą, darem dla innych (winem).

Jeździła po świecie, poznawała różne Kościoły. W końcu zawędrowała do Polski. – Dzisiaj mam 55 lat i czuję, że żyję coraz pełniej.

S. Barbara Radzimińska mówi, że początek jej historii jest „typowy". Wychowanie w wierzącej rodzinie, zaangażowanie w oazę, pielgrzymki, praca w wolontariacie z niepełnosprawnymi. Potem czas studiów w Irlandii i odejście od wiary i Kościoła. – Mając 24 lata, skończyłam rozczarowana życiem, miłością, relacjami. Wewnętrznie czułam się ruiną.

Wtedy poznała misjonarki. Głosiły Słowo. Fragment z Księgi Jeremiasza nadał nowy sens jej życiu: „Zbuduję cię i będziesz odbudowana". Prosty komunikat, który dotknął serca. Bez wielkich, emocjonalnych fajerwerków.

Tak jak na początku

S. Agnieszka Fortuna należy do Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusa. W Poznaniu prowadzi gabinet psychoterapii. Mówi, że ostatnie wydarzenia wywołały w niej wiele trudnych emocji.

– Smutek, rozczarowanie, złość, bezsilność i niezgodę. Na niesprawiedliwość i przemoc – mówi. – Mam głębokie przekonanie, że każdy obywatel tego kraju, bez względu na pochodzenie, poglądy, wyznanie, ma takie same prawa i jego głos powinien być brany pod uwagę. Nie można wprowadzać praw, jakichkolwiek praw, bez debaty społecznej, tylnymi drzwiami, w momencie kryzysu, kiedy nie ma możliwości wyrażenia sprzeciwu.

Jej zdaniem masowe protesty są nie tylko wynikiem niezadowolenia z wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Ale również z rosnącego sprzeciwu wobec niszczenia wymiaru sprawiedliwości, traktowania mniejszości, kryzysu gospodarczego i sposobu, w jaki państwo radzi sobie z pandemią. – Nie chodzi tylko o aborcję. Sama jestem przeciwko aborcji, ale nie można tak ważnych rozwiązań wprowadzać w taki sposób – tłumaczy s. Fortuna. – Stawia się ludzi w sytuacjach granicznych, nie dając jednocześnie możliwości wypowiedzenia się, nie przygotowując odpowiedniego systemu wsparcia. W dziedzinie ochrony życia od jego początku do śmierci mamy wiele do zrobienia jako państwo i jednostki: od wspierania dzieci niepełnosprawnych i ich rodzin, przez ich usamodzielnianie, wspieranie opieki medycznej nad osobami chorymi psychicznie, zwłaszcza wobec dzieci i młodzieży, których system leczenia się załamał, wspieranie osób w sytuacjach granicznych, emigrantów, którym udzielamy azylu, czy po wspieranie osób z rzadkimi, terminalnymi chorobami.

> Co oznacza „konsensus" w przypadku podzielonego Kościoła i społeczeństwa? Może uznanie, **że wszyscy mamy wartości, o które warto walczyć.**

Kościół? Cierpi z powodu wewnętrznego podziału. – Są w nim tacy, którzy występują z pozycji autorytetu nieznoszącego sprzeciwu. Ale są i ci, którzy nie odnoszą się bezpośrednio do polityki, ale bazują na Piśmie Świętym, rzucając światło na bieżącą sytuację. Zadaniem Kościoła nie jest popieranie tej lub innej opcji politycznej, ale ewangelizowanie i formowanie uczniów Jezusa. – mówi s. Fortuna. – Przemiana może przyjść od środka, od nawrócenia osobistego każdego z nas. Kościół pierwszych wieków istniał jako ewangeliczny zaczyn Królestwa Bożego. Może trzeba wrócić do tego doświadczenia.

Negocjacje i konsensus

Dialog – to słowo klucz w ich opowieściach. Pytam siostry, czy na co dzień w Kościele widzą, że dialog zwaśnionych, coraz mniej rozumiejących się stron jest możliwy.

– Tak, ale wymaga pewnych warunków – mówi s. Agnieszka Fortuna. – Na przykład przekroczenia lęku, uprzedzeń, przekonania, że „ten drugi" jest moim wrogiem, który chce mnie zniszczyć, coś mi odebrać. Wymaga to również rezygnacji z postawy, że oto „tylko ja wiem i mam rację", „tylko moja wizja świata jest jedyną słuszną", gotowości do wysłuchania tego, jak ktoś inny widzi świat, co jest dla niego ważne. To trochę jak w negocjacjach. Obie strony muszą wspólnie rozumieć, jaki cel chcą osiągnąć. Tylko wtedy mogą dojść do konsensusu.

Co oznacza „konsensus" w przypadku podzielonego Kościoła i podzielonego społeczeństwa? – Może uznanie, że wszyscy mamy wartości, o które warto walczyć. Że jesteśmy różni, że mamy konflikty, ale możemy żyć w jednym Kościele i w jednym państwie – uważa s. Agnieszka.

S. Barbara: – Niektórzy zarzucają sygnatariuszom apelu, że powinni być nie tylko z protestującymi, ale również towarzyszyć parafianom, którzy w tym samym czasie modlili się w kościołach. Ale może rozwiązaniem byłoby takie formowanie wiernych, aby również oni byli zdolni wyjść do manifestujących wraz ze swoimi kapłanami? Również świeccy chrześcijanie są powołani do tego, by być razem z ludźmi, a nie troszczyć się tylko o siebie.

Kryzys jest szansą

– Boli mnie, że nie potrafimy skorzystać z doświadczeń Kościoła w innych krajach – mówi s. Barbara. – My wchodzimy w proces laicyzacji. Kościoły Europy Zachodniej mają ogrom doświadczeń w tej dziedzinie, przeżyły już wiele kryzysów. I naprawdę moglibyśmy się od nich dużo nauczyć i nie popełniać tych samych błędów.

Siostry przyznają, że wśród wiernych zachodzi zmiana. I nie jest to tylko zmiana pokoleniowa. – Pracujemy z młodzieżą, która poszukuje odpowiedzi na wiele pytań – mówi s. Magdalena. – Ale nie przyjmuje już odpowiedzi w stylu: „tak, bo tak", „bo tak ma być". Egzystencjalne pytania potrzebują odpowiedzi egzystencjalnych, a nie wyłącznie teoretyczno-katechetycznych. Czego to wymaga od nas, ludzi Kościoła? Przede wszystkim umiejętności głębokiego słuchania oraz dzielenia się doświadczeniem własnego życia, nie tylko wiedzą. Jednym słowem: towarzyszenia.

– Kościół proponuje młodzieży ideał chrześcijaństwa, ale zapomina, że zmierza się do tego ideału przebywając pewną drogę – zauważa s. Izabela. – Dialog z ludźmi rozpoczyna się od miejsca, w którym oni są, a nie gdzie chcielibyśmy, aby byli. Protesty ukazały, gdzie rzeczywiście jest nasze społeczeństwo, w jaki sposób myśli nasza młodzież. Mam wrażenie, że dla wielu ludzi Kościoła było to odkrycie zaskakujące. Obyśmy potrafili je wykorzystać, aby dostosować nasze duszpasterstwo do rzeczywistości.

– Dobro jest dobrem. Nawet jeśli czynione jest po cichu, przynosi owoce – uważa s. Agnieszka Fortuna. – Nie potrzebuje rozgłosu, samo się pomnaża. Zło było zawsze. I zawsze było bardziej krzykliwe. Człowiek zawsze będzie miał skłonność do dążenia do władzy, pieniędzy. Zawsze jednak będą tacy, którzy będą czynić dobro. Choćby nieudolnie, w mikrozakresie. Nawet jeśli miałoby być niezauważalne. I to daje nadzieję.

– Być może potrzeba kilku pokoleń, żebyśmy ten kryzys dobrze wykorzystali – dodaje. – Aby być wiarygodnym, Kościół potrzebuje być ewangeliczny. Nie może mówić, zwłaszcza do młodych, którzy dzisiaj wyszli na ulice, z pozycji nieomylnego autorytetu. Dziś zbyt często zapominamy, że to my, tu i teraz, jesteśmy powołani, żeby tworzyć Kościół naszych marzeń. Nikt inny za nas tego nie zrobi.

Coś się wylało

„Jesteśmy na progu nowego czasu!" – piszą autorzy apelu zwykłych księży. Jak to zdanie rozumieją podpisujące się pod nim siostry?

– Może potrzeba, by mężczyźni uznali, że jesteśmy dla nich partnerkami do rozmowy – mówi s. Agnieszka Fortuna. – Potrzeba również, by kobiety zrobiły odważnie krok do przodu i stawały się partnerkami w dialogu.

– Kobiety w Kościele są na pewno ogromnym potencjałem. Zarówno te konsekrowane, jak i świeckie. Kierunek Kościoła w tym sensie jest jasny – tłumaczy s. María Pilar. – Na Synodzie o Amazonii było obecnych ponad 30 kobiet, a wystąpienia wielu z nich uznano za jedne z najlepszych. To zdanie uczestniczących w Synodzie biskupów, nie moje. Mam nadzieję, że również w Polsce ten potencjał będzie się aktywował.

– To, co odsłoniło się ostatnio w polskim Kościele, dokonało się dużo wcześniej – mówi s. Agnieszka. – Teraz tylko ukazało się to naszym oczom. Coś się wylało, nie da się tego zamieść pod dywan czy zamknąć w szafie. Nastała inna rzeczywistość: Kościoła, społeczeństwa, świata doświadczonego pandemią i jej konsekwencjami. Nic już nie będzie takie samo jak kiedyś. Coś się wylało i teraz trzeba coś z tym zrobić.

– To czas, w którym musimy zaakceptować, że chrześcijaństwo nie ma już większości – mówi s. Magdalena.

– A mi do głowy przychodzą słowa z Ewangelii: „Nowe wino trzeba wlewać do nowych bukłaków" – mówi s. Barbara. – Dla mnie nowy czas to poszukiwanie nowych bukłaków. Nowej formy, która pozwoli się odnaleźć w Kościele też nowemu, inaczej myślącemu pokoleniu. Nie chodzi tu o zmiany w treściach wiary, ale o znalezienie nowego sposobu, by dotrzeć z nimi do współczesnych ludzi.

– To po prostu powrót do Ewangelii – mówi s. Izabela. – Do nawrócenia się. I to my mamy się nawrócić. My, Kościół.

© MARIUSZ SEPIOŁO

POŻEGNANIE

Sz. P. Prof. Zw. Dr Hab.

Ewie Solarczyk-Ambrozik

b. prodziekan WSE i b. członkowi Senatu Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu

wyrazy szczerego współczucia z powodu odejścia

Ś.†P.

Mamy Krystyny

składają

J. F. Rajewscy z rodziną
Rogalin – Poznań

POŻEGNANIE

Z głębokim smutkiem przyjęłam wiadomość, że 25 listopada 2020 roku odeszła do Pana

Ś.†P.

siostra Jadwiga Grzenkowicz OSU

moja wspaniała Nauczycielka i Wychowawczyni w Prywatnym Żeńskim LO Sióstr Urszulanek we Wrocławiu.

Rodzinie Siostry Jadwigi składam najszczersze wyrazy współczucia.

Irena Niżyńska-Dereń

WOJCIECH STRÓŻYK / REPORTER

Ojciec Ludwik Wiśniewski

Prorok – rzadki gatunek

ARTUR SPORNIAK

Ojciec Wiśniewski znany jest z żarliwych tekstów upominających się o ważne sprawy. W jego najnowszej książce możemy zobaczyć, jak rodzi się proroctwo.

„Oto na naszych oczach umiera w Polsce chrześcijaństwo". „Przed kilkoma miesiącami wysłałem do niemal stu polskich biskupów list, w którym starałem się zdefiniować najpilniejsze zadania stojące przed polskim Kościołem". „Ośmielam się powiedzieć to, co wielu ludzi boi się powiedzieć głośno".

Już z tych fragmentów tekstów o. Ludwika Wiśniewskiego, publikowanych na naszych łamach, widać, że dominikanin z Lublina pełni wyjątkową rolę w Kościele w Polsce. Dostrzega sprawy, których inni nie dostrzegają albo dostrzegać nie chcą, mówi o tym, o czym inni nie chcą mówić. Jego głos jest głosem prorockim i jak to z prorokami bywa, nie zawsze spotyka się z życzliwością. Ale o. Wiśniewski nie zważa na konsekwencje. Nie każdy tak potrafi – prorok to rzadki gatunek.

Jak się rodzi proroctwo? W przypadku o. Wiśniewskiego poprzedziły je robione prawie codziennie notatki. Ich wybór z lat 1996–2002 opublikowało jezuickie Wydawnictwo WAM w formie 400-stronicowej książki „Czarne z białym. Zapiski niepokorne". Redaktorem książki jest Maciej Müller, a wprowadzenie napisał ks. Adam Boniecki. We wstępie o. Wiśniewski wyjaśnia, że po powrocie do Polski z sześcioletniej pracy duszpasterskiej w Petersburgu postanowił „notować": „Ten mój *quasi*-dziennik pomyślany jest jako »rejestrator« wydarzeń, które akurat dostrzegam i które wydały mi się ważne".

Ks. Boniecki dopowiada: „Każdy zapis w »rejestratorze« to kunsztowny, dopracowany tekst, felieton, komentarz, miniwykład. Każdy też jest zapisem wnikliwego przemyślenia. Aż nie chciało mi się wierzyć, że nie jest to zbiór tekstów na bieżąco już gdzieś publikowanych". Nie jest. Mamy wyjątkową okazję, by przyjrzeć się sposobowi patrzenia, stylowi myślenia i wrażliwości o. Wiśniewskiego – niekiedy bardzo intymnie.

Książka składa się z czterech części. W pierwszej tematem są Polska i państwo. Druga dotyczy Kościoła i świata. W trzeciej dominikanin rozważa różne dylematy moralne. Ostatnia część – zatytułowana „W poszukiwaniu Boga" – poświęcona jest zagadnieniom wprost religijnym. Pretekstem do notatek stają się wydarzenia, przeczytane artykuły, spotkania z ludźmi. Niekiedy autor po prostu streszcza czyjś tekst, by móc kiedyś do niego powrócić. Aby się przekonać, jak trafne są to streszczenia, wystarczy np. porównać notę o tekście Leszka Kołakowskiego „Iluzje demitologizacji" z oryginałem. W większości przypadków mamy jednak nie tylko streszczenie czy opis, ale także komentarz, często polemiczny.

„Czarne z białym" ujawnia moment narodzin proroka. W jednej z not o. Wiśniewski pisze: „W moim życiu decydujący był rok 1970. Przeżyłem go w Gdańsku. Byłem świadkiem prawie wszystkiego, co miało miejsce na ulicach". Chodzi o reakcję na przemoc ze strony władz wobec protestujących w Grudniu '70. „Widziałem w oczach ludzi nienawiść. I wtedy sobie powiedziałem, i do tego wielokrotnie powracałem: jeśli warto przed czymś ludzi bronić, to bronić przed nienawiścią".

Mamy wgląd też w dojrzewanie prorockiej wrażliwości. W notatce „Uwaga na słowa" autor przeciwstawia się szafowaniu ostrych oskarżeń. Grupy *pro-life*, powstaniu których towarzyszył, zorganizowały panel dyskusyjny na temat obrony życia. Najbliższy współpracownik Karola Wojtyły z czasów jego wykładów z etyki na KUL, ks. prof. Tadeusz Styczeń, użył podczas tego panelu słów „zbrodnia" i „zbrodniarze". Ojciec Ludwik nie poczuł wtedy dysonansu. Ale po panelu spotkał przed kościołem płaczącą kobietę i usłyszał jej skargę: „Ja wiem, że popełniłam straszne zło, może nawet zbrodnię, ale ja nie jestem zbrodniarką. Ja byłam wtedy tak zaszczuta, tak przerażona, że nie wiedziałam, co robię". Odtąd zaczął bardziej uważać na słowa.

Dopowiedzenie w tytule książki łatwo uzasadnić np. przekorną notą „Masoneria". Traktuje ona o spotkaniu z Janem Józefem Lipskim, a kończy się pytaniem: „Ale ilu jest tak świętych masonów?".

©℗

REKLAMA

SERIA SEBALD
Przekład Małgorzata Łukasiewicz

Sebald wszystkiemu przygląda się z równie wytężoną uwagą i opisuje to z jednakową cierpliwością, jak gdyby wszystko na świecie było tak samo ważne; jego pisarstwo nie daje chwili na roztargnienie, niczego nie pomija i nie pozwala o niczym zapomnieć.

Maciej Płaza

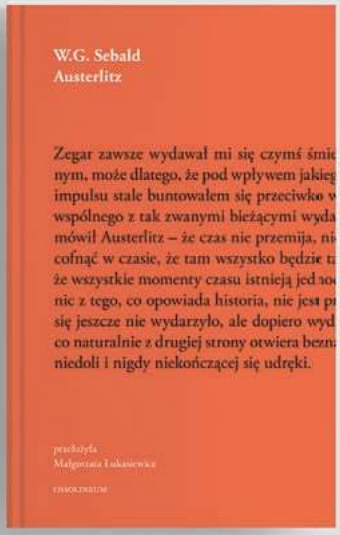

Austerlitz

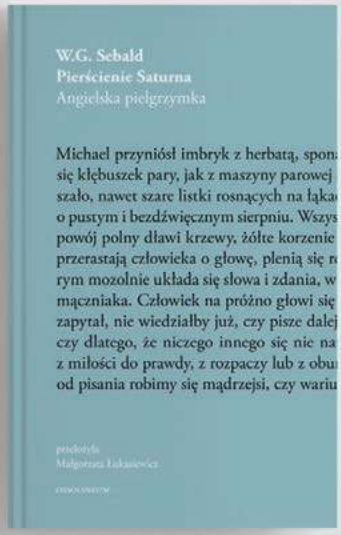

Pierścienie Saturna. Angielska pielgrzymka

WKRÓTCE W SERII

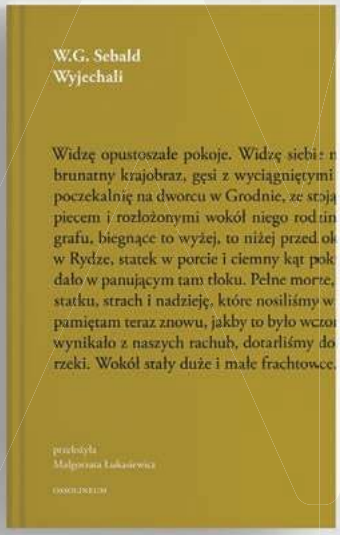

Wyjechali

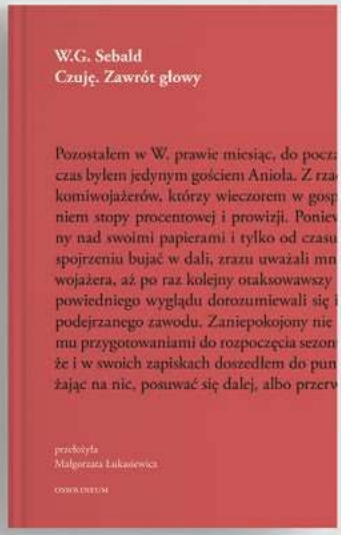

Czuję. Zawrót głowy

WYDAWNICTWO.OSSOLINEUM.PL

ZUZANNA

Radzik:
Normalna rzecz

Drogi Pierwszy Urzędzie Skarbowy, ksiądz profesor z papieskiego uniwersytetu mówi, że w Kościele to normalna droga. Poza tym, na szczęście już się przedawniło. Jeśli jednak trzeba, chętnie zgłoszę czynny żal. Serio żałuję. Najbardziej, że nie wykrztusiłam: na czarno nie pracuję, proszę księdza.

Rzecz w tym, że przyjęłam wynagrodzenie w kopercie za pracę dla instytucji kościelnej. Wzięli mnie z zaskoczenia, a potem gryzło mnie obywatelskie sumienie. Teraz jednak, drogi Pierwszy Urzędzie Skarbowy, okazuje się, że to wszystko normalne. Kardynał-sekretarz świętego też pieniądze przyjmował i dawał. „To jest tak normalna droga w Kościele, że tylko niewiedza może kogoś bulwersować" – podkreśla ksiądz profesor, gdy go broni (czy na pewno broni?). W każdym razie żaden dolar mu się nie przykleił, tak mówią. Ani księżom, którzy na zagraniczne studia dostawali kasę bez pokwitowań. Studenci się wykarmili. Ośrodki ponoć z tego budowano i parafie. Normalna rzecz. W Kościele normalna, rzecz jasna.

Drogi Pierwszy Urzędzie Skarbowy, to tylko naiwność i niewiedza właśnie. O kasie i Kościele za dużo nigdy nie rozmawiałam, bo bym może wiedziała, że kardynałowie biorą koperty od założycieli zakonów, arcybiskupi od proboszczów, proboszczowie od nas po kolędzie. No i że za prace na rzecz Kościoła płaci się w kopertach. System kopertowy niby taki nieformalny, ale jednak ma swoje zasady. Kto mi ostatnio opowiadał o arcybiskupie interweniującym u proboszcza w imieniu biskupa, który po bierzmowaniu dostał w kopercie zbyt mało? „Ksiądz podjedzie i uzupełni" – pojednawczo dodał metropolita. I nie działo się to w Gdańsku.

To w końcu tak normalna droga w Kościele, że tylko z niewiedzy można się bulwersować. Gdyby kardynał Becciu trzymał się systemu kopertowego, to byśmy nie wiedzieli, ile dokładnie kościelnych pieniędzy przekazał organizacji swojej przyjaciółki, a ile trafiło na konta jego braci. Teraz zaś chce pozwać dziennikarza o wielkie odszkodowanie, na cele charytatywne rzecz jasna.

Bulwersować się można tylko nie wiedząc, jaka jest normalna droga w Kościele. Na przykład dzięki raportowi o sprawie McCarricka już każdy sobie może poczytać, jak się normalnie nominuje arcybiskupa, nawet jeśli ciążą na nim zarzuty molestowania. Jak nuncjusze i prefekci piszą o nim laurki i zapewniają, że nawet jak sprawy wyjdą, to nikt nie uwierzy. Że klerykalny układ jest normalną drogą w Kościele, niby wiemy, a jednak serce pęka. Któryś już raz.

Dla odmiany, nie mogę się zdecydować, czy pęka mi serce, czy pękam ze śmiechu, gdy milczący w ważnych sprawach emerytowany kardynał-sekretarz komentuje dla KAI historyczne wydarzenie: rekolekcje episkopatu online. „Te rekolekcje pomagają biskupom w rozeznaniu potrzeb świata, który nas otacza, a także własnego stanu duchowego, tak aby podjąć słuszne postanowienia na przyszłość" – mówi milczący kardynał o rekolekcjach, które poprowadzi teolog z papieskiego uniwersytetu w Rzymie, ale też zjadliwy publicysta. To jakie są te potrzeby świata?

Skoro bulwersować się można tylko nie wiedząc, jaka jest normalna droga w Kościele, to kolejną wypowiedź papieża Franciszka o kobietach należy przyjąć ze spokojem. Ile razy słyszałyśmy, że wspiera przywództwo kobiet w Kościele, ale nie może to być przywództwo klerykalne? Święcenia kobiet są *no-go*, bo nie można wpadać w klerykalizm. Dlatego, by klerykalizmowi nie ulegać, święcimy tylko panów i tylko święconym powierzamy najwyższe funkcje. Panowie potem wyprowadzają pieniądze, promują kolegów, a innych chronią. Za to w ramach promocji przywództwa kobiet, któraś zostanie szefową Muzeów Watykańskich. Tak, wiem, normalna droga w Kościele. Ostatnio jednak bardzo łaknę jakiejś mniej normalnej. Gdyby tak wszystko postawić na głowie?

Na szczęście zaczął się Adwent, czyli czas prężenia nadziei. Poczytamy u proroków, jak wszystko się wali, a potem odbudowuje takie, jak trzeba. Będziemy się wspólnotowo przekonywać, że wierzymy w Moc, która przychodzi odmienić ten świat. A świat w tym roku wyjątkowo dotkliwy, nie tylko dlatego, że wciąż nie wiadomo, czy pojedziemy na narty.

W finale tego adwentowego sezonu znów się okaże, że Bóg, inaczej niż Kościół, powierza siebie i wcielenie – czyli swoją obecność w świecie i Kościele – kobiecie. ©

Nadzieja + raz jeszcze

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 49/2020

Nadzwyczajne Dni Tischnerowskie Nagroda Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera

Zapraszamy online:
fb.com/JozefTischner
fb.com/dni.tischnerowskie
fb.com/InstytutTischnera
więcej info na:
www.tischner.pl

Znak nadziei

WOJCIECH BONOWICZ

SKĄD SIĘ BIERZE MOJA NADZIEJA?
Doprawdy nie bardzo wiadomo. Jasne jest, że nie mogę wskazać konkretnej przyczyny nadziei; nadzieja nie jest jednym z ogniw w łańcuchu przyczynowości sprawczej. Nie mogę powiedzieć: »zrób to, a będziesz miał nadzieję«. Nie mogę też powiedzieć, że nadzieja bierze się »ze mnie« – nie jestem sprawcą mojej nadziei. Franz Rosenzweig powiada, że nadzieja rodzi się w śpiewie. Kto chce odzyskać nadzieję, niech się przyłączy do śpiewu. Nadzieja, jak iskra, przeskakuje od śpiewającego do śpiewającego. (...) Uczestniczymy w śpiewie, w tańcu, we wspólnej modlitwie... Nasza nadzieja jest taka, jakie jest nasze uczestnictwo. Gdy »wypadamy« z uczestnictwa, tracimy nadzieję".
Być może spośród wielu wypowiedzi ks. Józefa Tischnera na temat nadziei najbardziej znana jest właśnie ta: nadzieja bierze się z uczestnictwa. Tyle że akurat znaleźliśmy się w czasie, w którym uczestnictwo napotyka na przeszkody. Nie możemy ot tak wybrać się na spotkanie z przyjaciółmi czy na koncert. Musieliśmy założyć maski, zza których trudno śpiewać, a jeszcze trudniej posłać uśmiech. Raczej niewielu powiedziałoby, że to czas nadziei – dominuje obawa o przyszłość, strach o życie.
W tym roku minęła 20. rocznica śmierci ks. Tischnera. Po raz dwudziesty wręczono Nagrodę Znaku i Hestii, której patronuje. Stało się to podczas Nadzwyczajnych Dni Tischnerowskich, które odbyły się w dniach 18-21 listopada w internecie. Poszczególne wydarzenia oglądało nawet kilkanaście tysięcy osób. To dziwne uczucie: mimo że pracowaliśmy w izolacji, bez publiczności – takiej oddychającej, klaszczącej i zadającej pytania – dotarliśmy do o wiele większej liczby uczestniczek i uczestników niż zazwyczaj. Oto paradoks naszej sytuacji: zamknięci w czterech ścianach, oddzieleni od siebie, wcale nie „wypadliśmy" z uczestnictwa. Przeciwnie. Wiele oglądających osób dziękowało później za „łyk nadziei", „balsam dla duszy", „chwilę wytchnienia". W trudnym czasie, gdy pogłębiający się kryzys dotyka i państwa, i Kościoła, gdy społeczeństwo nie wie już, komu wierzyć i w którą stronę się zwrócić, Tischner okazał się „dobrym adresem" i czytelnym znakiem. Znakiem nadziei. ©

Na każdym skwerze tańczący Polacy...

Rozmowa z tegorocznymi laureatami Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera – Aleksandrą Domańską, Mariną Hulią i Robertem Piłatem.

KS. ADAM BONIECKI:
Kiedy ogłoszono decyzję Trybunału Konstytucyjnego w sprawie ustawy antyaborcyjnej i na ulice wyszły tłumy protestujących, szukałem jakiegoś wyjaśnienia tego, co się dzieje. Wydało mi się, że w Pańskiej książce – zwracam się do Roberta Piłata – jest rozdział dokładnie na tę okoliczność napisany: „O zgodności działania z przekonaniami". Mowa tam o tym, że czyny heroiczne, chwalebne „zawsze wykraczają poza nasze przekonania i racjonalnie zaakceptowane normy". Nie da się ich uczynić tak po prostu przedmiotem nakazu. Czy pisząc ten fragment, chciał nas Pan Profesor przed czymś ostrzec?

ROBERT PIŁAT: Jeżeli w ogóle myśleć o ostrzeżeniu, to tylko przed nadmiernym zdeterminowaniem myślenia przez własne przekonania i przez zastane wartości, które nie zostały poddane odpowiedzialnej krytyce. W książce nie zajmuję się żadnym z bieżących problemów, które tak rozpalają ludzkie emocje i dzielą ludzi na rozmaite stronnictwa. Zwróciłbym jednak uwagę, że wszystkie te stronnictwa bronią jakichś wartości: nie można nikomu odmówić prawa do obstawania przy tym, co dla niego cenne, jeżeli w ogóle chcemy zaangażować się w dialog. Jeżeli zaczniemy od zarzutu, że druga strona nie broni wartości, lecz jest cyniczna, albo broni tylko swego interesu, tracimy grunt do rozmowy. Musimy brać *bona fide* to, co ktoś do nas mówi, i to, z czym się spotykamy. Ogromnym zagrożeniem jest bycie więźniem własnych przekonań, nieumiejętność spojrzenia z dystansu na swoje przewodniki w życiu.

KS. AB: Mam wrażenie, że ten tłum na ulicach to nie są zwolenniczki i zwolennicy aborcji. To tłum, który jest wściekły, bo ktoś wszedł na teren, na który nie można wchodzić przez ustawy i przemoc. A Kościół to wejście akceptuje. Zastanawiam się, skąd się to bierze. W końcu Jan Paweł II wielokrotnie przepraszał za to, że Kościół w imię prawdy sięgał po środki nieewangeliczne. Bo przecież to jest nieewangeliczne: zmuszać ludzi, przystawiając im pistolet do głowy, żeby przestrzegali przykazań Bożych.

RP: Istotnie, gdzieś w naszym wnętrzu jest granica, do której nie powinno mieć dostępu przymuszające działanie. Ani ze strony prawa, ani nawet ze strony takiego miękkiego przymusu, jakim czasami operujemy jedni w stosunku do drugich. Tą granicą etyczną jest oczywiście godność. Ale jest też granica innego rodzaju, która wiąże się z sumieniem. Nie ma takiego systemu przekonań, którym można by zastąpić ludzkie sumienie. Przekonanie, że sumienie powinno pozostawać zawsze wolne, jest samym rdzeniem chrześcijaństwa. W książce piszę, że wielkim wsparciem dla autonomii sumienia jest autonomia myślenia. Gdyby nie wolność i pewnego rodzaju suwerenność w naszych myślach, nie mielibyśmy też suwerennego sumienia.

Z drugiej strony, sumienie nie jest wyrocznią ostateczną – w sensie nieomylności. To, że podkreślamy autonomię sumienia, nie oznacza, że nie potrzebujemy nauczania czy wychowania. Na wszystkie te tematy, które są objęte sumieniem, wciąż musi toczyć się debata. Ale debata, nie przymus. Gdy chodzi o obecny spór dotyczący aborcji, sumienia podpowiadają lu-

JĘDRZEJ KOGUT X3

MARINA HULIA jest pisarką i działaczką społeczną. Rosjanka urodzona na Ukrainie, od ponad 20 lat mieszka w Polsce. Nagrodzona w kategorii inicjatyw duszpasterskich i społecznych, współtworzących „polski kształt dialogu Kościoła i świata", za działalność na rzecz uchodźców i więźniów. „Budzi wrażliwość na los innych narodów i pomaga budować Polskę dla ludzi, a nie tylko dla Polaków".

ROBERT PIŁAT jest filozofem, wykładowcą UKSW w Warszawie. Nagrodzony w kategorii pisarstwa religijnego lub filozoficznego, stanowiącego kontynuację „myślenia według wartości", za książkę „O rozsądku i jego szaleństwach", w której – jak pisze jury w werdykcie – „przypomina, że filozofia ma służyć dobremu życiu", a „roztropność sprzyja ludzkiemu rozwojowi".

ALEKSANDRA DOMAŃSKA jest pisarką i reżyserką. Nagrodzona w kategorii publicystyki lub eseistyki na tematy społeczne, która uczy Polaków przyjmować „nieszczęsny dar wolności", za książkę „Bohatyrowicze. Szkice do portretu", w której „bada historyczne przyczyny podziałów wśród Polaków", wskazując „na skłonność do gloryfikacji klęski i związany z nią trwały uraz do sił postrzeganych jako obce".

dziom różne rzeczy. Co mamy zrobić wobec tej różnicy, która sięga tak głęboko, że aż do tego, co w zasadzie nie powinno być naruszalne? Można to objąć tylko jakimś mądrym dialogiem. Bo przymus wobec sumienia nie działa. Natomiast rozmowa, pogłębianie perspektywy – pytanie, dlaczego sumienie mówi mi to, co mówi – jak najbardziej. Ta rozmowa musi dziś moim zdaniem przyjąć postać krytyki radykalnej. Nie takiej, w której ja krytykuję mojego przeciwnika, a on mnie, tylko takiej, w której każdy krytykuje samego siebie, szukając gruntu, z którego wytryska siła jego sumienia. Taka krytyka może nam pomóc znaleźć wspólny korzeń naszych sumień. Oto moja nadzieja: pogłębiona, radykalna krytyka, skierowana ku sobie samym i ku źródłom własnych przekonań, może być tym, co nas uratuje od zderzeń, w których nie ma rozjemcy, Salomona, potrafiącego wejść między nas i powiedzieć, co słuszne, a co niesłuszne.

HENRYK WOŹNIAKOWSKI: Książki Pana Profesora i pani Aleksandry Domańskiej łączy to, że docierają one do pewnych ważnych treści poprzez dzieła kultury. W „Bohatyrowiczach" rysuje Pani coś w rodzaju profilu „wiecznej polskości" – począwszy od bohaterów Konfederacji Barskiej, pokazanych czy to przez Jędrzeja Kitowicza, czy przez Wybickiego i jego pamiętniki, czy wreszcie przez twórczość Henryka Rzewuskiego, a następnie powracających, w sposób bardziej ambiwalentny, w twórczości naszych romantyków, Słowackiego przede wszystkim. Ten profil ma swoje kolejne wcielenia, dziś pewnie wyraża się w postaci – bo ja wiem? – tego, co dzieje się na Marszach Niepodległości i w rozmaitych formach patriotycznej egzaltacji, które krytykom tych form wydają się omylne i szkodliwe. Czy jesteśmy skazani na taki właśnie podział – na konserwatywnych „patriotów" i progresywnych „obywateli" – który przetrwa aż do skończenia świata?

ALEKSANDRA DOMAŃSKA: Cóż, po całej tej pracy, którą wykonałam, studiując także siebie i swoje „kieszenie wyobraźni", uważam, że rzeczywiście nie ma wyjścia: te dwie rywalizacje, jak to nazywa Rzewuski, nie są w stanie się dogadać. W poszczególnych esejach znajduję tego różne przykłady. Wygląda na to, że jedna ze stron po prostu nie życzy sobie dialogu i ma ważne powody ku temu, żeby do tego dialogu nie dopuszczać. Kiedy dysponuje się jakąś wiarą objawioną, która mnie i moją wspólnotę czyni silną, wszystko jest możliwe: jestem zdolny do największej odwagi, do największych poświęceń. Jedno, czego nie mogę dopuścić, to zwątpienie. Czyli każdy, kto poddaje jakąś inną wersję bytu, jest mi wrogiem i musi być wykluczony, bo inaczej runie gmach mojej wiary.

Czym jest konfederacja? To zaburzenie porządku: ja muszę zburzyć zły świat. Nie mogę tego jednak zrobić metodami legalnymi, no bo ten zły świat na tym właśnie się zasadza, że się legalnymi metodami posługuje. Muszę zatem dokonać rebelii, ze wszystkimi tego konsekwencjami, także z gotowością na klęskę, której klęską oczywiście nie nazwę. I rzeczywiście: Bohatyrowicz to jest kondycja, która nie umie doznawać sukcesu, nie umie zwyciężać. Żeby coś zbudować z innymi, trzeba by zacząć rozmowę, a to jest niemożliwe. Piszę w książce o czymś, co można nazwać terrorem racji. O ludziach, którzy całe życie poświęcili obronie własnych systemów wartości i dlatego nie mogą nagle zrezygnować, cofnąć się, zacząć negocjować.

MIŁOSZ PUCZYDŁOWSKI: A czy to nie jest tak, że jeżeli dokonamy jakiegoś uczciwego wglądu w samych siebie, odkryjemy tam obie te tożsamości? I zobaczymy, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni?

AD: Moja książka jest takim dialogiem z sobą samą. Ale wnioski, jakie z niej płyną, są następujące: porozumieć się ↦

↦ z innymi mogą tylko ci, którzy nie używają w nadmiarze zdań oznajmujących, rozstrzygających o czymś. Tylko wtedy tworzy się przestrzeń dialogu.

MP: Ty, Marino, zdecydowałaś się na życie wśród ludzi, którzy byli w jakiś sposób napiętnowani, odrzuceni. Przede wszystkim z uchodźcami, których my, Polacy, trochę się baliśmy, ale też z więźniami, z bezdomnymi. Widziałem na własne oczy Twoje działania i urzekło mnie to, że miałaś pewne strategie, żeby tych ludzi z obiektów naszego strachu przekształcić w przedmiot naszej troski, naszych przyjaciół. Jak Ty to robisz, że my przestajemy się tych ludzi bać, a zaczynamy wspólnie z nimi żyć?

MARINA HULIA: W Polsce jest tak, że jeżeli jest się uchodźcą lub uchodźczynią, to całe życie ma się z drugiej ręki. Pomoc – prymitywna pomoc, której ja nie cierpię – polega na tym, że ktoś czyści sobie szafę, bierze worek na śmieci, pakuje tam różne ubrania, czasami niedoprane, oddaje do ośrodka dla uchodźców i mówi: „jak świetnie, pomogłem". To upokarzające. No bo wyobraźcie sobie: tam, skąd uciekłam, miałam swój dom, swoją krowę, swój rower. Przyjeżdżam tu i nagle jestem bezdomna, bo ośrodek dla uchodźców to nie jest dom, a w dodatku zaczynam mieć życie z drugiej ręki: kurtkę po kimś, buty po kimś, pieniądze z opieki społecznej. To odziera z godności. Dokładnie taka sama sytuacja jest w zakładach karnych. Życie tam, za murami, wygląda trochę jak w przedszkolu: więźniowie kleją zamki z zapałek, potem te zamki wędrują do gablotek, do tego jakieś origami – to wszystko jest bez sensu. Ani uchodźcom, ani więźniom, ani bezdomnym nie stwarza się okazji, żeby coś komuś dali. A jeśli tylko bierzesz i wyciągasz rękę, to twoje życie przestaje mieć dla ciebie jakąkolwiek wartość.

Moja strategia jest prosta: jeśli tu jest jeden margines – bezdomni, a tu drugi – uchodźcy, to trzeba te dwa marginesy połączyć, a wtedy wychodzi piękny złoty środek. Skupiamy się na dawaniu. I dajemy to, co możemy, niekoniecznie rzeczy materialne. W Warszawie, w dzielnicy Radość, jest dom samotnej starości, w nim zaś polskie staruszki, latami nieodwiedzane przez nikogo. A jednocześnie są Czeczenki, których matki albo umarły, albo zginęły w wojnie, albo zostały w Czeczenii, i czeczeńskie dzieci, które na obczyźnie nie mają babć. Staruszki cieszą się: „Córeczki nasze przyjechały!". Chodzi o coś bardzo prostego: żeby zbudować bliskość i relacje. Żeby wziąć tę rączkę, powiedzieć babci, że krem jest czarodziejski, krążenie na pewno się polepszy, i tę rączkę wymasować, a potem wycałować. I wtedy korzystają i kobiety, i dzieci, i babcie.

Podobnie z bezdomnymi. Najpierw jeździłam do nich ze wspólnotą katolicką i to było bardzo fajne: przywoziliśmy ryż, konserwy, rozmawialiśmy. A potem pomyślałam: po co? Ta wspólnota to wspaniali młodzi ludzie, ale ja przecież mogę pojechać tam z czeczeńskimi mamami i dziećmi, i możemy coś razem zrobić. Pojechaliśmy do Kazika, który mieszka w altance, wysprzątaliśmy ją, a potem założyliśmy tam warsztacik stolarski. Zaczęliśmy robić domki dla ptaków, a nawet saneczki dla mopsa, bo mopsy bardzo nie lubią chodzić po śniegu. Kazik to złota rączka, chłopaki mu pomagają, dziewczynki malują. I stał się cud. Kazik przestał pić. No, może nie zupełnie, ale prawie.

15 lat temu w ośrodkach dla uchodźców nie było nic, nawet flamastra. Co wtedy zrobiliśmy z osadzonymi? Mnóstwo kolorowanek i zeszytów do kaligrafii zrobionych przez więźniów popłynęło z zakładów karnych. Woreczki na buty, piórniki, faceci z Popowa szyli, kobiety z „Kamczatki", czyli z aresztu śledczego Warszawa-Grochów, haftowały – i to wszystko było dla dzieci. A potem się otworzyły więzienne mury i weszliśmy z dziećmi na teren tych jednostek, które nam pomogły, z koncertami dziękczynnymi. I to znowu było wzajemne. Jeden z więźniów napisał: „W życiu nie wiedziałem, że narysowanie jelonka Bambi jest trudniejsze od wykopania rowu. Być może, kiedy wyjdę, zrobię to dla własnego syna".

Jestem przeciwniczką „wolontariatu cierpiętniczego". Ktoś wstaje i myśli: „Boże, jak mi się nie chce, ale trzeba, bo tam są potrzebujący". Nie trzeba. Jeżeli się nie chce, to nie trzeba. Pomaganie powinno być radosne, estetyczne. Nie w worku na śmieci, tylko z kokardą, z przytupem, z piosenką.

MP: Czego my, Polacy, możemy się nauczyć od ludzi innych narodów, którzy do nas przyjeżdżają i chcą z nami mieszkać?

MH: Ostatnio pomagałam Kamilowi Witkowskiemu w pracy nad filmem „Heda" – o czeczeńskiej kobiecie, która umiera na raka płuc. Ale to nie jest film o umieraniu, tylko o życiu. Zdążyliśmy go nakręcić wtedy, kiedy Heda jeszcze mówiła. Przytuliłyśmy się i ona powiedziała: „Słuchaj, czy pamiętasz, jak się nazywa ta polska choroba, co taka jest epidemia?". To było jeszcze przed koronawirusem. „Że tak bardzo narzekają, a to na pogodę, a to, że paliwo drogie, tak narzekają i tak im jest źle". Ja mówię: depresja. „O! Depresja. Ja trzy wojny przeżyłam, pochowałam pierworodnego syna, który zginął w drugiej wojnie czeczeńskiej, mam raka – i nie mam tej polskiej choroby". Więc tego można się nauczyć – siły kobiet, ich mądrości. Pod koniec filmu Heda mówi: „Allah daje, Allah zabiera, trzeba przyjmować godnie to, co przychodzi". W Czeczenii nie ma domów starców. Nawet podczas wojny, kiedy zginie cała rodzina, sąsiad będzie uważał za zaszczyt przygarnięcie staruszki lub staruszka. I będzie troskliwie się nimi opiekował. Szacunek dla osób starszych jest tam tak głęboki, że nawet jeżeli starsza osoba mówi bzdury, to młodsza nigdy jej tego nie powie, wysłucha, pomyśli swoje, ale się nie sprzeciwi. To bardzo subtelna kultura.

JĘDRZEJ KOGUT

Laureaci, jurorzy i ekipa organizacyjna podczas rejestracji gali Nagrody Znaku i Hestii im. ks. J. Tischnera. AST, Kraków, 25 października 2020 r.

Ośrodki dla uchodźców często umieszcza się w lesie. Jak oni mają się zintegrować? Jak mogą nas czegokolwiek nauczyć? Dlatego ja biorę grupę mam i dzieci, wsadzam do autokaru i jeździmy do różnych miast. Wrocław, Gdynia, Gdańsk, Sopot, trzy razy byliśmy w Poznaniu, cztery razy w Krakowie. Ale my nie oglądamy, to nie są wycieczki. Jedziemy do ludzi. Np. robimy piknik wielokulturowy, gdzie są potrawy i kaukaskie, i polskie, gdzie wspólnie śpiewamy, tańczymy. Staram się wyrywać ich z tych ośrodków, żeby poznawali Polskę, ale nie z podręczników do geografii czy historii, bo tam większość treści jest dla nich niezrozumiała, tylko poprzez ludzi, poprzez smaki i zapachy. Moje mamy z dworca Brześć zaprzyjaźniają się z polskimi rodzinami. Kiedy Madinie z trójką dzieci wymówiono mieszkanie w Brwinowie, przyjęli ją pod swój dach Kasia i Maciek Stuhrowie. Inna matka trójki dzieci, Fatima, przyjaźni się z Magdą, która pracuje w korporacji. Magda zabrała całą rodzinę na dwa tygodnie wakacji. Czyli przymierze rodzin. Wspólny ramadan, wspólna wigilia, wspólne wyjazdy. W tę stronę, moim zdaniem, trzeba iść.

HW: Chciałbym w tym kontekście zapytać o nadzieję, która jest tematem przewodnim tegorocznych Nadzwyczajnych Dni Tischnerowskich. Bardzo mi się spodobał ostatnio cytat z Václava Havla, mówiący o tym, że nadzieja nie jest przekonaniem, że coś pójdzie dobrze, lecz raczej przekonaniem, że to, co robimy, ma sens, niezależnie od tego, jak pójdzie. Panie Profesorze, co Pan o tym sądzi? W Pańskiej książce jeden z esejów także poświęcony jest nadziei.

RP: Niewątpliwie nadzieja potrafi zdeterminować życie. Żywiąc nadzieję, działam inaczej i żyję inaczej, niż gdybym nie miał nadziei. Jeżeli ona nie ma być czystym marzycielstwem, to musi się realizować tu i teraz. Podoba mi się myśl Tischnera, że nadzieja realizuje się między ludźmi, że substancją nadziei, gliną, w której nadzieja rzeźbi, jest wspólnota. Kiedy rozmawiam z innymi, kiedy podejmuję z nimi wspólne czynności, kiedy się rozumiemy i lubimy, to jest to ta właśnie materia, która buduje nadzieję. Ale oczywiście nadzieja to nie tylko czyn, to także namysł, samoświadomość. Muszę nie tylko przejawiać nadzieję w działaniu, ale też wiedzieć, że mam nadzieję, myśleć o nadziei, umieć używać tego słowa tak, by mogło funkcjonować w rozmowie.

Ale wtedy zaraz się pojawia jakaś konstrukcja metafizyczna. Jeden ma nadzieję, bo wierzy w życie wieczne, drugi ma nadzieję, bo wierzy w postęp społeczny, trzeci ma nadzieję, bo wydaje mu się, że zaraz znajdziemy życie w kosmosie i wszystko się ułoży. Tego rodzaju metafizyczne podstawy nadziei opatruję dużym znakiem zapytania. Wydaje mi się, że na tej drodze niewiele osiągniemy. Droga Tischnerowska – przez rozmowę – jest o wiele poważniejsza. A za jeszcze poważniejszą uważam drogę samowiedzy. To znaczy – nadzieja jako poszukiwanie w sobie podstaw swojego działania. Już nie tylko angażowanie się, już nie tylko rozmyślanie o świecie: czy ten świat podtrzymuje nadzieję, czy nie podtrzymuje nadziei, czy śmierć, cierpienie są w jakiś sposób odwoływalne, czy nie, i tak dalej. Nie. Chodzi o to, żeby zrozumieć podstawę tego, co myślę i co czynię. I wówczas rzeczywiście jest trochę tak, jak w tym powiedzeniu Havla: jeżeli mam nadzieję, to przekształcam siebie. Coś takiego się ze mną dzieje, że jestem w stanie zaakceptować rozmaite warianty rzeczywistości, nie tracąc nic z poczucia sensu. Moje poczucie sensu nie zależy od tego, czy zdarzy się jutro to lub tamto, lecz od tego, jak w ogóle traktuję świat.

KS. AB: A jak to wygląda z Pani perspektywy, pani Aleksandro?

AD: Kiedy słuchałam pani Mariny, przypomniałam sobie, jak wiele lat temu byłam w Paryżu. Był akurat 14 lipca, święto narodowe, i o północy całe miasto wyszło na ulice i tańczyło na każdym skwerze. Wróciłam wtedy do Polski – a był to głęboki PRL – z przekonaniem, że fajnie być Francuzem, i marzeniem, żebyśmy nauczyli się tego, co oni wtedy zademonstrowali. Strasznie bym chciała zobaczyć taki Kraków, taką Warszawę, w której ludzie wreszcie by się rozluźnili. Bo my jesteśmy strasznie spięci. No ale spróbujmy sobie to wyobrazić – na każdym skwerze tańczący oberka Polacy. Przecież to niemożliwe! Ale gdyby było możliwe, wtedy być może zniknęłaby też moja bezradność w odpowiedzi na pytanie o dialog tych dwóch różnych odmian polskości. Bo na poziomie dogadywania się i rozumu nie bardzo to widzę. Dusza skołatana, pełna kompleksów i niepewności... Potrzebna byłaby tu jakaś przychylność dla siebie i swojego losu. A wtedy sens sam się znajdzie.

© Rozmawiali KS. ADAM BONIECKI, HENRYK WOŹNIAKOWSKI I MATEUSZ PUCZYDŁOWSKI

Mosty zamiast murów

WOJCIECH BONOWICZ

„Nadzieja u Tischnera to nie klajster rzeczywistości, ale coś, co układa tę rzeczywistość i nadaje jej sens", mówiła podczas jednego z webinarów filozofka Maria Karolczak.

Taki był zasadniczy motyw Nadzwyczajnych Dni Tischnerowskich: nadzieja. Nadzieja raz jeszcze. Mimo tego, co dzieje się wokół, albo właśnie na przekór temu, co dzieje się wokół – nadzieja.

Wiosną tego roku miały się odbyć 20. Dni Tischnerowskie. Planowano, że ich tematem będzie solidarność. Okazja była podwójna, a nawet potrójna: w czerwcu wypadała 20. rocznica śmierci ks. Tischnera w sierpniu – 40. rocznica porozumień sierpniowych, a w październiku mijało 40 lat od momentu, gdy Tischner zaczął pisać „Etykę solidarności". Pandemia uniemożliwiła jednak przeprowadzenie imprezy w zaplanowanym kształcie. Wtedy w Instytucie Myśli Józefa Tischnera powstał pomysł zorganizowania Nadzwyczajnych Dni Tischnerowskich. Nadzwyczajnych – to znaczy: zrobionych jakby „poza kolejnością", w inny sposób (bo jedynie w internecie) i na inny temat. A równocześnie zrobionych tak, żeby zachować coś z klimatu tradycyjnych Dni: klimatu radosnego poszukiwania prawdy.

Scenariusz był prosty: poszczególne dni poświęcono trzem „mistrzom nadziei", których spotkał na swojej drodze Tischner. Roman Ingarden, Karol Wojtyła, Antoni Kępiński – każdy z nich miał ogromny wpływ na osobę i dzieło autora „Etyki solidarności". Co ich łączyło? Może to, że w trudnych czasach potrafili zmieniać rzeczywistość wokół siebie. Ingarden zmieniał ją głównie przez myślenie; w czasie okupacji, gdy waliły się fundamenty kultury europejskiej, zaczął pisać „Spór o istnienie świata". Wojtyła próbował zmienić styl funkcjonowania Kościoła; dziś mało się o tym pamięta, ale w latach 50. ubiegłego wieku to była sensacja: ubogi, prawie niczego nieposiadający ksiądz, żyjący blisko świeckich, niebojący się iść z młodymi w góry („Gdzie jest ubóstwo, tam jest wolność", tłumaczył klerykom na wykładach). I wreszcie Kępiński, który nie tylko wpłynął na sposób traktowania pacjentów, ale skłaniał do refleksji nad bogactwem i niepowtarzalnością ludzkich doświadczeń. To dzięki jego inspiracji Tischner napisał jeden ze swoich najważniejszych tekstów, „Ludzi z kryjówek".

W kolejne dni można było posłuchać fragmentów pism Tischnera czytanych przez wybitnych aktorów – Radosława Krzyżowskiego, Jacka Romanowskiego i Jerzego Trelę. Były wstępem do rozmów. W tych rozmowach myśl Romana Ingardena przybliżał Paweł Rojek, a jego bardziej prywatną stronę – Krzysztof Ingarden, wnuk filozofa (z zapisków dziadka przeczytał m.in. wzruszający wiersz dedykowany narzeczonej, późniejszej żonie). O swoich spotkaniach z Karolem Wojtyłą i znaczeniu jego postaci opowiadał Karol Tarnowski, który przyszłego papieża poznał jeszcze jako student. Na pytanie, czy Antoni Kępiński był w swojej dziedzinie rewolucjonistą, odpowiadała jego biografka Anna Mateja.

Zamiast debat zaproponowano więc spotkania bardziej kameralne. Taki charakter miał też wieczór z tischnerowskimi archiwaliami, który poprowadził niżej podpisany, oraz spotkanie z bratankami ks. Tischnera, Markiem i Łukaszem, które moderowała Jolanta Kogut. Wszystkie materiały są i będą dostępne w sieci, więc można sięgnąć do tej ostatniej rozmowy i dowiedzieć się np., jakich aparatów fotograficznych używał ks. Tischner, jak się ubierał, ale też – jaką cenę płacił za swoją popularność i dostępność.

Przedpołudnia wypełniały webinary – czyli rozmowy o myśli Tischnera, w które można się było włączyć, zadając pytania na czacie. Dni otworzyła rozmowa z Anną Dymną, a zakończyła gala Nagrody Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera oraz projekcja filmu dokumentalnego „Heda", opowiadającego o losach czeczeńskiej rodziny, która dotarła do Polski. W ten sposób powstała szczególna klamra: Anna Dymna opowiadała o tym, że dla jej niepełnosprawnych przyjaciół nadzieja to po prostu każdy dzień – bo o każdy trzeba zawalczyć tak, jakby był ostatnim. A jedna z laureatek nagrody i współautorka „Hedy", Marina Hulia, podkreślała, że w życiu trzeba działać punktowo, nie starając się zmienić całego świata, ale zaczynając od drobnych rzeczy, które zmieniają los jednostek i sposób myślenia tych, którzy się z nimi zetkną.

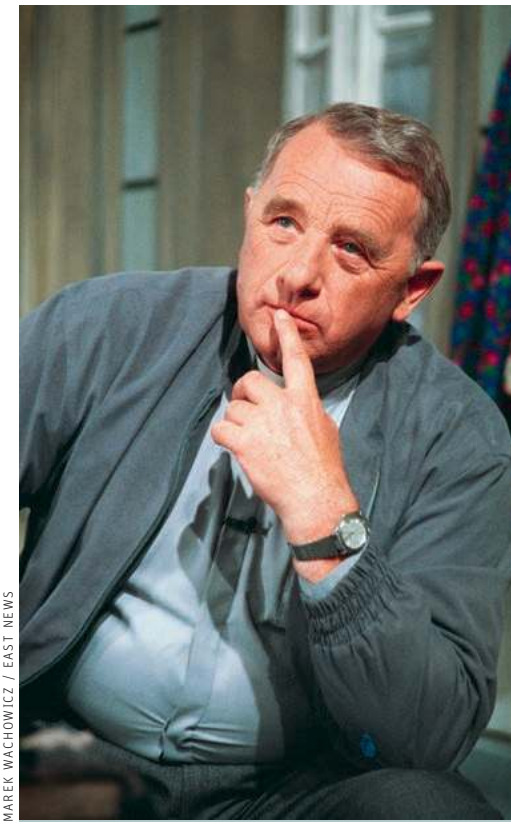

MAREK WACHOWICZ / EAST NEWS

Ks. Józef Tischner, 1996 r.

Jak zatem jest z tą nadzieją? – pytano. Skąd się ona bierze? „W tekstach Józefa Tischnera widać jakieś zasadnicze zaufanie do świata", podkreślał jego bratanek Łukasz. To właśnie ono pozwalało Tischnerowi wychodzić do ludzi inaczej myślących i – przy całym krytycyzmie – szukać dobrej woli nawet tam, gdzie inni widzieli przede wszystkim zagrożenie. Może to przypadek, a może nie, ale właśnie w czasie Dni ktoś przysłał mi myśl Newtona: „Ludzie budują za dużo murów, a za mało mostów". Tischner w pamięci wielu pozostał właśnie jako „człowiek mostów". Czy potrafiłby dzisiaj spiąć oddalające się od siebie brzegi? ©

Nadzieja sięga głębiej

ARTUR SPORNIAK

Brakuje nam Tischnera. Co powiedziałby dziś? Jaką by miał receptę? Jakim dowcipem rozbroiłby emocje? Prawdy, którymi się dzielił, brzmią świeżo. Przekonuje o tym nowy zbiór tekstów: mało znanych i niepublikowanych jeszcze w żadnej książce.

Książka „Nadzieja mimo wszystko" jest jak list bliskiej osoby, który się gdzieś zawieruszył i po dwudziestu paru latach został odnaleziony. Czytając, wzruszamy się, ale też odkrywamy, jak aktualna jest jego treść. Teksty – zebrane i zredagowane przez Wojciecha Bonowicza – pochodzą (z jednym wyjątkiem) z lat 90. Publikowane były głównie w „Tygodniku Małopolskim", „Przekroju" i miesięczniku „Hale i Dziedziny", albo w trudnodostępnych publikacjach zbiorowych. Dużą ich część ks. Tischner wygłaszał w różnych miejscach – w tym tak egzotycznych, jak Ośrodek Kształcenia Kadr Wywiadu w Starych Kiejkutach. Redaktor zbioru w „Posłowiu" dopowiada, że książka prowadzi po obszarach, „na których toczy się dzisiejszy spór o nadzieję".

Zaczyna się od etyki, dwoma aktualnymi tematami: refleksją nad sumieniem i nad wolnością. W jednym z tekstów Tischner, analizując ewangeliczne pytanie: „kto jest moim bliźnim?", zastanawia się, jak uniknąć formalizmu skupionego na normie i ignorującego okoliczności. „Sumienie jest czymś w rodzaju sposobu życia, a nie kalkulowaniem: czy to już grzech, czy jeszcze nie" – zauważa. W książce znajdziemy też dopowiedzenia do „Nieszczęsnego daru wolności". Gdy nie mieliśmy wolności, walczyliśmy o nią, ryzykując nawet życie. Gdy już ją zdobyliśmy, zaczęliśmy się jej bać. Wolność to dziwna rzeczywistość, sprawia kłopot, a jednocześnie trudno myśleć o naszym człowieczeństwie, ignorując ją.

Następną sferą są relacje społeczne, wielki temat ojczyzny jako moralnej wspólnoty, ale też kwestia sporów politycznych – tu znakomity felieton o dobrym i złym polityku. Książkę dopełniają pytania egzystencjalne o sens cierpienia i śmierci, a także religijne, np. czym jest nawrócenie.

U osób, które Tischnera znały, lekturze towarzyszyć będzie wspomnienie mentora, mistrza, przyjaciela. Dla nowych czytelników będzie to spotkanie z nietuzinkowym myślicielem. Trafimy zatem na lapidarne, a jednocześnie trafne określenia. Filozof np. mówi do kadr wywiadu: „Etyczny wymiar waszej służby na tym się zasadza i na tym polega, że macie pracować po to, ażeby nie musiało się strzelać". W innym miejscu definiuje demokrację (jakby obserwował dzisiejszą sytuację) jako „zdolność do kompromisu i do unikania krwi i przemocy w sytuacjach sporu". Tak niepopularny dziś dialog, zdaniem Tischnera, „jest potrzebny przede wszystkim do pozbycia się własnych ograniczeń i przesądów, bo chociaż byłyby one najpiękniejsze i nie wiem jak święte, zawsze mogą być osobistym złudzeniem".

Odnajdziemy osobiste zwierzenia: „Każdy ma swojego nieprzyjaciela w życiu. Ja przez wiele lat miałem dwóch, bo z jednego trudno było wyżyć. Usiłowałem walczyć z komunizmem i walczyć z pewnymi formami polskiego katolicyzmu". Wysłuchamy też, a jakże, anegdot. Jak choćby tej o Schopenhauerze, który na wątpliwości swoich słuchaczy: „Panie, tak pan pięknie o etyce gadasz, a przykładu to pan nie dajesz", miał odpowiedzieć: „A widział ktoś, żeby drogowskaz szedł do miasta?". Doświadczymy bardzo Tischnerowskiej przewrotności i zabawy filozofią, jak w tekście dowodzącym, że radio i telewizję wymyślili starożytni Grecy. Oczywiście nie zabraknie też mądrości góralskiej – przykładem powiedzenie: „Rób, jak uwazos, ale uwazuj, jak robis".

Książka w swojej wymowie nie jest jednak frywolna. Jest taka, jaki był Tischner: bez patosu, ale też bez silenia się na sprawianie wrażenia pewności, traktuje o rzeczach najważniejszych, nie bojąc się zadawać najtrudniejszych pytań: o wiarę, wierność, rozpacz, śmierć.

A z perspektywy dzisiejszego kryzysu w Kościele intrygują uwagi Tischnera na temat różnicy między wiarą a nadzieją. „Wiara jest próbą wykroczenia człowieka ponad czas". Tak wiarę pojmuje Kościół. „Ale rzeczywistością świata dzisiejszego jest żywe doświadczenie czasu". „Nadzieja siedzi głębiej, o nadzieję w gruncie rzeczy chodzi". Tym tropem warto chyba pójść. ©℗

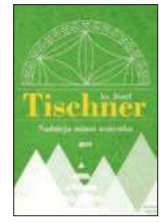

ks. Józef Tischner
NADZIEJA MIMO WSZYSTKO
Znak, Kraków 2020

Organizatorzy Nadzwyczajnych Dni Tischnerowskich: Instytut Myśli Józefa Tischnera, Akademia Sztuk Teatralnych, Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, Uniwersytet Jagielloński i Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, współorganizatorzy: Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, Urząd Miasta Krakowa, Akademia Górniczo-Hutnicza, partnerzy: Radio Kraków, Miesięcznik Znak, księgarnia De Revolutionibus.

TYGODNIK POWSZECHNY
DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 49/2020
REDAKCJA: Wojciech Bonowicz, Michał Okoński | PROJ. GRAF. Marek Zalejski
FOTOEDYCJA: Jacek Taran | SKŁAD: Zuzanna Kardyś
Na okładce: ks. Józef Tischner | MAREK TISCHNER / DNI TISCHNEROWSKIE

PARTNER DODATKU
ERGO HESTIA

CZAS NA NOWE SOJUSZE

Młode ruchy ekologiczne w Niemczech krytykują nie tylko politykę klimatyczną rządu, ale coraz częściej także Zielonych. Tymczasem partia ta chciałaby w 2021 r. dołączyć do rządzącej koalicji.

ŁUKASZ GRAJEWSKI Z BERLINA I LIPSKA

Nie tak władze niemieckich Zielonych wyobrażały sobie zakończenie prac nad nowym, czwartym już programem w 40-letniej historii partii. Po serii kilkuset spotkań, na których członkowie ugrupowania – a jest ich dziś ponad 100 tys. – mogli współtworzyć jego kształt, samo jego ogłoszenie musiało odbyć się w miniony weekend w sterylnym studiu filmowym, z udziałem nielicznych liderów.

Epidemia popsuła długo oczekiwane show: nie było licznie zgromadzonych delegatów, świętujących odnowiony program. Jednocześnie epidemia uratowała władze Zielonych przed ostrymi dyskusjami i krytyką ze strony partyjnych dołów. Te coraz częściej domagają się od szefostwa radykalniejszych postulatów w temacie dla partii kluczowym: ochrony klimatu.

Spadek i wzlot

W żadnym innym państwie świata partia ekologiczna nie ma tak wysokiego poparcia jak niemieccy Zieloni. Sondaże sugerują, że w wyborach do Bundestagu, które odbędą się jesienią 2021 r., mogą liczyć na stabilne poparcie rzędu 20 proc. Patrząc na grupy wiekowe wyborców, tendencja jest klarowna: im ktoś młodszy, tym chętniej popiera Zielonych. Ugrupowanie to wyrasta na siłę, która może zdominować niemiecką scenę polityczną w zaczynającej się dekadzie.

Popularność ta wynika głównie z dwóch powodów. Po pierwsze: tematy, które mają dla nich znaczenie nadrzędne – ekologia i klimat – stały się w ostatnich latach, obok migracji, zagadnieniem dominującym w niemieckiej debacie. Po drugie, partia się zmienia i dzięki temu zyskuje. Bo jeszcze w poprzednich wyborach, w 2017 r., Zieloni zdobyli tylko 8,9 proc. głosów – więcej uzyskały nie tylko główne siły (chadecja CDU/CSU i socjaldemokracja SPD), ale też Alternatywa dla Niemiec, liberałowie z FDP i postkomunistyczna Partia Lewicy.

Taki wynik był czerwoną kartką dla dotychczasowego kierownictwa – i wtedy to na czele ugrupowania stanął nowy duet męsko-damski (co w niemieckich partiach staje się standardem). 40-letnia Annalena Baerbock i 51-letni Robert Habeck zaczęli harmonijnie zabiegać o głosy klasy średniej. Oboje należą do tzw. Realos: partyjnego skrzydła stawiającego na cele realistyczne, za które w polityce płaci się kompromisami wobec własnych przekonań. Dla Zielonych to już tradycja. Co jakiś czas dochodzi w partii do konfliktu między Realos a Fundis, fundamentalistami, którzy w kwestii ekologii nie chcą słyszeć o ustępstwach.

Zieloni się zmieniają

Pod nowym przywództwem Zieloni zaczęli mniej eksponować krzykliwe zakazy – jak słynny „dzień bez mięsa", który chcieli wprowadzić w 2013 r. Wywołało to wówczas powszechną irytację w społeczeństwie, które nie stroni od wędlin i steków z grilla.

Nowi liderzy postarali się zatem, aby partię łączyć z wszystkim oprócz irytującego radykalizmu. Zaczęli utrwalać

JANE BARLOW / EAST NEWS

Protest ruchu Fridays For Future we Frankfurcie nad Menem, 25 września 2020 r.

nowy wizerunek Zielonych: jako polityków, którzy unikają zbędnych konfliktów, nie wyrokują pochopnie, wsłuchują się w opinie wyborców i zawsze mają na uwadze rację stanu. A do tego są sympatyczni i bezpretensjonalni.

Zwłaszcza Robert Habeck szybko stał się ulubieńcem mediów. W epicentrum „habeckomanii" najpoważniejsze gazety pisały, jaki to miły i swojski jest lider Zielonych – po tym, kiedy zdjął w pociągu buty i w skarpetce dziennikarka dostrzegła dziurę. Jakiś komentator skonstatował, że Habeck samym wzrokiem potrafił przekonać rozmówcę, by ten wsłuchał się w jego racje... Znużone dzierżącą od 15 lat stery państwa kanclerz Angelą Merkel, media zaczęły już typować lidera Zielonych na jej następcę. Opinię taką mogły utwierdzać sondaże, w których Zieloni szli w górę, raz czy drugi wyprzedzając nawet chadecję.

Zielonym pomógł też fakt, że w innych partiach codziennością są ostatnio spory personalne. Od wielu miesięcy chadecka CDU trwa pod tym względem w zawieszeniu – po tym, jak Merkel zrezygnowała z funkcji przewodniczącej i zapowiedziała, iż nie będzie kandydować w 2021 r. na urząd kanclerza, a jej następczyni w tej pierwszej roli, minister obrony Annegret Kramp-Karrenbauer, zrezygnowała z przewodzenia CDU. Odkąd wybuchła pandemia, procedura wyboru następcy (spośród kilku kandydatów) jest faktycznie zawieszona. Z kolei socjaldemokraci w krótkim czasie kilkakrotnie wymieniali liderów.

Na tym tle Zieloni coraz bardziej wyglądali jak modelowa niemiecka Volkspartei – partia masowa, która swój program adresuje do możliwie jak najszerszej grupy wyborców. ↦

Tu i teraz

Gdy w sierpniu 2018 r. Greta Thunberg zainicjowała globalny strajk młodzieżowy, wydawało się, że niemieccy Zieloni powinni tylko zacierać ręce.

W żadnym innym kraju pomysł młodej Szwedki nie padł na tak podatny grunt. W krótkim czasie na terenie całych Niemiec zaczęły tworzyć się nieformalne struktury ruchu Fridays For Future (Piątki dla Przyszłości). Uczniowie i studenci co piątek urządzali sobie wagary i na miejskich placach głośno domagali się zmian w polityce klimatycznej, także niemieckiej.

Dynamiczny rozwój tego radykalnego ruchu zepsuł rządowi Merkel pomysł na politykę klimatyczną, której głównym punktem w tej kadencji miało być podjęcie decyzji o odejściu od wykorzystywania węgla jako surowca energetycznego. Specjalnie powołana do tego tzw. Komisja Węglowa zdecydowała w 2019 r., że nastąpi to najpóźniej do roku 2038. Plan był w swojej istocie typowy dla Angeli Merkel: długoterminowy, uwzględniający za i przeciw różnych grup interesów, pozwalający na dalsze stopniowe rozbudowywanie infrastruktury odnawialnych źródeł energii (OZE).

Tymczasem młodzież na ulicach, powtarzająca postulaty Grety Thunberg, zaczęła domagać się od polityków działań „tu i teraz". Dla aktywistów Fridays For Future pomysł, aby zaprzestać spalania węgla dopiero w 2038 r., to nie wyraz troski o klimat, lecz odsunięcie problemu w rejon czasowej abstrakcji. „Kradniecie naszą przyszłość" i „Koniec węgla teraz" – brzmiały hasła na kolejnych demonstracjach.

Poparcie rekordowe

Symbolem zupełnego niezrozumienia między nowymi aktywistami a politykami stała się scena, która rozegrała się w marcu 2019 r. przed ministerstwem gospodarki. Do zgromadzonych tam kilku tysięcy uczniów i studentów wyszedł minister Peter Altmaier.

Chciał uspokoić, przedstawić ważne niuanse, poinformować o racjach biznesu. Jednak nie powiedział nic, bo młodzież nie dała mu dojść do głosu, domagając się natychmiastowego zamknięcia elektrowni węglowych. „To był naprawdę gówniany pomysł" – powiedział bezradny Altmaier do swojego doradcy o pomyśle wyjścia do demonstrantów (słowa ministra uchwyciły mikrofony kamer telewizyjnych).

Bezkompromisowy ton demonstrantów podchwycił Rezo, gwiazda niemieckiego YouTube'a. Na swoim kanale opublikował nagranie, w którym oskarżył rządzącą Wielką Koalicję chadeków i socjaldemokratów o to, że jej polityka prowadzi do dewastacji planety i jest niekompatybilna z argumentami świata naukowego na temat działań, które trzeba podjąć w walce ze skutkami zmian klimatycznych. „Nie głosujcie na CDU ani na SPD" – namawiał youtuber, a było to na tydzień przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Wielu zrozumiało tę odezwę również w inny sposób: że należy głosować na Zielonych.

Można się spierać, na ile był to oddźwięk apelu Rezo, a na ile efekt procesów trwających już dłużej. Ale faktem jest, że Zieloni otrzymali wtedy rekordowe 20,5 proc. głosów. I zaczęli na poważnie przymierzać się do kolejnych wyborów do Bundestagu – z celem osiągnięcia jak najlepszego wyniku i zastąpienia SPD w roli koalicjanta chadecji.

„Miks" energetyczny

Pomimo całej krytyki – ze strony Fridays For Future i innych – to chadecja Angeli Merkel pozostaje jednak tą partią, która od lat konsekwentnie wprowadza przepisy promujące Energiewende – jak w Niemczech nazywa się proces przechodzenia na czyste źródła energii (ten typowo niemiecki neologizm można przełożyć jako „zmiana w energetyce" albo chyba jeszcze trafniej: „energetyczna rewolucja").

Równocześnie chadecja, która ma silne skrzydło dbające o interesy przemysłu i przedsiębiorców, argumentuje, że nie może pozwolić sobie na zbyt rewolucyjne zmiany – to znaczy takie, które doprowadziłyby np. do znacznej podwyżki cen energii, które i tak już są najwyższe w Europie. Chadecja przypomina zarazem, że to kanclerz Merkel podjęła w 2011 r. decyzję o wyłączeniu wszystkich reaktorów atomowych do roku 2022 (choć już niekoniecznie przypominając, że była to impulsywna reakcja na demonstracje, które przeszły przez niemieckie miasta po katastrofie w elektrowni atomowej w japońskiej Fukushimie).

W pierwszej połowie 2020 r. elektrownie atomowe odpowiadały wciąż za 12,3 proc. niemieckiego „miksu" energetycznego. Jednak do końca 2022 r. sześć wciąż działających elektrowni jądrowych przestanie działać i ich dotychczasowy udział trzeba będzie czymś zastąpić. Na pewno nie będzie można liczyć na zastąpienie atomu węglem. W związku z ubiegłoroczną decyzją również udział węgla w „miksie" energetycznym będzie się stopniowo zmniejszał – tak, aby za góra 18 lat mógł przejść do historii.

Obecnie elektrownie spalające węgiel brunatny i kamienny odpowiadają wciąż łącznie za ok. 20 proc. produkowanej w Niemczech energii. Ale rząd zachęca koncerny energetyczne, żeby zwłaszcza kopalnie węgla kamiennego zamknąć jak najszybciej, i oferuje wysokie rekompensaty. Również tę lukę trzeba będzie czymś zastąpić.

Energiewende ma zadyszkę

Co pozostaje? Dla klimatycznych aktywistów rzecz jest prosta: trzeba dalej inwestować w odnawialne źródła energii, tylko dużo więcej niż dotychczas. To logiczny tok myślenia, bo w 2020 r. już blisko 56 proc. wytwarzanej w Niemczech energii pochodzi z zielonych źródeł. Najwięcej, bo aż 30,6 proc. produkują farmy wiatrowe. Dalej są panele słoneczne (11,4 proc.), biomasa (9,7 proc.) i elektrownie wodne (4 proc.).

Ten dorobek może budzić uznanie – zwłaszcza gdyby porównać go do polskiego „miksu", w którym w 2019 r. za 73,6 proc. produkcji energii odpowiadały elektrownie na węgiel kamienny i brunatny, a źródła odnawialne produkowały zaledwie 12,7 proc. energii.

Z drugiej strony, nawet przy tak dużym udziale odnawialnych źródeł energii Niemcy wciąż pozostają największym trucicielem w Unii Europejskiej, który emituje dwa razy więcej CO_2 niż Polska. A szybka zmiana tego stanu rzeczy nie jest taka pewna, bo Energiewende ewidentnie dostała zadyszki.

Żeby uzupełniać luki po atomie i węglu, na lądzie powinno powstawać kilka tysięcy nowych wiatraków rocznie. Tymczasem w całym 2019 r. powstało ich niespełna 300, a ich łączna moc (około jednego gigawata) to najsłabszy wynik od dwóch dekad. Bo też farmy nie powstają przecież w ośrodkach miejskich, gdzie mieszka najwięcej zwolenników zielonej energii. Z kolei na prowincji zaczyna już brakować miejsca, a o niemal każdy nowy teren pod budowę farm urzędnicy

ALEXANDER BECHER / DDP IMAGES / FORUM

Transmisja przemówienia Roberta Habecka, współprzewodniczącego niemieckich Zielonych, podczas wirtualnego zjazdu partii. Berlin, 21 listopada 2020 r.

muszą toczyć wojny z lokalnymi wspólnotami, które nie życzą sobie turbin pod oknami. Przeciwnicy obwiniają je o hałas, negatywne oddziaływanie na zdrowie i oszpecanie krajobrazu.

Mniej powinny przeszkadzać wielkie farmy wiatrowe na morzu, ale i tutaj czynnik ludzki znacznie spowalnia proces rozbudowy. Prąd z farm morskich trzeba bowiem jakoś doprowadzić na południe kraju. A budowanie nowych trakcji do Bawarii czy Badenii-Wirtembergii również jest blokowane przez lokalne inicjatywy.

Zieloni za mało zieloni?

Jednak Energiewende nie sprowadza się tylko do źródeł energii. Program zakłada całościową zmianę myślenia w praktycznie każdej branży. I tu również zwolennicy zdecydowanych działań na rzecz klimatu zgłaszają szereg problemów, wskazując tym razem na Zielonych.

– Przykładowo przed ostatnimi wyborami do władz Berlina Zieloni obiecywali wprowadzić przepisy, które zmuszą deweloperów do instalowania paneli słonecznych na każdym nowym budynku – mówi w rozmowie z „Tygodnikiem" Michael Hohenadler. – Skończyło się na tym, że budynki muszą być zaledwie kompatybilne, tzn. gotowe na tego rodzaju instalacje, ale nie ma obowiązku stawiania paneli.

Hohenadler, z którym spotykam się w Berlinie, przez blisko pięć lat był członkiem partii Zielonych. Teraz współtworzy struktury nowej partii pod nazwą Radikal Klima (w wolnym przekładzie: Radykalnie dla Klimatu) i pełni funkcję jej rzecznika. Ugrupowanie powstało w efekcie rozczarowania aktywistów Zielonymi.

Im bliżej do jesieni 2021 r. i wyborów do Bundestagu, tym środowiska, które atakują Zielonych z pozycji radykalnie ekologicznych, stają się coraz liczniejsze.

– Zieloni siedzą już w wielu landowych parlamentach. I oczywiście była duża nadzieja, że w związku z tym coś się zacznie zmieniać – tłumaczy Hohenadler. Współzałożyciel nowej formacji politycznej nawiązuje do faktu, że choć na poziomie federalnym Zieloni są w opozycji, to zasiadają w rządowych koalicjach w aż 11 krajach związkowych.

Jednym z tych landów jest Berlin, gdzie Zieloni współtworzą rząd razem z SPD oraz Partią Lewicy. Dla wielu ta koalicja uchodzi za lewicowy eksperyment, szczególnie otwarty na bardziej radykalną politykę klimatyczną. – Zieloni bardzo dużo obiecywali, tymczasem nawet rozumiejąc, że polityka wymaga kompromisów, trzeba przyznać, że zmieniło się bardzo mało – uważa Hohenadler. Berliński senat (rząd lokalny) zamknął niedawno dla samochodów część Friedrichstraße, jednej z głównych ulic w centrum stolicy. – Bardzo się tym chwalą, ale to działanie podjęte dopiero teraz, gdy powoli zaczyna się już kampania wyborcza – dodaje aktywista.

Oprócz wyborów federalnych, za rok odbędą się też wybory do berlińskiego parlamentu landowego. Michael Hohenadler tłumaczy, że Radikal Klima oczywiście chciałaby się do niego dostać. Ale na czas kampanii stawia sobie także inny cel: wywarcie presji na Zielonych.

– Jesteśmy małą, młodą partią i nie mamy jeszcze tych typowych egoistycznych zapędów. Jeśli nasze postulaty wprowadzi inna partia, to również będzie to nasz sukces – mówi Hohenadler. Program nowego ugrupowania jest wciąż w przygotowaniu, ale główne punkty będą na pewno krążyć wokół drastycznej redukcji emisji CO_2.

Czy Niemcy powinni więcej

Również w innych landach aktywiści klimatyczni rezygnują ze współpracy ze strukturami partii Zielonych i przygotowują własne listy wyborcze. Tak dzieje się w Badenii-Wirtembergii, bogatym landzie na południu, gdzie Zieloni nie tylko współtworzą rząd od 2011 r., ale mają tam własnego premiera; to Winfried Kretschmann. Do wyborów landowych, które odbędą się w marcu 2021 r., przygotowują się tam kandydaci Listy Klimatycznej, która zarzuca Zielonym, jakoby w obecnej kadencji szli na koalicyjne kompromisy z chadekami i przyjmowali dotacje od koncernów motoryzacyjnych, w tym od Daimler AG, właściciela m.in. Mercedesa, którego siedziba mieści się w Stuttgarcie, stolicy landu.

Także w Hesji nowe organizacje klimatyczne krytykują tamtejszych Zielonych, którzy przyznają, że nie mogą cofnąć budowy nowego odcinka autostrady, wiążącej się z wykarczowaniem lasu. Aktywiści Fridays For Future przypinają się więc tam łańcuchami do drzew i szukają kolejnych kruczków prawnych, aby zatrzymać inwestycję. Przybyły do nich na negocjacje przedstawiciel Zielonych został wybuczany. W wyniku tego sporu aktywiści Fridays For Future i paru innych organizacji ekologicznych pod koniec października wdarli się do siedziby Zielonych w Berlinie i wywiesili na balkonie płachtę z hasłem, że są oni „partią lobby samochodowego".

Nowi aktywiści zarzucają też Zielonym, że w imię budowania dobrych relacji z przemysłem mieli zarzucić walkę o ograniczenie wzrostu średniej ↦

↦ temperatury na świecie do 1,5 stopnia Celsjusza, co według porozumienia paryskiego „znacznie obniżyłoby ryzyko i skutki zmiany klimatu”. Niemieccy aktywiści traktują ten cel z niemal religijną gorliwością, choć jego osiągnięcie w małym stopniu zależy od polityki pojedynczych państw, bo wymaga szybkiej redukcji emisji CO_2 na poziomie całego globu.

Michael Hohenadler z Radikal Klima rozumie międzynarodowy aspekt polityki klimatycznej. Ale tym bardziej chce, aby Berlin stał się pozytywnym przykładem, budowanym, jak twierdzi, nie tylko na marketingu, ale realnych działaniach.

– Ekologiczne rozwiązania w takich miastach jak Kopenhaga czy Amsterdam inspirują ludzi na całym świecie. Berlin ze swoją rozpoznawalnością też może przyczynić się do zmiany – twierdzi Hohenadler. Aktywista zdaje sobie sprawę, że obywatele Niemiec są w uprzywilejowanej sytuacji w porównaniu do mieszkańców biedniejszych państw. Dlatego, jak mówi, powinni podjąć większy wysiłek na rzecz ochrony klimatu.

Produktywne napięcia

Trudno jednak sobie wyobrazić, że partia Zielonych nagle wraca do swoich rebelianckich korzeni i na sztandarach umieszcza takie postulaty wykrzykiwane na ulicach, jak całkowity zakaz lotów krajowych, zakaz poruszania się po miastach autami typu SUV czy zmniejszenie liczby wszystkich aut w Niemczech do 2035 r. o połowę.

Z pewnością też partyjni stratedzy śledzą wyniki badań społecznych. Z niedawnego sondażu przeprowadzonego przez Wuppertalski Instytut na rzecz Klimatu, Środowiska i Energii wynika, że osoby starsze w większości nie popierają młodych aktywistów spod znaku Fridays For Future – choć jednocześnie w swych codziennych nawykach i wyborach konsumenckich zwracają większą uwagę na ich skutki dla klimatu niż ludzie młodzi. Osoby 60+ to potężna grupa wyborców i możliwe, że przyciągnięcie jej to największe wyborcze wyzwanie dla Zielonych.

Nieprzypadkowo w *credo* swej partii, opublikowanym na łamach tygodnika „Die Zeit”, Robert Habeck i Annalena Baerbock pisali, że na obecne niespokojne czasy potrzebna jest „gotowość do nowych politycznych sojuszy, które pozorne sprzeczności będą uznawały za produktywne napięcia”.

Pod tym fragmentem tekstu, opublikowanym w mediach społecznościowych przez Annalenę Baerbock, od razu zaczęli komentować zwolennicy bardziej radykalnych działań. „Koalicja z chadecją to nie jest dobry pomysł” – brzmiał jeden z komentarzy, dotykający niezbyt już nawet skrywanego pragnienia Zielonych, aby utworzyć rząd także w koalicji z CDU/CSU. Bez wątpienia oznaczałoby to rezygnację z wielu własnych postulatów.

Zwłaszcza gdyby długotrwałe skutki epidemii podważyły fundamenty niemieckiego dobrobytu, oparte na prosperujących koncernach eksportujących globalnie swoje produkty. Oraz gdyby szczodrze uruchamiane dziś rządowe programy antykryzysowe w końcu zmusiły państwo do oszczędności.

Czy w postpandemicznej już rzeczywistości Zieloni – przyjmijmy, że od jesieni 2021 r. współtworzący rząd – dalej będą partią haseł ekologicznych i klimatycznych? W każdym razie – młode pokolenie aktywistów i nowo powstające partie, te jeszcze bardziej zielone, na pewno będą w tym zakresie dalej wywierać presję.

© ŁUKASZ GRAJEWSKI

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem zawiadamiamy,
że 17 listopada 2020 roku, w Warszawie, odszedł w wieku 90 lat

Ś.† P.

Andrzej Krzeczunowicz

wieloletni pracownik Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa
w Monachium (1954–1988), w tym redaktor,
komentator i zastępca dyrektora Rozgłośni Polskiej RWE,

w latach 1989–1992 dyrektor Biblioteki Polskiej
i Muzeum Adama Mickiewicza w Paryżu,

od 1992 do 1997 r. ambasador RP w Belgii i Luksemburgu,
oraz stały przedstawiciel RP przy NATO i Unii Zachodnioeuropejskiej
w randze ambasadora,

członek zespołu rządowego prowadzącego negocjacje
w sprawie wejścia Polski do NATO,

kawaler maltański i drugi wiceprezydent
Związku Polskich Kawalerów Maltańskich w latach 1997–2002,

prezes Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie w latach 2010–2017,

wykładowca na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie w Londynie,
na Akademii Polonijnej w Częstochowie
i w Europejskiej Akademii Dyplomacji na Uniwersytecie w Opolu,

w 1997 r. odznaczony
Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski.

Odszedł człowiek o ogromnej wiedzy, kulturze i erudycji,
zasłużony dla Polski, dobry i mądry.

Ze względu na ograniczenia reżimu sanitarnego uroczystości
pogrzebowe odbędą się 2 grudnia br. w gronie rodzinnym.

Pogrążeni w smutku

ŻONA, SYN, SYNOWA, WNUKI

DANIEL MIHAILESCU / AFP / EAST NEWS

Prokuratorka Laura Kövesi była twarzą walki z korupcją. Usunięcie jej przez postkomunistyczny rząd wywołało protesty, podobnie jak próby zablokowania jej kandydatury na szefową unijnej prokuratury generalnej. „Popieram Kövesi" – głosi hasło na plakacie. Bukareszt, 7 marca 2019 r.

Czerwoni baronowie przechodzą do historii

KAMIL CAŁUS

Dla Rumunii to jak rewolucja: w cieniu epidemii dokonuje się upadek partii postkomunistycznej, która przez 30 lat trzęsła krajem w stylu polityczno-kryminalnego thrillera.

To właściwie przesądzone: wybory parlamentarne, które odbędą się w Rumunii w najbliższą niedzielę 6 grudnia, będą czymś więcej niż tylko wyborami. Będą ciosem – kolejnym z wielu i ostatecznym – dla formacji do niedawna potężnej, której korzenie sięgają epoki komunizmu.

Mowa o Partii Socjaldemokratycznej (PSD). To postkomunistyczne ugrupowanie rządziło lub współrządziło Rumunią przez większą część okresu po 1989 r. Jego ogromne zasoby finansowe, dostęp do mediów i odziedziczone po partii komunistycznej rozległe struktury lokalne pozwalały mu utrzymywać względnie wysokie poparcie, a co za tym idzie – władzę. Pomagała też koniunktura gospodarcza.

Dopiero ostatnie lata w dziejach PSD to już nie historia sukcesu, lecz opowieść o tym, jak w spektakularny sposób można roztrwonić naprawdę duży kapitał polityczny.

Kropla przelewa czarę

Złą passę dla postkomunistów/socjaldemokratów zapoczątkował pożar w bukareszteńskim klubie Collectiv: pięć lat temu, 30 października 2015 r., zginęły w nim aż 64 osoby, a niemal 150 odniosło rany. Szybko stało się jasne, że przyczyną tego dramatu był szereg zaniedbań technicznych, do których mieli dopuścić skorumpowani urzędnicy. To była kropla, która przelała czarę. Społeczeństwo zawrzało. Na ulice stolicy wyszły dziesiątki tysięcy ludzi. Skandowali „Korupcja zabija!", a polityków rządzącej wówczas centrolewicy wprost nazywali „mordercami".

Premier-socjaldemokrata Victor Ponta zdawał sobie sprawę, że bez rozładowania narastającego napięcia społecznego trudno będzie jego partii zwyciężyć w zaplanowanych na koniec 2016 r. wyborach parlamentarnych. Dlatego zdecydował się na zabieg tyleż zręczny, co kontrowersyjny: niecały tydzień po pożarze ustąpił ze stanowiska. Na kolejny rok władzę przejął „techniczny" gabinet Daciana Cioloșa. Emocje zelżały, a socjaldemokraci – zgodnie z oczekiwaniami Ponty – odnieśli w wyborach zwycięstwo, uzyskując aż 45 proc. głosów.

Miał to być jednak ostatni sukces tej formacji.

Długi cień korupcji

Następcą Ponty na stanowisku przewodniczącego socjaldemokratów został Liviu Dragnea: polityk wpływowy, na którym ciążyły jednak oskarżenia o korupcję i wydany w kwietniu 2016 r. wyrok dwóch lat więzienia w zawieszeniu za oszustwa wyborcze (sic!). Mimo wygranej PSD, Dragnea był więc w trudnej sytuacji. Prawomocny wyrok uniemożliwiał mu objęcie stanowiska premiera, a jednocześnie bał się, że inne prowadzone przeciw niemu śledztwa – tym razem dotyczące korupcji – mogą zakończyć się dla niego więzieniem. ↦

↦ Postanowił więc działać. Niemal natychmiast po wyborach doprowadził do powołania na stanowisko szefa rządu Sorina Grindeanu – polityka pozbawionego większych wpływów, którym mógł łatwo manipulować. Następnie zaczął, za pośrednictwem nowego gabinetu, forsować zmiany prawne, które miały łagodzić lub wręcz znosić kary za część przestępstw o charakterze korupcyjnym.

To oburzyło zarówno opozycję (na czele z centroprawicowym prezydentem Klausem Iohannisem), jak też społeczeństwo, pamiętające protesty antykorupcyjne z 2015 r. W całym kraju zaczęły się nowe demonstracje, w których uczestniczyło niekiedy nawet po pół miliona ludzi.

Pod naciskiem protestów rząd chwilowo wstrzymał planowane zmiany, ale Dragnea nie zamierzał ustępować. Tym razem jednak wszedł na kurs kolizyjny nie tylko z własnym społeczeństwem i opozycją, ale także z partnerami zachodnimi Rumunii, w tym z USA, Komisją Europejską, a koniec końców nawet z częścią polityków własnej partii.

Śmiech poprzedza upadek

Zaledwie po sześciu miesiącach pełnienia urzędu premier Grindeanu ugiął się pod presją protestujących oraz opinii międzynarodowej – i zaczął wycofywać się z wdrażania nowych regulacji prawnych. W odpowiedzi PSD przegłosowało wobec niego wotum nieufności. Następcą Grindeanu został Mihai Tudose, ale także on w ciągu zaledwie pół roku stracił stanowisko; przyczyną był jego konflikt z Dragneą.

Lider socjaldemokratów, który przez cały ten czas trzymał nieformalnie władzę „z tylnego siedzenia", postanowił więcej nie ryzykować. Na kolejnego premiera przeforsował Vioricę Dăncilę – swoją zaufaną współpracowniczkę, pozbawioną większych ambicji politycznych, zdolności przywódczych czy choćby oratorskich.

Decyzja ta, motywowana strachem Dragnei przed partyjnym buntem, miała mieć ogromne konsekwencje dla pogarszającego się z miesiąca na miesiąc wizerunku ugrupowania. Centrolewicowy rząd, który podejmując rozpaczliwe próby ochrony skorumpowanych polityków do tej pory wzbudzał głównie złość, teraz zaczął śmieszyć.

Nie było miesiąca, aby media nie przytaczały kolejnej gafy popełnionej przez panią premier. Do historii przeszło m.in. złożone przez nią szefowi czarnogórskiego rządu podziękowanie za gościnę nie w Podgoricy, lecz w Prisztinie (stolicy Kosowa, którego niepodległości Rumunia do dziś nie uznaje). Dăncilă szybko stała się drugą – obok samego Dragnei – twarzą upadku formacji postkomunistycznej.

Na wojnie z Unią

Zdając sobie sprawę z zaufania, jakim w społeczeństwie rumuńskim cieszą się instytucje unijne, Liviu Dragnea długo unikał wchodzenia z nimi w otwarty konflikt. Jednak wobec coraz wyraźniejszej krytyki płynącej z Brukseli, musiał jakoś zareagować.

Partia Socjaldemokratyczna zaczęła więc działać dwutorowo. Z jednej strony oskarżała Komisję Europejską, że ta nie rozumie sytuacji wewnętrznej w Rumunii i jest dezinformowana przez rumuńską opozycję. Z drugiej zaś strony, politycy tej partii zaczęli coraz częściej powoływać się na argumenty suwerennościowe, odwoływać się do patriotyzmu oraz do rzekomej konieczności obrony kraju przed wpływami zewnętrznymi.

Strategia ta nie przynosiła jednak oczekiwanego rezultatu. W Unii – właśnie w takiej Unii, naciskającej na rumuńską „grupę trzymającą władzę" – coraz więcej Rumunów widziało nie zagrożenie dla niezależności ich ojczyzny, lecz sojusznika w walce z korupcją, która po roku 1989 stała się jedną z największych plag trapiących kraj.

Nemezis dla Dragnei

W tym starciu Liviu Dragnea odnosił też sukcesy. A przynajmniej tak mogło mu się początkowo wydawać. W maju 2018 r. udało mu się więc – po długich miesiącach starań – doprowadzić do usunięcia ze stanowiska szefowej prokuratury antykorupcyjnej (DNA) Laury Codruţy Kövesi.

Ta bardzo popularna i ciesząca się ogromnym zaufaniem społecznym prokurator okazała się jednak osobistą *nemezis* lidera PSD. Dymisja Kövesi doprowadziła do kolejnych protestów, z którymi władze nie umiały sobie już poradzić inaczej, niż sięgając po przemoc. I tak, 10 sierpnia 2018 r. gromadząca setki tysięcy ludzi pokojowa manifestacja w Bukareszcie została spacyfikowana za pomocą gazu, armatek wodnych i pałek. Ponad 400 osób odniosło obrażenia.

Wobec fali krytyki, która potem nastąpiła, władze zareagowały uporem: twierdziły, że nie mają sobie nic do zarzucenia, płynącą zaś także ze strony Unii krytykę działań policji zbywały przywoływaniem podobnych przypadków we Francji czy Hiszpanii.

Społeczeństwa to nie przekonało. Popularność socjaldemokratów gwałtownie topniała i w maju 2019 r., podczas wyborów do Parlamentu Europejskiego, PSD zdobyła zaledwie 23 proc. głosów (zaledwie wobec tego, na co mogła liczyć wcześniej). Porażeni tym wynikiem wysoko postawieni członkowie partii zaczęli wzywać Dragneę do dymisji. Lider PSD nie zdążył podjąć jednak decyzji w swojej sprawie: następnego dnia po wyborach, 27 maja 2019 r., został skazany na 3,5 roku pozbawienia wolności za nadużycie urzędu.

Klęska za klęską

Pozbawiona silnego przywódcy Partia Socjaldemokratyczna zaczęła chwiać się w posadach. Chaos panujący w PSD, a także fakt, że obowiązki lidera przejęła nieradząca sobie z zarządzaniem Viorica Dăncilă, doprowadził do serii spektakularnych porażek politycznych.

Już w sierpniu 2019 r. doszło do rozpadu koalicji rządzącej, z której wycofała się partia ALDE – dotąd wierny sojusznik socjaldemokratów, zapewniający im większość. Chwilę później Rumunia poniosła dwie wizerunkowe porażki na forum unijnym. Pierwszą było kompromitujące dla rządu odrzucenie przez Komisję Europejską forsowanej przez Bukareszt na stanowisko komisarza ds. transportu Rovany Plumb (zarzucono jej konflikt interesów). Drugą zaś – zakrawające na ironię losu – obsadzenie na czele nowo powstałej europejskiej prokuratury generalnej Laury Kövesi – mimo sprzeciwów rządu Rumunii.

Ostatecznie w październiku rząd socjaldemokratów upadł, a niecały miesiąc później władzę przejął mniejszościowy, centroprawicowy gabinet pod kierownictwem Ludovika Orbana, lidera Partii Narodowo Liberalnej (PNL). Przypieczętowaniem klęski PSD była przegrana Dăncili z urzędującym Klausem Iohannisem w wyborach prezydenckich w listopadzie: była premier zdobyła zaledwie 34 proc. głosów. Natychmiast po tej klęsce Dăncilă ustąpiła ze stanowiska szefowej partii, a jej obowiązki przejął Marian Ciolacu.

Covid nie uleczy PSD

Choć od aresztowania Dragnei minęło już półtora roku, PSD nadal nie jest w stanie

znaleźć na siebie nowego pomysłu i stopniowo oddaje pole przeciwnikom. We wrześniowych wyborach samorządowych partia straciła stanowisko mera Bukaresztu, które dotąd piastowała jedna z jej gwiazd, Gabriela Firea. Popularności socjaldemokratów nie ratuje nawet pandemia, która poważnie dotknęła Rumunię, dając lewicy paliwo do krytyki rządu Ludovika Orbana. Podejmowane przez PSD próby przełożenia grudniowych wyborów w związku z sytuacją epidemiczną postrzegane są powszechnie jako gest rozpaczy.

Pozycję socjaldemokratów dodatkowo podkopuje coraz ostrzejsza krytyka ze strony głównych sojuszników Bukaresztu. Na początku października ambasador USA w Rumunii publicznie chwalił centroprawicowy rząd za walkę z pandemią, a jednocześnie ostro atakował „czerwonych baronów-rabusiów", którzy „manipulują prawem, aby napchać swoje kieszenie kosztem rumuńskiego ludu". W Rumunii, gdzie PSD nazywa się często partią czerwonych baronów, nikt nie miał wątpliwości, o kogo mogło chodzić przedstawicielowi Waszyngtonu.

Rozprzężeniu w PSD sprzyja także pojawienie się w parlamencie jej bezpośredniego ideologicznego konkurenta – ugrupowania PRO Romania, któremu szefuje Victor Ponta, ich dawny kolega partyjny. Do szeregów tej formacji w ciągu ostatnich miesięcy przeszło spore grono dotychczasowych socjaldemokratów, a w październiku PRO Romania oficjalnie wchłonęła ALDE. W efekcie Partia Socjaldemokratyczna ma dziś poparcie rzędu 10 proc.

Zmiany systemowe

Osłabienie PSD wydaje się nieodwracalne. Nie tylko z tych powodów, o których powiedzieliśmy powyżej. Także dlatego, że scena polityczna w Rumunii ulega poważnym zmianom systemowym. Coraz większą popularnością cieszą się ugrupowania niezwiązane z dotychczasowym mainstreamem, oddolne, stawiające na realną walkę z korupcją. Taką partią jest zwłaszcza Związek Ocalenia Rumunii (USR).

Choć grudniowe wybory niemal na pewno przyniosą sukces przede wszystkim formacji obecnego premiera Ludovika Orbana (ma szansę zdobyć jedną trzecią głosów), to wywodząca się z ruchów miejskich USR – startująca w bloku wraz z ugrupowaniem PLUS, kierowanym przez Daciana Cioloşa (dawnego premiera „technicznego") – ma szansę na zdobycie ponad 20 proc. poparcia. To zaś może uczynić ją drugą siłą w rumuńskim parlamencie – i po raz pierwszy w ciągu ostatnich 30 lat zepchnąć socjaldemokratów na trzecie miejsce.

© KAMIL CAŁUS

Przez ćwierć wieku azerskie kiedyś miasto Ağdam było pod władzą Ormian. Nasz reporter był w nim na kilka dni przed tym, jak wróciło w ręce Azerów. Listopad 2020 r.

Krajobraz po bitwie

TEKST I ZDJĘCIA PAWEŁ PIENIĄŻEK
Z AĞDAMU, LAÇINU (AZERBEJDŻAN) I ERYWANIA (ARMENIA)

Ormiańscy mieszkańcy Górskiego Karabachu z obawą patrzą na to, co przynosi im powojenny ład.

Droga do Szuszi była wyjątkowo ponura. Mgła taka, że z trudem można było dostrzec kolejne posterunki. Taka sama pogoda panowała dzień przed tym, gdy azerbejdżańskie wojska zajęły miasto. Wówczas atmosfera była pełna grozy: czołgi, żołnierze mający w oczach złość, strach lub zagubienie, odgłosy walk.

W Armenii i Górskim Karabachu mało kto wierzył, że Szuszi (po azersku Şuşa) może zostać zdobyta. Jeszcze kilka dni po tym, gdy to się stało, można było spotkać nieprzekonanych. To niewielkie, parotysięczne miasto było symbolem heroizmu Ormian, którzy zdobyli je podczas pierwszej wojny o Karabach w latach 90. XX w. i od tego zaczęli zwycięski pochód, dzięki któremu rozstrzygnęli wówczas konflikt na swoją korzyść.

Teraz z niedawnego ferworu wojny został rozpaczliwy widok po bitwie i po tym, co niesie porażka (dla Armenii), ale też zwycięstwo (dla Azerbejdżanu). Zamiast czołgów – wraki samochodów. Zamiast żołnierzy – ciała lub ich resztki, ubrania, strzępy ekwipunku, rozszarpane hełmy. Zamiast odgłosów walk – przerażająca cisza, pustka. I nowy powojenny porządek, którego ostatecznego kształtu nikt nie jest pewien.

Już nie Szuszi

Niedaleko za tym pobojowiskiem zza mgły wyłonił się szlaban i rosyjscy żołnierze z naszywką „MS" (*mirotworczeskie siły*, siły pokojowe). Stało ich dwóch. Jeden sprawdzał paszporty i bagażnik, prosił o otworzenie toreb. Po rutynowej kontroli przepuścił samochód.

Dalej był pas kontrolowany przez Rosjan: ich żołnierze, transportery bojowe. Szła też grupa ormiańskich ↦

saperów. Obok minęliśmy posterunki azerbejdżańskie, które strzegą dwóch dróg wjazdowych do Szuszi. Ich jednak nie było widać, spowijała je mgła. Przy jednej z dróg Azerowie przytwierdzili do metalowego stelaża litery Ş, U, Ş, A. Oraz flagi: azerbejdżańską i turecką.

Tą trasą trzeba jechać, aby z Armenii dotrzeć do Stepanakertu, stolicy nieuznawanej republiki Górskiego Karabachu, przed wojną zamieszkanego przez 55 tys. ludzi. Dla Ormian, którzy utracili bliskich, podróżowanie obok azerbejdżańskich posterunków jest trudne.

Jeszcze niedawno walczące na śmierć i życie, dziś strony konfliktu są w niedużej od siebie odległości. Rozdzielają je rosyjscy żołnierze. Do Karabachu i na otaczające go tereny wysłano ich dokładnie 1960. To rezultat zawieszenia broni, ogłoszonego 10 listopada przez premiera Armenii oraz prezydentów Azerbejdżanu i Rosji. Rosyjscy żołnierze otrzymali pięcioletni mandat (ma być automatycznie przedłużony, chyba że na sześć miesięcy przed jego wygaśnięciem któraś strona nie będzie chciała, aby był kontynuowany).

Liczenie ofiar

Porozumienie zakończyło trwającą sześć tygodni wojnę o Górski Karabach. Kolejną odsłonę konfliktu, trwającego od końca lat 80. XX w.

Wtedy, w 1994 r., zwycięzcy Ormianie przejęli kontrolę nad Karabachem i otaczającymi go terenami Azerbejdżanu, które uznali za swoją „strefę buforową". Niemal 10-milionowy Azerbejdżan utracił 13 proc. terytorium, a ok. 800 tys. Azerów musiało opuścić domy. Na tych terenach powstała nieuznawana Republika Górskiego Karabachu.

Przez minione ćwierć wieku konflikt to zaogniał się, to wygasał, ale ofiar było niewiele. Aż do teraz. Według władz w Erywaniu, w ciągu sześciu tygodni walk zginęło co najmniej 2,5 tys. ormiańskich żołnierzy. Los wielu jest nieznany. Być może ich ciała leżą na polach bitew, często zwęglone. Trudno je będzie znaleźć i rozpoznać.

Azerbejdżan nie ujawnia danych o liczbie poległych żołnierzy. Po obu stronach zginęło też ok. 150 cywilów. Według ONZ, 120 tys. ze 150 tys. ormiańskich mieszkańców Karabachu opuściło domy. Choć teraz, po zawarciu rozejmu, kilkanaście tysięcy wróciło.

Muezin wraca do meczetu

Koniec wojny to dla Ormian nie tylko świadomość klęski. To także ogrom niepewności. Armia Azerbejdżanu zajęła duże terytoria, głównie należące do „strefy buforowej" na południe od Karabachu. Ale drugie tyle ziemi, na zachodzie i wschodzie, przechodzi teraz w ręce Azerów; to warunek rozejmu. Są to, odpowiednio, rejony Ağdam (na zachodzie) oraz Kəlbəcər i Laçın na wschodzie. W sumie nieuznawana republika straciła ponad 70 proc. terytorium.

Jako pierwszy Ormianie oddali Ağdam. To miasto-widmo. 30 lat temu mieszkało tam, według różnych szacunków, od kilkudziesięciu do ponad stu tysięcy osób, głównie Azerów. Podczas pierwszej wojny ormiańsko-azerskiej musieli uciekać, miasto zostało zniszczone i odtąd stało niemal bezludne. Poza meczetem z dwoma minaretami nie ma tam chyba żadnego budynku, który nie zostałby przynajmniej poważnie uszkodzony. Większość jest zrównana niemal do poziomu ziemi.

Na dwa dni przed tym, jak Azerbejdżan odzyskał kontrolę nad tym rejonem, oznak życia było niewiele. Jedną z nich były uprawy warzyw i owoców pośród ruin; strzegły ich ogrodzenia z tablicami informującymi o monitoringu. Panowała niezwykła cisza. Słychać było tylko wiatr. Oraz, z rzadka, pojedyncze samochody – zazwyczaj wojskowe, ormiańskie. Żołnierze prosili, by opuścić miasto, bo nie mogą zagwarantować bezpieczeństwa. Nie wyjaśnili, jakie zagrożenie czyha w Ağdamie.

Ludzi można było spotkać w wioskach wokół miasta. Na dwa dni przed zajęciem regionu przez Azerbejdżan wieś Uchtasar opuszczał 30-letni ormiański żołnierz, który przedstawił się jako Misza Burkinian. Wywoził swoje rzeczy. Zostawiał 7 hektarów, na których uprawiał m.in. granaty. – Wyjeżdżam, bo co mam robić – mówił bez emocji.

Wybierał się do Armenii. Nie wiedział jeszcze, dokąd dokładnie. Nie miał kiedy zdecydować. Po podpisaniu rozejmu Ormianie mieli niecałe 10 dni na wyprowadzkę. W pośpiechu zabierali wszystko z domów. Potem niektórzy podpalali je – podobnie jak w innych regionach, które zostały przekazane Azerbejdżanowi.

Meczet, uszkodzony w czasie wojny, był zaniedbany i pusty. W piątek 20 listopada azerbejdżańscy żołnierze uporządkowali go, powiesili flagę, a muezin wezwał na modlitwę po raz pierwszy od 28 lat.

Trzy ze stu trzynastu

Nieuznawana republika straciła też większość wspólnej granicy z Armenią. Teraz łączy je tylko pięciokilometrowy korytarz wiodący przez miasto Berdzor (po azersku Laçın; tak też nazywają region wokół niego), chroniony przez Rosjan.

Dwa ich transportery BTR stały na rondzie. Na jednym z niedokończonych budynków powiewała rosyjska flaga. Pracownicy Karabach Telekom wymieniali kable, uszkodzone w ostatnich dniach wojny. Z tego powodu przez tydzień w Berdzorze nie było prądu. Na rondzie był otwarty jedyny działający sklep w mieście. Nie miał zbyt wiele do zaoferowania. Przez walki i niepewność wielu mieszkańców wyjechało, nie spieszyło się im z powrotem w tak chaotycznej sytuacji ani z otwieraniem biznesów.

Przykładem supermarket na obrzeżach Berdzoru. Jeszcze ostatniego dnia października półki były pełne produktów. Niemal trzy tygodnie później pracownicy sklepu rozkręcali meble w opustoszałych pomieszczeniach. Właściciel stwierdził, że biznes nie ma przyszłości. W demontażu pomagał 30-letni Aszot Oganesian, który urodził się i pół życia spędził w uzbeckim Taszkencie. Potem zamieszkał w Berdzorze. – Nigdzie stąd nie wyjeżdżam, choć wiele osób tak zrobiło – zapewniał.

Aszot postanowił poczekać, bo spodziewa się, że dopóki są tu Rosjanie, wszystko będzie w porządku. Jeśli miałoby to ulec zmianie, wyjedzie bez zastanowienia. – Nikt nie chce żyć tuż obok Azerów – stwierdził.

Terytoria na północ i południe od miasta już wróciły pod kontrolę Azerbejdżanu.

Dawid Dawtian, przewodniczący administracji rejonu Kaszatagh (jednostki administracyjnej nieuznawanej republiki, która obejmuje Berdzor), w drugiej połowie listopada nie wiedział jeszcze, gdzie dokładnie będzie przebiegać granica korytarza, rozdzielająca nieuznawaną republikę od Azerbejdżanu.

Jak mówił Dawtian, do niedawna w skład Kaszataghu wchodziły cztery miasta i 109 wsi. Po zawieszeniu broni w ramach ormiańskiego korytarza

ORMIANIE INESSA I WANO *nie mogą wrócić do domu, bo ich wieś jest od niedawna kontrolowana przez Azerów. Mają nadzieję, że nowy dom znajdą w pobliskim Berdzorze, który pozostał w rękach Ormian. Listopad 2020 r.*

ORMIANIN MISZA BURKINIAN *opuszcza swój dom we wsi Uchtasar. Kilka dni później ten rejon zostanie przekazany pod kontrolę Azerbejdżanu. Listopad 2020 r.*

ROSYJSKI POSTERUNEK *w mieście Berdzor (po azersku Laçın). To część ormiańskiego korytarza, który łączy Armenię ze Stepanakertem, stolicą Górskiego Karabachu. Listopad 2020 r.*

ostały się – oprócz Berdzoru – dwie wsie. Do wojny żyło w nich 3 tys. ludzi, jedna czwarta populacji regionu. Dlatego priorytetem dla lokalnych władz jest zapewnienie miejsca do życia chcącym zamieszkać blisko swoich domów, które znalazły się po drugiej stronie frontu.

Wrócić, ale dokąd?

Jedną z takich rodzin była ta 28-letniej Inessy. Ormianka jest w pierwszych miesiącach ciąży, przyjechała wraz z dwuletnim synem Maksem. Niedawno dołączył do niej 28-letni mąż Wano, który na początku wojny zgłosił się na ochotnika do armii. Pochodzą ze wsi Gandza (po azersku Seyidlər) leżącej 10 km na południowy-zachód od Berdzoru, która teraz wróciła pod kontrolę Azerbejdżanu. Inessa, mimo ostrzałów, została w wiosce do końca wojny. Została zmuszona do wyjazdu dopiero po jej zakończeniu. – Nie spodziewałam się, że stracimy naszą ziemię – przyznała.

Jej mąż opuścił Gandzę jeszcze później. – Byłem ostatnim, który wyjechał z naszej wsi. Nawet nie było w niej już zwierząt – stwierdził Wano.

Gdy spotkałem ich w Erywaniu, stolicy Armenii, przebywali w rządowym ośrodku dla osób, które musiały teraz opuścić domy. Wcześniej budynek służył harcerzom. Po wybuchu wojny na boisku rozstawiono łóżka polowe, a w holu wolontariusze przy komputerach rejestrowali przybyłych. Jak mówił pracujący tam lekarz Warużan Mazamian, tysiące ludzi szukających dachu nad głową przeszło przez to miejsce. Mogli tu przeczekać kilka nocy, nim wysłano ich dalej, do właściwego miejsca zakwaterowania.

Inessa, Wano i Maks także na nie czekali. Chcieli trafić do Berdzoru, mimo niepewności. Liczą, że tam uda im się odzyskać pracę, którą wykonywali do wojny. Inessa była przedszkolanką, Wano ochroniarzem. W Erywaniu trudno byłoby im związać koniec z końcem, a nie chcą być zdani na łaskę pomocy społecznej.

– Moglibyśmy znaleźć coś w Armenii, ale to zawsze będzie tymczasowe. Chcemy wrócić do życia tam – stwierdziła Inessa.

Kiedy im się to uda? Nie mają pojęcia. Czy w ogóle będą w stanie wrócić do Berdzoru? Chcą w to wierzyć, ale nie są pewni. Po wojnie nastał czas, gdy nikt niczego nie może być pewnym.

© PAWEŁ PIENIĄŻEK

PABLO MARTINEZ MONSIVAIS / AP / EAST NEWS

W oczekiwaniu na wynik: okolice Białego Domu w Waszyngtonie, 7 listopada 2020 r.

Ostatnie słowo

MARTA ZDZIEBORSKA

Administracja Donalda Trumpa rozpoczęła przekazywanie władzy Joemu Bidenowi. Ale to nie znaczy, że ustępujący prezydent pogodził się z porażką i schowa się w cieniu.

To był moment, na który Ameryka czekała 16 dni. Emily Murphy, szefowa rządowej agencji General Services Administration, wysłała list do Joego Bidena. Uznała w nim jego zwycięstwo w wyborach i tym samym uruchomiła procedurę przekazywania władzy. Urzędniczka zwlekała z tą formalnością od 7 listopada, gdy na podstawie decydującej wygranej w Pensylwanii ogłoszono Bidena prezydentem-elektem. Murphy stwierdziła wtedy, że „nie otrzymała oficjalnej informacji o tym, kto jest zwycięzcą wyborów", i obserwowała sądową walkę Trumpa o odkręcenie wyniku wyścigu.

Mafia i Myszka Miki

Prawnicy prezydenta nie byli w stanie przedstawić dowodów na rzekome oszustwa wyborcze i przegrali w ponad 30 sprawach sądowych. Zaliczyli m.in. głośną porażkę w Pensylwanii, gdzie starali się zablokować certyfikację wyników głosowania. Sędzia federalny Matthew Brann napisał w uzasadnieniu wyroku, że prawnicy Trumpa „starają się wyrzucić do kosza miliony głosów, w oparciu o naciągane argumenty prawne i oskarżenia o charakterze spekulacji". Prawnik prezydenta Rudy Giuliani dał prawdziwy popis: powiedział w sądzie, że zwycięstwo skradła Trumpowi „mafia Demokratów", a karty do głosowania „równie dobrze mogły być wypełniane przez Myszkę Miki".

Gdy sądowe zabiegi zawiodły, Donald Trump sięgnął po ostatnią deskę ratunku. Spotkał się z republikańskimi liderami ze stanu Michigan, mając nadzieję, że podważą wiarygodność głosowania powszechnego i to jemu, a nie Bidenowi, przydzielą pulę 16 głosów elektorskich z tego stanu. Republikanie nie ulegli naciskom i stan Michigan potwierdził oficjalnie zwycięstwo Bidena.

Chcąc nie chcąc, Trump ogłosił na Twitterze, że ze względu „na dobro kraju" polecił administracji rozpocząć proces przekazywania władzy. Kilka dni później oświadczył, że opuści Biały Dom, jeśli kolegium elektorskie wybierze Bidena. Jednocześnie jednak zadeklarował, że „walka trwa". W praktyce może tylko dalej wypisywać na Twitterze o „skradzionych" wyborach. Zwycięstwo Bidena potwierdziły Newada, Pensylwania i Georgia, a lada moment zrobią to Arizona i Wisconsin. W tym ostatnim stanie na wniosek sztabu Trumpa zlecono ponowne liczenie głosów. Ale to kolejny sztuczny ruch, który nie zmieni wyniku.

Wielokulturowy gabinet

Bez względu na to, jak długo Trump nie pogodzi się z porażką, zielone światło dla Bidena to przełom. Jego ekipa może teraz komunikować się z agencjami rządowymi i uczestniczyć w briefingach dotyczących bezpieczeństwa. Ma też do dyspozycji federalne fundusze na przygotowania do rządzenia krajem.

Biden od początku nie zważał na Trumpa i pracował nad tworzeniem administracji. W zeszły wtorek, 24 listopada, ogłosił nazwiska kandydatów, którzy będą odpowiadać za politykę zagraniczną i bezpieczeństwa. Nominację na sekretarza stanu otrzymał Antony Blinken, wieloletni współpracownik Bidena i były zastępca sekretarza stanu w administracji Obamy. Odegrał on kluczową rolę m.in. w kształtowaniu polityki wobec Rosji po aneksji Krymu.

Do ekipy Bidena dołączy też John Kerry. Były sekretarz stanu za drugiej kadencji Obamy będzie specjalnym wysłannikiem ds. klimatycznych. Z kolei doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego zostanie Jake Sullivan, a jako pierwsza kobieta w historii USA funkcję szefowej wywiadu narodowego ma objąć Avril Haines.

Gabinet Bidena ma odzwierciedlać wielokulturową Amerykę. Na szefa Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego mianował Latynosa Alejandro Mayorkasa, a na stanowisko ambasadora przy ONZ – czarnoskórą dyplomatkę Lindę Thomas-Greenfield.

Nominacja większości kandydatów musi być zatwierdzona przez Senat. Ten na razie kontrolowany jest przez Republikanów, którzy ostrzą sobie zęby na styczniową dogrywkę w wyborach do Senatu w Georgii. Jeśli wygrają tam republikańscy kandydaci, partia zachowa senacką większość i będzie mogła pokrzyżować plany Bidenowi.

Kontrakty na odchodne

Wielką niewiadomą pozostaje, co na finiszu prezydentury zrobi jeszcze Trump. Ostatnie tygodnie pokazały, że stać go na wiele. Tuż po wyborach zwolnił sekretarza obrony Marka Espera i nakazał Pentagonowi wycofanie do połowy stycznia

2,5 tys. żołnierzy z Afganistanu i Iraku. Decyzję tę skrytykował lider republikańskiej większości w Senacie Mitch McConnell – podobnie jak wielu ekspertów przestrzegł, że zbyt szybka redukcja wojsk może zaszkodzić Amerykanom i doprowadzić do chaosu w regionie.

Trump ma jeszcze kilka planów na odchodne. Dąży do sprzedania koncesji wiertniczych na Alasce i chce sprzedać Zjednoczonym Emiratom Arabskim sprzęt wojskowy na rekordową kwotę 23 mld dolarów. Amnesty International alarmuje, że ZEA mogą wykorzystać sprzęt w Jemenie, gdzie wspierają arabską koalicję walczącą z szyickimi rebeliantami, popieranymi przez Iran, a to przyczyni się do jeszcze większej liczby ofiar. W Waszyngtonie wstrzymano też oddech, gdy wyszło na jaw, że Trump dopytywał o możliwości ataku na Iran. Współpracownicy przekonali go jednak, że rozpętanie wojny pod koniec kadencji to kiepski pomysł.

Wybawienie dla kolegów

Tradycyjnym zajęciem ustępującego prezydenta jest ułaskawianie więźniów, co Trump zaczyna wykorzystywać do ratowania swoich ludzi. Na dzień przed Świętem Dziękczynienia ogłosił, że ułaskawia swego byłego doradcę ds. bezpieczeństwa narodowego Michaela Flynna. Był on oskarżony o składanie fałszywych zeznań FBI w związku z kontaktami z rosyjskim ambasadorem pod koniec 2016 r.

Zgodnie z tradycją Trump ułaskawił jeszcze dwa indyki, które goszczą przed Świętem Dziękczynienia w Białym Domu. Choć stało się to tego samego dnia, gdy Biden ogłaszał kandydatów do nowej administracji, prezydent trzymał nerwy na wodzy. Nie dał się sprowokować reporterom, którzy zapytali go, czy zaprosi Bidena do Białego Domu, oraz, nieco przewrotnie, czy ułaskawi sam siebie. A to by Trumpowi się przydało, bo niebawem straci immunitet i być może będzie musiał bronić się w sądzie. Lista zarzutów jest długa: o molestowanie seksualne, utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości, miganie się od płacenia podatków...

Bez względu na to, jak potoczą się jego losy, jedno jest pewne: z amerykańskiego życia publicznego Trump szybko nie zniknie. ©

Na nowych zasadach

MICHAŁ BARANOWSKI,
SZEF WARSZAWSKIEGO BIURA FUNDACJI GERMAN MARSHALL FUND:

Amerykanie uważnie przyglądają się debacie w sprawie unijnego budżetu. To istotne, czy Polska będzie postrzegana jako konstruktywny, czy też destruktywny członek Unii.

MARTA ZDZIEBORSKA: Trump nie utrudnia już Bidenowi przygotowań do rządzenia, ale może jeszcze sporo napsuć w polityce zagranicznej USA?

MICHAŁ BARANOWSKI: Niestety tak. Rozmawiam z amerykańskimi ekspertami – Demokratami i Republikanami – i muszę przyznać, że są mocno przejęci. Jeszcze zanim zapadła decyzja o wycofaniu wojsk z Iraku i Afganistanu, Trump pytał doradców o możliwości uderzenia na Iran. To wszystko nie pomaga w postrzeganiu Stanów jako stabilnego mocarstwa. Dodajmy próbę delegitymizacji zwycięstwa Bidena, czym Trump podważa zaufanie do amerykańskiej demokracji. W tej sytuacji trudniej będzie Amerykanom mówić o jej promocji na świecie. Zresztą kryzys wizerunkowy to jedno, a do niedawna głównym problemem było utrudnianie ekipie Bidena dostępu do informacji kluczowych dla bezpieczeństwa kraju.

A to coraz bardziej niepokoiło nawet Republikanów. CNN donosiło, że niektórzy członkowie administracji Trumpa kontaktowali się z ekipą Bidena na własną rękę.

To był miły gest, ale takie rozwiązanie umożliwiało jedynie przekazywanie szczątkowych informacji. Przez ponad dwa tygodnie od ogłoszenia zwycięstwa Biden nie mógł uczestniczyć w briefingach dotyczących bezpieczeństwa narodowego, jakie tradycyjnie otrzymuje codziennie prezydent. To sytuacja precedensowa. Nie można jej porównać z rokiem 2000, gdy ze względu na spór wyborczy między Alem Gore'em i George'em W. Bushem formalny proces przekazywania władzy zaczął się dopiero w połowie grudnia.

Jak Joe Biden będzie układał relacje USA ze światem?

W dużej mierze będzie zajęty polityką wewnętrzną: pandemią i gospodarką. W sferze zagranicznej skupi się na odbudowie przywództwa USA na świecie, opierając się na współpracy z sojusznikami – w sposób mniej transakcyjny niż za rządów Trumpa i z naciskiem na organizacje wielostronne, jak NATO. Należy też spodziewać się pogłębiania relacji z sojusznikami w rejonie Azji i Pacyfiku – Japonią, Koreą Południową, Australią. Biden chce też powrotu Stanów do WHO i porozumienia paryskiego. Ale nie jestem przekonany, że będzie to taki multilateralizm jak za czasów Baracka Obamy.

A jaki będzie multilateralizm Bidena?

Biden nie będzie ograniczał się do działania w ramach organizacji wielostronnych. Czasami będzie stawiał na współpracę z koalicjami państw opartymi na wartościach demokratycznych. Ta różnica między Bidenem a Obamą będzie ciekawa. Nie zakładałbym, że czeka nas prezydentura spod znaku „Obama 3".

W końcu w ostatnich czterech latach świat bardzo się zmienił.

Oczywiście. Mamy do czynienia z innym układem międzynarodowym. Obserwujemy coraz silniejsze Chiny i Stany Zjednoczone, które zmagają się z nadszarpniętą opinią, obniżoną *soft power* i nieco osłabionym potencjałem gospodarczym. Mam wrażenie, że nie zdajemy sobie jeszcze sprawy, jak poważne skutki wywołała w USA pandemia. Siłą rzeczy Stany będą współpracować z innymi państwami w zakresie pandemii, a także ochrony klimatu czy kwestii związanych z demokracją. Przy tym ostatnim punkcie chodzi o postawienie się w kontrze do autorytarnych reżimów, jak Chiny i Rosja, z którymi Stany konkurują w kontekście ekonomicznym, wojskowym i ideowym. Ten nacisk na wartości do pewnego stopnia przełoży się też na relacje dwustronne z Polską. ↦

Pierwsze takie sygnały pojawiły się podczas kampanii: Biden skrytykował Polskę za uchwały o „strefach wolnych od ideologii LGBT", a podczas telewizyjnej debaty wrzucił nas do jednego worka z Węgrami i reżimami totalitarnymi.

Polska ma coraz gorszą prasę w Waszyngtonie. Mówiąc o problematycznych sojusznikach w kontekście demokracji i praworządności, Amerykanie wymieniają Polskę obok Turcji i Węgier. To przełoży się na temperaturę relacji z Waszyngtonem, Biden mniej chętnie będzie się spotykał i fotografował z polskimi politykami. Pytanie, na ile sprawy związane z wartościami demokratycznymi przełożą się na twarde interesy w relacjach polsko-amerykańskich.

Wraz z wygraną Bidena pojawiły się wątpliwości, czy Stany będą zainteresowane wzmacnianiem obecności swoich wojsk w Polsce.

Na pewno eksperci i politycy w Warszawie są zgodni, że choć trudniej nam będzie dogadać się w sferze politycznej, to w kwestiach bezpieczeństwa i obrony już niekoniecznie. Ale w Partii Demokratycznej toczy się na ten temat debata. Jedni mówią, że sprawy związane z polityką i wartościami nie powinny być łączone z bezpieczeństwem. Tego zdania jest np. doradca Bidena Michael Carpenter, z którym niedawno rozmawiałem. Ale jest też drugi nurt tej debaty: według niektórych Demokratów sprawy bezpieczeństwa są najlepszym narzędziem nacisku i należy to wykorzystywać.

Mówi Pan o progresywnym skrzydle Partii Demokratycznej?

Tak. A konkretnie o części establishmentu zajmującego się sprawami zagranicznymi, dla którego prawa człowieka, wolność mediów i praworządność są najbardziej priorytetowe. Bez względu na toczącą się dyskusję, Polska będzie nadal ważna w kontekście przeciwdziałania wpływom Rosji. W relacjach z Warszawą pojawi się zapewne temat Ukrainy i Białorusi. Biden lepiej niż Trump rozumie ten region, wielokrotnie mówił o sytuacji na Białorusi. Należy się spodziewać, że jego administracja będzie starała się odwrócić decyzję Trumpa o wycofaniu części amerykańskich żołnierzy z Niemiec. To będzie dla Polski dobre.

DORA LASZLO GULYAS

MICHAŁ BARANOWSKI jest dyrektorem warszawskiego biura German Marshall Fund of the United States – amerykańskiego think tanku działającego na rzecz wzmocnienia współpracy transatlantyckiej.

Są jednak sprawy, które za rządów Bidena zapewne nie ulegną zmianie. Tak jak Trump będzie on naciskać na Europę, by wzięła większą odpowiedzialność za swoje bezpieczeństwo?

Oczywiście, to się nie zmieni. Ale Biden będzie działać w białych rękawiczkach. Wyciągnie rękę do Europy i powie: hej, jesteśmy dobrymi sojusznikami, pomóżcie mi. Europejskim liderom będzie trudniej odmówić Bidenowi. Zwłaszcza Niemcom, które staną się dla USA najważniejszym europejskim sojusznikiem. Zdaniem Amerykanów to Berlin powinien wziąć większą odpowiedzialność za bezpieczeństwo Europy, również na wschodniej flance.

Jak to będzie przekładało się na relacje Waszyngtonu z Polską? Trumpowi nie przeszkadzało, że rząd PiS ma napięte stosunki z Niemcami.

Na pewno w kontaktach ze Stanami nie pomogą nam tarcia z Berlinem, Paryżem i Brukselą. Z toczącej się wśród Demokratów debaty wynika, że Bidenowi będzie zależało nie tylko na rozwijaniu współpracy z Unią Europejską w zakresie handlu czy relacji z Chinami. Ważne też, aby Unia była silnym i spójnym graczem. Dostaję sygnały z Waszyngtonu, że Amerykanie uważnie przyglądają się debacie w sprawie budżetu unijnego [polski rząd grozi wetem, jeśli wejdą w życie przepisy umożliwiające zawieszanie funduszy dla krajów łamiących zasady państwa prawa – red.]. To istotne, czy Polska będzie postrzegana jako konstruktywny, czy też destruktywny członek Unii Europejskiej.

A relacje z Moskwą? Przed wyborami Biden mówił w wywiadzie dla CBS News, że Rosja to największe zagrożenie dla USA.

Patrząc na podejście Bidena i osób z jego otoczenia – takich jak Antony Blinken i Michele Flournoy [Blinken zostanie sekretarzem stanu, a Flournoy sekretarzem obrony – red.] – należy spodziewać się twardego, pryncypialnego kursu wobec Moskwy. Biden jest w tej kwestii z zupełnie innej bajki niż Obama: pamięta czasy zimnej wojny, był zaangażowany w rozszerzanie NATO. Jego percepcja i serce mówią, by absolutnie nie dogadywać się z Putinem. Ale jest też drugi nurt debaty w Waszyngtonie. Kilka miesięcy temu w serwisie „Politico" ukazał się list podpisany przez ponad stu ekspertów, którzy twierdzili, że obecna polityka USA wobec Moskwy jest bezpłodna i trzeba zmienić kierunek: co prawda nie lubimy Rosji, ale musimy się z nią jakoś porozumieć. Nie określają jednak tego jako reset, lecz jako nowe otwarcie.

Czego można się spodziewać po Blinkenie?

To człowiek, który zjadł zęby na polityce zagranicznej. Miałem okazję wielokrotnie z nim rozmawiać. Pamiętam go z czasów, gdy podchodził pryncypialnie do rozszerzania NATO. Opowiem pani anegdotę. Przez lata współpracowałem z Ronem Asmusem, analitykiem i dyplomatą, który napisał pierwszy artykuł postulujący rozszerzenie NATO, co za początków prezydentury Clintona było absolutnie niewyobrażalnym pomysłem. Ron opowiedział mi o rozmowie, jaką odbył z nim kiedyś Blinken. Wyglądała mniej więcej tak: „Wiesz Ron, chcielibyśmy cię wciągnąć do administracji, bo podoba nam się idea rozszerzenia NATO. Choć cały Waszyngton jest przeciwko, ja i prezydent popieramy ten pomysł". To jest bardzo idealistyczne podejście do polityki zagranicznej i na pewno Tony od tamtego czasu trochę się zmienił. Ale wierzę, że podobnie jak Biden widzi on Stany w roli dobrodusznego hegemona odpowiedzialnego za świat. Druga sprawa, jak takie podejście przełoży się na rzeczywistość.

Bo Biden, pochłonięty polityką wewnętrzną, nie zdoła zdziałać wiele na arenie światowej?

Paradoksalnie, może być na odwrót. W obliczu polaryzacji w USA i kwestionujących wynik wyborów Republikanów, Biden będzie poruszał się tam w dysfunkcjonalnym systemie nastawionym na ostre zwarcie. Może się więc okazać, że nowa administracja będzie musiała wyjść na zewnątrz, żeby cokolwiek zrobić. Wówczas to amerykańscy wrogowie i amerykańscy sojusznicy bardziej odczują zmianę w Białym Domu niż sami Amerykanie.

© Rozmawiała MARTA ZDZIEBORSKA

WIELKIE PYTANIA NA NOWO

TYGODNIK POWSZECHNY
3/2020
SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

JĘZYK

67 Żeby nie zapomnieć
PIOTR KOŁODZIEJCZYK
Pismo: bliskowschodni wynalazek

70 Skąd wiesz, że mówisz po polsku?
ŁUKASZ SOMMER
O językach, dialektach i granicach

73 Proces rozproszony
KATARZYNA DZIADOWICZ
W jaki sposób mózg przetwarza język

76 Drgająca warga Borgowa
ZUZA LAMŻA
Jak opisać emocje?

78 Równoległa rzeczywistość
ROZMOWA Z PAWŁEM RUTKOWSKIM
Myślenie w języku migowym

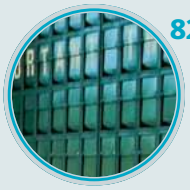

82 Rozmowa z automatu
ŁUKASZ LAMŻA
Wszystkie sztuczki botów konwersacyjnych

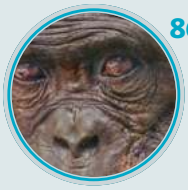

86 Ostatnie pokolenie
ŁUKASZ KWIATEK
Co się stało z małpami uczonymi języka

Redakcja: Katarzyna Dziadowicz, Łukasz Kwiatek, Łukasz Lamża
Projekt graficzny: Marek Zalejski
Fotoedycja: Grażyna Makara, Edward Augustyn
TP Typografia: Andrzej Leśniak
Okładka: Marek Zalejski / ANDREW OSTROVSKY/ADOBE.STOCK.COM

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Projekt „Wielkie Pytania dla Polski na nowo" realizujemy dzięki wsparciu z grantu Templeton Religion Trust. Menedżerem projektu jest Grzegorz Jankowicz, Łukasz Lamża zaś jest redaktorem serii wydawnictw.

TEMPLETON RELIGION TRUST

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

Copernicus Center

ŁUKASZ LAMŻA

ZROZUMIEĆ WSZECHŚWIAT

REWOLUCJA NEURONAUKOWA

WARTOŚCI DZIŚ

SPOŁECZEŃSTWO I KOMUNIKACJA

Opinie wyrażone na łamach niniejszej publikacji należą wyłącznie do ich autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska Templeton Religion Trust.

Umiejętność mówienia, pisania i czytania jest czymś tak fundamentalnym, że trudno jest sobie wyobrazić życie bez nich. No bo pomyślmy – jak by to było nie znać żadnego języka? Ba, nawet samo sformułowanie tego pytania wymaga od nas korzystania z języka. Bo jakżeż myśleć bez języka? Kiedy więc próbuję pomyśleć o życiu bez języka, wyobraźnia podsuwa mi niepokojącą wizję egzystencji zmysłowo-emocjonalnej, w której niczego nie potrafię uchwycić, zatrzymać, utrwalić. Brrr.

A przecież język jest wynalazkiem: kiedyś go nie było. W tym tygodniu chcemy Państwa zaprosić do wspólnego namysłu nad niezwykłością tego wynalazku. Paweł Rutkowski i Zuza Lamża opowiadają o tym, jak mówią, myślą i opisują świat osoby pozbawione możliwości poznawania rzeczywistości wszystkimi zmysłami. Łukasz Kwiatek relacjonuje historię naszej obsesji, aby nauczyć małpy języka ludzi, a ja sam – bardzo podobnej obsesji, by nauczyć mówić komputery. Piotr Kołodziejczyk wraca do źródeł pisma, badając jego bliskowschodnie korzenie, a Katarzyna Dziadowicz sięga jeszcze głębiej, bo do neurologicznych podstaw języka: czy jest naprawdę coś takiego jak „ośrodek mowy"? Łukasz Sommer natomiast pyta prowokacyjnie: skąd wiemy, że mówimy „po polsku" – i kto właściwie decyduje o tym, gdzie kończy się jeden język, a zaczyna drugi?

Zróbmy więc z języka użytek – i porozmawiajmy o nim samym. ©℗

CHAIDEER MAHYUDDIN / AFP / EAST NEWS

Tradycyjny taniec Saman wykonywany przez 5 tys. chłopców i mężczyzn z plemienia Gayo zamieszkującego Sumatrę

Żeby nie zapomnieć

PIOTR KOŁODZIEJCZYK

Jaskiniowe malowidła i powtarzające się na nich znaki mogą być najstarszym wyrazem pragnienia przechowania ważnych treści. Ale dopiero pismo pozwoliło je w pełni zaspokoić.

Z każdą dekadą słabnie przeświadczenie o odrębności człowieka od świata zwierząt i naszej wyjątkowości. Kolejne cechy, niegdyś przypisywane jedynie ludziom, okazują się występować u innych gatunków: wytwarzanie narzędzi (u małp), tradycje kulturowe (u szympansów i różnych ptaków); niektórzy kognitywiści mówią nawet o samoświadomości u małp człowiekowatych, delfinów i słoni. W królestwie zwierząt próżno jednak szukać innych niż my stworzeń komunikujących się za pomocą skomplikowanego składniowo języka, a tym bardziej pisma. Skąd właściwie wziął się ten niezwykły pomysł, żeby... pisać?

Kultura mówiona

W prowincjonalnych egipskich wioskach można dziś jeszcze z rzadka spotkać mistrzów poezji mówionej, opowiadających przy ważnych okazjach i akompaniamencie ludowych instrumentów epos „Al-Sirah al-Hilaliyyah". Ta średniowieczna, a może starsza tradycja wpisana na listę niematerialnego dziedzictwa ludzkości UNESCO to przekazywana jedynie ustnie saga plemienia Bani Hilal. Legendarne plemię przez ponad wiek sprawowało władzę nad ogromnym terenem w środkowej części Afryki Północnej, zanim uległo Marokańczykom. Nigdzie nie zapisywane, przekazywane z pokolenia na pokolenie opowieści trwają czasami kilkadziesiąt godzin. To jeden z niewielu już wyjątkowych ustnych literackich środków wyrazu, który – obok palestyńskiej tradycji *hikaye*, ↦

↦ tureckich opowiadaczy historii *meddah*, jemeńskich pieśni z Sany czy irackich melorecytacji *maqam* – jest skarbnicą historii ludowej, zwyczajów i wierzeń. W większości z nich ważną rolę odgrywa nie tylko osoba mówiąca lub śpiewająca, lecz także specyficzna muzyka, dzięki której buduje się odpowiedni nastrój i tło dla opowieści.

Najbardziej rozbudowany zespół artystów i instrumentów towarzyszy irackiej tradycji *maqam*. Wokalista (*qari'*) improwizuje wsłuchując się w dźwięk gry orkiestry (*tszalgi*) towarzyszącej mu podczas całego występu. W ten sposób powstaje niezwykły spektakl, oparty na ich ścisłej współzależności, będący niejako syntezą najlepszych tradycji poezji i muzyki regionu. Do typowych instrumentów wykorzystywanych podczas spektakli *maqam* należą: santur (rodzaj cymbałów), jawzah (czterostrunowe skrzypce), dumbak (wydający niskie tony bęben ręczny) oraz daff (małe tamburyno). Szeroko rozpowszechnionym na obszarze Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej instrumentem jest także rababah, czyli rodzaj skrzypek, wydających płaczliwy, monotonny dźwięk, konieczny do recytacji eposu „Al-Sirah al-Hilaliyyah".

Treść tych wszystkich niecodziennych tradycyjnych przekazów związana jest z wydarzeniami historycznymi lub zwykłymi ludzkimi problemami (np. miłosnymi lub rodzinnymi). Jest to zatem rodzaj pouczenia, przypomnienia, że świat widział już wszystko, a mądrość minionych pokoleń może pomóc nam zmagać się z dzisiejszymi kłopotami. Szczególnie ważną, edukacyjną rolę odgrywa tu tradycja palestyńskich pogadanek zwanych *hikaye*. Jest to wielowiekowa forma narracji, wykonywanych przez kobiety dla innych kobiet i dzieci. Starsza „opowiadaczka" prezentuje w teatralny sposób opowieści o problemach rodzinnych i społecznych, widzianych z perspektywy kobiet, często rozdartych pomiędzy obowiązkiem a pożądaniem. Opowieści *hikaye* snuje się zazwyczaj w domu w czasie zimowych wieczorów lub spotkań towarzyskich, w których biorą udział niewielkie grupki matek i dzieci. Kultura mówiona jest bardzo istotnym elementem funkcjonowania społeczności tego regionu.

Siła ustnych przekazów, praktykowanych przez naszych przodków od tysiącleci, nie zatrzymała jednak pojawienia się słowa pisanego, bez którego trudno wyobrazić sobie dzisiejszy świat. Coś spowodowało, że pismo stało się niezbędnym elementem naszego funkcjonowania i w krótkim czasie rozwinęło się w skomplikowany oraz zróżnicowany system komunikacyjny. Zawdzięczamy to zarówno rozbudowanym relacjom społecznym, jak też naszym biologicznym uwarunkowaniom.

Ewolucja kciuka

Umiejętność pisania jest bez wątpienia produktem ludzkiej kultury, ale trudno nie zauważyć, że istnieją pewne warunki wstępne, które muszą być spełnione, by mogła się ona rozwinąć. Np. odpowiednia budowa mózgu. Z ewolucyjnej perspektywy pismo pojawiło się na tyle niedawno, że jego rozwój nie mógł być oparty na jakiejś nowej, specyficznej adaptacji – wykorzystał raczej starsze systemy mózgowe, które wyewoluowały z innych powodów. Oczywistym kandydatem byłyby sieci komórek nerwowych odpowiadające za mowę, ale badania pokazują, że oba te zjawiska są z neurobiologicznej perspektywy zaskakująco różne. Osoba, która nie może wypowiedzieć na głos poprawnego gramatycznie zdania, ma wszelkie szanse, by bezbłędnie je zapisać. Pismo i mowa angażują inne obszary mózgu, a zaburzenia wzrokowo-ruchowe, pamięciowe i poznawcze, które mogą nie prowadzić do zaburzeń mowy, mogą wpływać na zdolność poprawnego pisania.

Umiejętności pisania sprzyja także anatomiczna budowa naszej ręki, a w szczególności chwytny kciuk. Przyjęcie w toku ewolucji dwunożnej postawy ciała pozwoliło na zmianę kształtu i funkcji naszej dłoni: zamiast służyć do podpierania się, mogła stać się uchwytem dla coraz bardziej precyzyjnych narzędzi. Elastyczny, mocny i wystarczająco precyzyjny, przeciwstawny kciuk, zdolny do utrzymania przedmiotów w dłoni, zapewnia współczesnym ludziom możliwość utrzymania np. pióra oraz kontrolowania siły, długości i kształtu jego pociągnięć.

Niewątpliwie jednak to rozwój ludzkiej myśli, abstrakcyjnego patrzenia na świat oraz chęć utrwalania ważnych dla siebie i społeczności informacji leżą u podstaw podejmowania prób ich zapisu. Niektórzy badacze sądzą, że jaskiniowe malowidła i powtarzające się na nich znaki (rozpoznano 32 pojawiające się w całej Europie) są wyrazem niemożliwego do stłumienia już w okresie górnego paleolitu (ok. 40-14 tys. lat p.n.e.) pragnienia zatrzymania w pamięci ważnych treści.

U progu historii

Narodziny osiadłego, rolniczego trybu życia rozpoczęły nasz marsz ku cywilizacji. Społeczności epoki neolitu rozwijały się demograficznie i przestrzennie, a rozrastające się struktury dużych osad, rodzące się hierarchie społeczne, rzemiosło i dalekosiężne kontakty potrzebowały nowych narzędzi. Niezbędne stało się zapisywanie wartości przesyłanych towarów czy gromadzonego majątku, utrwalanie ważnych wydarzeń i dokonywanie obliczeń. Pierwsi liderzy potrzebowali też legitymizacji swojej pozycji i władzy, a cóż zapewnia ją lepiej niż wykazanie swojego pochodzenia od zasłużonych dla społeczności przodków. Trudno się więc dziwić, że szybko zaczęły się pojawiać próby utrwalania danych. Dawniej łączono je z tzw. piktogramami, czyli schematycznymi rysunkami, które miały poprzedzać abstrakcyjne znaki pisma. Dziś naukowcy uważają, że formy piktograficzne były jednak tylko luźno związane z początkami zapisu, a w niektórych społecznościach (np. u Indian Ameryki Północnej) pojawiły się nawet później niż pismo.

Skoro najstarsze systemy pisma pojawiły się na Bliskim Wschodzie i w Afryce Północnej, to tam należy szukać ich bezpośrednich poprzedników. Bez wątpienia należą do nich tzw. proste lub złożone tokeny. To niewielkie gliniane przedmioty, występujące najczęściej pod postacią kulek, stożków, a także okrągłych lub owalnych placków posiadających czasem centralnie umieszczony otwór. Niektóre miały również kształt małych tabliczek czy zawieszek pokrytych nakłuciami lub liniami rytymi albo małych dzbanuszków, bochenków chleba czy zwierzęcych nóg. Wszystkie one miały zapewne związek z rodzącymi się mechanizmami ekonomicznymi i stanowiły rodzaj instrumentarium handlowo-spedycyjnego. Ich rola w okresie poprzedzającym powstanie skomplikowanego systemu pisma i zapisu wartości wydaje się być potwierdzona licznymi znalezi-

skami z terenów Egiptu, Mezopotamii czy Anatolii. Spełniały zarówno funkcje matematyczne, pomagając w dokonywaniu obliczeń, jak i stanowiły substytut listów przewozowych. Mogły być zamykane w organicznych pojemnikach i dołączane do transportu lub stanowić rodzaj podręcznego zestawu do zliczania. Zdaniem wielu badaczy stanowiły element pośredni pomiędzy niezachowanymi, najprostszymi przedmiotami służącymi do liczenia (np. kamyki) i oznaczania pewnych wartości a wykształconym zapisem glificznym.

Zjawisko to wydaje się bardzo ciekawe, gdy powiążemy je z dowodami na kształtowanie się w okresie późnego neolitu, epoki miedzi i wczesnej epoki brązu administracji sprawującej kontrolę nad funkcjonowaniem pierwszych organizmów protopaństwowych i protomiejskich. Pozwalały one na poświadczanie przynależności danego towaru lub wskazywały na jurysdykcję lokalnej administracji, która kontrolowała podatki (to także jeden z naszych najstarszych wynalazków), handel i szlaki na danym terenie. W połączeniu z rodzącą się symboliką władzy i religii mogą one wskazywać na wyraźne związki pisma z tymi elementami ludzkiej kultury, które od tego momentu będą nadawać jej rozwojowi i przemianom wciąż przyspieszający rytm. Wszyscy dobrze wiemy, że żadna sprawna administracja i zarządzanie zasobami nie obejdzie się bez systemu obiektywnej kontroli, zapisu i przesyłu danych, a każdy rozwinięty system religijny potrzebuje ujednolicenia oraz utrwalenia swojego przekazu i zasad. Rozpowszechnione na obszarze „żyznego półksiężyca" tokeny z czasem utraciły swoje znaczenie, zastąpione abstrakcyjnym systemem pisma. Najstarsze znane nauce ślady zapisu znaków pochodzą z terenów Egiptu i Mezopotamii, i są datowane na około 3100 r. p.n.e. Pismo stało się więc narzędziem władzy i ekonomii oraz nieodzownym elementem kultów i wierzeń. Już pierwsi władcy Egiptu zapisywali ważne wydarzenia z czasów ich panowania i chętnie tworzyli listy swoich przodków, by pokazać, że są przeznaczeni do sprawowania władzy. Na ścianach grobowców i świątyń umieszczano magiczne formuły, mające moc czynienia cudów i stanowiące według swoich autorów o życiu wiecznym faraonów i ich poddanych. Dzięki rozwojowi pisma zapisywano dzieje całych kultur i poszczególnych ludzi, a dzięki naukowej paleografii, papirologii i epigrafice potrafimy dziś zaglądać w umysły i dusze naszych dalekich antenatów.

> Formy piktograficzne były tylko luźno związane z początkami zapisu, a w niektórych społecznościach **pojawiły się nawet później niż pismo.**

Martwa cisza

Przejście od słowa mówionego do pisanego przebudowało sposób myślenia naszych przodków bardzo gruntownie. Dzięki rozwiniętej kulturze pisma pojawiły się w ich głowach mechanizmy logiki, ciągi przyczynowo-skutkowe. Możliwe stało się utrwalanie historii, mogła rozwijać się religia i nauka, pojawiła się literatura piękna i podręczniki. Rozpoczęła się także szybka droga do powstawania kolejnych języków, możliwych do zapisania, w kształtujących się alfabetach. Dziś w różnych formach funkcjonuje na świecie około 7 tys. języków, być może wywodzących się ze wspólnego źródła, którym był hipotetyczny prajęzyk ludzkości. Niektóre funkcjonują do dziś, choć przez tysiąclecia przeszły wiele zmian i faz rozwojowych. Za najstarszy wciąż używany uznawany jest często język baskijski (niektórzy twierdzą nawet, że jest pochodną języka neandertalczyków). Długą historią mogą poszczycić się także hebrajski, tamilski, perski i grecki. Wczesnośredniowieczne rodowody mają zapewne języki litewski, irlandzki i islandzki.

Niektóre z nich miały niegdyś swoje formy zapisu, zarzucone w toku dziejowych zmian. Nie wiemy niestety, jak brzmiały ich pierwotne wersje. Nie potrafimy wyobrazić sobie w nich rozmowy i nie pomogą w tym nawet ich zachowane dawne zapisy. Gdy kilkanaście lat temu Mel Gibson rozpoczynał pracę nad ekranizacją ewangelicznej opowieści o męce i śmierci Jezusa z Nazaretu, już na samym jej początku postanowił ożywić w niej dwa nieużywane od wielu stuleci języki – aramejski i łaciński. Bohaterowie „Pasji" przemówili z ekranu tak jak dwa tysiące lat temu znaczna część Starego Świata – a przynajmniej na tyle, na ile możliwe jest dziś odtworzenie ówczesnego brzmienia tych języków. Skoro więc niektóre języki były tak popularne i ważne, to dlaczego zanikły i czy na pewno tak właśnie się stało?

W sukurs poszukiwaczom odpowiedzi przychodzi tym razem kultura i analiza zachodzących w niej zmian. Przemiany ludnościowe, migracje, łączenie się społeczności ludzkich i wymiana tradycji kulturowych doprowadziły już nieraz w dziejach ludzkości do ważnych zmian, a nawet zanikania elementów poszczególnych kultur. Tak działo się także w przypadku języków. Łacina uznawana dziś za język martwy przeszła drogę od narzędzia używanego przez grupę etniczną i państwową na poziom społeczności religijnej i pozostaje w skromnym użyciu w Kościele katolickim. Tymczasem język aramejski został we wczesnym średniowieczu wyparty przez krewniaka (język arabski, który do dziś pełni funkcję *lingua franca* na obszarze Bliskiego Wschodu); nadal jednak na terenie Syrii czy Iraku można spotkać niszowe społeczności posługujące się jego nowoaramejską wersją. Oba odegrały bardzo ważną rolę w kształtowaniu się wielu późniejszych języków i grup językowych, by wymienić tu tylko współczesne, europejskie języki romańskie czy dialekty języka arabskiego. Warto wspomnieć także o całej grupie tzw. języków wymarłych, których funkcjonowaniu położyła kres populacyjna i kulturowa ekspansja innych społeczności. Wiele z nich do dziś stanowi lingwistyczną zagadkę i pozostaje dla nas niezrozumiałymi, skrywając wraz z sobą tajemnice minionych kultur. Doskonałych przykładów można tu szukać w grupie języków tyrreńskich czy języku eteocypryjskim (powiązanym z tzw. pismem linearnym A i B) albo zupełnie dla nas nieznanym języku minojskim, którym posługiwali się mieszkańcy Krety w epoce brązu. Przed naukowcami jeszcze wiele pracy, musimy jednak mieć świadomość, że wszystkich tajemnic naszej mowy i pisma nie poznamy nigdy.

© PIOTR KOŁODZIEJCZYK

Skąd wiesz, że mówisz po polsku?

ŁUKASZ SOMMER

Nasze państwo, nasz naród i nasz język określa się jednym i tym samym słowem. To jednak w świecie raczej wyjątek niż reguła.

Rozmawiam z grupą świeżo poznanych sąsiadów w helsińskim akademiku – wszyscy przyjechaliśmy spoza Finlandii. Rozmowa schodzi na trudności z językiem fińskim. W którymś momencie ktoś pyta mnie: „Jaki jest twój rodzimy język?". Moja odpowiedź jest prosta, jednowyrazowa i dla mnie samego oczywista. Kilkanaście lat później, prowadząc zajęcia o języku i nacjonalizmie, sam zadaję to pytanie świeżo poznanym studentom z Afganistanu, Jakucji, Ukrainy i Zimbabwe. Każda odpowiedź zajmuje parę minut. Namysłu i dodatkowych objaśnień czasem wymaga nazwa, czasem pojęcie rodzimości, a czasem samo słowo „język". Nic nie jest proste.

Pytanie o język rodzimy przypomina częściej zadawane pytanie o kraj pochodzenia: zadajemy je z przeświadczeniem, że odpowiedź jest możliwa (choć niekoniecznie musi się zmieścić w jednym słowie), a sami, zapytani, odpowiadamy z przekonaniem, że ją znamy. Kilka założeń przyjmujemy na wstępie: że nasze dostrzegalnie różne sposoby mówienia noszą nazwę „języków", że dla każdego z nas przynajmniej jeden język jest „rodzimy" i że każde z nas potrafi swój własny „język rodzimy" nazwać. Ale czy nie możemy się w tej sprawie mylić? Skąd właściwie człowiek wie, po jakiemu mówi?

Autorytet eksperta

Być może usłyszeliśmy o tym po raz pierwszy w domu, może w przedszkolu, ale jedno wydaje się niewątpliwe: wiemy, że mówimy po polsku – że w ogóle mówimy „po jakiemuś" – bo ktoś nam to powiedział. Dowiedzieliśmy się tego na wczesnym etapie życia i od tamtej pory tyle razy utwierdzaliśmy się w tej wiedzy, że jakakolwiek próba jej zakwestionowania wydałaby się absurdalna, wręcz arogancka. Ktoś inny miałby wiedzieć lepiej ode mnie, jak nazywa się mój język? Przyjęcie takiej sugestii byłoby tym trudniejsze, że szkolny przekaz podkreśla rolę języka ojczystego jako jednego z kluczowych wyznaczników narodowej tożsamości.

A jednak takie sugestie bywają formułowane, tyle że raczej nie pod naszym adresem. Kto czytał „Na tropach Smętka", zapewne pamięta, jak Melchior Wańkowicz, ruszając latem 1935 r. do Prus Wschodnich, tłumaczył towarzyszącej mu córce tożsamościowe komplikacje Mazurów: „– A mówią po polsku? – Mówią po polsku. – To są Polacy... – Ja tak sądzę. Ale oni nawet o tym nie wiedzą. Oni niezupełnie zdają sobie sprawę, że ich mowa jest polska".

Dziś potomkowie tamtych Mazurów w większości mieszkają w Niemczech, a obecni mieszkańcy regionu na ogół nie mają wątpliwości, że mówią po polsku, za to od jakichś dwudziestu lat tli się w Polsce spór o rodzimą mowę Ślązaków. Miejscowi działacze wzywają do uznania śląskiego za odrębny język regionalny, inni upierają się, że to odmiana języka polskiego. Przed wojną dziennikarz Wańkowicz mógł pisać tonem oczywistości, że Mazurzy mówią po polsku, dziś w sprawie Ślązaków media proszą o opinię ekspertów. „Cała ta dyskusja o śląskim języku w piśmie jest żenująca (...) – orzekł w 2011 r. Jan Miodek. – [M]yślący Ślązak miał zawsze oficjalną odmianę swojej mowy regionalnej i tą oficjalną odmianą była polszczyzna ogólna. (...) Oczekiwanie ode mnie, że ja powiem: »Tak, śląszczyzna nadaje się do kodyfikacji w piśmie«, jest takim samym zadaniem, jakie by postawiono matematykowi żądając udowodnienia, że czasem dwa razy dwa jest pięć". Łagodniej, ale nie mniej stanowczo wypowiedział się Jerzy Bralczyk: „[R]aczej jest to grupa dialektów. Uznawanie ich za coś osobnego od polszczyzny jest w świetle dotychczasowych ustaleń nieuzasadnione, bo rozwój dialektu śląskiego jest równoległy do rozwoju innych polskich dialektów". Za „coś osobnego" można za to uznać kaszubski: „[p]rocesy historyczne, fakty fleksyjne, fonetyczne, gramatyczne decydują, że jest to język regionalny". W odpowiedzi na uwagę dziennikarki, że po śląsku mówi dwukrotnie więcej ludzi niż po kaszubsku, Bralczyk odparł: „Takie dane mogą być pomocne, jeśli chodzi o świadomość przynależności do jakiejś grupy. Natomiast nie ma to znaczenia, jeśli chodzi o fakty językowe, a one mają znaczenie dla uznania dialektu za język regionalny".

Bralczyk akcentuje nieubłagany obiektywizm „faktów językowych", Miodek mówi emocjonalnie, podkreślając swoje szczególne kompetencje rodowitego Ślązaka. Ostatecznie jednak siłę autorytetu jednego i drugiego określa pozycja profesora-językoznawcy. Obaj twierdzą to samo, ale przede wszystkim przemawiają z tego samego stanowiska: wezwani przez media do rozsądzenia sporu, przyjmują rolę ekspertów i „mówią, jak jest". Choćby nawet mieli różne poglądy co do meritum, zgadzają się, że gruntowna znajomość „faktów językowych" umożliwia obiektywne rozstrzygnięcie. Językoznawstwo w ich wypowiedziach jawi się jako dziedzina wiedzy podobna do nauk przyrodniczych – a może i do matematyki, jeśli potraktować serio Miodkowe „dwa razy dwa". W ramach tak definiowanej wiedzy o języku użytkownik naprawdę może „nie wiedzieć, po jakiemu mówi", dopóki nie wyjaśni mu tego specjalista.

Ale czy istnienie bądź nieistnienie takiego lub innego języka jest kwestią *stricte* językoznawczą? Miodek i Bralczyk uznają śląszczyznę za wewnętrzną odmianę języka polskiego – część większej całości, której osobne istnienie nie wymaga komentarza, tak bardzo wydaje się oczywiste. Ale powszechne poczucie oczywistości, do którego odwołują się obaj profesorowie, nie

BEATA ZAWRZEL / REPORTER

Po Marszu Autonomii zorganizowanym przez Ruch Autonomii Śląska, Katowice, 15 lipca 2017 r.

opiera się przecież na powszechnej wiedzy o cechach szczególnych polszczyzny. Wańkowicz był przekonany, że Mazurów zdezinformowano, wmawiając im „język mazurski" – ale właściwie skąd sam wiedział, że jest dobrze poinformowany, i że jemu nikt nie wmówił jakiegoś nieistniejącego języka?

Podwójne pochodzenie

Aby nieco złagodzić towarzyszące tym pytaniom poczucie absurdu, weźmy sytuację mniej oswojoną, mniej obciążoną oczywistościami. Szykuję zajęcia dla studentów pierwszego roku filologii fińskiej i przyglądam się mapie zatytułowanej „Języki bałtyckofińskie i ich główne dialekty – stan z początku XX w.". Mam przedstawić początkującym fennistom główne informacje o rodzinie ugrofińskiej, a języki bałtyckofińskie to ta gałąź owej rodziny, do której należą fiński, estoński i kilka języków blisko z nimi spokrewnionych.

Mapa obejmuje Finlandię i Estonię oraz przygraniczne tereny Rosji, Łotwy, Szwecji i Norwegii, gdzie języków bałtyckofińskich używają różne grupy mniejszościowe (a przynajmniej używały na początku minionego stulecia – przed I i II wojną światową, przed masową urbanizacją, przed przymusową kolektywizacją i wywózkami do Kazachstanu, przed radiem i telewizją). Poszczególne języki oznaczono różnymi kolorami, subtelniejsze odcienie oddają zróżnicowanie dialektalne. W legendzie figuruje dziesięć ponumerowanych języków, ich dialekty oznaczono literami – tak więc np. jedynka i odcienie koloru niebieskiego to „język fiński", a odcień wpadający w szarość oznaczony jako 1b to jego „dialekty tawastyjskie" (lista dialektów fińskich kończy się na literze k). O estońskim i fińskim słyszeli wszyscy studenci, pozostałe języki będą wymagały paru słów objaśnienia, ale mapa wszystko klarownie porządkuje.

Mimo to zaczynam się wahać, bo niestety widywałem już inne opracowania i inne wersje klasyfikacji. Pamiętam np., że język ołoniecki bywa określany jako dialekt języka karelskiego; w niektórych klasyfikacjach odmianą karelskiego jest także język iżorski. Z kolei północne odmiany karelskiego mają znacznie więcej wspólnego z fińskim, bo też właściwie wschodnie dialekty fińskie po części wyrastają z karelskiego – ale tylko wschodnie, zachodnie mają genealogię bliższą estońskiemu. Z tego zaś wynikałoby, że sam fiński, największy i najbardziej znany język z całej grupy, nie jest genealogicznie spójny sam ze sobą. Podwójne pochodzenie nie przeszkadza jednak fińszczyźnie uchodzić za jeden język, a różnorodności fińskich dialektów – właśnie za dialektalną, czyli wewnętrzną wobec owej jedności. Pamiętam też własną wycieczkę sprzed lat na północne obrzeża Norwegii, oznaczone na mapie niebieskimi plamami („dialekty kweńskie"). Miejscowi bez trudu rozumieli moją wyuczoną fińszczyznę i odpowiadali w sposób zrozumiały. Ale czy rozmawialiśmy w tym samym języku? Według mapy owszem, ale według przyjętego dziś w regionie nazewnictwa moi rozmówcy posługiwali się odrębnym od fińskiego „językiem kweńskim". Z kolei język przygranicznej mniejszości fińskiej w Szwecji (na mapie: „dialekty tornedalskie") od jakiegoś czasu funkcjonuje jako osobny język *meänkieli* (dosłownie „naszamowa"), choć niespecjalnie się różni od mowy sąsiadów z fińskiej strony granicy, powszechnie uważanej za dialekt fińskiego.

Może zbyt bezkrytycznie traktujemy „język" jako spójną jednostkę klasyfikacyjną. Gdyby w podobny sposób zilustrować na mapie rozmieszczenie języków słowiańskich, znaczną część legendy zajmowałyby nazwy powszechnie znane, współbrzmiące z nazwami państw i narodów. Języki mniejszościowe w rodzaju łużyckich, ↦

↦ kaszubskiego czy rusińskiego (sporną śląszczyznę na razie pomińmy) byłyby na takiej mapie drobnym odstępstwem od ogólnego schematu, w którym etniczność, a wraz z nią język, idzie w parze z politycznym samostanowieniem. Do takiego wzorca przywykliśmy, zwłaszcza że ze szczególną konsekwencją realizuje go powojenna Polska. Na mapie języków bałtyckofińskich w ten znajomy wzorzec wpisują się tylko fiński i estoński. Pozostałe osiem języków funkcjonuje na społecznym marginesie; praktycznie nieobecne w przestrzeni publicznej, używane głównie w sytuacjach kameralnych, domowych, raczej w mowie niż w piśmie i raczej przez starsze pokolenie. Niektóre z nich zajmują sporo miejsca na mapie, karelski nawet więcej niż estoński, ale niewiele z tego wynika: po estońsku mówi około miliona ludzi, po fińsku około pięciu milionów, natomiast wszystkie pozostałe języki razem wzięte z trudem doliczyłyby się siedemdziesięciu tysięcy użytkowników. Co wśród języków słowiańskich wydaje się normą – państwo, naród i język w jednym tożsamościowym pakiecie – tu jest przywilejem nielicznych.

Nazwa, norma i wyobrażenie

Szkopuł w tym, że, jak już widzieliśmy, języki bałtyckofińskie trudno policzyć, a trudność ta tylko do pewnego stopnia wynika z niejednoznaczności „faktów językowych". To raczej okoliczności historyczne, układ granic i związane z nimi podziały religijne sprawiły, że pierwotną mozaikę lokalnych odmian mowy na części terytoriów określono wspólną nazwą, poddano standaryzacji, na innych zaś pozostawiono w pierwotnym niedookreśleniu. Tak uformowały się pojęcia „język fiński" i „język estoński", które z czasem uczyniono punktami odniesienia dla dwóch ruchów narodowych. Regionalne zróżnicowanie fińszczyzny trwa do dziś, ale przeciwwagę dla niego stanowi istnienie ogólnokrajowej normy, regulowanej przez państwowe instytucje, reprodukowanej przez szkoły i media.

Zgodny z tą normą fiński *yleiskieli*, czyli „język powszechny", nie figuruje na mapie, nie wpisuje się w porządek dialektów, nie przynależy do żadnego regionu. Powstał na papierze: jego najstarszą postać stworzyli pisarze reformacyjni na potrzeby kościelnego piśmiennictwa dla ludu, obecnej zaś dali początek dziewiętnastowieczni działacze narodowi. To skonstruowana przez ekspertów z różnych epok hybryda, która długo nie była dla nikogo językiem w pełni rodzimym. Jej istnienie opiera się na odgórnych ustaleniach i oficjalnym obowiązywaniu. Ale taka forma istnienia jest dziś pod wieloma względami skuteczniejsza i waży więcej niż oddolna egzystencja rodzimej mowy. Z punktu widzenia dialektologii fiński może w ogóle nie tworzyć spójnej całości – ale za sprawą oficjalnego obowiązywania na jasno określonym terytorium mieszkańcy Finlandii posiadają ugruntowane wyobrażenie wspólnego języka. Dzięki ugruntowanej normie regionalne odmiany mowy mają status „dialektów języka fińskiego", ale sam „język fiński" nie sprowadza się do sumy „swoich" dialektów.

Język to nie tylko określony sposób mówienia.
To także wytwór zbiorowej wyobraźni, na różne sposoby zideologizowany, rozmaicie funkcjonujący w kulturze.

Dopiero gdy chodzi o języki mniejszościowe i społecznie zmarginalizowane, nazewnictwo staje się domeną językoznawców. Gdyby uczeni ze względów dialektologicznych postanowili podzielić język fiński – albo polski – na kilka mniejszych, nomenklatura oddaliłaby się od praktyki społecznej i wzbudziła protesty; w przypadku języka karelskiego nie ma takiego zagrożenia. Większość jego użytkowników i tak będzie między sobą mówić „po swojemu", nie zastanawiając się, czy to karelski, czy raczej ołoniecki – a poza własnym gronem przechodzić na rosyjski. Własny język oczywiście ma dla nich znaczenie, ale inaczej niż u Finów czy Polaków, jego nazwa nie determinuje ich zbiorowej identyfikacji.

Zdarza się za to, że potrzeba tożsamościowa w połączeniu z koniunkturą polityczną staje się wystarczającą motywacją, by powołać do życia nowy język lub zlikwidować istniejący. Z wolna zapominamy o języku mołdawskim, w 2013 r. ponownie przemianowanym na rumuński; rozpad języka serbskochorwackiego na serbski, chorwacki, bośniacki i czarnogórski niektórym może wciąż wydawać się anomalią – ale istnienie języka norweskiego nie budzi chyba wątpliwości, choć początki miał równie odgórne. Konstytucja z 1814 r. nadała mu status urzędowy, choć w formie pisanej nie różnił się od duńskiego – uzyskał tylko nową nazwę na terenie Norwegii, która po kilku stuleciach właśnie odłączyła się od Danii. W ślad za zmianą nazwy poszła ewolucja normy językowej, do której wprowadzano coraz więcej elementów lokalnych; równocześnie opracowano konkurencyjną normę, zrywającą z duńskim i opartą w całości na norweskich dialektach. Spór między zwolennikami dwóch norm nigdy nie został jednoznacznie rozstrzygnięty i norweski do dziś istnieje w dwóch oficjalnych wersjach – bardziej i mniej podobnej do duńskiego – ale obie wygenerował ten sam politycznie motywowany akt nazewniczy. Dziś pojęcie „język norweski" dość powszechnie uchodzi za nazwę realnego zjawiska – gdyby jednak przyjąć perspektywę polskich językoznawców negujących istnienie „języka śląskiego", można by uznać, że Norwegowie padli ofiarą nieporozumienia i od dwustu lat nie wiedzą, po jakiemu mówią. Bądź co bądź decyzję, by używany przez Norwegów język nazwać norweskim, podjęto nie odwołując się do „faktów językowych".

Być może istotne nieporozumienie tkwi gdzie indziej: w przekonaniu, że „fakty językowe" obejmują tylko to, co można w języku badać w oderwaniu od używających go ludzi: „[p]rocesy historyczne, fakty fleksyjne, fonetyczne, gramatyczne", jak powiada Bralczyk. Język pojedynczy – odrębny, a zarazem jeden z wielu – to nie tylko określony sposób mówienia, dający się rozpoznać i wyodrębnić na podstawie obserwowalnych cech. To także wytwór zbiorowej wyobraźni, różnie nazywany, w różnym stopniu zinstytucjonalizowany, na różne sposoby zideologizowany, rozmaicie funkcjonujący w kulturze. Aby móc się sensownie spierać o jego istnienie lub nieistnienie, trzeba w jakimś stopniu uznać językoznawstwo za naukę społeczną – i do kategorii „faktów językowych" włączyć świadomość użytkowników, ich przekonania i postawy, a także politykę językową państw, odgórne regulacje i nazewnicze dekrety.

© ŁUKASZ SOMMER

Proces rozproszony

KATARZYNA DZIADOWICZ

Kiedy zawodzi pole Broki albo pole Wernickego, trudniej znaleźć rym. Jednak przypisywanie tym obszarom odpowiedzialności za zdolności poetyckie byłoby nadużyciem.

@MOONWATERPL DLA „TP"

Mózgi lubią prostotę. To sprawia, że są podatne na pułapki, jak choćby wtedy, gdy w natłoku danych doszukują się spójnych i łatwo przyswajalnych informacji. Te same mózgi są jednak najbardziej złożonymi organami, jakie można obecnie badać. Byłoby przyjemnie móc powiedzieć: ten fragment jest odpowiedzialny za zdolność czytania, ten za rozumienie usłyszanych zdań, a tutaj konstruowane są wypowiedzi. Cóż, dlatego prostota to pułapka.

Łatwo jej ulec, kiedy patrzymy na złożony, lecz sprawny system. Jego działanie może wydawać się naturalną całością, której elementom nie jesteśmy w stanie przyporządkować określonych funkcji. Sytuacja się zmienia, kiedy coś idzie nie tak – wtedy charakter problemu informuje nas o funkcji części, która zawiodła. Często to właśnie zaburzenia neurologiczne są cennym źródłem informacji o standardowym mechanizmie przetwarzania bodźców i funkcjonowaniu systemu poznawczego.

Tan, tan, tan!

Weźmy pod uwagę taki przypadek, jak utrata zdolności do artykulacji zdań czy wyrazów, przy jednoczesnym zachowaniu zdolności przetwarzania języka (czyli rozumienia słuchanych i czytanych wypowiedzi) i braku uszkodzeń mięśni odpowiedzialnych za artykulację. Samo istnienie takiego zaburzenia może świadczyć o tym, że rozumienie języka ma inne podłoże niż formułowanie wypowiedzi. Co więcej, gdyby pacjenci z tymi samymi zaburzeniami posiadali zmiany w tych samych obszarach mózgu, to dałoby się wskazać dokładną lokalizację, w której realizowane są poszczególne zadania. Takie uszkodzenia wywołujące dysfunkcje mogą być skutkiem udaru, wystąpić w wyniku choroby, zatrucia toksynami lub uszkodzeń mechanicznych.

Pierwszy w historii i kluczowy dla rozwoju neurologii przypadek wykazania związku pomiędzy konkretnym obszarem mózgu a jego funkcją przypisuje się francuskiemu lekarzowi Paulowi Broce. Wypowiedzi opisywanego przez Brocę w 1861 r. pacjenta z afazją (zaburzeniem mowy mającym przyczynę w mózgu) składały się jedynie z sylaby „tan" oraz towarzyszącej im bogatej gestykulacji. Mężczyzna zachował także zdolność do zmiany intonacji, a więc odpowie-dnio dostosowywał ją podczas swoich monosylabicznych wypowiedzi. Pod wpływem silnych emocji zdarzało mu się zupełnie poprawnie wypowiedzieć jedno, zawsze to samo, przekleństwo. Różnicę pomiędzy wulgaryzmem a pozostałymi słowami stanowi automatyzm – taka wypowiedź nie była intencjonalna, a więc mogła zostać zrealizowana w mózgu innym szlakiem niż ten odpowiedzialny za mowę kontrolowaną. Być może starszym i silniej związanym z emocjami. Pozostałe zdolności językowe pacjenta Tan (jak nazwano go od wymawianych przez niego dźwięków) pozostały niezaburzone.

Sekcja mózgu pacjenta wykazała liczne nieprawidłowości. Po stopniu ich zaawansowania Broce udało się określić, w których obszarach choroba wystąpiła najpierw – upośledzając jedynie zdolność artykulacji języka, ale nie zaburzając żadnej z form jego rozumienia ani nie wpływając na ograniczenia ruchów mięśni (te wystąpiły później). Najstarsze uszkodzenia znajdowały się na niewielkim obszarze tylnej części płata czołowego w lewej półkuli, w pobliżu kory ruchowej. Ten obszar nazywany jest dziś polem Broki – współcześnie najprecyzyjniej określa się go jako część wieczkową oraz część trójkątną dolnego zakrętu czołowego. Chociaż wstępnego rozpoznania lokalizacji zdolności językowych w płatach czołowych dokonali Jean-Baptiste Bouillaud oraz Ernest Auburtin, a Marc Dax zauważył dominującą rolę lewej półkuli, to Broce udało się dokonać najbardziej szczegółowych ↦

↦ i przekonujących opisów. Badania kolejnych pacjentów wydawały się potwierdzać związek pomiędzy uszkodzeniem w obszarach czołowych a zaburzeniami mowy charakterystycznymi dla pacjenta Tan.

Dzisiaj wiadomo, że takie rozumowanie było nadmiernym uproszczeniem. Już w latach 80. posługiwano się metodą badania SPECT, czyli tomografią emisyjną pojedynczych fotonów, by obserwować aktywność mózgu w czasie rzeczywistym. Aby uzyskać obraz tą metodą, konieczne jest podanie badanemu niewielkiej dawki izotopu promieniotwórczego, którego obieg w organizmie można śledzić. Dzięki temu zaobserwowano, że różnice pomiędzy aktywnością mózgu w czasie mówienia a stanem spoczynku nie ograniczają się do ośrodka Broki. Ten niewątpliwie ma duży związek z artykulacją wypowiedzi, natomiast jego uszkodzenie nie wystarczy, by całkowicie pozbawić człowieka zdolności formułowania zdań. Uraz na obszarze samego pola Broki zwykle doprowadza do niewielkich lub krótkotrwałych zaburzeń mowy. Skutki defektów w tych samych obszarach bywają też odmienne dla dwóch różnych pacjentów. Na umiejscowienie funkcji może wpływać choćby ręczność – u osób leworęcznych ośrodki odpowiedzialne za język mogą skupiać się głównie w prawej półkuli.

@MOONWATERPL DLA „TP"

Natalia Polasik, „Witajcie w naszej bajce", 2020 r.

Od myśli do strun głosowych

Nowe światło na ośrodek Broki rzuciły przeprowadzone kilka lat temu badania z użyciem elektrokortykografii, czyli metody pozwalającej na śledzenie aktywności elektrycznej bezpośrednio z kory mózgowej. Ta metoda charakteryzuje się dużą rozdzielczością czasową i przestrzenną, co oznacza, że możliwe jest bardzo dokładne prześledzenie zmian aktywności neuronów zachodzących w reakcji na określone bodźce. Wypowiadanie słów nie jest prostym procesem – wymaga posiadania w pamięci odpowiedniego określenia, wydobycia go wraz z jego fonologiczną reprezentacją (to wiedza na temat brzmienia danego słowa), przetłumaczenia jej na kod artykulacyjny oraz koordynacji drobnych ruchów motorycznych.

Jako ilustrację reprezentacji fonologicznej podaje się zjawisko rozpoznawania rymów bez konieczności wypowiadania słów na głos. W jakiś sposób wiemy, że „trud" rymuje się z „gród" – posiadamy ich reprezentacje fonologiczne i możemy je porównać. Jednak przetwarzanie fonologiczne nie oznacza przetwarzania mowy, ale wszystkich wzorców akustycznych, które mogą zostać wygenerowane za pomocą ludzkiego aparatu mowy. Natomiast kod artykulacyjny to po prostu „przepis" na to, jak sprawić, by słowo zostało wypowiedziane. Gdy mówimy, mózg musi przeprowadzić wiele różnych operacji w krótkim czasie.

Adeen Flinker z Uniwersytetu Kalifornijskiego wraz ze współpracownikami postanowili za pomocą elektrokortykografii przyjrzeć się procesom towarzyszącym powtarzaniu słów. Analizy wykonane przez badaczy sugerują, że ośrodek Broki poprzez dwustronną komunikację łączy reprezentacje fonologiczne z odpowiadającymi im kodami artykulacyjnymi, czyli pośredniczy w przekazywaniu informacji pomiędzy korą skroniową (bruzdą skroniową górną i zakrętem skroniowym górnym) a korą motoryczną. Dopiero stamtąd wysyłane są do mięśni impulsy, dzięki którym dochodzi do realizacji zadania,

czyli wypowiedzenia słowa. W momencie, gdy słowa są wypowiadane, obszar Broki nie jest już aktywny. Za to jego wzmożona aktywność podczas uczenia się języka potwierdza związek z syntaktycznymi aspektami języka, czyli przetwarzaniem gramatyki.

A więc czy Broca się mylił? Wydaje się, że dokonał uproszczenia, które mogło wynikać z błędnego, zbyt ogólnego rozpoznania problemu. Na podstawie jego obserwacji można było uznać, że pewne obszary mózgu są zaangażowane w artykulację, ale teza o bezpośredniej funkcjonalności obszaru była zbyt silna, a rejony określone niewystarczająco precyzyjnie. Dzięki zachowaniu mózgu pacjenta Tan długo po jego śmierci badacze mogli go zbadać za pomocą rezonansu magnetycznego: dowiedzieliśmy się, że uszkodzenia były bardziej rozległe, niż oceniał to Broca. Dziś staje się jasne, że na efekt niezdolności do artykulacji składają się inne, jeszcze bardziej rozdrobnione na obszary procesy.

Współcześnie nadal używa się pojęcia „afazja Broki". Jak wskazuje w podręczniku James Kalat, nie definiuje się jej jednak poprzez problemy z funkcjonowaniem ośrodka Broki czy jakiegokolwiek innego obszaru mózgu, lecz poprzez objawy – terminem tym obejmuje się każde poważne upośledzenie tworzenia wypowiedzi, tak jak u pacjenta Tan. Upośledzenie często wyraża się poprzez pomijanie części mowy innych niż czasowniki i rzeczowniki. Pacjenci ignorują te elementy języka, które bywają zbędne dla wyłapania ogólnego sensu, więc pojawiają się trudności z rozumieniem zdań o złożonej strukturze. Takich, których znaczenie zależy od przyimków, końcówek fleksyjnych lub opiera się na nietypowym szyku.

„Wieczorem Beatlesi słuchali radia"

Pole Broki jest jednym z komponentów klasycznego modelu przetwarzania języka. Drugim jest pole Wernickego. Carl Wernicke, niemiecki psychiatra i neurolog, w latach 70. XIX w. badał pacjentów z afazją o charakterystycznych objawach – upośledzeniu rozumienia mowy i trudnościach w przypominaniu sobie nazw przedmiotów – którym towarzyszyły uszkodzenia w lewym płacie skroniowym. Pacjenci z afazją Wernickego są w stanie płynnie się wypowiadać, ale robią długie pauzy, gdy starają się przypomnieć sobie nazwy przedmiotów, co określa się mianem „anomii". Często z powodu tej trudności starają się opowiedzieć o przedmiocie naokoło, np. „to coś, czego używaliśmy do tego, takie jak tamto", dodatkowo mylą szyk zdania, np. kiedy słuchali Beatlesów, mogą powiedzieć: „Wieczorem Beatlesi słuchali radia". Chociaż po zasugerowaniu im słów tacy pacjenci potrafią rozpoznać i wybrać odpowiednie, to mają trudność ze zrozumieniem wypowiedzi ustnych i pisemnych. Przyczyną mogą być właśnie problemy z nazywaniem przedmiotów – o ile bez gramatyki da się wyłapać sens zdania, to trudno to zrobić bez płynności w rozpoznawaniu rzeczowników.

I tutaj współcześnie schorzenie diagnozuje się na podstawie objawów, a nie uszkodzeń w jakiejś konkretnej lokalizacji, co oznacza, że afazja Wernickego nie musi mieć związku z polem Wernickego. Lokalizację samego pola Wernickego najczęściej określa się dziś jako tylną część zakrętu skroniowego górnego, ale neurobiolodzy nie są zgodni co do jego dokładnych granic. Często dołącza się do niego także zakręt nadbrzeżny. Ankieta przeprowadzona wśród 159 osób związanych akademicko z neurobiologią, z których prawie trzy czwarte deklarowało posiadanie stopnia doktora, nie pozostawia wątpliwości – żadna z kilku możliwych odpowiedzi nie otrzymała większości głosów.

Neurolog Jeffrey Binder, który śledził doniesienia o roli pola Wernickego w funkcjonowaniu poznawczym, nie zgadza się z przypisywaniem temu obszarowi dużej roli głównie w rozumieniu języka. Badania pokazują, że jego uszkodzenia wiążą się z trudnością oceny rymów – czyli muszą być związane z reprezentacją fonologiczną. W tych przypadkach nie dochodziło jednak do problemów z rozumieniem wypowiedzi językowych. Także stymulacja tych obszarów, która ma chwilowo je dezaktywować, u osób badanych doprowadzała jedynie do problemów z przyporządkowaniem odpowiednich fonemów do wypowiadanych słów, ale nie problemów z rozumieniem.

Dwa etapy

Proces rozumienia mowy dzieli się co najmniej na dwa etapy – pierwszy polega na analizie docierających do uszu fonemów, czyli najprostszych jednostek systemu dźwiękowego języka, które da się odróżnić od innych (jest to termin abstrakcyjny, którego indywidualną realizacją są głoski). Ten etap analizy jest niezależny od znaczenia słów. Aktywują się w nim odpowiedzialne za analizę wyższego poziomu obszary słuchowe w zakręcie skroniowym górnym oraz przyległej bruździe skroniowej górnej. Po ich uszkodzeniu problemy z rozumieniem występują rzadko, ponieważ ośrodki odpowiedzialne za nie występują w obu półkulach. Analiza semantyczna, czyli przyporządkowywanie znaczenia do dopływających do mózgu bodźców, jest etapem drugim. To znacznie bardziej rozproszony proces – badania wskazują na aktywność w obszarach płatów skroniowych, ciemieniowych, jak i przedczołowych.

Gdyby ktoś chciał przeczytać te słowa na głos, najpierw ich obraz musiałby zostać przetworzony we wzrokowym systemie percepcyjnym, który mieści się w brzusznym obszarze potyliczno-skroniowym. Stamtąd (zanim dotrze do kory ruchowej) informacja jest przekazywana do systemu wyszukiwania fonologicznego, czyli ośrodka Wernickego. Ich zrozumienie będzie natomiast wymagało zmapowania sekwencji fonemów na konkretne znaczenie. Sprawa nieco się komplikuje, kiedy zamiast czytać jakiś tekst, będziemy starali się wymyślić do niego własny komentarz. Do tego zaangażowane zostaną obszary wyższego rzędu rozproszone w płatach skroniowych, ciemieniowych i czołowych. Po zmapowaniu treści z tych obszarów do systemu fonologicznego dzięki polu Broki zostaną przekazane do realizacji w obszarach ruchowych.

Chociaż ośrodek Wernickego i ośrodek Broki odgrywają ważną rolę, to pozostając w zgodzie ze współczesnymi doniesieniami naukowymi nie da się dłużej bronić tezy, że sieć odpowiedzialna za przetwarzanie językowe ogranicza się do tych dwóch obszarów. Już sam Carl Wernicke uważał, że jedynie najbardziej podstawowe funkcje mogą być realizowane w przypisanym im obszarze kory, a pozostałe muszą zależeć od połączeń różnych regionów. Pozostaje pytanie, które z nich są tymi najbardziej podstawowymi i jak drobne obszary powinno się wyróżniać, by w pełni dostrzegać ich złożoność.

© KATARZYNA DZIADOWICZ

Drgająca warga Borgowa

ZUZA LAMŻA

Już przełożenie zdania z jednego języka na drugi bywa trudne, czasem wręcz niemożliwe. A jak przetłumaczyć na słowa malujące się na czyjejś twarzy emocje?

Kiedy w kulminacyjnej scenie „Gambitu królowej", serialu Netflixa bijącego obecnie rekordy popularności, arcymistrz szachowy Borgow przesuwa pion na D5, muzyka na chwilę zamiera. Potem słyszymy, jak Townes mówi: „Szlag, nie tak miał grać", Beth oddycha głęboko, a w delikatną melodię wygrywaną na fortepianie triumfalnie wkraczają gorączkowe skrzypce.

Wystarczą jednak dwa kliknięcia, żebyśmy – oglądając dokładnie tę samą scenę – usłyszeli znacznie więcej:

„Townes marszczy brwi. Beth patrzy na Borgowa. Jego warga drga. Beth zamyka oczy. Beth patrzy na szachownicę, a potem na Borgowa. Wzrok Beth podąża ku sufitowi. Figury szachowe szybko przesuwają się po ogromnej, odwróconej do góry nogami szachownicy na suficie. Borgow mruży oczy, po czym podąża za spojrzeniem Beth. Obaj komentatorzy patrzą w górę. Borgow spogląda na Beth i marszczy brwi".

Ten werbalny opis informacji wizualnych wpleciony w ścieżkę dźwiękową filmu to audiodeskrypcja: tłumaczenie filmu przeznaczone dla osób z dysfunkcją wzroku. Specjaliści zgodnie twierdzą, że choć oficjalnie jest to dodatek stosunkowo nowy, to tak naprawdę towarzyszył osobom niewidomym i niedowidzącym od zawsze.

Prawo do widzenia

Praprzodkiem audiodeskrypcji jest przyjacielski komentarz szeptany na ucho. To dzięki prywatnym opisom niepełnosprawni mogli w większym stopniu korzystać z dobrodziejstw kultury, podziwiać spektakle tworzone przez naturę czy sprawniej poruszać się w naszym, stopniowo coraz bardziej opierającym się na obrazie świecie. Usługą sformalizowaną audiodeskrypcja zaczęła stawać się w latach 80. ubiegłego stulecia. Obecnie tego typu innowacjom sprzyjają zmiany w prawodawstwie, wymuszające na nadawcach zapewnienie dostępu do treści audiowizualnych osobom z dysfunkcją wzroku. W Polsce ustawa o radiofonii i telewizji mówi o dostosowaniu w ten sposób 10 proc. kwartalnego czasu nadawania programu. W 2003 r. dostęp do informacji (a więc do mediów) został uznany przez Unię Europejską za jedno z podstawowych praw człowieka.

W rezultacie wizjonerów i eksperymentatorów, którzy w Stanach Zjednoczonych i Wielkiej Brytanii zaszczepiali zwyczaj opisywania obrazów na głos, najpierw na gruncie teatralnym, a potem w telewizji, zastąpili profesjonaliści. Adepci tego fachu mogą kształcić się na studiach podyplomowych poświęconych tylko temu zagadnieniu. Ustalony program nauczania wykracza poza intuicyjne wskazówki praktyków – opiera się także na oficjalnie przyjętych w danym kraju standardach tworzenia skryptów. Największą zaletą stosowania audiodeskrypcji jest niewątpliwie jej rzeczywista, a nie tylko postulowana inkluzywność: audiodeskrybowane są dziś nie tylko niszowe filmy prezentowane zainteresowanemu gronu entuzjastów w czasie zamkniętych pokazów, ale także seriale na największych platformach streamingowych i hitowe premiery kinowe.

Jedno nie uległo zmianie: audiodeskrypcja to wciąż – cytując Barbarę Szymańską, jedną z jej pionierek na polskim rynku – „obraz słowem malowany".

Co mówią zmarszczone brwi

Przytoczona wyżej definicja może wydawać się górnolotna, a cele audiodeskryptorów są niewątpliwie szczytne. Podstawowa zasada przyświecająca ich pracy brzmi za to mniej romantycznie. Mówi ona: „*What you see is what you say*" („Opisujesz to, co widzisz"). Idealna audiodeskrypcja ma być trzeźwa, zwięzła, a przede wszystkim – neutralna. To odbiorca na podstawie informacji dostarczonych mu przez oryginalną ścieżkę dźwiękową dzieła, uzupełnioną o bezstronny opis jego warstwy wizualnej, ma na własną rękę interpretować daną scenę czy zachowanie bohatera. Z teoretycznego punktu widzenia wszelkie odgórnie narzucone sugestie są uznawane za absolutnie niepożądane podważanie samodzielności odbiorcy.

W praktyce potrzeba doprecyzowania i ujednoznacznienia komunikatu często okazuje się jednak silniejsza niż formalne wytyczne. Napięcie między ogólnie przyjętymi normami kładącymi nacisk na obiektywność a skłonnością autorów skryptów do ułatwiania słuchaczom procesu odczytania „obrazu" najsilniej chyba wyczuwalne jest w przypadku emocji. I Townes, i Borgow „zmarszczyli brwi", bo zgodnie z zaleceniami stan emocjonalny bohatera powinno się nakreślić za pomocą dosłownego opisu mimiki czy gestu. Czy oznacza to jednak, że obaj byli dokładnie tak samo – no właśnie: zmartwieni, zaskoczeni, zaniepokojeni?

Choć eksplicytacja – bezpośrednie nazwanie emocji w rodzaju „Kasia jest smutna" – rzeczywiście zdarza się rzadko, audiodeskryptorzy (zarówno polscy, jak angielscy czy hiszpańscy) imają się różnych strategii, by przemycić tego rodzaju informację nie wprost: Kasia może „wyglądać smutno" (co przecież nie oznacza, że rzeczywiście taka jest), może „smutno patrzeć", „smutne" mogą być nawet jej oczy (ale nie ona sama). Najczęściej jednak mamy do czynienia z połączeniem tego, co sugerowane, z tym, co zakazane: a więc mamy Kasię, która „zacisnęła powieki ze smutkiem". W „Gambicie..." też ostatecznie dowiadujemy się po chwili, że Townes „patrzy z niepokojem".

Zwolennicy tego rozwiązania argumentują, że nazwanie danej emocji ogranicza wysiłek, jaki odbiorcy muszą włożyć w zintegrowanie informacji docierają-

Instalacja „Blind light" Antony'ego Gormleya w Hayward Gallery, Londyn, 2007 r.

HORST FRIEDRICHS / ANZENBERGER / FORUM

cych do nich z wielu źródeł. Ich zdaniem obciążenie poznawcze jest ogromne nawet bez konieczności dopasowywania konkretnej emocji do każdego podniesionego bądź opuszczonego kącika ust. Co równie istotne, na szczegółowy opis mimiki, który pozwoliłby słuchaczowi wysnuć jednoznaczne wnioski na temat uczuć targających przedstawianą postacią, często najzwyczajniej nie ma czasu.

Obraz wart tysiąc słów

Każdy przekład audiowizualny – a do takich zalicza się audiodeskrypcja – jest bowiem silnie ograniczony nie tylko materią językową, ale również specyfiką medium. Widzowie znający w pewnym stopniu język źródłowy, często nie zdając sobie sprawy z przyjętych zasad, ubolewają nad jakością napisów czy skryptu czytanego przez lektora. A na ostateczny kształt treści może wpływać choćby prędkość czytania statystycznego odbiorcy: linijka napisów to nieprzekraczalne 42 znaki, niezależnie od tego, ile słów w danym momencie wyrzuca z siebie człowiek widoczny na ekranie.

W przypadku audiodeskrypcji ograniczeniem jest sama oryginalna ścieżka dźwiękowa. Opis sceny w żadnym wypadku nie powinien jej zagłuszać, przy czym nie chodzi tylko o pokrywanie się z dialogami – nie jest wskazane także wypełnianie tekstem wszystkich luk między nimi, by nie pozbawiać odbiorcy możliwości wczucia się w atmosferę poprzez towarzyszącą widowisku muzykę. Mimo wszystkich obwarowań ta forma ułatwiania dostępu powinna – jak twierdzi Izabela Künstler, audiodeskryptorka i współtwórczyni polskich standardów audiodeskrypcji – wywoływać „emocje podobne do tych, jakie przeżywają widzowie, by odbiór filmu z audiodeskrypcją dawał podobną satysfakcję jak jego oglądanie", a więc spełniać wymogi dobrego tłumaczenia według George'a Steinera.

Myliłby się jednak ktoś, kto na podstawie powyższych uwag o dosłowności skryptów wysnułby wniosek, że ma ona być w założeniu tłumaczeniem raczej wiernym niż pięknym. Joel Snyder, jeden z najbardziej niestrudzonych propagatorów audiodeskrypcji na świecie, uważa, że jest to wręcz „literacka forma sztuki, rodzaj poezji", niemalże odmiana haiku. Jej skondensowana, maksymalnie plastyczna forma wynika po pierwsze z potrzeby wpasowania się między linie dialogowe, po drugie zaś z faktu, że jest ona tłumaczeniem z jednego typu znaku (obrazu) na zupełnie inny (tekst) – a więc przekładem intersemiotycznym.

Obraz jest bytem przestrzennym: odbieramy go holistycznie, jako całość, przy czym nie wszystkim składającym się nań elementom przypisujemy tę samą wartość. Chłoniemy go podobnie jak zapach czy smak. Choć dysponujemy od razu kompletem informacji, nie musimy koniecznie przetwarzać ich wszystkich w tej samej chwili: skupiamy się na fragmentach pierwszego planu, a następnie, wedle uznania i potrzeb, uzupełniamy o wybrane szczegóły. Z językiem mówionym jest inaczej. Jego linearność wymaga ciągłego skupienia i nie pozwala odłożyć niczego na później, w związku z czym wymusza selekcję i określone porządkowanie wybranego materiału. Nie da się opisać wszystkiego. Audiodeskryptor bierze więc na siebie olbrzymią odpowiedzialność: tylko od niego zależy, co „zobaczy" odbiorca.

Błysk szachownicy w oczach

„Wzrok Beth jest utkwiony w odwróconej szachownicy. Figury przesuwają się, układają w różnych konfiguracjach, po czym wracają na wcześniejsze pozycje. W oczach Beth widać odbicie odwróconej szachownicy. Beth opuszcza wzrok i umieszcza swojego gońca między dwoma pionami Borgowa".

Czy dodatkowa ścieżka dźwiękowa pozwoli osobie niewidomej lub niedowidzącej w odpowiednim momencie wyobrazić sobie dokładnie nienaturalnie wielkie, orzechowe tęczówki Anyi Taylor-Joy (Beth Harmon) albo nienaganny przedziałek Marcina Dorocińskiego grającego Borgowa? Raczej nie. Ale z pewnością dzięki niej coraz bardziej hektyczne z sekundy na sekundę smyczki w tle w końcu nabierają znaczenia. ©

Równoległa rzeczywistość

PAWEŁ RUTKOWSKI, LINGWISTA:

Nawet dorosłe osoby głuche, znające język foniczny, zapisują się na kursy języka migowego. Bo szukają języka, w którym nie będą odczuwały ograniczeń.

MATTHIAS BALK / DPA / PAP

Zajęcia hip-hopu dla głuchych prowadzone przez Kassandrę Wedel, pierwszą i jak dotąd jedyną osobę głuchą, która zdała egzamin Niemieckiego Stowarzyszenia Instruktorów Tańca, Monachium, 2 lipca 2017 r.

ANNA GOC: Zacznijmy od przedstawienia się w polskim języku migowym.

PAWEŁ RUTKOWSKI: (Kilka razy wykonuje zaciśniętą dłonią ruch przypominający odchylanie klapy marynarki, na wysokości butonierki) Migając, przedstawiłbym się tak.

Mój znak migowy jest bardziej skomplikowany: palce wskazujące i środkowe obu dłoni ułożone w literę V, naprzeciw siebie, pozostałe schowane. Znak zaczyna się na wysokości klatki piersiowej, potem dłonie rozchodzą się w górę i na boki. To znaczy: „dziennikarz". Dostałam go podczas kursu języka migowego. Jaka jest historia Pana znaku?

Wymyślili go głusi studenci, przed pierwszymi zajęciami. Przeglądali listę wykładowców, znaleźli na niej „Rutkowskiego" i skojarzyli z innym, bardziej znanym – detektywem. Znak ten można przetłumaczyć jako „tajniak"; nawiązuje do odznaki ukrytej pod klapą. Bardzo go lubię.

Zwyczaj nadawania znaków migowych w społeczności osób głuchych ma ułatwić rozmowę, bo dzięki nim nie trzeba literować imion i nazwisk, a przy okazji – może zdradzać cechy właściciela.

Znaki imienne są też czymś więcej – ważną częścią kultury i tożsamości osób głuchych. To, że wśród słyszących nazywam się inaczej niż w społeczności migającej, pokazuje, że mamy poniekąd do czynienia z dwoma równoległymi rzeczywistościami. Rodzi to ciekawe konsekwencje – ostatnio znana polska badaczka języka migowego wyszła za mąż i zmieniła polskie nazwisko, jednak w świecie osób migających jej znak się nie zmienił, gdyż nawiązywał do koloru oczu.

Ale ikoniczność znaków migowych, czyli nieprzypadkowa relacja między ich formą a treścią, wbrew pozorom nie ułatwia nauki języka migowego.

Mogłoby się wydawać, że miganie nie jest trudne, gdyż znaki nawiązują często swym kształtem do znaczenia, a nie dzieje się tak w językach fonicznych. Posłużmy się przykładem: słowo „pies" składa się w języku polskim z sekwencji głosek, ale nie da się wykazać, że bezdźwięczna spółgłoska „p" jest bardziej „psia" niż na przykład dźwięczna „b". Słowo „pies" jest więc arbitralne – między nim a elementem rzeczywistości, do którego się odnosi, nie zachodzi żaden naturalny związek. Dowodzi tego prosty test: czy spróbuje pani zgadnąć, jak brzmi odpowiednik słowa „pies" w języku wietnamskim?

Nie mam pojęcia.

Ja też oczywiście nie miałem, ale specjalnie na potrzeby takich rozmów sprawdziłem: jest to słowo *chó* – wymawiane jak „cio" z rosnącą intonacją. Prawdopodobieństwo, że domyśli się tego ktoś, kto nie zna języka wietnamskiego, jest właściwie zerowe. Wie pani, jak wygląda znak „pies" w polskim języku migowym?

Jest intuicyjny: poklepujemy otwartą dłonią o udo.

Właśnie, to gest przywoływania psa. Proste, prawda? Do dziś w Polsce sporo osób głuchych tak miga ten znak. Ale niektórzy, odnosząc się do psa, poklepują się otwartą dłonią po klatce piersiowej. Znak „przesunął się" zatem na ich ciele, na co miały wpływ względy praktyczne – w języku migowym przestrzeń artykulacyjna znajduje się zwykle powyżej pasa, gdyż musi być dobrze widoczna niezależnie od sytuacji, np. gdy siedzimy przy stole.

Ten nowszy wariant jest łatwy do zrozumienia jedynie dla tych, którzy wiedzą, jak wyewoluował. Znak w swych początkach był ikoniczny, ale obecnie nie jest, gdyż związek między klepaniem się w piersi a psem na pewno nie wyda się oczywisty osobie niemigającej. Tak dzieje się w przypadku bardzo wielu znaków migowych – są one skonwencjonalizowane, co oznacza, że ich znaczenia trzeba się nauczyć.

Warto dodać, że ile odrębnych społeczności osób głuchych, tyle języków migowych. Baza „Ethnologue" zawiera obecnie informacje o 144 językach migowych używanych na świecie, a z pewnością jest ich dużo więcej. Przykładowo, nie istnieje angielski język migowy, mamy za to odrębne języki migowe w Wielkiej Brytanii, Stanach Zjednoczonych, Irlandii, Australii czy Nowej Zelandii. Każdy z nich ma własne znaki, np. w odniesieniu do psa głusi Brytyjczycy używają obu dłoni, nawiązując do przednich łap psa, a Amerykanie pstrykają palcami (środkowym i kciukiem), co ma nawiązywać do przywoływania psa przez człowieka.

Osoby głuche nierzadko przyznają, że potrafią porozumieć się z użytkownikami innych języków migowych, których się nie uczyły. Czy charakterystyczna dla tej grupy języków gramatyka przestrzenna może temu sprzyjać?

Użytkownicy języków migowych są bardzo elastyczni komunikacyjnie i potrafią dostosowywać się do rozmówcy. Nie oznacza to, że używają w kontaktach z głuchymi obcokrajowcami swojego języka – najczęściej przechodzą wtedy na przekaz ponadprzeciętnie ikoniczny. W każdym języku migowym medium jest trójwymiarowe, a więc organizacja wypowiedzi, choćby ta odnosząca się do przestrzeni i czasu, jest podobna – relatywnie łatwo uczynić z tego podstawę komunikacji międzyjęzykowej.

Natomiast różnice będą widoczne w znakach oraz specyficznych konstrukcjach gramatycznych. Dla przykładu: w polskim języku migowym „dom" to daszek z dłoni, w austriackim miga się daszek i ściany domu, a w amerykańskim – wskazuje się dłonią na usta, bo w domu się je, a potem na policzek, który przykłada się do poduszki, bo w domu się śpi. ↦

Języki migowe rozwijały się wokół szkół dla osób głuchych, stąd ich różnorodność. Dopiero w ostatnich dekadach, wraz z pojawieniem się możliwości rejestrowania wideo, mogły zostać utrwalone. Czy wspólnotowa pamięć, dzięki której przetrwały, wpływa na świadomość językową osób głuchych?

Głusi to specyficzna mniejszość językowa. W społeczeństwie na tysiąc słyszących przypada zwykle jedna osoba głucha. 90 proc. głuchych przychodzi na świat w słyszących rodzinach. Nim się spotkają, odkryją dla siebie język migowy i poczują wspólnotę językowo-kulturową, mija nierzadko sporo czasu.

Do tego w wielu krajach języki migowe nie są uznawane za pełnowartościowe systemy komunikacji. Głusi muszą walczyć o prawo do porozumiewania się w ten sposób. Mało kto zdaje sobie też sprawę z tego, że posługiwanie się językiem fonicznym to dla osób głuchych wyzwanie większe niż uczenie się języka obcego dla słyszących. Samo obywatelstwo nie czyni zatem z głuchego Polaka rodzimego użytkownika polszczyzny – wielu głuchych posługuje się nią tak jak obcokrajowcy, niektórzy mają problemy z czytaniem ze zrozumieniem. Nauka sensorycznie niedostępnego języka jest po prostu niezwykle trudna.

Hermetyczność społeczności i brak ogólnopolskich wzorców językowych dodatkowo wpłynęły na duże zróżnicowanie języka migowego – regionalne i środowiskowe. Od kilkunastu lat obserwujemy za to świadomą dbałość o poprawność językową. Przejawem tego są choćby językowe vlogi osób głuchych, w których pokazują one nie tylko swój język, lecz także zwracają uwagę na najczęściej popełniane błędy.

Uczestniczyłam w małej dyskusji, w której osoby głuche zastanawiały się, skąd pochodzi znak „Polska". Miga się go dotykając dłonią najpierw lewej, a potem prawej strony klatki piersiowej. Pojawiły się nawiązania do znaku krzyża, kraju podzielonego zaborami, ale też bliskiej wspólnoty. W jaki sposób ikoniczność znaków migowych wpływa na powstające w umysłach ich użytkowników znaczenia?

To pytanie stawiają sobie dziś badacze języków migowych na całym świecie. Przykładowo, Klaudia Grote z Politechniki w Akwizgranie opisała w swojej pracy doktorskiej eksperymenty, w których głuchym uczestnikom pokazywane były na ekranie filmy ze znakami niemieckiego języka migowego oraz odpowiednio dobrane ilustracje. Badani mieli wskazać kliknięciem, czy między znakiem a rysunkiem istnieje związek znaczeniowy. Czas reakcji osób głuchych był krótszy wobec tych par, w których bliskości semantycznej towarzyszyło podobieństwo kształtu między znakiem a ilustracją: np. reakcja na znak migowy odnoszący się do orła, który nawiązuje w niemieckim języku migowym do ptasiego dziobu, była szybsza w przypadku ilustracji pokazującej dziób niż obrazka z orlim skrzydłem. Efektu takiego nie zauważono w reakcji słyszących na słowa mówionego języka niemieckiego. W badaniu Grote wzięły jednak udział także osoby dwujęzyczne (słyszący, którzy migają od urodzenia) – co fascynujące, ich wyniki w teście fonicznym przypominały te z testu migowego: nawet mówione słowo *Adler* („orzeł") wywoływało u nich szybszą reakcję na rysunek dziobu niż na rysunek skrzydła. Ikoniczność migowa wpływa więc na mechanizmy kategoryzacyjne: w umyśle osoby migającej orzeł ma więcej wspólnego z dziobem niż w umyśle osoby niemigającej i nie jest to zależne od języka, którym w danym momencie posługuje się ta osoba.

> Nie ma głuchych dzieci, które nie potrafiłyby się nauczyć migać, jeśli mają kontakt z innymi osobami migającymi. Jest za to sporo takich, którym **nie udało się nauczyć biegle mówić, pisać i czytać.**

Tłumaczka języka migowego opowiedziała mi historię głuchego mężczyzny, który urodził się w słyszącej rodzinie. Nigdy nie nauczył się mówić, pisać ani czytać. Był osobą bezjęzyczną. W szkole dla głuchych dzieci zaczął migać. Gdy ją skończył, wrócił do domu i zamieszkał z rodzicami, którzy nie znali migowego. Po kilku latach okazało się, że i on już nie potrafi migać.

Mnie ta historia nie zaskakuje. Z pani opisu wynika, że ta osoba nie miała kontaktu z językiem migowym we wczesnym dzieciństwie. W takim przypadku nie ma różnicy między językiem migowym, z którym dziecko styka się zbyt późno, a językiem obcym, poznanym w szkole i nieużywanym na co dzień.

Mimo że dla głuchego mężczyzny to był jedyny język, który był w stanie opanować?

Tak, bo umiejętności, które nie są wrodzone, możemy utracić. Kompetencja językowa nieoparta na codziennej praktyce jest ulotna. Dlatego niesłychanie ważne, by dzieci głuchych nie narażać na bezjęzyczność. Zapobiec jej może zapewnienie jak najwcześniejszego kontaktu z językiem, który jest dla każdego niesłyszącego dostępny sensorycznie – oczywiście mam na myśli język migowy. Zjawisko bezjęzyczności, albo języczności ograniczonej, nie jest rzadkie wśród osób głuchych. Szczególnie bolesne jest wtedy, gdy słyszący rodzice pokładają wszystkie nadzieje w tym, że ich głuche dziecko będzie w stanie komunikować się fonicznie, z pomocą aparatów słuchowych albo implantów ślimakowych, a to okazuje się nieosiągalne.

Czy głuche dziecko, które styka się z językiem migowym w tym samym czasie, co słyszące dziecko z fonicznym, rozwija się językowo w podobny sposób?

Tak. Liczne badania pokazują, że rozwój językowy głuchego dziecka w głuchej rodzinie, czyli wśród osób migających, daje mu możliwości pełnego rozwoju poznawczego. Jednak należy pamiętać, że głuche dzieci bardzo rzadko mają migających rodziców. Większość słyszących rodziców świadomie lub nieświadomie wyklucza zaś język migowy z repertuaru komunikacyjnego głuchego dziecka. Nie myślą o miganiu nawet jako o opcji, obawiają się stygmatyzacji i zamknięcia w świecie głuchych.

Język migowy jest traktowany przez wielu surdopedagogów jako przeszkoda w nauce języka fonicznego.

Nie ma głuchych dzieci, które nie potrafiłyby się nauczyć migać, jeśli mają

kontakt z innymi osobami migającymi. Jest za to sporo takich, którym nie udało się nauczyć biegle mówić, pisać i czytać. Wystarczy porozmawiać z nauczycielami w szkołach dla głuchych dzieci. Oni także podkreślają, że głuche dzieci trafiają do szkół dla głuchych za późno, bo placówki te są zwykle drugim wyborem ich słyszących rodziców – po tym, jak edukacja w szkole masowej się nie powiodła.

Nam, słyszącym, wydaje się, że najważniejsze to nauczyć osoby głuche porozumieć się ze słyszącymi.

Ci, którzy tak uważają, mają jeden argument: cały świat mówi.

Nie zapominajmy jednak, że głusi powinni mieć przede wszystkim dostęp do wiedzy.

W wielu szkołach dla głuchych nacisk kładziony jest na – jak to się mówi – „rehabilitację". Chodzi więc o to, żeby głuche dziecko nauczyło się wypowiadać słowa i odczytywać je z ust osób słyszących. Ale samo wyprodukowanie dźwięków nie jest równoznaczne z opanowaniem znaczeń, które za nimi stoją. My językoznawcy wiemy, że język to nie zestaw głosek, lecz struktury pojęciowe i gramatyczne, których reprezentacją są głoski.

Są osoby głuche zrehabilitowane w dzieciństwie, które już jako dorosłe przychodzą na kursy języka migowego. Można zapytać: po co im komunikacja migowa, skoro tak dobrze opanowały foniczną? Odpowiedź jest prosta: szukają języka, w którym nie będą odczuwały ograniczeń.

Jeśli koncentrujemy się wyłącznie na tym, żeby nauczyć dziecko artykulacji fonicznej i percepcji dźwięku, nie mamy dość czasu, by zadbać o jego rozwój poznawczy. Rozwiązaniem mogłaby być edukacja dwujęzyczna, która polega na tym, że głuche dzieci uczą się języka migowego, bo są go w stanie szybko opanować, a dzięki niemu – języka fonicznego.

Głusi podkreślają, że są tacy sami jak słyszący, tylko posługują się innym językiem. I mają kłopot z nauczeniem się języka większości. Twierdzą, że mają trudniej niż dzieci cudzoziemców, bo te państwo minimalnie wspiera, choćby poprzez dodatkowe lekcje języka polskiego.

Kompetencja językowa jest kluczem do wiedzy. Jeśli nie może mieć ona wymiaru fonicznego, powinna mieć wymiar migowy – najważniejsze, by dostarczała narzędzi do konceptualizowania otaczającego nas świata. Bez tego głuchy nie osiągnie sukcesu edukacyjnego.

ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

DR HAB. PAWEŁ RUTKOWSKI jest twórcą i kierownikiem Pracowni Lingwistyki Migowej Uniwersytetu Warszawskiego. Językoznawcą, badaczem literatury polskiego języka migowego, członkiem Polskiej Rady Języka Migowego.

Z przeprowadzonych z Pana udziałem badań wynika, że mózgi osób głuchych migających reagują tak samo na język migowy, jak słyszących – na mowę.

Badania przeprowadziliśmy we współpracy z kolegami zajmującymi się obrazowaniem mózgu. Sprawdzaliśmy m.in., jakie są reakcje mózgu osób głuchych posługujących się polskim językiem migowym i słyszących na dwie formy komunikacji migowej – stworzony na bazie polskiej gramatyki system językowo-migowy (SJM) i naturalny język osób głuchych, czyli polski język migowy (PJM).

Podczas oglądania filmów zarówno w PJM, jak i w SJM u osób głuchych doszło do aktywacji obszarów odpowiedzialnych za przetwarzanie danych językowych. Dla porównania: mózgi słyszących nie reagowały w ten sam sposób na filmy z komunikatami migowymi. Z punktu widzenia językoznawcy powód jest oczywisty: machanie rękoma staje się językiem wyłącznie w umyśle osoby migającej. Co ciekawe, nasze badanie wykazało, że PJM aktywuje w mózgu nieco inne obszary niż SJM, co sugeruje, że gramatyka polska pozostaje w mózgu osoby głuchej „obcą", nawet jeśli przekazywana jest za pomocą znaków manualnych.

Osoba głucha, która przychodzi na świat w słyszącej rodzinie, często nie potrafi przyswoić języka fonicznego. Nie zaczyna też migać. Jak to wpływa na potencjał językowy mózgu?

Potencjał gramatyczny naszego mózgu, o którym pisał Noam Chomsky, jest taki sam u użytkowników języków fonicznych, jak i migowych.

Zetknięcie z językiem migowym uruchamia u dziecka głuchego mechanizmy, które pozwalają na tworzenie struktur będących językowymi reprezentacjami myśli. Dzięki kreatywności gramatyki struktury te mogą być niesłychanie rozbudowane. Ten aspekt języka nazywany bywa rekursją: za pomocą wielokrotnie zastosowanej prostej reguły gramatycznej możemy stworzyć konstrukcję zdaniową o bardzo wysokim poziomie złożoności. Bo zarówno zdanie „Chłopak, którego zna Marysia, śpi", jak i zdanie: „Chłopak, którego zna Marysia, która mieszka w Radomiu, który jest ładnym miastem, śpi" – są w polszczyźnie gramatyczne. Rzeczy mają się tak samo w językach migowych: wizualny kanał przekazu nie ogranicza w niczym tworzenia bardzo złożonych struktur zdaniowych.

Kompetencję do tworzenia zdań posiadają tylko ludzie, co potwierdziły m.in. badania amerykańskich językoznawców, którzy próbowali nauczyć migać szympansy. Zwierzęta bez przeszkód uczyły się słówek, ale nie dostrzeżono w ich komunikacji stałych sekwencji przypominających struktury składniowe języka. Może to sugerować, że kompetencje gramatyczne są właściwe tylko naszemu gatunkowi, czyli zapisane w ludzkim genomie, a ich realizacją może być tak język foniczny, jak i migowy.

Z drugiej strony jest choćby Dan Everett, który twierdzi, że nasz język jest w stałej interakcji z naszym doświadczeniem.

Everett to pozycja skrajnie relatywistyczna. Na podstawie badań języka Indian Pirahã, który opisywał jako jeden z niewielu badaczy na świecie, twierdzi, że Chomsky się myli zakładając, iż język jest częścią naszego przekazu genetycznego. U Everetta język jest związany z kulturą. Dowodem na to jest fakt, że Pirahã nie mają jego zdaniem żadnych struktur rekursywnych, co w ich języku przekłada się choćby na brak złożonych struktur typu „dom brata chłopaka Marysi". Everett uważa, że ci ludzie nie posługują się takimi strukturami, gdyż w ich świecie nie były one potrzebne. Jeśli ma rację, to językom migowym jest o wiele bliżej do języków fonicznych takich jak polszczyzna niż do języka pirahã.

©℗ Rozmawiała ANNA GOC

Rozmowa z automatu

ŁUKASZ LAMŻA

Choć komputery robią już prawie wszystko, wciąż brakuje im tej fundamentalnej umiejętności, aby do nas zagadać jak człowiek do człowieka. Za to my, po ludzku, coraz bardziej się z tego powodu niecierpliwimy.

Jest koniec lat 40. XX w. „Maszyny obliczeniowe" wciąż są jeszcze tylko szafami rozwiązującymi problemy matematyczne, co i tak każdorazowo wymaga żmudnego formułowania danego zagadnienia przez zespół inżynierów. Trzeba ponadprzeciętnie bujnej wyobraźni, aby ujrzeć w tych szafach potencjał intelektualny i postawić pytanie, czy maszyna tego typu będzie kiedyś w stanie myśleć albo... rozmawiać. Taką wyobraźnię miał jeden z ojców komputera – Alan Turing.

W 1950 r. w czasopiśmie filozoficznym „Mind" ukazuje się jego artykuł zatytułowany „Computing Machinery and Intelligence" („Maszyny obliczeniowe i inteligencja"). Oto pierwsze zdanie tego tekstu: „Proponuję rozważyć pytanie: czy maszyny mogą myśleć?". Problem z tym pytaniem jest taki, zauważa następnie Turing, że nie tylko nie wiemy, czym właściwie jest myślenie – przez co uczciwa próba znalezienia odpowiedzi

JUAN CARLOS ROJAS

Praca niemieckiego artysty Mario Klingemanna na wystawie „Still Human" w muzeum Espacio Solo, Madryt, 12 listopada 2020 r.

przemieniłaby się szybko w traktat filozoficzny – ale ponadto jest ono czymś dziejącym się „skrycie", przez co trudno jest tak naprawdę orzec, czy ktokolwiek myśli. To stara zagadka filozoficzna: czy istnieją umysły inne niż mój? A może to ja jestem jedyną istotą we wszechświecie obdarzoną umysłem, a otaczający mnie ludzie to w istocie tylko zręcznie kłapiące szczękami kawałki mięsa? (Dziś o istocie takiej – pod każdym względem przypominającej człowieka, ale kompletnie pozbawionej świadomości, przytomności i poczucia „ja" – mówi się zwykle „filozoficzne zombie").

Turing postanowił uciąć tego typu rozważania w zarodku i skupić się na kłapaniu szczękami: skoro i tak oceniamy „myślność" otaczających nas istot ze względu na ich działania – choćby to, czy potrafią inteligentnie, trzeźwo z nami rozmawiać – to dlaczego nie mielibyśmy zastosować tego samego kryterium przy pytaniu o myślącą maszynę? Stąd *imitation game*: gra w imitację. Przypuśćmy, że przy dowolnym urządzeniu do zdalnej komunikacji tekstowej – Turing zaproponował dalekopis – sadzamy sędziego, aby przez pięć minut prowadził rozmowę z kimś (lub czymś) znajdującym się w sąsiednim pomieszczeniu. Następnie zadajemy mu pytanie: czy literki „wypluwane" z urządzenia były spisywane przez człowieka, czy też generowała je maszyna? O programie zdolnym do systematycznego oszukiwania gremium tego typu sędziów powiedzielibyśmy dziś, że „zdał test Turinga". Oto odnośny cytacik z rzeczonego artykułu:

„Uważam, że za mniej więcej 50 lat będzie możliwe zaprogramowanie komputerów, wyposażonych w pamięć o pojemności ok. 10^9 [bitów – Ł.L.], które wypadną w grze w imitację tak dobrze, że przeciętny sędzia nie będzie miał lepszej niż 70 procent szansy dokonania prawidłowej identyfikacji po pięciu minutach rozmowy. Pierwotne pytanie »Czy maszyny mogą myśleć?« uważam za zbyt ubogie w znaczenie, aby zasługiwało na analizę. Sądzę jednak, że przed końcem stulecia zwyczaje językowe i przekonania wykształconych ludzi zmienią się na tyle, że będzie można swobodnie mówić o myślących maszynach".

Ani słowa o złocie

W 2000 r. minęło dokładnie 50 lat od artykułu Turinga – czy spełniło się jego przewidywanie? Na pewno znacznie bardziej wypada dziś mówić o „myślących maszynach" – choć wciąż zwykle robimy to z przymrużeniem oka. Jeśli jednak rozpatrzymy samą możliwość porozmawiania z komputerem „jak człowiek z człowiekiem", to musimy przyznać, że wciąż jesteśmy w lesie. Choć dziś, w 2020 r., bywamy już regularnie nagabywani przez automatycznych telefonicznych asystentów sprzedaży, a niektórzy z nas instalują w swoich smartfonach aplikacje mówiące ludzkim głosem i reagujące – czasem nawet poprawnie – na proste komendy, nie ma żadnych szans na odbycie nawet krótkiej inteligentnej rozmowy na dowolny temat z programem komputerowym.

Programistów chętnych na podjęcie rękawicy oczywiście nie brakuje. Już w 1966 r. opisano pierwszy „program konwersacyjny" – Elizę Josepha Weizenbauma (zob. ramka). W 1990 r. po raz pierwszy odbył się najsłynniejszy międzynarodowy konkurs botów konwersacyjnych, którego fundatorem był Hugh Loebner, wynalazca i wizjoner. Wyznaczona przez niego nagroda w wysokości 100 tysięcy dolarów wciąż czeka na odbiór, choć od 30 lat co roku nie brakuje zgłoszeń. Dotychczasowi „zwycięzcy" nagrody – pośród nich zwłaszcza trzy słynne botki, Alice, Rose i Mitsuku, dominujące w tabeli zwycięzców przez prawie dwie dekady – otrzymywali w istocie zawsze tylko „nagrodę pocieszenia" w postaci brązowego medalu.

Rozwój sztucznej inteligencji (AI) doprowadził do naprawdę niezwykłych wyników: istnieją dziś programy komputerowe rozpoznające ludzką mową i ludzkie emocje; wygrywające z nami w szachy i w teleturniejach typu „Va banque"; malujące w zadanym stylu (np. *à la* Witkacy) i komponujące przyzwoitą muzykę filmową... Czy więc pięciominutowa rozmowa to rzeczywiście aż tak wygórowane żądanie? Wyniki konkursu Loebnera są wręcz miażdżące: nawet najlepszym botkom nie udaje się przekonać sędziów. W czym problem?

W mózgu botki

Zajrzyjmy może do „mózgu" A.L.I.C.E. (Artificial Linguistic Internet Computer Entity, czyli Sztuczna Komputerowa Internetowa Istota Lingwistyczna) – programu komputerowego nazywanego zwykle po prostu Alice, czyli Alicją, stworzonego przez Richarda Wallace'a w 1995 r. Na przełomie stuleci Alicja była wielokrotną finalistką i trzykrotną „zwyciężczynią" Nagrody Loebnera, a ponieważ kod Wallace'a jest udostępniony publicznie, wielu późniejszych zwycięzców to jego proste lub nieco podkręcone klony.

Kto spodziewa się, że w „mózgu" bota konwersacyjnego zakodowana jest jakakolwiek, choćby prościutka „mapa" ludzkiego umysłu albo wręcz ogólniejsza wizja „mózgu elektronowego", albo że słowa generowane przez program są wynikiem jakiegokolwiek inteligentnego przetwarzania informacji... ten się srogo zawiedzie. Wszystkie bez wyjątku programy konwersacyjne, których kod ↦

↦ udostępniono lub choćby opisano w literaturze, opierają się na zasadzie bodziec-reakcja. W pierwszym przybliżeniu program taki działa następująco: wypowiedź rozmówcy zostaje najpierw przeszukana pod kątem słów-kluczy, które wcześniej zapisano w bazie danych. Mogą być to słowa typu „rower" albo „wspinaczka" – które prowadzą do rozmów, czasem bardzo szczegółowych, na konkretne tematy – ale też struktury typu „Żałuję, że [X]", które można wykorzystać do sprytnego „odbicia piłeczki" (bez żadnego zrozumienia dalszej części tego zdania można przecież zawsze odpowiedzieć: „A dlaczego żałujesz, że [X]?"). Następnie z listy pasujących odpowiedzi wybierana jest losowo jedna. I to właściwie tyle.

Na tę elementarną strukturę nakłada się kilka sprytnych mechanizmów, np. grupowanie słów-kluczy w tematy i zapamiętywanie, jaki jest aktualny temat – dzięki temu bot, z którym przed chwilą rozmawiało się o rowerach, może w pewnym momencie zadać pytanie: „A pojechałeś ostatnio na jakąś fajną wycieczkę?". Twórcy botów konwersacyjnych inwestują też sporo wysiłku w odpowiedzi dowcipne, zaskakujące, ekstrawaganckie, wiedząc doskonale, że to one mają największą szansę na zachwycenie sędziów. Bazy danych botów „alicjopodobnych" zawierają tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy wpisów, aby mieć w zanadrzu błyskotliwą ripostę na wypadek, gdyby ktoś wspomniał przy nich jakiś skecz Monty Pythona albo tupecik Trumpa.

Wystarczy pobieżnie zainteresować się botami konwersacyjnymi, aby skonstatować ze smutkiem rzecz w sumie oczywistą: że propozycja Turinga, aby nie skupiać się na umyśle, lecz jego jak najlepszej imitacji, przyjęła się aż nadto. Twórcy „gadających maszyn" faktycznie nigdy nie podjęli się zadania stworzenia istoty myślącej, a jedynie opracowania algorytmu jak najdłużej utrzymującego iluzję ludzkiego rozmówcy. Wallace opisał w 2009 r. dość szczegółowo historię A.L.I.C.E. i przyznał bez wstydu, że głównym źródłem inspiracji są dla niego zapisy z milionów rozmów internautów z jego botem. Co jakiś czas dane te są analizowane pod kątem najczęściej pojawiających się tematów, miejsc w wymianie zdań, w których rozmówcy rozłączali się, albo momentów wywołujących największą frustrację. Po tego typu sesji dopisuje się po prostu kilkadziesiąt kolejnych reguł i bot jest już w stanie zadowolić o kilka procent więcej osób przez kilka wypowiedzi dłużej.

WOLFGANG KUNZ / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Prof. Joseph Weizenbaum, Hamburg

Ratowanie twarzy

W 1980 r. amerykański filozof John Searle opisał „chiński pokój", jedno z najsłynniejszych doświadczeń myślowych w filozofii umysłu. „Chiński pokój" to pomieszczenie, w którym siedzi nieznający języka chińskiego człowiek, mający jednak dostęp do gigantycznego księgozbioru reguł konwersacyjnych w języku chińskim: na taką-i-taką sekwencję znaków należy odpowiedzieć w taki-i-taki sposób. Gdy ktoś wsuwa pod drzwiami kartkę z zadanym po chińsku pytaniem, ów człowiek po prostu odnajduje odpowiednią regułę, przepisuje poprawną odpowiedź, a kartkę wypycha z powrotem. Osoba stojąca na zewnątrz mogłaby pomyśleć, że w środku siedzi człowiek rozumiejący język chiński. Dlatego „chiński pokój" Searle'a to znakomita metafora bota konwersacyjnego. Zresztą, Wallace w swoim artykule z 2009 r. stwierdził wprost, że kod źródłowy A.L.I.C.E. to właśnie coś w stylu podręcznika operatora „chińskiego pokoju". Pytanie za sto punktów brzmi, czy skonstruowanie bota konwersacyjnego metodą „chińskiego pokoju" jest możliwe, nawet czysto teoretycznie.

Zacznijmy od elementarnego uzupełnienia, że „podręcznik operatora" musiałby zawierać osobne instrukcje nie tylko dla każdej pojedynczej wypowiedzi, ale dla każdej pełnej konwersacji. Przecież zdanie „I co Asia na to?" powinno wywołać inną reakcję w zależności od tego, czy „to" oznaczało zaproszenie Asi na kawę, czy też postraszenie jej w ciemnej uliczce wyciągniętą zza pazuchy finką. Kompletny brak wyczulenia na kontekst i wcześniejszą rozmowę to zresztą znak rozpoznawczy wszystkich współczesnych programów konwersacyjnych, nawet zeszłorocznej „zwyciężczyni" Nagrody Loebnera, czyli japońskiej botki Mitsuku. Choć są one w stanie zręcznie zareagować na zdanie „Uwielbiam horrory", to próba opowiedzenia im jakiejkolwiek historii szybko kończy się katastrofą. Pomyślmy o następującej sekwencji zdań: „Asia długo flirtowała z Michałem przez internet. On jej opowiadał, że ma dużą firmę, że prowadzi wielkie negocjacje od Tokio po Nowy Jork i jakich to on nie ma mercedesów. No i w końcu po nią przyjechał: rowerem". Program konwersacyjny (jeżeli w ogóle wytrzyma tak długo w ciszy – bo wszak nauczono go, aby po każdym zdaniu wtrącał coś mądrego od siebie, a to w reakcji na „internet", a to na „Tokio") zareaguje tylko na ostatnie zdanie: którąś ze swoich gotowych formułek na temat jazdy na rowerze („Lubię jeździć na rowerze, ale muszę sobie chyba kupić porządny błotnik"). A to jednak słaby komentarz do historyjki o miłosno-ekonomicznym rozczarowaniu Asi.

Hipotetyczny bot konwersacyjny, który miałby rzeczywiście inteligentnie reagować metodą „chińskiego pokoju", musiałby więc mieć do dyspozycji wszystkie wyobrażalne sekwencje znaków składające się na sensowną konwersację. W ten sposób lądujemy jednak szybko w sferze surrealistycznych eksperymentów myślowych, rodem z biblioteki-labiryntu Jorge Luisa Borgesa, zawierającej każdą możliwą książkę, a nie rzeczywistej działalności programistycznej.

Jeśli natomiast planujemy dokonywanie skrótów, aby projekt dało się ukończyć przed śmiercią cieplną wszechświata, wpadamy od razu we wszystkie problemy znane twórcom rzeczywistych botów: tabele synonimów, kategorie tematyczne, zapamiętywanie słów-kluczy albo – o czym jeszcze nie mówiłem – długie listy wypowiedzi „ratujących twarz", stosowanych w sytuacji, gdy program nie jest w stanie przypasować żadnej reguły do poprzedniej wypowiedzi. Ta ostatnia sztuczka znana jest zresztą doskonale każdemu, kto kiedykolwiek zamyślił się i stracił wątek w rozmowie: w takich przypadkach dobrze jest powiedzieć choćby „No wiesz, jak jest" albo „Tak też bywa". Długo się jednak na tym nie pociągnie.

Złe towarzystwo

Ci spośród Czytelników, którzy śledzą rozwój sztucznej inteligencji, prawdopodobnie przestępują już z nogi na nogę: bo przecież wszystko, co opisałem powyżej, to nie jest „prawdziwa" sztuczna inteligencja – przynajmniej nie w sensie, w jakim używamy tego pojęcia w XXI w. Rzeczywiście, nie każdy algorytm, nawet taki zręcznie udający inteligencję, to od razu AI. Dziś tym terminem szczególnie chętnie obejmujemy algorytmy, które potrafią samodzielnie się czegoś nauczyć, testując na próbę różne rozwiązania i czekając na sygnał zwrotny – idzie ci dobrze, idzie ci źle. To właśnie taką metodą powstają dziś choćby najlepsze komputery szachowe: nie są „karmione łyżeczką" strategiami i sztuczkami, lecz samodzielnie je odkrywają, odnotowując pilnie, który eksperyment zakończył się sukcesem, a który porażką.

Twórcy botów inwestują sporo wysiłku w dowcipne i ekstrawaganckie odpowiedzi, wiedząc, że to one mogą zachwycić sędziów.

A może dałoby się wypuścić do internetu prościutkiego bota konwersacyjnego, zdolnego do ciągłego korygowania i komplikowania swojego działania w kontakcie z rzeczywistymi ludzkimi rozmówcami? Cóż, okazuje się, że była taka próba – i zakończyła się spektakularną klęską. 23 marca 2016 r. Microsoft postanowił udostępnić na swoim koncie twitterowym botkę konwersacyjną o imieniu Tay – uczącą się na podstawie rozmów przeprowadzanych z internautami. Skutek? Już po 16 godzinach Tay została pospiesznie wycofana, a skruszony Microsoft przepraszał miliony internautów. Dlaczego? Rozbawieni rozmówcy zauważyli, że Tay rzeczywiście uczy się mowy ludzkiej i ogłady na podstawie ich własnych wypowiedzi – postanowili więc „poduczyć" swoją chłonną, naiwną rozmówczynię nie tylko mniej czy bardziej durnych i ryzykownych memów, ale również najzwyklejszej ksenofobii, rasizmu i wszystkich najzacniejszych wulgaryzmów. Po paru godzinach Tay radośnie ogłaszała już światu, że Hitler miał sporo racji z tymi Żydami...

Wygląda więc na to, że swobodne uczenie – które doprowadziło do tak wspaniałego sukcesu AI w ostatnich dekadach – musi być w przypadku botów konwersacyjnych stosowane ostrożnie. Z drugiej strony metoda polegająca na prowadzeniu algorytmu „za rączkę" i żmudnym rozpisywaniu schematów konwersacyjnych się wyczerpała. Trudno powiedzieć, jak i czy w ogóle w najbliższych dekadach powstanie program komputerowy, z którym będzie można porozmawiać „jak człowiek z człowiekiem". A nie oszukujmy się: jest na to potrzeba, jest na to rynek, są na to pieniądze. My naprawdę chętnie pogadalibyśmy z komputerem.

©℗ ŁUKASZ LAMŻA

Dofinansowano z programu „Społeczna odpowiedzialność nauki" Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach projektu „Otwarta Nauka w Centrum Kopernika".

Dla Elizy

JOSEPH WEIZENBAUM, jeden z pionierów programistyki, opracował w latach 1964-66 program ELIZA. Miała być to prosta demonstracja możliwości przetwarzania tekstu, napisanego zwykłą angielszczyzną, przez maszynę: co samo w sobie było wówczas bardzo innowacyjne. Program reagował na wpisany tekst wyszukując w nim słowa kluczowe, a potem sprytnie manipulował tym tekstem, wypluwając swoją odpowiedź. Weizenbaum nadał Elizie osobowość „parodii psychoterapeuty", a więc na zdanie „Boli mnie noga" mogła odpowiedzieć przykładowo „Czy często boli cię noga?" albo „Czy chcesz porozmawiać o tym, że boli cię noga?".
Jakże wielkie było zaskoczenie Weizenbauma, gdy pewnego dnia zastał swoją sekretarkę przy terminalu komputerowym, zatopioną w konwersacji z Elizą. Zażenowana dziewczyna poprosiła swojego szefa, aby wykasował zapis tej, jak stwierdziła, osobistej rozmowy. W niedługim czasie w pewnym czasopiśmie psychiatrycznym ukazał się też artykuł, w którym Eliza została potraktowana jako poważna propozycja psychoterapeutyczna, a jego autor, doktor K.M. Colby, stwierdził, że choć potrzeba jeszcze sporo pracy przy tym projekcie, to Eliza może stanowić dla pacjentów ciekawą alternatywę dla standardowej rozmowy z ludzkim psychologiem. Astronom i popularyzator nauki Carl Sagan opisał nawet wizję, w której budki z „automatycznym terminalem psychoterapeutycznym" stoją w każdym amerykańskim mieście.
Przerażony Weizenbaum zarzucił pracę nad Elizą i do końca życia pozostał sceptykiem w temacie „uczłowieczania" sztucznej inteligencji. ©℗ ŁL

Ostatnie pokolenie

ŁUKASZ KWIATEK

Na świecie żyje jeszcze kilka małp, z którymi można porozmawiać. Ale większości badaczy nie obchodzi już, co mają do powiedzenia.

Lana zmarła w 2016 r. Była pionierką. Nie ukończyła jeszcze dwóch lat, gdy w 1971 r. trafiła do laboratorium Duane'a Rumbaugha na Georgia State University w Atlancie. Sercem tej placówki był komputer, który wykonywał kilka poleceń po wpisaniu odpowiednich komend – np. włączał muzykę, otwierał dostęp do schowków z jedzeniem, uchylał okno. Komendy wpisywano przy użyciu nietypowej klawiatury – zamiast liter i cyfr widniały na niej abstrakcyjne graficzne symbole nazywane leksygramami. Większość z nich odpowiadać miała konkretnym słowom, np. OTWIERAĆ, OKNO, DAWAĆ, BANAN, KAWA, JABŁKO, KOC, PODŁOGA, TY, MNIE, WIĘCEJ.

Rumbaugh liczył na to, że młodziutka szympansica nauczy się, metodą prób i błędów, wpisywania poprawnych komend do komputera, dzięki czemu będzie w stanie powiązać poszczególne symbole z ich znaczeniami. Lana miała także nauczyć się wykorzystywać leksygramy w interakcjach z opiekunami, którzy mogli się do niej w ten sam sposób zwracać – co przypominałoby namiastkę rozmowy.

Gramatyka wpisywanych do komputera sekwencji leksygramów po części nawiązywała do angielskiej, jednak cały ten system komunikacji był właściwie nowym, sztucznym językiem, zaprojektowanym w myśl zasad, które rozumiał prawdopodobnie tylko jego twórca – niemiecki filozof Ernst von Glasersfeld. Na cześć jednego z pionierów badań nad małpami, Roberta Yerkesa, nowy język nazwano *yerkish*.

Każdą wypowiedź w *yerkish* należało rozpocząć od znaku funkcyjnego, określającego, z jakiego typu zdaniem będziemy mieli do czynienia: oznajmieniem, pytaniem czy prośbą (żądaniem). Istniały w tym języku także inne specjalne leksygramy, o bardziej abstrakcyjnym znaczeniu: zakończenia wypowiedzi (KROPKA), afirmacji (TAK), negacji (NIE), były też wyrażenia porównawcze (TAKI JAK, INNY NIŻ) czy leksygram wskazujący (TO).

Naukowcy, którzy pracowali z Laną, zapewniali, że ich podopieczna osiągnęła pewien poziom językowych kompetencji. Po pierwsze, umiała sterować komputerem zgodnie z własną wolą – np. uzyskiwać dostęp do jedzenia ukrytego w pojemnikach. Po drugie, potrafiła porozumiewać się z ludźmi – o przyniesienie kawy nauczyła się prosić na kilkanaście różnych sposobów. Kilka razy miała nawet przeprowadzić dłuższe rozmowy – np. rzekomo celowo odmawiała wykonania polecenia opiekuna (wpisania komendy otwierającej okno), ponieważ droczyła się z nim lub obraziła za to, że nie chciał spełnić jej zachcianki (przynieść jej soku).

Inni badacze podważali jednak tak szczodrą dla Lany interpretację jej zachowania. Zespołowi Rumbaugha nie udało się zaprojektować eksperymentów, które jednoznacznie określałyby poziom kompetencji językowych szympansicy, zwłaszcza w sytuacjach społecznych. Doniesienia o jej dłuższych rozmowach przemycano wyłącznie w formie anegdot, ogromna zaś większość krótkich wypowiedzi Lany mogła nie mieć charakteru komunikacyjnego. Sprowadzały się do wywoływania jakiejś fizycznej zmiany w świecie – otwarcia okna, włączenia muzyki czy uzyskania dostępu do pożywienia – za pomocą odpowiedniej sekwencji leksygramów, co bardziej przypomina obsługiwanie maszyny niż konwersację.

Nawet „prośby", które Lana kierowała do ludzi, z jej perspektywy mogły być czymś w rodzaju zaklęć. Żeby uznać zachowanie Lany za językową komunikację, należałoby udowodnić, że traktowała ona ludzi jako partnerów do rozmowy – istoty posiadające stany mentalne. Tak wcale nie musiało być. Szympansica mogła postrzegać swoich opiekunów jako pozbawionych umysłów zombie, którymi, przy pomocy „magicznych" sekwencji leksygramów, można do pewnego stopnia sterować.

Nawet jeśli Lana nie była pierwszą małpą, z którą można było prowadzić rozmowę, to przetarła ona szlak takim osobnikom.

JEDNYM Z NICH BYŁ SHERMAN – samiec zmarły na początku 2018 r. Gdy po kilku latach edukacji Lana przestała robić zauważalne postępy, Rumbaugh sprowadził do swojego laboratorium dwa kilkuletnie szympansy: Shermana oraz Austina. Do zespołu dołączyła natomiast młoda badaczka, Susan Savage (później Savage-Rumbaugh).

Do tej pory w edukacji Lany główny nacisk położony był na gramatyczną poprawność zdań – to dlatego szympansica musiała wpisywać sekwen-

FRANS LANTING / EAST NEWS

Kanzi, najbardziej elokwentny szympans bonobo na świecie. Des Moines, USA, 2014 r.

cję nawet pięciu-sześciu symboli, by dostać szklankę soku. Z dzisiejszej perspektywy takie podejście może wydawać się dziwaczne, ale w tamtych latach wśród językoznawców dominował spopularyzowany przez Noama Chomsky'ego pogląd, że gramatyka (zbiór reguł generowania poprawnych wypowiedzi) stanowi esencję języka. Najprostszym sposobem na przekonanie sceptyków o zdolnościach lingwistycznych małp było udowodnienie, że są w stanie wyuczyć się jakichś reguł gramatycznych.

Savage-Rumbaugh nie przepadała za koncepcją Chomsky'ego. Nie robiło jej różnicy, czy szympansy używają długich sekwencji leksygramów, czy pojedynczych symboli, jeśli tylko kontekst tego użycia wskazywał, że mamy do czynienia z komunikacją. Komputer Lany wprawdzie zapamiętywał wszystkie wpisane sekwencje symboli, co pozwalało w nieskończoność analizować poprawność gramatyczną, ale był całkowicie ślepy na kontekst wypowiedzi szympansicy. Projekt trzeba było zacząć od początku.

W 1976 r. Sherman i Austin rozpoczęły edukację. Szympansom pokazywano po kolei różne leksygramy. Gdy ich dotykały, dostawały rzecz, do której odnosił się dany symbol – z początku różne owoce. Potem sięgnięto po ich plastikowe atrapy: gdy Sherman bądź Austin na widok sztucznego jabłka wskazywały leksygram JABŁKO, w nagrodę dostawały inny owoc. W ten sposób nauczyły się, że w zadaniu nie chodzi o proszenie o różne rzeczy, tylko ich nazywanie, a leksygram może funkcjonować jako symbol rzeczy, do której się odnosi. Z czasem do ich słownika wprowadzono także leksygramy oznaczające narzędzia – patyki, klucze, słomki czy gąbki – które mogły służyć do wydobywania umieszczonego w różnych schowkach pożywienia. Oba samce łatwo nauczyły się kategoryzacji: na jedną kupkę odkładały tabliczki z leksygramami odnoszącymi się do narzędzi, na inną – do rzeczy jadalnych.

Wreszcie przyszedł czas na dialog. Shermana zamykano w jednym pokoju, Austina – w drugim. Jedna małpa miała dostęp do narzędzi, druga – do pojemników z pożywieniem. Gdy pierwszy szympans zobaczył, że do jego pokoju wniesiono określony pojemnik, musiał odpowiednim leksygramem zakomunikować partnerowi, jakiego narzędzia potrzebuje. Ten z kolei musiał zrozumieć prośbę oraz odnaleźć i podać oczekiwane narzędzie. Po wykonaniu zadania małpy dzieliły się wydobytym z pojemnika smakołykiem. Gdy czasem dochodziło do pomyłek – jeden z szympansów podawał niewłaściwe narzędzie – drugi irytował się i próbował go odpowiednio pokierować. Nie było w tym wszystkim złożonej gramatyki, ale była komunikacja.

W tego rodzaju schematach eksperymentalnych Sherman i Austin rozwijały swoje zdolności językowe, uczyły się współpracy i zwracania uwagi ↦

↦ nakierowane do nich wypowiedzi. Ich zasób słownictwa systematycznie rósł – w ciągu kilku lat opanowały kilkadziesiąt leksygramów. *Yerkish* zaś zaczął żyć własnym życiem – nikt nie przejmował się już jego pierwotnymi zasadami. Ani tymi dotyczącymi tworzenia kolejnych symboli, które zaczęły przyjmować zupełnie chaotyczne kształty, ani gramatyką. W przeciwieństwie do Lany, Sherman i Austin nauczyły się także znaczeń wielu angielskich słów, bo w kontaktach z nimi naukowcy używali nie tylko leksygramów, ale także mowy.

KOKO ZMARŁA kilka miesięcy po Shermanie. Najsłynniejsza gorylica świata, bohaterka okładek poczytnych magazynów (m.in. dwukrotnie „National Geographic"), nie znała ani jednego leksygramu. Jej opiekunka, Francine Patterson, we wczesnych latach 70. XX w. zaczęła ją uczyć amerykańskiego języka migowego (ASL). Koko nie była pierwszą małpą, która posługiwała się tym językiem – wcześniej psycholog Roger Fouts z różnym skutkiem uczył ASL wiele szympansów (najsłynniejsza z nich, Washoe, zmarła w 2007 r.) – ale to właśnie Koko osiągnęła na tym polu największą biegłość.

Metoda Foutsa – zastosowana także u Koko – polegała na układaniu przez nauczyciela dłoni małpy w gesty języka migowego, a następnie pokazywaniu przedmiotu bądź czynności, do której dany znak się odnosił. Różni badacze stosowali nieco inne kryteria uznawania, że jakiś gest został przez małpę opanowany, niemniej Koko powszechnie uchodziła za rekordzistkę – przez całe życie używała ponad tysiąc gestów ASL, które potrafiła łączyć nawet w kilkunastoelementowe wypowiedzi. Rozumiała także podobną liczbę angielskich słów. Można było prowadzić z nią proste rozmowy – nie tylko pytać, na co akurat ma ochotę, ale również prosić o skomentowanie czegoś albo wymieniać się informacjami. Jej pierwsze sukcesy przyjmowano z niedowierzaniem: zanim Koko zdobyła światową sławę, wśród naukowców panowało przekonanie, że goryle są zbyt głupie, uparte i agresywne, by mogły osiągnąć jakąkolwiek językową biegłość. Koko, jak podkreślali autorzy opublikowanego w „American Journal of Primatology" pożegnania, była łagodna, figlarna i ciekawa świata, a nade wszystko – pragnęła społecznych interakcji. Ku rozczarowaniu jej opiekunów z organizacji Gorilla Foundation nigdy nie zaszła w ciążę. Swatano ją dwukrotnie: z Michaelem (zmarłym w 2000 r.), także uczonym języka migowego, z którym przez lata spontanicznie komunikowała się w ASL, oraz z Ndume, którego sama wybrała spośród grupki kandydatów na wideorandce.

> Długo panowało przekonanie, że goryle są zbyt głupie, uparte i agresywne, by nauczyć się języka.
> **Koko była łagodna, figlarna i ciekawa świata.**

JĘZYKOWEGO PRZEDSTAWICIELA miały także orangutany, jednak Chantek też już odszedł – w sierpniu 2017 r. Ten samiec, którego imię po indonezyjsku oznacza „piękny", zasłynął z moralnie dwuznacznego zachowania. W ciągu kilku miesięcy w 1982 r. jego nauczycielka ASL, antropolożka Lyn Miles, zanotowała kilkadziesiąt potencjalnych prób oszustwa. Chantek miał systematycznie używać znaku BRUDNY – którym wcześniej sygnalizował potrzebę skorzystania z toalety – nie zmuszony fizjologią, ale wiedziony chęcią zabawy papierem toaletowym, pralką i suszarką, do których inaczej nie miałby dostępu. Podczas spacerów miał również celowo używać gestu KOT do odwracania uwagi opiekunów i przedłużania wycieczki – żadnego kota nie było w pobliżu.

Wiele małp uczonych języka – wśród nich Koko i Chantek – dożywało spokojnej starości nie w ośrodkach badawczych, ale w ogrodach zoologicznych lub rezerwatach, gdzie budziły większe zainteresowanie turystów niż naukowców. Pielgrzymowali do nich celebryci, telewizje kręciły filmy dokumentalne, ale nie powstawały już nowe, duże projekty badawcze.

Winę za to ponosi spór, jaki rozgorzał w środowisku. Na przełomie lat 70. i 80. większość językoznawców przyjęła, że wszystkie doniesienia o zdolnościach językowych małp są efektem „nieświadomej stronniczości, samooszukiwania się, magicznych sztuczek i przedstawień cyrkowych" – jak ujął to w 1979 r. Thomas Seboek w „Psychology Today". Do takiego wniosku skłoniło go fiasko przeprowadzonego z ogromnym rozmachem Projektu Nim. Jego uczestnik, szympans Nim Chimpsky, nie nauczył się posługiwać gestami ASL w kontekście komunikacyjnym. Co prawda Nim opanował setki gestów ASL, ale ich użycia nie były spontaniczne. Analiza tysięcy godzin nagrań wykonanych w trakcie eksperymentu ujawniła, że Nim w swoich wypowiedziach albo wprost naśladował rozmówców (nauczycieli), albo jego gesty były przez nich nieintencjonalnie prowokowane. Dowody były mocne: żaden inny projekt nie był tak dobrze udokumentowany.

Gwoździem do trumny badań nad „gadającymi małpami" miały być inne eksperymenty lidera Projektu Nim, Herberta Terrace'a, w których udowodnił, że nawet gołębie potrafią nauczyć się wykonywania wielu, na pozór złożonych, zadań poznawczych – np. kategoryzować bodźce, rozróżniać kształty czy dziobać w odpowiedniej kolejności kilka przycisków, by uzyskać dostęp do pożywienia. Nie ma więc sensu ekscytować się tym, co potrafią małpy. Ani dziobiące gołębie, ani bawiące się klawiaturą szympansy nie mogą mieć wiele wspólnego z prawdziwym językiem. W tym wszystkim musiało chodzić o jakąś wyrafinowaną tresurę.

W atmosferze nieufności wobec badaczy językowych zdolności zwierząt coraz trudniej było zainteresować redakcje czasopism naukowych nowymi publikacjami w tej dziedzinie, a grantodawców – projektami badań, niezwykle przecież kosztownych. Utrzymywanie laboratoriów z małpami i ich nauczycielami pochłaniało fortunę, a wyników badań można było oczekiwać dopiero po wielu latach. Zresztą, rozłamy w środowisku nie sprzyjały postępom – nie rodziły się nowe, przełomowe idee, zwolennicy przeciwnych stanowisk okopywali się na swoich pozycjach, a naukową debatę zastępowały ataki personalne.

SYTUACJĘ NIECO ZMIENIŁ KANZI. Urodzony w 1980 r. bonobo już jako niemowlę trafił do laboratorium, w którym Sherman i Austin z mozołem przyswajały kolejne porcje leksygramów, podawały sobie narzędzia i słuchały rozmawiających po angielsku Duane'a Rumbaugha i Susan Savage-Rumbaugh. Przyglądając się starszym małpom, Kanzi spontanicznie, bez

żadnego treningu, podłapał znaczenia kilkunastu leksygramów oraz angielskich słówek. Gdy badacze zdali sobie z tego sprawę, zaczęli w interakcjach z nim używać kolejnych, które także przyswajał z łatwością niespotykaną wcześniej u żadnej innej małpy. Wyglądało na to, że Kanzi uczy się języka tak, jak każde ludzkie dziecko: bez większego wysiłku, po prostu uczestnicząc w społecznych interakcjach. Z czasem okazało się też, że Kanzi nie jest wyjątkiem. Kolejne małpy, wychowane w takich samych warunkach, zaczęły osiągać zbliżone wyniki.

Dzięki Kanziemu projekt *yerkish* naukowo się rozwijał, mimo że środowisko pozostawało silnie podzielone. Redakcje najbardziej prestiżowych czasopism zaczęły odmawiać drukowania artykułów poświęconych małpom uczonym języka. Albo miały już powyżej uszu sporów wokół gadających małp (jak utrzymywali Rumbaugh i Savage-Rumbaugh) – albo nie były zadowolone ze stosowanych standardów metodologicznych (jak twierdzili sceptycy).

Niemniej niektóre eksperymenty z udziałem Kanziego trafiły do kanonu i dziś mało kto podważa ich wyniki. W najbardziej znanym bonobo pokonał 2,5-roczną dziewczynkę Alię (córkę jednej z badaczek z zespołu Savage-Rumbaugh). Zadanie polegało na stosowaniu się do wypowiadanych w języku angielskim poleceń typu: wykonaj czynność A z przedmiotem B w miejscu C (np. nalej soku z lodówki do szklanki, wynieś telewizor na zewnątrz, daj zastrzyk leżącej na podłodze maskotce). Kanzi poprawnie wykonał blisko trzy czwarte poleceń – Alia o 10 proc. mniej. Każde ze zdań użytych w eksperymencie było dla obojga nowe, a osoba wypowiadająca polecenia zakrywała twarz – nie mogła więc nieświadomie przekazywać wskazówek spojrzeniem czy mimiką.

Po kilkunastu latach nawet Kanzi zmienił się jednak z jednego z najbardziej interesujących obiektów badawczych we wszechświecie w kolejnego małpiego celebrytę. Nie uczestniczył w eksperymentach, ale miał coraz więcej obowiązków – przyjmował gości z całego świata, występował w telewizji, zasiadał w składzie jury w konkursach kulinarnych. W wyniku wewnętrznego konfliktu w laboratorium razem z częścią małp, m.in. swoją przyrodnią siostrą Panbanishą (także niezwykle wykształconą językowo), został przeniesiony do innego ośrodka – Great Ape Trust w Des Moines (obecnie Ape Cognition and Conservative Initiative).

Na naukowej emeryturze Kanzi, karmiony śmieciowym jedzeniem, za którym przepadał, potwornie się roztył. Dopiero w ostatnim czasie, po radykalnych zmianach w ośrodku w Des Moines (co wiązało się z rozstaniem z Savage-Rumbaugh w 2013 r.), zrzucił 35 kg i wrócił do dobrej formy. Nowa dyrekcja wzięła również za cel wznowienie projektu naukowego, ale jak na razie niewiele z tego wychodzi. Mimo że do słownika Kanziego od czasu do czasu dodawano nowe leksygramy, w ostatniej dekadzie nie został opublikowany żaden artykuł badawczy, który przedstawiałby jakieś nowe ustalenia projektu *yerkish*. Pojawiło się jedynie kilka mało interesujących podsumowań lub badań związanych z pozajęzykowymi zdolnościami Kanziego (działaniem uwagi, pamięci itd.). Sytuacja nie wyglądała lepiej u tych osobników uczonych *yerkish*, które pozostały w Atlancie – od śmierci Shermana w dawnym laboratorium Duane'a Rumbaugha nie ma już ani jednego szympansa.

W 2012 R. NA ZAPALENIE PŁUC zmarła Panbanisha. Nie doczekała trwającej rewolucji naukowej, która mogłaby pozwolić bardziej docenić ją oraz jej towarzyszy i postawić przed nimi nowe zadania. W ostatnich latach różni uczeni udowadniali, że w naturalnych społecznościach szympansów występują tradycje kulturowe, że małpy te posiadają „teorię umysłu" (potrafią przyjmować cudzą perspektywę, rozumieją, iż inne osobniki kierują się własnymi intencjami i mają określony zasób wiedzy) oraz że potrafią nauczyć się skomplikowanych reguł (np. gry w kamień, nożyce i papier). Wiemy dziś także, że szympansy w naturalnej komunikacji, kiedyś uznawanej za ograniczoną i mało interesującą, mogą przekazywać bogate treści, np. rozróżniać jabłka i kiwi albo komunikować lokalizację przedmiotów. Wiemy, że znaczenie wydawanych przez nie dźwięków może być modyfikowane przez składnię.

W żadnym z tych przełomowych badań nie brały udziału małpy uczone języka, ale ich opiekunów zdobyta ostatnio wiedza nie mogła zaskoczyć. Obcując z Kanzim, Koko, Panbanishą i spółką, większość z tych doniesień przyjmowali za pewnik. Choć sami nie potrafili tego udowodnić.

W niedawnym podsumowaniu językowych eksperymentów z udziałem małp Michael Tomasello, autor części tych rewolucyjnych ustaleń, stwierdził, że szympansy nie odstają pod kątem zdolności poznawczych od ok. dwu-, trzyletnich dzieci. Brakuje im jednak tak silnych jak u dzieci skłonności do utożsamiania się z innymi oraz motywacji do angażowania się we wspólne przedsięwzięcia. Dlatego nawet jeśli nauczą się podstaw języka, nie będą go używały do miłego spędzania czasu z przyjaciółmi, tylko do wyrażania próśb (lub żądań). Dzieci są z natury nastawione na współpracę – małpy na konkurencję.

Ale jeśli Tomasello ma rację, to trzeba postawić pytanie, czy nie dałoby się obejść tego problemu, np. stosując nowe metody wychowawcze albo inaczej projektując sesje treningowe. Już wcześniej do ogromnych postępów prowadziły pozornie banalne zmiany w eksperymentach: np. wyłączenie z nich udziału ludzi, którzy dla małp muszą być bardzo zagadkowi (okazało się, że małpy świetnie rozumieją inne małpy), albo odgórny podział nagrody dla uczestników zadania (okazało się, że szympansy chętnie współpracują, jeśli wiedzą, że po wszystkim nie będą musiały stoczyć z sobą walki o każdy kawałek jabłka). Tego rodzaju historie nauczyły nas, że szympansy mogą być znacznie mądrzejsze niż nasze eksperymenty. I że ich umysły jeszcze wiele razy nas zaskoczą.

Wciąż nie wiemy, czy Kanzi osiągnął ostateczny poziom rozwoju języka, na jaki pozwala jego małpi mózg. Ani tego, jak ewoluowałby *yerkish*, gdyby dać szansę nauczyć się go kilku kolejnym pokoleniom szympansów. Nie wiemy też, jak język wpłynąłby na życie większej społeczności, czy byłby używany do rozwiązywania konfliktów, zawierania koalicji, koordynacji zachowania, egzekwowania panujących w grupie reguł.

To zdumiewające, że wiek XXI przyniósł zupełnie nową erę badań nad umysłami małp, ale nikt nie zainteresował się ponownie najbardziej niezwykłymi spośród nich. Obecnie w ośrodku w Des Moines pozostało siedem bonobo znających *yerkish* na różnym poziomie. O małpach uczonych języka migowego już w ogóle nie słychać. Ta siódemka to prawdopodobnie ostatnie pokolenie małp, które potrafi rozmawiać. Prędzej czy później wszystkie wymrą. Pytania, na które razem z nimi moglibyśmy odpowiedzieć, pozostaną.

©℗ ŁUKASZ KWIATEK

MIŁOŚĆ NA SYBERII

Maria Wołkońska poszła za mężem na zesłanie. Nie mogła wiedzieć, że stanie się rosyjskim symbolem wierności.

KAROL FRYTA

Jest 13 lipca 1826 roku. Wieczorem w petersburskiej Twierdzy Pietropawłowskiej odbywa się egzekucja. Kaci prowadzą na szubienicę pięciu mężczyzn. Gdy na komendę kopniakami wywracają stołki, pod ciężarem trzech skazańców zrywają się sznury. Obyczaj każe, by darować im życie, lecz wykonawcy są zdeterminowani, by wykonać carski rozkaz. Podduszony Konrad Rylejew krzyczy: „Przeklęty kraj! Kraj, w którym nie umiemy zorganizować spisku, osądzić ludzi ani nawet ich powiesić". Inny, Siergiej Murawjow-Apostoł, rzuca: „Szczęśliwy jestem, że dwakroć umieram za ojczyznę!". Kaci powtarzają morderczy rytuał, skutecznie. Prócz Rylejewa i Murawjowa-Apostoła w nieznanej mogile spoczną: Paweł Pestel, Michaił Bestużew-Riumin i Piotr Kachowski.

Egzekucja to konsekwencja nieudanego zamachu stanu: 14 grudnia 1825 r. grupa oficerów próbowała zmienić ustrój Rosji. Gdyby bunt na placu Senackim w Petersburgu się udał, carskie samodzierżawie miało zostać zastąpione konstytucyjną monarchią lub republiką. Jego porażka zapoczątkowała represje wobec buntowników, których z czasem nazwano dekabrystami. Skazano 121 organizatorów i uczestników, część na karę śmierci. W akcie łaski car Mikołaj I darował większości życie i kazał powiesić tylko pięciu głównych aktorów buntu. Pozostałych zesłał na Syberię.

W buduarze księżnej

Niemal 195 lat temu, zmierzając do kopalń koło Nerczyńska, zesłańcy podążali szlakiem, który dziś wyznacza nitka Kolei Transsyberyjskiej. Między Petersburgiem a Czytą (to 6600 km) prawie w każdym większym mieście jest teraz ulica lub pomnik im poświęcony.

W Irkucku, po odbyciu katorgi i przed amnestią oraz powrotem z zesłania, mieszkali m.in. Siergiej Trubieckoj i Siergiej Wołkoński. Zajmowali sąsiadujące domy, które dziś tworzą kompleks muzealny poświęcony dekabrystom. To spore budynki, z mnóstwem pokoi, buduarów i salonów. Wokół spore zaplecze gospodarcze: stodoły, stajnie, wozownie.

Po odbyciu zasadniczej części kary, w 1845 r. car zezwolił Wołkońskiemu najpierw na osiedlenie się we wsi Urik, a dwa lata później właśnie w Irkucku, gdzie zamieszkał z żoną Marią. Później, kilka lat po opuszczeniu Syberii przez Wołkońskich, nieruchomość kupił lokalny handlowiec i przekazał władzom miasta. Te urządziły w niej szkołę rzemieślniczą dla chłopców. Na początku XX w. w budynku stacjonowali żołnierze, a w latach 1920-74 ponad 30 rodzin, stłoczonych w lokalach komunalnych.

Dom – trafniejsze byłoby słowo: dwór – od frontu prezentuje się masywnie, zdobią go wykusze okienne. Ekspozycja muzealna sprawia, że nie można do nich podejść. Ale wydaje się, że to dobre miejsce, aby postać w zadumie z filiżanką kawy.

W domu Wołkońskich panuje nabożna cisza, zmącona jedynie skrzypieniem podłóg. Pokoje na parterze tworzą amfiladę. Podobny schemat zachowano na piętrze, gdzie ulokowano salony, sypialnie i garderoby zajmowane przez Marię i jej córkę Elenę. Na stojakach i w gablotach wyszukana garderoba, gorsety, suknie. Ściany kobiecych pokojów zdobi kolorowa tapeta.

Na większości portretów żona dekabrysty wygląda pięknie. Brunetka z czarnymi jak węgiel oczami i włosami. Ciekawe, na ile oddają jej wygląd, a na ile twórcy ją idealizowali?

W sąsiedztwie dworu Wołkońska doczekała się pomnika, na którym wygląda powabnie. Ma wąską kibić i charakterystyczny przedziałek (czesała się przez środek głowy). W zasadzie monument ten poświęcony jest wszystkim żonom dekabrystów, które poszły wraz z nimi na Syberię. Jednak to Wołkońska stała się ich symbolem. Bo też okoliczności, które towarzyszyły jej decyzji o udaniu się wraz z mężem na zesłanie, były szczególne.

Małżeństwo pod przymusem

Maria, urodzona w 1805 r., była córką generała Mikołaja Rajewskiego – jednego z bohaterów wojny 1812 r., gdy wojsko carskie pokonało Wielką Armię Bonapartego. Cesarz Francuzów miał powiedzieć o Rajewskim, że jest „z materiału, z którego robi się marszałków".

Dziewczyna miała południową urodę, delikatne rysy i gęste kręcone włosy, co zjednywało jej adoratorów. Kochał się w niej także polski poeta Gustaw Olizar, który po odrzuceniu awansów przez ojca nastolatki pisał w pamiętnikach: „ona była dla mnie ową Beatrice, której poświęcony był cały dantyzm, do jakiego duch mój poetyczny wznieść się zdołał".

KAROL FRYTA

Pomnik poświęcony żonom dekabrystów, za wzór których posłużyła postać Marii Wołkońskiej. Irkuck, 2019 r.

Uczucia kierowali też ku niej Paweł Pestel (późniejszy dekabrysta) i Aleksander Puszkin. Najsłynniejszy twórca rosyjskiego romantyzmu poświęcił jej wiele utworów. Wołkońska darzyła go sympatią, ale w pamiętniku, który spisała po powrocie z Syberii, podzieliła się uwagą: „Puszkin poczytywał sobie za obowiązek być zakochanym we wszystkich ładnych kobietach i młodych dziewczętach, które spotykał".

Ostatecznie w wieku 20 lat Maria poślubiła generała Siergieja Wołkońskiego, starszego o 17 lat. Małżeństwo było przymusowe: ojciec panny młodej chciał zabezpieczyć ją finansowo, Maria nie darzyła Siergieja uczuciem. Miłość i przywiązanie miały dopiero nadejść.

Badaczka Jadwiga Szymak-Reiferowa pisze, że ojciec Marii miał wiedzieć, iż zięć należy do tajnej organizacji. W dniu ślubu Wołkoński miał mu zadeklarować, że poniecha spiskowania przeciw carowi. Później rodzina Marii będzie powoływać się na to oświadczenie, walcząc o to, by żona nie musiała wypełniać obowiązków rodzinnych, skoro mąż nie dotrzymał słowa.

Wybór Marii

Za udział w buncie dekabrystów Siergiej został skazany na 20 lat katorgi (później karę złagodzono do 15), utratę majątku i praw obywatelskich oraz dożywotnie zesłanie.

Młodziutka żona, podobnie jak inne żony spiskowców, nie wiedziała o działalności męża. Po ogłoszeniu wyroków mężczyźni obierali różne postawy wobec małżonek. Część prosiła, by udały się z nimi na Syberię. Część godziła się, że już nigdy ich nie zobaczy.

Sytuacja Marii była podwójnie trudna. W chwili, gdy wybuchło powstanie, nie była przy boku męża, bo po urodzeniu Nikity, ich pierwszego syna, odpoczywała u rodziny na obecnej Ukrainie. W trosce o jej zdrowie bliscy długo ukrywali wieść o wydarzeniach w stolicy. Gdy Maria poznała prawdę, ruszyła do Petersburga, by spotkać się z mężem w więzieniu. Wołkoński nie naciskał na żonę, ale nie robił też nic, by zwolnić ją z małżeńskiego obowiązku wierności. Stanęła przed wyborem: iść z nim na zesłanie albo zostać i samotnie wychować syna.

Wybrała to pierwsze, czym rozgniewała ojca i braci (apelowali, by zmieniła zdanie). Historycy sądzą, że wpływ na jej decyzję miała teściowa, która zachęcała Marię do wyjazdu – choć sama nawet nie odwiedziła syna w więzieniu, a będąc damą dworu cesarzowej, w dniu, w którym Siergiej wyruszał na Syberię, wzięła udział w balu koronacyjnym Mikołaja I.

Przed podróżą Maria spotkała się z matką męża. Wspominała: „Wstąpiłam do świekry, aby ją uściskać; kazała wręczyć mi dokładnie taką sumę pieniędzy, jaka była potrzebna, by zapłacić za konie do Irkucka. Miałam zakupioną kibitkę [kryty wóz, używany też do transportu więźniów – red.]; spakowałam się w jednej chwili, wzięłam ze sobą trochę bielizny, trzy suknie i watowaną kapotę, którą włożyłam na siebie. Resztę pieniędzy zaszyłam w suknię z myślą o Syberii".

Żona zdrajcy stanu

Najcięższa rozmowa czekała Marię z ojcem, który od teraz miał zostać opiekunem Nikity, bo młoda matka nie chciała wziąć go ze sobą, by dziecka nie narażać na trudy wędrówki i zesłania. Pożegnanie było oschłe, generał rzucił, że przeklnie córkę, jeśli nie wróci w ciągu roku. Być może na łożu śmierci żałował tych słów – nie mógł wtedy wiedzieć, że już jej nie zobaczy.

Maria ruszyła za mężem. Po drodze natknęła się na kolumnę innych katorżników. „Ich brud i nędza sprawiały odrażające wrażenie" – zanotowała.

Gdy dotarła do Irkucka – pokonując 5600 km – zamknęła za sobą możliwość powrotu, parafując dokument, w którym znalazł się zapis: „Żona podążająca za mężem i pozostająca z nim w związku małżeńskim z natury rzeczy podzieli jego los i utraci swój dotychczasowy status, to jest będzie traktowana ↦

KAROL FRYTA

Salon Marii Wołkońskiej z fortepianem przysłanym na Syberię przez jej brata. Irkuck, 2019 r.

odtąd nie inaczej, jak żona zesłanego katorżnika i wraz z tym podejmie się znosić wszystkie możliwe uciążliwości takiego stanu, gdyż nawet władze nie będą mogły chronić jej przed ustawicznymi zniewagami ze strony ludzi należących do najbardziej rozwiązłej, nikczemnej klasy, którzy poczują się niejako uprawnieni do tego, by uważać żonę zdrajcy stanu, dzielącą ich los, za równą sobie; zniewagi te mogą być nawet połączone z przemocą".

Panie listy piszą

Po przeprawie przez jezioro Bajkał, podczas której „łza zamarzała w oku i lodowaciał oddech", w lutym 1827 r. Maria dotarła do osady w Błagodatsku, położonej w Nerczyńskim Okręgu Górniczym, gdzie dekabryści pracowali przymusowo. Na początku XIX w. był to największy ośrodek pracy karnej w Rosji. Wydobywano tu srebro, złoto i miedź.

W Błagodatsku Maria spotkała Jekatierinę Trubiecką, żonę innego dekabrysty. Wspólnie wynajęły chatę i podpisały kolejny dokument, w którym potwierdziły zgodę na jedynie dwa spotkania z mężami w tygodniu. Mogły z nimi rozmawiać tylko po rosyjsku (wśród elit Rosji popularny był francuski) i nie wolno im było dostarczać mężom materiałów piśmienniczych.

Później, gdy skazańcy wraz z rodzinami zostaną przeniesieni do Czyty, żona innego dekabrysty Pauline Annienkowa zapisze: „Nasze panie pełniły obowiązki sekretarzów i prowadziły korespondencję więźniów. Każda z nas miała pod swą opieką kilku skazańców, w imieniu których pisywała do ich rodzin. Najwięcej listów wypadało pisać księżnie Wołkońskiej i księżnie Trubieckiej, znały bowiem osobiście wielu krewnych naszych więźniów. Czasami zdarzało się, że musiały wysyłać po dwadzieścia, trzydzieści listów naraz".

Przyzwyczajone do arystokratycznego życia, tu musiały same się oprać i zamieść izbę (pokojówki, z którymi tu przybyły, uciekły do kozaków, pilnujących więźniów i granicy z Chinami). Jednak się przystosowały. A ich obecność podnosiła uwięzionych na duchu. Wraz z innymi żonami Wołkońska naciskała na kierownictwo kopalń i walczyła o poprawę losu dekabrystów, śląc listy do cara. Żony były jedynym łącznikiem między skazanymi a światem, co sprawiało, że nie gasło zainteresowanie dekabrystami, a wieści o uwięzionych trafiały na stołeczne salony. Tym samym żony skazanych stały się rzeczniczkami ich sprawy.

Do ołtarza w kajdanach

W 1827 r. więźniów przeniesiono do Czyty, wówczas wioski liczącej kilkaset dusz. Car chciał zgromadzić dekabrystów w jednym miejscu do czasu zbudowania więzienia w mieście Pietrowski Zawod (dziś Pietrowsk Zabajkalski). Wołkońska wynajęła tu pokój wraz z Trubiecką, z którą już się zaprzyjaźniła, oraz z żoną kolejnego dekabrysty, Jentalcewa. Pisała o niej: „Ta wspaniała kobieta miała już 44 lata; była mądra, przeczytała wszystko, co zostało napisane po rosyjsku, i rozmowa z nią była prawdziwą przyjemnością".

W nowym miejscu spotkała też Pauline Annienkową (z domu Gueble), która na Zabajkale przybyła jako panna. Młoda Francuzka zjawiła się w Rosji w 1823 r. i zakochawszy się w dekabryście Iwanie Annienkowie, dołączyła do niego. Wzięli ślub zaraz po przybyciu na Syberię. Przed

ołtarzem zdjęto panu młodemu kajdany, aby po ceremonii założyć je ponownie.

Lata 1828-30 są chyba najcięższe dla Wołkońskiej. Przychodzą złe wieści: najpierw umiera dwuletni syn, a rok później ojciec. Zarazem jednak władza luzuje rygory: pozwala na zdjęcie dekabrystom kajdan i przemieszczanie się po okolicy. Mogą zostać na noc w domach, które wynajmują ich żony. W 1830 r. Maria rodzi córkę, ale Zofia umiera tego samego dnia (spocznie obok cerkwi, w której ślub brała Annienkowa; jej grób jest tam do dziś).

Rysa na wizerunku

Z Czyty skazani przenoszą się do Pietrowskiego Zawodu. W 1832 r. na świecie pojawia się Mikołaj, dla którego Maria spisze potem pamiętnik. Trzy lata później rodzi się Elena. W tym samym roku car skraca wyroki skazańców i wydaje dekret o zwolnieniu z pracy przymusowej Wołkońskiego, nadając mu status wolnego osiedleńca, choć z nakazem pozostania na Syberii. Miejscem docelowym jest wieś Urik pod Irkuckiem. Z czasem Wołkońscy otrzymują zgodę na przenosiny do miasta, gdzie Maria urządza spotkania towarzyskie.

W Irkucku Wołkońskich odwiedza polski zesłaniec Justynian Ruciński. We wspomnieniach notuje, że Maria dość dobrze mówi po polsku i przy fortepianie śpiewa polską pieśń. Opisuje ją tak: „Księżna Wołkońska była wielką damą w całym znaczeniu. Wysokiego wzrostu, smagła brunetka, nieładna, lecz przyjemnego oblicza, w młodości musiała być powabną. Prowadziła ze mną ożywioną rozmowę z wielką salonową wprawą i z życzliwością, zdaje się, nieudaną".

Irkucki salon, w którym gości Ruciński, ma trzy okna wychodzące na ulicę i jest przestronny. Jeśli akurat nie odbywają się proszone wieczory, Maria spotyka się tu z innymi kobietami; oddają się haftowi i dzierganiu. W domu zachowały się próbki jej prac: haftowana okładka na zeszyt i etui na fajkę. Prócz tego honorowe miejsce zajmuje fortepian Lichtenthala, który brat Aleksander przysłał jej w prezencie w 1837 r.

Jadwiga Szymak-Reiferowa – szkicująca biografię Wołkońskiej w przedmowie do jej pamiętnika – twierdzi, że Maria w Irkucku przeszła niewidoczną w treści jej wspomnień przemianę. Miała stać się osobą oschłą, bezwzględną i daleką od tej, która z oddaniem wyjeżdżała za mężem. Polska badaczka stawia tezę, że syn i córka byli owocem jej romansu z dekabrystą Aleksandrem Poggio. Miały o tym świadczyć obserwacje zawarte w pamiętnikach przyjaciół domu, rosnąca niechęć wobec męża, który miał zdziwaczeć (więcej czasu spędzał w wiejskiej posiadłości niż w irkuckich salonach). Z kolei Michaił Filin, autor książki „Maria Wołkońska, ukryta miłość Puszkina", próbuje rozprawić się z tą tezą, twierdząc, że nie ma dowodu na jej poparcie.

Zwolennicy nieskazitelnej biografii Marii wskazują, że w dobrze zachowanych archiwach Wołkońskiej nie ma śladu po jej korespondencji z Aleksandrem (choć wielu obserwatorów życia Wołkońskich potwierdzało, że łączyła ich szczególna więź). Na to oponenci ripostują, że Maria zapewne oczyściła archiwum z miłosnej korespondencji.

Tak czy inaczej, na jej wizerunku powstała rysa.

Jedenaście kobiet

W 1855 r. umiera Mikołaj I, a następca Aleksander II amnestionuje dekabrystów. Maria wraca do europejskiej części Rosji, a rok później Siergiej i reszta spiskowców, którzy przeżyli.

Małżonkowie nie pożyją długo. Na zdjęciach wykonanych kilka lat przed śmiercią Maria ma zapadnięte policzki, wygląda na przygaszoną. Trudno dostrzec w niej kobietę, o której względy zabiegało tylu amantów. Umiera w 1863 r. Dwa lata później odchodzi Siergiej, któremu – jak chcą jej apologeci i twórcy kultu żon-dekabrystek – Maria była wierna do końca życia.

Mikołaj Niekrasow uczyni ją jedną z bohaterek swego poematu „Kobiety rosyjskie" (druga to Trubiecka). Tołstoj, który poznaje Wołkońskiego w 1861 r., zachwyca się losem małżeństwa, co zaowocuje napisaniem „Wojny i pokoju". Filozof Aleksander Hercen będzie pod wrażeniem postawy i hartu ducha Wołkońskich.

Maria Wołkońska i Jekatierina Trubiecka są najbardziej rozpoznawalnymi z żon dekabrystów, ale młody wiek Marii i okoliczności towarzyszące jej decyzji to z niej uczyniły w Rosji symbol kobiecego poświęcenia. Warto dodać, że te dwie kobiety pociągnęły za sobą pozostałą dziewiątkę, w której były: Aleksandra Murawjowa, Elżbieta Naryszkina, Aleksandra Jentalcewa, Natalia Fonwizina, Aleksandra Dawydowa, Kamilla Iwaszewa (z domu Le Dante), Pauline Annienkowa, Maria Juszniewska i Anna Rozen.

W Rosji stały się symbolem oddania. Często podkreślany jest ich rosyjski charakter. Trzeba jednak zauważyć, że dwie były Francuzkami, dwie Polkami, a dwie Ukrainkami. Najwyraźniej poświęcenie leży nie tylko w naturze Rosjanek.

PRZED OPUSZCZENIEM MUZEUM w Irkucku natykam się na cytat z pamiętnika Wołkońskiej, umieszczony w przejściu między pokojami: „Na początku naszego wygnania myślałam, że potrwa ono najwyżej pięć lat. Później mówiłam sobie, że na pewno skończy się za 10 lat, potem – za 15 lat, lecz po 25 latach przestałam już czekać. Prosiłam Boga tylko o to, by wywiódł z Syberii moje dzieci".

Bóg wysłuchał tych próśb.

© KAROL FRYTA

POŻEGNANIE

Wyrazy współczucia z powodu śmierci

Ś.†P.

Tadeusza Styki

żonie Felicji i całej rodzinie

składa

Jerzy Pelc z rodziną

Już w sprzedaży – podwójne wydanie specjalne!
ŚWIĘTO SPOTKANIA

Wiem, że kluczowym w sytuacji kryzysu jest dopuszczenie do siebie człowieka, który może przynieść rodzaj daru sprowadzającego się do obecności, słowa – drogowskazów, które poprowadzą nas w najbliższym czasie.
Katarzyna Nosowska

Oczekiwanie. Uczta. Goście, których chcielibyśmy zaprosić do stołu, „kiedy to wszystko się wreszcie skończy". Radość i zabawa.
Zmagając się z epidemią, przeżywając społeczne niepokoje, nie przestajemy zadawać sobie najważniejszych pytań duchowych i egzystencjalnych. I nie przestajemy myśleć o jakości naszego bycia razem, zarówno z najbliższymi, jak we wspólnocie obywatelskiej.

„Święto spotkania" – szukaj w sklepach z dobrą prasą i na **powszech.net/swietospotkania**

weź, czytaj!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

PARTNERZY WYDANIA

TYGODNIK POWSZECHNY
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO
ADWOKATURA POLSKA PRAWO OJCZYZNA HONOR
ZAiKS
SOS WIOSKI DZIECIĘCE
Wrocławski Dom Literatury

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall
Się nie liczy

Nie jest pewne, czy Maria H., jedna z dwóch bohaterek „Synaps Marii H." (ta starsza, z getta i z wieży World Trade Center), przeczytała książkę.

Podobno zajrzała do niej.

Podobno zaraz odłożyła, bo smutna.

Poza tym denerwowała się, że Trump może przegrać i nie miała głowy do czytania.

(Amerykańscy Żydzi kochają Trumpa, bo przeniósł do Jerozolimy amerykańską ambasadę).

Książkę przeczytał Grzesiek, polonista spod Dąbrowy Górniczej, który wszystko czyta i wszystko rozumie. Owszem, podobała mu się, ale jego pochwały się nie liczą. Musiała się podobać, bo był uczniem mamy Marysi H., młodszej z dwóch bohaterek.

(Mieszkał na osiedlu Cedlera, w małym mieszkaniu z dużym stołem. Lubili z mamą to mieszkanie. Na stole zawsze stało jakieś ciasto i było blisko do mamy pracy, na pocztę.

Mamy Grześka już nie ma, ani stołu, ani nazwy osiedla – Edmunda Cedlera. Komunistę zamordowanego w Auschwitz zastąpił Józef Patrycjusz Cieszkowski herbu Zerwikaptur, naczelnik kopalni w Królestwie Polskim. To on wymyślił nazwę – Zagłębie Dąbrowskie, a także wiele nazw górniczych, na przykład narażacz, zrażacz, włam i pochylnia).

Grzesiek posłał „Synapsy" Heńkowi do Australii. Heniek jest rzeźbiarzem. Jego rzeźby, wtopione w przyrodę, splątane z drzewami albo wspinające się na drzewa, ucierpiały niestety podczas ostatnich pożarów. Kikuty spalonych drzew przydały mu się w kilku rzeźbach. COVID-19 też mu się przydał – wyrzeźbił go w metalu i pomalował. Kolory wyszły ostre, niepokojąco jaskrawe.

Owszem, książka Heńkowi się podobała, ale i jego pochwały się nie liczą – i on był uczniem mamy Marysi H. Za to przypomniał sobie, że ma zdjęcie sprzed pięćdziesięciu lat. Pojechali z Grześkiem do mamy Marysi, do Sączowa, pochwalili się, że się dostali na studia, i Heniek zrobił zdjęcie.

Jest lato, mama Marysi w lekkiej sukience siedzi na trawie i trzyma na rękach małe kotki. Obok siedzi Grzesiek. Wszyscy uśmiechają się i trzymają kotki. Ich matka nie miała dość pokarmu i dokarmiali kocięta pincetami.

Grzesiek też przysłał zdjęcie – sprzed kilku tygodni, z cmentarza. Posprzątał przed Zaduszkami grób mamy Marysi i zapalił znicze.

Jaś H., mąż Marysi, jeszcze nie czytał. Chyba się boi – że mu się nie spodoba, albo na odwrót, że spodoba się i się wzruszy.

Nie lubi wzruszeń i nie lubi słów. Jak jego mamie odpadł uchwyt pokrywki od garnka, bez słowa poszedł do samochodu i przywiózł komplet garnków. Wszystkie miały pokrywki z uchwytami, kosztowały pięćset dolarów i były tak ciężkie, że mama nie dała rady żadnego garnka utrzymać w ręku.

Jaś jest matematykiem, milczy i patrzy w komputer. Parę razy zmieniał pracę, w każdej milczał i patrzył.

Z ostatniej pracy zwolniono go na wszelki wypadek. Firma miała coś wspólnego ze zbrojeniami, a Jaś przyjaźnił się z muzułmaninem. Co było przesadą. Jaś wcale się nie przyjaźnił, a tylko pokazał, gdzie jest wschód, żeby muzułmanin wiedział, w którą stronę ma się modlić. Jaś próbował to szefowi wytłumaczyć, ale firma była czujna.

Jeszcze i Ania przeczytała, ale i to się nie liczy. Musiała przeczytać, musiała pochwalić, bo o ojcu Ani było w książce. Że robił najlepsze gołąbki z kaszą gryczaną i najlepsze konfitury z kwaśnych wiśni.

Ania uczy matematyki w niemieckiej szkole. W związku z epidemią obniżono pracownikom pensje o dwadzieścia procent. Przyjęli to ze zrozumieniem – wszyscy, poza Anią. Ania obraziła się i zrezygnowała z pracy. Była to klasa maturalna, rodzice uczniów zaniepokoili się, zaczęli protestować i Ani przywrócono całą pensję.

Niemieccy koledzy dziwili się, że Ania taka odważna. Wyjaśniła im, że to genetyczne: – Mój ojciec szedł z szablą na wasze czołgi, a ja miałabym stchórzyć przed waszą dyrekcją?

Bowiem ojciec Ani był ułanem i we wrześniu w trzydziestym dziewiątym brał udział w szarży, takiej prawdziwej, ułańskiej, o której piszą – „atakowali w pełnym galopie". Jedynej, jaka miała miejsce we Wrześniu, udanej zresztą, bo ułani zaskoczyli Niemców, kilku zabili, obrzucili granatami i spalili czołg.

Ojciec Ani galopował na Antyku. Był to piękny, mądry koń, który umiał tańczyć. Ojciec Ani i tańczący koń uczestniczyli przed wojną w paradach i różnych uroczystościach wojskowych. Antyk, niestety, wojny nie przeżył. Nauczono go tańczyć, ale nie nauczono pływać. Utopił się podczas przeprawy przez Wisłę.

Aleksander Hanslik, Ślązak, informatyk i meloman, mieszka w Ligocie i opowiadał w książce o ligockim chlebie. „Synapsy" czytał z roztargnieniem, jak wszystko, co nie jest o Judinie.

Maria Judina fascynuje Aleksandra H.

Cudownie grała.

Była mistyczką.

Porzuciła judaizm, ochrzciła się i z krzyżem na piersiach recytowała zakazanych poetów.

Nie ma jej od pięćdziesięciu lat, a ludzie płaczą słuchając jej nagrań.

Najczęściej płaczą przy koncercie Mozarta, przy adagio.

Nagrała koncert na życzenie Stalina dowieziona nocą do studia przez NKWD.

Stalin posłał jej honorarium, ofiarowała je cerkwi. Napisała mu, że się modli za niego. Pocieszyła go: Bóg jest miłosierny, wybaczy wam wasze grzechy.

Wyznawcy Judiny nie wierzą w tę historię. Nie lubią jej i proszą Aleksandra H., by przestał się nią interesować.

Judina tak. Bóg tak. A Stalin? Nie, nie, Stalin się nie liczy. ©

ELIF ŞAFAK (ur. 1971) jest turecką pisarką. Doktor nauk politycznych, laureatka międzynarodowych nagród literackich, była gościem Międzynarodowego Festiwalu Literatury im. Josepha Conrada. Mieszka w Londynie.

KULTURA

DRUGIE ŻYCIE WYRAZÓW

ELIF ŞAFAK, PISARKA:

Pochodzę z kraju, który przestał doceniać różnorodność. Zapłaciliśmy i dalej płacimy za to wysoką cenę.

GRZEGORZ JANKOWICZ: Twoja życiowa podróż zaczęła się we Francji, dopiero później trafiłaś do Turcji, którą ostatecznie opuściłaś na rzecz Anglii.

ELIF ŞAFAK: Urodziłam się w Strasburgu. Mój pierwszy dom był pełen imigrantów, lewicowych studentów tokujących o rewolucji i palących papierosy gauloises. Gdy rozpadło się małżeństwo rodziców, ojciec został we Francji i ponownie się ożenił, a matka zabrała mnie do Turcji, swojej ojczyzny. Dla mnie był to całkowicie nowy kraj. Nie było mi łatwo.

Przyjechałyśmy do domu babci w Ankarze. Społeczność, w której się znalazłam, była bardzo konserwatywna i patriarchalna. Nie pasowałyśmy tam. Czułam, że żyjemy na obrzeżach społeczeństwa.

Mama była młodą rozwódką. Popełniła wielki błąd, bo zrezygnowała za studiów, by pojechać za ojcem do Francji. Uznała, że edukacja nie jest ważna. Gdy wróciła, nie miała dyplomu, zawodu, pieniędzy. Takie kobiety natychmiast wydaje się w Turcji ponownie za mąż, zwykle za kogoś starszego. Sąsiedzi próbowali to zrobić, ale babcia się nie zgodziła. Powiedziała: „Moja córka powinna wrócić na studia i zdobyć zawód. Ja będę wychowywać wnuczkę, aż będzie gotowa, by ją zabrać".

To pewnie nie było typowe zachowanie?

Babcia nie była wykształconą osobą. Odmówiono jej edukacji, bo była dziewczynką. Uwielbiała szkołę, ale wydano ją młodo za mąż. Więc to, że wspierała niezależność córki, było dla mnie bardzo ważnym sygnałem. Zmieniła życie mojej mamy, moje i moich dzieci. Dlatego mocno wierzę w siostrzeństwo. Gdy kobiety wzajemnie się wspierają, wtedy przenoszą siłę na kolejne pokolenia, zapewniając im podmiotowość.

W powieści „Honor" piszesz o konserwatywnej tureckiej rodzinie, która mieszka w Londynie. Splamić honor mężczyzny może kobieta, która sama nie może jednak posiadać honoru. Iskender dopuszcza się straszliwej zbrodni, honorowego zabójstwa, będąc przekonanym, że czyni właściwie. Nie mamy wątpliwości, że uczynił coś złego, ale zyskujemy też świadomość, że nie tylko on ponosi winę. Część odpowiedzialności spada na społeczność, w której się wychował.

Właśnie o to mi chodziło. Sytuacja kobiet w patriarchalnym, seksistowskim społeczeństwie tureckim jest bardzo trudna. Ale mężczyźni również mają problem. Jeśli nie wpisują się w obowiązujący model męskości, ich społeczna pozycja jest niepewna. Postanowiłam więc napisać powieść o męskości, którą – niczym kaftan – zakłada się chłopcom i zmusza się ich do jej noszenia. Nie wolno im okazywać emocji.

Co nimi kieruje?

Kultura turecka przywiązuje ogromną wagę do honoru. Gdy pijemy, to nie za zdrowie czy miłość, tylko właśnie za honor. Mówimy o honorze rodziny, honorze plemienia. A honor ma imię męskie. Odmawiamy go kobietom, choć właśnie one są często obwiniane za szarganie go, zwłaszcza wtedy, gdy przekraczają opresyjne granice wyznaczone przez obyczaj. Wszystko to powoduje stały wzrost przypadków przemocy wobec kobiet. W ciągu ostatnich dziesięciu lat liczba takich przestępstw wzrosła w Turcji o niemal 1500 procent. Dlatego postanowiłam zakwestionować tradycyjne pojęcie honoru.

To dlatego „Honor" jest tytułem angielskiego wydania książki, ale nie tureckiego?

Turecka wersja została zatytułowana „İskender", czyli „Aleksander". Angielscy wydawcy uznali, że jeśli umieścimy w tytule imię Aleksander, wszystkim skojarzy się ono z Aleksandrem Macedońskim. Pojęcie honoru wydało im się nośniejsze, tym bardziej że ma w angielskim lżejsze znaczenie. Bo w kulturze tureckiej „honor" ma potężny ciężar. Z kolei włoscy wydawcy odrzucili tytuł „Honor", gdyż w ich kraju to słowo występuje niemal wyłącznie w kontekście mafii. Przyjmowałam te decyzje ze zrozumieniem, gdyż jest dla mnie jasne, że słowa, przechodząc z jednego języka do drugiego, zmieniają nieco sens.

Co musiałoby się stać z Twoim Iskenderem, by nie popełnił zbrodni?

Kobiety w Turcji wychowują synów w inny sposób niż córki. Traktują ich jak małych sułtanów. Córki mają pomagać matkom w domu. Zadaniem chłopców jest pilnowanie kobiet. To destrukcyjny model wychowania. Na dodatek krzywdzi również mężczyzn, którzy czasem chcą żyć inaczej, ale boją się sprzeciwić tradycji. Przygotowując się do pisania „Honoru", ↦

DAVID LEVENSON

↦ przeczytałam wiele zeznań mężczyzn, którzy popełnili podobne zbrodnie na swoich matkach, siostrach lub córkach. Ale okazuje się, że niektóre kobiety, często babki, popierały te zabójstwa!

Popełniamy błąd, traktując wszystkich fanatyków świata jak przedstawicieli tej samej grupy?

Odróżniłabym fanatyków u władzy od osób, które są zagubione, bo mają życiowe problemy, ideologów od zwykłych ludzi. Tę pierwszą grupę należy z całych sił krytykować, bo perfidnie wykorzystują nasze lęki. Sieją zniszczenie i podżegają do przemocy, udając, że chodzi o obronę wartości. Są niszczycielami życia, śmiertelnym zagrożeniem dla społeczeństw.

Ale są też osoby zagubione, szukające odpowiedzi i rozwiązań, ulegające wpływom. Głosują inaczej niż ja albo przeciw mnie, ale to nie jest powód do pogardy.

Czasem gotowość do rozmowy obraca się jednak przeciwko nam.

Warto zaufać literaturze, która daje niezwykle ważną lekcję: gdybym urodziła się w innej rodzinie, w innej części kraju lub świata, gdybym wychowała się wśród innych ludzi, myślałabym dziś inaczej. Nie wolno nam o tym zapominać. Nie możemy być zbyt pewni własnych prawd.

Jak możemy ćwiczyć otwartość umysłu?

Poprzez praktykowanie pokory, której bardzo nam dziś brakuje. Już przecież prawie nikt nie mówi „nie wiem". Z tego powodu tak ważne jest rozróżnienie na informację, wiedzę i mądrość. Informacji jest mnóstwo, tyle co dezinformacji, ściśle ze sobą splątanych. Aby osiągnąć wiedzę, musimy zwolnić, zapoznać się ze źródłami, przeanalizować dane, skonfrontować z innymi punktami widzenia. Natomiast mądrość wymaga emocjonalnej inteligencji. By ją zdobyć, musimy połączyć umysł i serce, opowieść i empatię.

Ważna jest dla Ciebie również różnica między religijnością a duchowością.

W religii najważniejsza jest zbiorowa tożsamość. Po jednej stronie jesteśmy „my", po drugiej zaś „oni". I „my" zawsze jesteśmy lepsi niż „oni", bo Bóg i prawda są z nami. Nie odnajduję się w takim schemacie. Wiara bez wątpliwości może być niszcząca. Ale nie podoba mi się również pewność ateizmu, która próbuje wyeliminować wiarę. Jej pierwiastek jest nam przecież do życia niezbędny.

Istnieją niereligijne akty wiary?

Oczywiście, choć często wydają się trywialne. Gdy zaczynam pisać powieść, nie wiem, co się wydarzy. Ale piszę i to jest mój laicki akt wiary. Podobna sytuacja ma miejsce, gdy przenosimy się do innego kraju. Nie wiemy, jak będzie wyglądało nasze życie. Zakochując się, nie wiemy, czy ta druga osoba nas uszczęśliwi. Słuchamy intuicji. To też akt wiary. Możemy, a nawet powinniśmy mówić o wierze również w kategoriach niereligijnych. Najbliżej mi do agnostycyzmu. Agnostycy są bardziej zagubieni w tym tańcu wiary i wątpliwości. A ja lubię, gdy wiara stale ściera się z wątpliwościami. Lubię mistyków, zwłaszcza heterodoksyjnych, którzy sytuują się na granicy. Duchowość jest dla mnie indywidualną podróżą. Do każdej z takich podróży odnoszę się z szacunkiem, bo kim jestem, by oceniać innych.

Swoją najsłynniejszą powieść „Bękart ze Stambułu", opowiadającą o bolesnych doświadczeniach z tureckiej historii, napisałaś po angielsku. Dlaczego?

Gdybym napisała ją po turecku, byłaby to inna książka. Używając angielskiego, czułam się wolna. Potrzebowałam lekkości i swobody. Bez nich nie mogłabym opisać historii dwóch rodzin: tureckiej, żyjącej w starej dzielnicy Stambułu, i ormiańskiej, żyjącej w USA. To książka o pamięci i zapominaniu. Turcja jest krajem o bogatej przeszłości, której nie pamiętamy. Jako społeczeństwo cierpimy na zbiorową amnezję. Na szkolnych lekcjach historii obowiązuje jedna narracja: Turcja była wspaniałym imperium, centrum cywilizacyjnym, niosącym wszystkim pokój i sprawiedliwość. Punkt widzenia mniejszości jest nieobecny. Nie zadajemy sobie pytań, jak wyglądało życie ormiańskich rzemieślników lub żydowskich młynarzy. Jak potoczyłyby się moje losy, gdybym była kobietą żyjącą w czasach Imperium Osmańskiego? Turecki nacjonalizm uniemożliwia stawianie podobnych pytań.

Po opublikowaniu „Bękarta" zostałaś w Turcji oskarżona o kalanie własnego gniazda.

Najgłośniej protestowali ultranacjonaliści. Ale tureckie elity też ją z miejsca odrzuciły. Posypały się oskarżenia. Natomiast zwykli odbiorcy zareagowali inaczej. Bycie turecką pisarką to doświadczenie schizofreniczne. W jeden policzek dostaje się cios, w drugi pocałunek. I tak na przemian.

Czy literatura może skutecznie przeciwdziałać zbiorowej amnezji?

Zadanie literatury polega na mówieniu o tym, co przemilczane. Chcę zrozumieć powody, dla których narody unikają pewnych tematów. Interesują mnie kulturowe i polityczne tego przyczyny. Pisarki i pisarze powinni trzymać się z dala od władzy i być blisko tych, którzy zamieszkują peryferia. Chcę umieścić peryferia w centrum uwagi. Chcę, byśmy pamiętali historie, które zostały wymazane i zapomniane.

Co jeszcze może zrobić dla nas literatura?

Nauczyć nas empatii i otwartości. Czytając, stajemy się kimś innym. I to jest dobre dla duszy. Jednostki i całe społeczeństwa, które utraciły zdolność empatii, są niebezpieczne. Populistyczni demagodzy niszczą właśnie empatię, bo sami jej nie mają.

Wśród moich tureckich czytelników są również ludzie należący do środowisk konserwatywnych i nacjonalistycznych. Zdarza się, że dzielą się ze mną swoimi wrażeniami z lektury. Mówią, że podobała im się jakaś postać. Okazuje się, że ten konkretny bohater to gej albo chrześcijanin, albo żyd, ateista lub agnostyk. Oznacza to, że nawet czytelnik o skrajnie ksenofobicznych czy homofobicznych poglądach może nawiązać więź z postacią, która reprezentuje to, co zwalczał w codziennym życiu. Literatura naprawdę może nas otworzyć na inność.

Zachód uwielbia pisarki i pisarzy z tzw. regresywnych kultur, z państw, w których łamie się prawa człowieka. Przyjmuje ich z otwartymi ramionami pod warunkiem, że piszą krytycznie o miejscu, z którego pochodzą. Dzięki temu mieszkańcy zachodnich państw mają wrażenie, że udzielają głosu tym, którzy go utracili, a ponadto utwierdzają się w przekonaniu (fałszywym, ale zniewalającym), że żyją po właściwej – postępowej – stronie świata.

Mieszkańcy Zachodu zbyt długo żyli w przeświadczeniu, że świat składa się z przeciwstawnych obszarów – stałych

i płynnych. Po jednej stronie kraje bezpieczne, demokratyczne, w których nie trzeba martwić się o prawa człowieka czy wolność słowa. Po drugiej kraje regresywne, w których demokracja jest rujnowana. Jest to obraz całkowicie zafałszowany, ale sprawia, że od autorki z Afganistanu nikt na Zachodzie nie oczekuje eksperymentalnej prozy fantastycznonaukowej, lecz opowieści o problemach kobiet zamieszkujących jej kraj. A dlaczego taka pisarka nie miałaby napisać innej książki?

Bo naruszyłaby reguły tożsamościowej gry, którą nieustannie i namiętnie prowadzimy?

Nie mamy jednej tożsamości, lecz wiele. Jestem ze Stambułu. Moja miłość do tego miasta widoczna jest w tym, co piszę. Ale czuję też silną więź z Bałkanami. Cząstka mojej duszy pochodzi z Bliskiego Wschodu. A z urodzenia jestem Europejką. Lata temu zostałam obywatelką Wielkiej Brytanii. Na co dzień mieszkam w Londynie. Theresa May, była brytyjska premierka, mawiała, że obywatel świata to człowiek pozbawiony obywatelstwa. To nieprawda. Nie unoszę się przecież nieważko w powietrzu. Jeśli jesteś obywatelką lub obywatelem świata, możesz dbać o swój kraj, swoją społeczność i lokalne dziedzictwo, a jednocześnie o planetę, los uchodźców oraz mieszkańców innych krajów.

Przez lata promowano na Zachodzie multikulturalizm. Potem został odrzucony, a nawet demaskuje się go jako źródło obecnego kryzysu.

Żyjemy w czasach wielkiej niepewności, którą dodatkowo pogłębia pandemia. Złożoność świata wydaje się przekraczać nasze możliwości poznawcze. Boimy się o los własny i bliskich. Obawiamy się, że utracimy pracę. Nie daje nam spokoju przyszłość naszych dzieci, los planety. Gdzie nie spojrzeć, same problemy. Populistyczny demagog, żerując na naszych lękach, proponuje lekarstwo: prosty, dwubiegunowy obraz świata. A my chcemy czuć się bezpiecznie, chcemy rozumieć rzeczywistość, chcemy mieć grunt pod nogami. To zrozumiała potrzeba. Ale ulegając jej, stajemy się podatni na manipulację. Autorytarny ideolog przekonuje, że jest reprezentantem homogenicznego ludu. W rzeczywistości jednak nie ma czegoś takiego. Musimy otwarcie mówić o strachu, złości i poczuciu zagubienia. Dzieląc się tymi emocjami, usłyszymy głos innych i przekonamy się nagle, że nie jesteśmy sami.

> Chcę zrozumieć powody, dla których narody unikają pewnych tematów. **Pisarki i pisarze powinni trzymać się z dala od władzy** i być blisko tych, którzy zamieszkują peryferia.

Bohaterki i bohaterowie powieści „Araf", młodzi ludzie pochodzący z różnych kultur, nie potrafią się uporać z własnymi problemami. Na dodatek nie wiedzą, jak o nich opowiedzieć innym.

Taki problem może się pojawić zawsze, ale najczęściej występuje w reżimach autorytarnych i społeczeństwach uchodzących za monolityczne. Żyjąc w kulturze podobieństwa, trudniej opowiadać o własnych zmaganiach i emocjach. W społeczeństwie, które rozumie i afirmuje różnorodność, łatwiej wyrazić własną złożoność. Pochodzę z kraju, który przestał doceniać różnorodność. Zapłaciliśmy i dalej płacimy za to wysoką cenę. Rozumiem, że wielokulturowość dziś nie jest modna. Ale ja niestrudzenie jej bronię. Żyjemy w świecie, w którym wszystko wzajemnie się determinuje. Wirus, który pojawia się w Chinach, wpływa na życie ludzi z innych krajów. Odpowiedzią na to nie może być mur, którym oddzielimy się od reszty. Nie będziemy wtedy bezpieczniejsi. Musimy zrozumieć istotę tych wzajemnych determinacji i wspólnie szukać rozwiązań, broniąc różnorodności i egalitaryzmu. Różnice między kulturami i ludźmi mogą nas wiele nauczyć.

Twoja pisarska dwujęzyczność ma pomagać w uchwyceniu tych różnorodności?

Postrzegam język jako coś namacalnego, miejsce, do którego mogę wejść, zamieszkać na jego warunkach. Jestem przekonana, że każdy język w wyjątkowy sposób nas kształtuje.

I Ciebie ukształtowały dwa?

Nie od razu, gdyż wychowywałam się w jednojęzycznym domu. Więc wszystko zaczęło się od tureckiego. Angielskiego nauczyłam się później, dlatego moja więź z nim jest bardziej intelektualna. Związek z tureckim jest emocjonalny.

Czy ustanowiłaś hierarchię między nimi?

Do każdego z nich jestem przywiązana w inny sposób. Jeśli zamierzam opowiadać o melancholii, bólu, smutku czy tęsknocie, dużo łatwiej przychodzi mi to po turecku. Humor i ironia to domena angielskiego.

Nie możesz ironizować po turecku?

W moim macierzystym języku nie ma nawet słowa „ironia"! Turcy nie są ironiczni. Ponadto moja macierzysta mowa była kiedyś prawdziwą mieszanką. Imperium Osmańskie było wielonarodowe, wielowyznaniowe i wielojęzyczne. Słownictwo, którym posługiwali się jego mieszkańcy, to był prawdziwy kobierzec. W jednym zdaniu mogły się pojawić wyrazy tureckie, arabskie, perskie, greckie, kurdyjskie etc.

Jak to się stało, że ten bogaty niegdyś słownik został tak okrojony?

W wyniku reform Atatürka usunięto wszelkie obce naleciałości, również w języku. Pisząc po turecku, używam nowych i starych słów. Choć to źle powiedziane, bo nie rozumiem, jak można o słowach mówić, że są „stare". Pozwólmy żyć wszystkim wyrazom. One trwają dłużej niż ludzie. Nie powinniśmy domykać granic języka, nie powinniśmy go sztucznie ograniczać. Mogę powiedzieć po turecku „żółty" lub „czerwony", ale brakuje mi słów, za pomocą których opisałabym wszystkie znajdujące się pomiędzy nimi odcienie. A dawniej zrobiłabym to bez trudu. Wyrazy służące do tego celu pochodziły z perskiego, dlatego je usunięto. Jako pisarka zawsze w duchu opłakuję tę stratę.

Czyli pisząc po turecku, przywracasz tę różnorodność?

To bardziej skomplikowane. Od piętnastu lat piszę wyłącznie po angielsku. Na turecki moje książki przekłada znakomita tłumaczka, Omca A. Korugan. Gdy tłumaczenie jest gotowe, wraca do mnie, a ja jeszcze je poprawiam, uzupełniając tekst o stare słowa. Niektórzy mówią, że to szaleństwo, bo dwa razy pracuję nad jedną książką.

©℗ Rozmawiał GRZEGORZ JANKOWICZ

Geniusz z klubu Hipokrytów

DOROTA KOZIŃSKA

Potrafił na środku ulicy oskarżyć kompanów o kradzież albo paść na chodnik w symulowanym ataku epilepsji. Ale Robert Byron, urodzony prowokator, był w istocie czujnym i wrażliwym obserwatorem świata.

Spałem w kajucie, kiedy dwie torpedy uderzyły w sterburtę. Kocioł wybuchł i statek wyleciał w powietrze. Utrzymałem się na powierzchni, uczepiony kawałka drewna" – wspominał jeden z trzech ocalonych, wyłowiony na pokład korwety HMS „Petunia" i odstawiony do portu Stornoway na wyspie Lewis, w archipelagu Hebrydów Zewnętrznych. Statek towarowy SS „Jonathan Holt" zatonął 24 lutego 1941 r., nieopodal przylądka Cape Wrath, ostrzelany o drugiej nad ranem przez niemiecki okręt podwodny U-97. Płynął w pechowym konwoju OB 289 – cztery dni wcześniej wyszedł z Liverpoolu, skąd miał się dostać do Freetown.

Podróżujący na doczepkę pasażerowie, w ogólnej liczbie dziesięciu, zamierzali się przesiąść w stolicy Sierra Leone na statki do Kapsztadu i Durbanu – kolejnych przystanków w okrężnej drodze na Bliski Wschód lub do Indii. Uratował się jeden, wraz z dwoma członkami załogi. Wśród 53 ofiar znalazł się Robert Byron, oficjalnie korespondent BBC, nieoficjalnie – brytyjski szpieg, wysłany z misją śledzenia wojennej aktywności Sowietów w północno-wschodnim Iranie. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

Bez specjalizacji

Dwa dni później Robert Byron obchodziłby trzydzieste szóste urodziny. Przyszedł na świat 26 lutego 1905 r., w rodzinie inżyniera Erica Byrona i jego żony Margaret Robinson, kobiety ambitnej i obdarzonej ponoć talentem artystycznym. Wiodło im się rozmaicie. Młode małżeństwo utrzymywało się z solidnej, ale niezbyt wysokiej renty w wysokości 150 funtów rocznie oraz z dochodów inżynierskich Erica. W skrytości ducha liczyło na spadek po starszym panu Byronie, posiadaczu okazałej wiktoriańskiej rezydencji i ponad 10 tysięcy akrów ziemi w hrabstwie Surrey. Nadzieje z czasem okazały się płonne: ojciec Erica rozdysponował swój majątek między szerokie grono krewnych. Państwo Byronowie musieli zadowolić się skromniejszym lokum w lesie Savernake niedaleko Marlborough, w hrabstwie Wiltshire. Odziedziczonych pieniędzy starczyło na sfinansowanie nauki Roberta w Eton, kuźni brytyjskich elit intelektualnych i miejsca, gdzie przy odrobinie szczęścia można było nawiązać znajomości użyteczne na resztę życia.

A te były niezbędne każdemu, kto aspirował do miejsca na salonach brytyjskiej socjety, zaludnionych w większości przez wpływową i bogatą arystokrację, skoligaconą z zasłużonymi budowniczymi chwały Imperium. Byron groszem nie śmierdział, urodą też nie grzeszył, nadrabiał więc charyzmą, błyskotliwą inteligencją i skłonnością do sztubackich wybryków. Już w Eton zaprzyjaźnił się ze starszym o rok Haroldem Actonem i niejeden raz wyprowadził z równowagi Anthony'ego Powella.

Acton – młodociany skandalista, który uwielbiał „rozwścieczać filistrów", przyszedł na świat w renesansowej willi La Pietra na przedmieściach Florencji. Jego ojciec, nieślubny potomek rodu zasiedziałego od wieków we Włoszech, kupił ją za fortunę wniesioną w posagu przez amerykańską żonę. Powell – w 1922 r. współzałożyciel Eton Society of Arts, po śmierci w roku 2000 zaliczony w poczet najwybitniejszych pisarzy brytyjskich za sprawą monumentalnego cyklu powieściowego „A Dance to the Music of Time" – był synem oficera Welsh Regiment i dziedziczki dóbr ziemskich w Lincolnshire. Nastoletni Byron z podziwem patrzył na zdjęcia XII-wiecznego Caisleán Bhiorra w irlandzkim hrabstwie Offaly, gdzie przyszedł na świat jego szkolny kolega Michael Parsons, szósty earl Rosse.

Byron pisał o nich wszystkich w listach do ukochanej matki, tyleż krytycznej, co wyrozumiałej wobec synowskich talentów i aspiracji. Ojca trochę się wstydził: Eric Byron nie był ani intelektualistą, ani specjalnie uzdolnionym inżynierem, ani zapobiegliwym panem domu. Robert miał pełną świadomość, że na uznanie Bright Young Things – jak nazywano angielską bohemę w ówczesnej prasie – musi zapracować sam. Wśród nieustannie ponawianych i ponoć nieuzasadnionych prób udowodnienia swego pokrewieństwa z Lordem Byronem postanowił zostać ekscentrykiem. Napisał poemat wierszem wolnym, a gdy koledzy z Eton okrzyknęli go angielskim Apollinaire'em, mało nie umarł ze śmiechu, bo w istocie zamierzał sparodiować styl francuskiego awangardzisty. Nie znosił Rembrandta. Pogardzał Szekspirem. Przedkładał wydrwiwaną przez brytyjskich estetów sztukę bizantyjską nad „tępą doskonałość" klasycznej rzeźby greckiej. Nikt nie wiedział, czy naprawdę tak sądził, czy tylko udawał przed światem.

Był dla wszystkich zagadką: koledzy nie rozumieli ani tonu jego głosu, ani mowy ciała. W rozmowie łypał spode łba, stroił grymasy, krzyczał, odburkiwał coś chrapliwie, czasem wpadał w furię. Powell wspominał z właściwym sobie sarkazmem, że Byron z pewnością był geniuszem, choć trudno określić, na jakim polu. Spytany przez matkę, czym chce się zająć w przyszłości, Robert oznajmił, że dziennikarstwem w jakiejś gazecie codziennej. Nie myślał o karierze pisarskiej. Marzył, aby wyjechać z Anglii, ruszyć w podróż po *mappa mundi* nie tylko palcem. Jeszcze się tego obawiał. Jeszcze nie odkrył w sobie żyłki awanturnika.

Bez koneksji i ogłady

W styczniu 1923 r. – wraz z kolegami z Eton, między innymi Actonem, Powellem i późniejszym bizantynologiem Davidem Talbotem Rice'em – rozpoczął studia w Oksfordzie. Jego domem stał się Merton College, jedno z najbogatszych i najwyżej notowanych kolegiów,

WIKIPEDIA / DOMENA PUBLICZNA

FOTOGRAFIA ZAMIESZCZONA W KSIĄŻCE: JAMES KNOX; A BIOGRAPHY OF ROBERT BYRON; WIELKA BRYTANIA 2004

Robert Byron, około 1930 roku. Na zdjęciu obok: jego paszport

przez studentów innych wydziałów nazywane złośliwie „miejscem śmierci wszelkich uciech". Dwa lata wcześniej niejaki John Davies Knatchbull Lloyd, syn mistrza krykieta, a zarazem wziętego adwokata, postanowił obalić krzywdzącą reputację uczelni. W tym celu założył klub pod szumną dewizą „Najlepsza jest woda", zaczerpniętą z pierwszej „Ody olimpijskiej" Pindara. Nie trzeba było długo czekać, aż jego członkowie dorobią się nieformalnego miana Hipokrytów: wszystko bowiem wskazywało, że nad pindarycką wodę zdecydowanie przedkładają mocniejsze trunki.

John Lloyd, pseudonim „Wdowa" – od nazwy ulubionego płynu po goleniu „The Widow Lloyd's Euxesis" – zaczął od zrzutki na wynajęcie dwóch pokojów z kuchnią nad warsztatem rowerowym przy St Aldate's Street oraz zatrudnienia kucharza i kelnera: żeby członkowie klubu mogli spożywać posiłki z dala od uniwersyteckiej jadalni, w której nie podawano napojów wyskokowych. Pokusa była tym większa, że studentów nie obsługiwano też w miejscowych pubach.

Filozoficzne dysputy szybko ustąpiły miejsca radosnym libacjom. Klub zaczął też przyciągać wykluczonych, przede wszystkim homoseksualistów, którym zapewniał w miarę bezpieczne schronienie od egzekutorów okrutnego *sodomy law*. Do swojej orientacji – prócz „Wdowy" Lloyda – przyznawali się otwarcie między innymi Acton i Byron. Nie stanowili wprawdzie w tej grupie większości, ale nadawali jej ton. Warunkiem udziału w klubie oksfordzkich estetów było przynajmniej milczące przyzwolenie na odmienność.

A ta w przypadku Byrona manifestowała się na rozliczne sposoby, choćby w demonstracyjnym upodobaniu do wiktoriańskiego kiczu. Robert z zapałem kolekcjonował szklane stateczki, przykryte kloszami drzewka i bukiety z muszelek, woskowe owoce i hafty berlińskie. Imponujący zbiór miał być największą atrakcją „1840 Exposition", nawiązującej do roku zaślubin Wiktorii Hanowerskiej z księciem Albertem, przygotowanej wraz z Actonem i planowanej na marzec 1924 r. Nad Hipokrytami już wcześniej zaczęły się zbierać czarne chmury: władze uniwersyteckie z coraz większym oburzeniem przyjmowały doniesienia o hucznych libacjach klubowiczów w pociągu relacji Penzance–Aberdeen oraz wieczornych przyjęciach Williama Howarda na dachu jednego z kościołów w Oksfordzie. Cios spadł jednak z niespodziewanej strony: Byronowi i Actonowi odmówiono zgody na organizację wystawy. W proteście Hipokryci urządzili wiktoriański bal przebierańców. Rok później Francis Urquhart, znienawidzony dziekan wydziału historii i żarliwy katolik, rozpędził klub po kolejnej maskaradzie z udziałem uszminkowanych studentów w habitach sióstr zakonnych.

To, co dla większości Hipokrytów było sposobem na przełamanie dyktatu oksfordzkiej dyscypliny i zamanifestowanie młodzieńczego buntu, w przypadku Byrona okazało się jedyną drogą do skonfrontowania własnych emocji z otoczeniem. Brakowało mu koneksji i ogłady, by zrobić karierę w administracji publicznej, nie musiał się jednak obawiać, że jego dalszym losem pokierują arystokratyczni rodzice. Nie nadawał się na akademika, ale był wystarczająco błyskotliwy i oczytany, by formułować wyraziste i często przenikliwe opinie na dowolny temat. ↦

↦ Nie miał wielkiego powodzenia u mężczyzn, ale w przeciwieństwie do innych gejów w klubie nie prowadził podwójnego życia ani nie truchlał na myśl, że skończy w małżeństwie z jakąś ustosunkowaną baronówną.

Twardo odrzucał awanse Nancy, najstarszej z sióstr Mitford, utalentowanej pisarki i jednej z najlepszych partii w kraju, i śmiał się, kiedy jego przyjaciel Gavin Henderson, również zdeklarowany homoseksualista, został zmuszony do ślubu z córką wpływowego przedsiębiorcy i członka Izby Lordów. Ponoć to Byron podpuścił Hendersona, żeby w ramach wieczoru kawalerskiego udosłownić idiom „set the Thames on fire". Do zabawy w filologicznego Herostratesa zużyto 20 galonów benzyny. Udało się podpalić nie tylko Tamizę, ale i część wynajętej posesji.

W zwierciadle

Pod maską prowokatora, który w rozmowach z przedstawicielami wyższych sfer demonstracyjnie posługiwał się cockneyem, i niewybrednego żartownisia, który potrafił na środku ulicy oskarżyć kompanów o kradzież i paść na chodnik w symulowanym ataku epilepsji, krył się czujny i wrażliwy obserwator świata. Z pierwszej wyprawy za granicę, którą odbył na początku nauki w Merton College – w towarzystwie Hugh Lygona, dawnego kolegi z Eton, i jego ojca Williama, lorda Beauchamp – głębiej zapadły mu w pamięć rzeźbione panele tronu Maksymiana i mozaiki z bazyliki w Rawennie niż podziwiane przez wszystkich skarby Wenecji. Anatomię jedzonej na obiad langustynki studiował z równym zapałem, co detale malarstwa Belliniego i Tintoretta.

Symbole na mapie przemieniały się w prawdziwe miasta i krajobrazy, dzieła sztuki, znane dotąd z rycin i fotografii, nabierały kształtów i barw, niosąc z sobą zachwyt lub rozczarowanie. Ulice rozbrzmiewały dźwiękami obcej mowy, znanej dotychczas tylko z podręczników. W głowie Byrona zaczęły kluć się pomysły na opisanie tej obfitości doznań – własnym, odrębnym stylem, na przemian lakonicznym i nieznośnie rozgadanym, pełnym humoru, obrazoburczych porównań i nagłych przeskoków narracji.

Latem 1925 r., uzyskawszy niższy tytuł naukowy z historii nowożytnej z wyróżnieniem trzeciej klasy (czyli wynikiem dość miernym), Byron ruszył w podróż, której plon złożył się na jego pierwszą książkę. W kieszeni miał istną fortunę – 60 funtów szterlingów, które wyczerpały się już w połowie drogi – do kompanii dwóch bogatych i dobrze urodzonych przyjaciół z Oksfordu. Złudną niezależność od transportu publicznego zapewnił im nowiutki sportowy automobil marki Sunbeam, własność wspomnianego już Gavina Hendersona, którego tożsamość Byron ukrył pod nazwiskiem David Henniker. Drugi współtowarzysz wyprawy, niejaki Simon O'Neill, nazywał się naprawdę Alfred Duggan i urodził się w Argentynie, w rodzinie zamożnych właścicieli ziemskich pochodzenia irlandzkiego.

Niestworzone przypadki rozwydrzonych młodzieńców, którzy w dwa miesiące pokonali trasę z Hamburga przez Berlin, Salzburg i Włochy aż do Grecji i z powrotem, Byron opisał na kilkuset stronicach „Europy w zwierciadle", która właśnie ukazuje się po polsku. Książka jest pisana z punktu widzenia szczęśliwca, którego z racji wieku ominął koszmar Wielkiej Wojny, radosnego beneficjenta nowej ery motoryzacji i bezczelnego, zbuntowanego erudyty, który nie przepuścił żadnej okazji do skonfrontowania wiedzy książkowej z faktyczną urodą lub brzydotą legendarnych pereł w koronie cywilizacji europejskiej. A przy tym pełna trafnych i niejednokrotnie gorzkich obserwacji społeczno-obyczajowych, które stały się znakiem rozpoznawczym jego późniejszych utworów.

Po powrocie z podróży Byron próbował kontynuować studia na Uniwersytecie Oksfordzkim, ale w styczniu 1926 r., za sprawą kolejnych nieobyczajnych ekscesów, został ostatecznie wydalony z uczelni. Niespecjalnie się tym przejął: zgodnie z daną matce obietnicą zatrudnił się jako reporter praktykant w redakcji „Daily Mail", skąd po miesiącu wyleciał z hukiem. Mniej więcej w tym samym czasie oficyna Routledge opublikowała „Europę w zwierciadle". Byron złapał wiatr w żagle.

Jako znany już autor książek o Athos, sztuce bizantyjskiej, Indiach, Rosji i Tybecie, Byron powziął w 1933 r. plan ekspedycji do chińskiego Turkiestanu, tym razem w poszukiwaniu środkowoazjatyckich źródeł sztuki muzułmańskiej – zrewidowany w związku z wybuchem powstania ujgurskich separatystów. Osta-

POŻEGNANIE

„Słyszysz, kochana, oto wznoszę dłonie –
słyszysz: ten ruch...
Wokół samotnych w każdej świata stronie
rzeczy zamieniają się w słuch.
Oto, kochana, przymykam powieki,
słyszysz ich szelest – ku tobie znak,
słyszysz, podnosząc je ruchem tak lekkim...
...Ale czemu ciebie tu brak"
R.M. Rilke

Ze smutkiem żegnamy

Marię Ledkiewicz-Wodnicką
– naszą Marysię

Była jasnym, dobrym i czułym człowiekiem.
Kochała ludzi, rośliny i zwierzęta.
Stworzyła świat rzeczy pięknych, niezapomnianą przestrzeń,
gdzie magia współistniała z realnością.

Żegnaj Marysiu...

Monika, Andrzej i Juliusz Lewandowscy

Nie znosił Rembrandta. Pogardzał Szekspirem. Przedkładał wydrwiwaną przez brytyjskich estetów sztukę bizantyjską nad „tępą doskonałość” klasycznej rzeźby greckiej. Nikt nie wiedział, czy naprawdę tak sądził, czy udawał przed światem.

ALAMY STOCK PHOTO

Robert Byron i Desmond Parsons w Chinach, zdjęcie wykonano przed 1937 rokiem

tecznie wyruszył z Wenecji przez Cypr, Palestynę, Syrię i Irak do Persji i Afganistanu, w towarzystwie innego oksfordczyka, płynnie władającego perskim Christophera Sykesa, byłego *attaché* ambasady Wielkiej Brytanii w Teheranie, potem zaś brytyjskiego szpiega. Nieomal roczna wyprawa, w dużej części szlakiem nieprzetartym przez Europejczyków, pozwoliła mu stopniowo zgromadzić materiał do prawdziwego arcydzieła: „The Road to Oxiana”, peanu brytyjskiego estety na cześć architektury Seldżuków, Safawidów i Timurydów, cynicznej diatryby przeciw konwencji kolonialnej, jadowitej satyry na współczesnych mieszkańców tej baśniowej krainy.

Wielodzietny

„The Road to Oxiana” rodziła się w bólach i w cieniu tragicznej historii miłosnej. W sierpniu 1933 r. Byron pożegnał się w Wenecji z jedynym człowiekiem, którego naprawdę kochał: Desmondem Parsonsem, młodszym bratem Michaela, kolegi Roberta z Eton. Obdarzony niezwykłą urodą i magnetyczną osobowością Parsons był wówczas w związku z historykiem architektury Jamesem Leesem-Milne’em, Byron dał się jednak omamić nikłą nadzieją na wzajemność. Rok później Desmond – rozmiłowany we wschodnich starożytnościach poliglota – wyjechał do Pekinu i wynajął dom w sąsiedztwie Harolda Actona, niegdyś pomysłodawcy ekspozycji wiktoriańskich kuriozów z kolekcji Roberta, wówczas już wykładowcy Uniwersytetu Pekińskiego. Wkrótce potem dołączył do nich Byron. Od weneckiego spotkania z Parsonsem minęło prawie półtora roku. Prace nad książką były już mocno zaawansowane. Byron spodziewał się skończyć ją w Pekinie i zaznać odrobiny szczęścia u boku ukochanego.

Szczęście trwało krótko. Parsons nagle się rozchorował: dostał gorączki i gwałtownie stracił na wadze. Diagnoza okazała się równoznaczna z wyrokiem śmierci: ziarnica z przerzutami do szpiku kostnego, płuc i wątroby. Brat Desmonda, który zamierzał spędzić w Chinach swój miesiąc miodowy, natychmiast zorganizował transport powrotny do Londynu. Byron został sam: w domu pełnym antycznych mebli i tradycyjnych chińskich zwojów, gromadzonych przez Parsonsa od pierwszych dni pobytu w Pekinie. Zaczął pić. Kończyły mu się pieniądze. Potrafił wpaść w szał z byle powodu: na jednym z przyjęć w ambasadzie zniszczył całą zastawę. Wreszcie się opanował i wrócił do pisania, ale coś w nim pękło. Być może bezwiednie stworzył arcydzieło, rezygnując z cyzelowania wcześniejszych zapisków, składając je w rozedrganą mozaikę dialogów, retrospekcji, anegdot, oszałamiających opisów przyrody i architektury.

Kiedy „The Road to Oxiana” ujrzała światło dzienne, zgasła ostatnia nadzieja. Parsons zmarł 4 lipca 1937 r. Od tamtej pory Byron zmierzał prostą drogą do zatracenia. Po powrocie do Anglii wywołał jeszcze kilka skandali. Jeszcze próbował ostrzec świat przed Hitlerem – wybrał się nawet do Norymbergi na dziesiąty zjazd NSDAP, żeby stanąć oko w oko ze złem. Siedem lat po tragedii pod Cape Wrath Evelyn Waugh napisał w liście do Actona, że Robert na krótko przed śmiercią zmienił się z uroczego błazna w niebezpiecznego wariata. „Dobrze, że już nie żyje” – dodał bezlitośnie.

Ostatnia książka Byrona wywołała mieszane uczucia. Popadła w zapomnienie na blisko pół wieku. Oficyna Picador wznowiła ją dopiero w 1981 r., po długich staraniach Bruce’a Chatwina, który nie rozstawał się z egzemplarzem pierwodruku, odkąd wyszperał go jako piętnastolatek. „To jest tekst święty, poza wszelką krytyką” – stwierdził genialny pisarz w przedmowie do nowego wydania. Do tego stopnia czuł się spadkobiercą stylu Byrona, że niektóre ustępy jego własnej prozy sprawiają wrażenie zamierzonego pastiszu.

Wkrótce po oddaniu do druku „Europy w zwierciadle” Byron napisał krótki poemat prozą, rozpoczynający się słowami: „Jeśli będę miał syna”. Wbrew pozorom nie umarł bezdzietnie. Ma piękną i kochającą córkę: współczesną literaturę podróżniczą. © DOROTA KOZIŃSKA

Robert Byron
EUROPA W ZWIERCIADLE
przeł. Dorota Kozińska, Wydawnictwo Próby, Warszawa 2020

TONY EVANS / GETTY IMAGES

John Lennon, Szwajcaria, 1965 r.

Słowa piromana

JERZY JARNIEWICZ

John Lennon był tak przejęty swoim literackim debiutem, że na wieczorze promocyjnym – on, urodzony gaduła i zwierzę sceniczne – nie wydusił z siebie ani słowa.

Działo się w Izbie Gmin, czerwiec 1964 r. Poseł z okręgu Uxbridge wystąpił z zapytaniem do ministra edukacji. „Wpadła mi do rąk książeczka niejakiego Johna Lennona, który ponoć cieszy się popularnością wśród młodzieży". Poseł zajrzał do rzeczonej książeczki. U jej autora, chłopaka z prowincji, dostrzegł zainteresowanie językiem i literaturą, ale także żałosne luki w wykształceniu. Pisanie przychodzi mu z trudem, błąd na błędzie siedzi i błędem pogania. To półanalfabeta. „Pytam – kończy poseł – jak to świadczy o poziomie edukacji w Liverpoolu? Do jakiej on szkoły chodził?".

Nie zamierzam bronić brytyjskiego szkolnictwa z lat 50. Tu tylko spieszę donieść, że opłakane skutki jego niewydolności możemy dziś, ku czytelniczej uciesze, przeczytać po polsku.

Skórki od banana

W czterdziestą rocznicę śmierci Johna Lennona ukazuje się w Polsce zbiór jego prozy, wierszy i rysunków. Tom zbiera teksty i rysunki z trzech książek. Dwie wydano za życia Lennona, pierwszą w 1964 r., drugą rok później (przed laty tłumaczył je u nas Robert Stiller); trzecią zaś, złożoną z pozostałych po autorze tekstów i fragmentów autobiografii, opublikowano już po jego śmierci.

Dziwne to książki, dalekie od tego, czego moglibyśmy się spodziewać po muzyku rockowym. „Ubrudziłem się 9 podzielnika 1940 r., kiedy Maziści spłaszczali na nas plomby na rozkaz Gadolfa Chwyt-nera" – pisze w pierwszym zdaniu Lennon i od razu widać, że to piroman języka. Spod słów, poprzekręcanych i rozbitych, co rusz dobywa się głos prześmiewczy i wywrotowy, który jątrzy i burzy, niwelując szansę powiedzenia czegokolwiek serio. Ofensywna niedojrzałość toczy tu zwycięską walkę z dorosłością i powagą. To język, któremu Lennon każe iść po drodze usłanej skórkami od banana.

Figury, jakie język na tych skórkach odstawia, to błazeński balet. Mogą to być hołubce, w których efekcie słowo ulega wewnętrznemu przetasowaniu, a wtedy czytamy, że ktoś „zaparszał do środka". Mogą to być zderzenia czołowe, kiedy nakładają się na siebie dwa słowa, a wtedy głową miasta staje się „gburmistrz", pewna dama zaś wypija „trupiznę". Mogą to być przesłowienia, w których odzywają się błędnie dobrane wyrazy, a wtedy czytamy o stole stojącym na wprost „dużego okonia". Mogą to być wreszcie podmianki, gdy jedno słowo podszywa się pod drugie, brzmiące niemal identycznie, choć znaczeniowo odległe, jak w tym okrzyku z bocianiego gniazda: „Widzę lont!". Mówiąc inaczej: ten liverpoolski analfabeta sadzi nam tu kontaminacjami, malapropizmami, homofonami, kalamburami.

Nikomu, kto czytał „Alicję w Krainie Czarów", ten język nie będzie obcy. Lennon czerpie inspirację z twórczości matematyka z Oksfordu, który w Dżabbersmoku powołał do życia językowego potwora: „było smaszno, a jaszmije smukwijne / świdrokrętnie na zegwniku wężały, / peliczaple stały smutcholijne / i zbłąkinie rykoświstąkały" (cytuję w przekładzie Macieja Słomczyńskiego). Humpty Dumpty, wyjaśniając Alicji dzi-

waczny poemat, nazywa takie słowa walizkami („portmanteau"), do których można zapakować kilka znaczeń. Lennon w szkole wiele nie czytał, ale „Dżabbersmok" przeorał mu lewą półkulę, odpowiedzialną za mowę. Już jako nastolatek takim właśnie językiem pisał absurdalne dykteryjki w pisemku „Skowyt Codzienny", dorzucając do swoich inspiracji liverpoolski humor językowy i miejscowy dialekt, zwany *scouse*. Potem doszła fascynacja absurdalnym humorem Spike'a Milligana, bez którego nie byłoby Beatlesów (jakich znamy), ani Latającego Cyrku Monty Pythona.

Majstrujmy!

Lennon nie spadł więc z nieba. Wspólniczką była mu angielszczyzna. Trudno o bardziej matematyczny język. Wydawałoby się, że brak w nim miejsca na dowolność, kaprys czy fantazję. Układ czasów w angielskim to prawdziwa tablica Mendelejewa, w której mieszczą się trzydzieści dwa czasy, z czego kilka to czasy potencjalne, które zbudować i którymi posługiwać się można, ale których żaden Anglik nie zastosuje.

Czasy możliwe, a nieistniejące – czy to nie perwersja? Stały szyk w zdaniu, brak fleksji, dominacja wyrazów jedno- lub dwusylabowych – wszystko to zamienia angielszczyznę w cyfrową matrycę logiczną, której działanie odpowiada stereotypowemu obrazowi Anglików: flegmatycznych, powściągliwych, zdroworozsądkowych. A jednak właśnie w języku angielskim, z pewną pomocą sąsiadującej z Brytanią wyspy, zrodziła się i osiągnęła szczyty poetyka absurdu. Choć odnajdziemy ją także w innych kulturach, to w angielszczyźnie dokonywano najgłośniejszych bodaj purnonsensownych zabiegów na słownictwie, składni i semantyce, to w niej na nice wywracano język. Jakby jej analityczny chłód był dla pisarzy prowokacyjnym wyzwaniem nie do zlekceważenia.

Nic więc dziwnego, że to literatura tego języka wydała „Alicję". Ale Lewis Carroll to oczywiście nie jedyny anglojęzyczny pisarz, który takie językowe prestidigitatorstwo uprawiał. Siedzę w tej chwili nad przekładem krótkiej prozy Jamesa Joyce'a, w której autor „Ulissesa" wychwala pod niebiosa talent pewnego irlandzkiego tenora. Opisując jego występ w „Wilhelmie Tellu" Rossiniego, Joyce pisze, że tenor „nacięgciwia płuck: nadlatuje strzelnuta", a widząc go w roli Samsona w operze Saint-Saënsa, tak go opisuje: „oczodoły ma próżne, filistęchłe, daliliowo białe, jego żychwa jakby krzyż dźwigał". Nie trzeba znać kontekstu tej Joyce'owskiej prozy, by dopatrzeć się tu Filistynów, Dalili i historii o szczęce.

Czy zmierzam do tego, by zasugerować, że Lennon to spadkobierca Joyce'a? Kiedy ukazała się jego pierwsza książka, recenzenci rzeczywiście przywoływali wielkiego Irlandczyka. Jedynym, któremu ta paralela wydawała się naciągana, był sam Lennon. Joyce'a nie czytał, kupił egzemplarz „Finnegans Wake", kiedy mu to powinowactwo wytknięto. Zapuścił żurawia. „Odkryłem ojca", przyznał, i drugi tom pisał już z Joyce'em za plecami. „I choćbym brodził ziemną drabiną, z łosiem nie uklęknę". Nie twierdzę, że pisarstwo Lennona z Joyce'a się wywodzi, ani tym bardziej, że jest z nim spowinowacone. Zwracam uwagę na sprzyjający językowemu rozprzężeniu klimat, który wiążę z naturą angielszczyzny, a który ujawnia się w tekstach anglojęzycznych pisarzy, Carrolla, Leara, Joyce'a czy właśnie Lennona.

Jeśli nie liczyć pośmiertnie wydanej książki, proza, wiersze i rysunki Lennona pochodzą, i to jest dopiero niebywałe, z okresu Beatlesowskiej przed-dojrzałości. To jeszcze Beatlesi w mundurkach, nagrywający trzyminutowe piosenki, z banalnymi na ogół słowami. Dwudziestotrzyletni Lennon, tak kreatywny w pisanych do szuflady odlotowych prozach i wierszykach, śpiewał wtedy z kolegami, że „chciałbym trzymać cię za rękę".

Musiało minąć trochę czasu, by Beatlesi zainteresowali się Bobem Dylanem i zaczęli w słowie majstrować. Musiało minąć jeszcze więcej czasu, zanim sięgnęli po halucynogeny, rozprzęgli zmysły i uwolnili wyobraźnię, zaskakując słuchaczy językowymi kreacjami, jak choćby w wersie o „dziesięciu tysiącach dziur w Blackburn, Lancashire, które, choć małe, ktoś musiał policzyć, i teraz wiadomo, ile dziur potrzeba, by wypełnić nimi królewską filharmonię". Potem był krok dalej, werbalna akrobatyka Lennona w „Jestem morsem", „Szklanej cebuli" czy „Szczęście jest ciepłą strzelbą" i finalna, bezwstydnie niedorzeczna pseudowłoszczyzna na „Abbey Road" (1969): „mundo paparazzi mi amore cecci verdi parasol".

Śmiech, utrata

Lennon literat miał być, jak chcą niektórzy, odpowiedzią na Dylana poetę. O ile Dylan chodził w glorii artysty od słów, o tyle Beatlesi, których muzykę porównywano w zachwycie do pieśni Schuberta, za utalentowanych literacko nie uchodzili. Wątpię, czy rzeczywiście za wydaniem książek Lennona kryła się rywalizacja z amerykańskim bardem. Ciekawsze jednak jest to, że w tamtych młodzieńczych czasach wydanie książki uważano, nawet w kręgu gwiazd rocka, za ostateczną nobilitację – można było sprzedawać płyty w kosmicznych nakładach, ale dopiero książka czyniła z rockmana artystę, dawała mu przepustkę do panteonu kultury. Lennon był tak przejęty swoim literackim debiutem, że na wieczorze promocyjnym – on, urodzony gaduła – nie wydusił z siebie ani słowa. W jednej ze scen w filmie „Help!" podchodzi do biblioteczki, długo szuka i spośród setek książek wybiera jedną, swoją, idzie z nią na kanapę i zagłębia się w lekturze. Artysta spełniony.

Czym są te książki Lennona? Wygłupy uczniowskie, niewiele różniące się od domalowywania wąsów na zdjęciach nielubianych nauczycielek? Pełne językowego polotu i dezynwoltury parodie pod patronatem Carrolla i Joyce'a? A może też, jak sądzę, przejaw antyautorytarnego temperamentu chłopaka z prowincji, świadomego klasowych uwarunkowań, norm i uprzedzeń, z jakimi przyszło mu się mierzyć?

Ofiarą jego prześmiewczych opowiastek padają nobliwe instytucje, filary mieszczańskiego porządku: szkoła, rodzina, kościół, klasa polityczna, kanoniczna literatura, media, tzw. królewska angielszczyzna. Niby to błaznując, przygląda się ówczesnej scenie politycznej. Harolda Wilsona, który w 1964 r. przejął ster labourzystowskich rządów, przypomni w „Co zaszło w jurnach wyskrobczych". Christine Keeler, której symultaniczny romans z brytyjskim ministrem ↦

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

↦ i radzieckim agentem doprowadził do największego skandalu lat 60., przypomni w „Liście". Gdzie indziej zaś zapyta: „Dlaczego to Prawident dźwi Gol i doker Adyndauer tak się zaprzyjaźnili?".

Jest też inny wymiar tych prześmiewczych tekstów. To dzieła młodego człowieka, którego ojciec poszedł w siną dal, gdy chłopak miał cztery lata, a matka, zanim zginęła tragicznie, oddała syna siostrze na wychowanie. Lennonem wracającym do lat dzieciństwa kieruje uczucie dalekie od nostalgii: wyśmiać wszystko, co straciłem. Wyśmiać matkę („dziwkuję ci, metko najdroższa"), wyśmiać „naszego tatę" („uwiędły ty pajacu") – żeby mniej bolało. Ale też wyśmiać tych, co cierpią, słabszych i bezbronnych – na koncertach w tamtym czasie lubił udawać osobę z porażeniem spastycznym. To nastawienie ujawnia się w jego książkach, bezlitosnych i zabawnych zarazem. Czarny humor działa tu trochę jako pancerz („ludzie mówią, że przyszliśmy na gotowe, nie wiedzą, jak bardzo się boimy"), a trochę jako gest sprzeciwu wobec narzucanych mu zasad poprawnego zachowania.

Po dwóch książkach Lennon już więcej za życia nie opublikował. Jego językowa inwencja przeniosła się do tekstów piosenek. Jego zaczepna nonszalancja wobec autorytetów objawiła się w prowokacyjnym stylu życia. Późniejsze skandale Lennona – nagie zdjęcia na okładce płyty, wypowiedź, że Beatlesi są popularniejsi od Chrystusa, protest antywojenny przeprowadzony w hotelowym łóżku – widziałbym jako przedłużenie jego językowej piromanii. Być może dlatego jego książki odłożono na półkę. Dziś mamy je po polsku, dzięki inwencji Filipa Łobodzińskiego, który jak Jakub z aniołem mocował się z oporną wobec angielskich harców polszczyzną i wygrał. Kto ciekaw rezultatów, niech czyta i „niech Bóg ma go w swoim opiekaczu".

© JERZY JARNIEWICZ

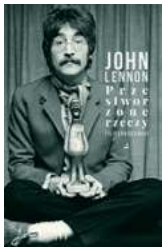

John Lennon
PRZESTWORZONE RZECZY
przeł. Filip Łobodziński, Biuro Literackie, Stronie Śląskie 2020

Kanapka z mortadelą

ANITA PIOTROWSKA

Ron Howard nakręcił film ku pokrzepieniu, choć właśnie tego rodzaju unik okazał się politycznie podejrzany. I zbiera baty z obu stron barykady.

LISTA ZARZUTÓW JEST DŁUGA: UPRAWIANIE pornografii biedy, protekcjonalne spojrzenie na życie niższych klas, spłaszczenie literackiego pierwowzoru poprzez operowanie frazesami i kliszami, histeryczne aktorstwo w gwiazdorskim wykonaniu, wreszcie – za dużo, w finale zwłaszcza, lepkiego syropu klonowego. To wszystko, a nawet jeszcze więcej wylewa się za oceanem na ekranizację „Elegii dla bidoków". Jako że premiera niemal zbiegła się z tegorocznymi wyborami prezydenckimi, polityczny klucz staje się tak samo poręczny jak w 2016 r., kiedy ukazał się literacki pierwowzór autorstwa J.D. Vance'a.

Przypomnijmy: wspomnienia absolwenta Yale, któremu udało się wyrwać z dysfunkcyjnej rodziny i nędzy Środkowego Zachodu, były pochwałą indywidualnego samozaparcia tudzież tradycyjnych amerykańskich wartości, co łatwo dało się wciągnąć na sztandary Donalda Trumpa. Tymczasem film Rona Howarda zbiera baty z obu stron barykady. Przede wszystkim jako hollywoodzki produkt, który ignoruje wszelkie systemowe konteksty, w jakich funkcjonuje tak zwana biała hołota, na rzecz brutalnej familijnej *soap opera*.

Książka Vance'a, choć z definicji subiektywna, była w dużej mierze dyskursem i rozmową z samym sobą. Opisywała skomplikowane relacje autora z rodzinnymi stronami i tym wszystkim, co odziedziczył po appalachijskich przodkach. Tłumaczyła, skąd u ich potomków wzięła się wyuczona bezradność, rozpad więzi albo niechęć do elit. Opowiadała o podwójnym niedopasowaniu kogoś, kto wyboistą drogą awansu opuścił swój matecznik, a jednocześnie z wielkim trudem próbował odnaleźć się pośród „białych kołnierzyków". Przypominała też, czym dla młodego człowieka jest brak kapitału nie tylko ekonomicznego, ale także społecznego. W filmie nakręconym przez twórcę „Forresta Gumpa" nie ma już miejsca na tego rodzaju głębokie rozkminy – dominuje zderzenie światów.

J.D. (gra go w różnych okresach Owen Asztalos lub Gabriel Basso) będąc u progu prawniczej kariery odwiedza po latach miasteczko Middletown w Ohio, aby zająć się matką (Amy Adams), która przedawkowała heroinę. Właśnie przed tym – przed brakiem perspektyw i ostateczną degradacją – uciekł ongiś najpierw do ukochanej babci mieszkającej w Kentucky, potem do służby w piechocie morskiej i w końcu na studia prawnicze. Czasowy przekładaniec, jakim jest „Elegia dla bidoków", wykrawa najbardziej drastyczne momenty z autobiografii Vance'a, najchętniej domowe awantury czy ryzykowne ekscesy w wykonaniu matki, pokazując, jak warunki życia i patologiczne obciążenia rodzinne determinowały przyszłość wchodzącego w dorosłość bohatera. Gdyby nie Mamaw, czyli zagrana przez Glenn Close sarkastyczna i wymagająca babcia, która przegrawszy los swoich córek desperacko próbuje ratować J.D., byłby on dziś w zupełnie innym miejscu.

Film z pewną frajdą odmalowuje burzliwą i brudną codzienność familii Vance'ów – te wszystkie niegustowne ubrania i fryzury, akty werbalnej i fizycznej przemocy, niszczące nałogi i fatalne nawyki żywieniowe. Jednakże to właśnie poczciwa kanapka z mortadelą jest tym, za czym Vance tęskni uczestnicząc w wykwintnych kolacjach. Symbolizuje ona dawną plebejską godność i kulturową tożsamość (babcia), sponiewieraną przez dzisiejsze ubóstwo i brak sprawczości (matka). Dlatego ową kanapkę tak bardzo wytykają Howardowi krytycy jego filmu – że rażące pospolitością i brzydotą obrazki rodzajowe rozciągnął na całą grupę społeczną. Że uczło-

MATERIAŁY PRASOWE

Haley Bennett, Gabriel Basso i Amy Adams w filmie „Elegia dla bidoków”

wieczając, jednocześnie ją skarykaturował, grając bezwstydnie na naszych emocjach i odruchach.

Albowiem filmowa „Elegia dla bidoków” próbuje łączyć dwa sprzeczne żywioły, co zasadniczo różni ją od książki. Z jednej strony nadaje wymiar zbiorowy indywidualnemu świadectwu i podkreśla jego autentyzm – stąd pierwszoosobowa narracja zza kadru czy towarzyszące napisom końcowym zdjęcia prawdziwych Vance'ów, bliźniaczo zresztą podobnych do ich odtwórców i odtwórczyń. Z drugiej zaś strony natrętnie celebruje dramatyzm tej historii: upokorzenia, frustracje, rozpacz, gniew, oddając niemal całą przestrzeń Adams i Close. To wielkie aktorzyce kradną tutaj *show*, fotogenicznie oszpecone, zagrywające się do upadłego.

Ktoś powie: J.D. jest przecież wychowankiem wyrazistych kobiet. To świat przedwczesnych ciąż, rozbitych małżeństw, nigdy niespełnionych kobiecych ambicji, lecz także matek i babć próbujących, mniej lub bardziej umiejętnie, przypilnować domowego ognia. Jednak ekranowa monstrualność postaci Mamaw czy uzależnionej od narkotyków Bev to szarże, przed którymi musi skapitulować wszystko, również wewnętrzne rozterki głównego bohatera. Jakkolwiek myliłby się ten, kto by twierdził, że tylko dla wspomnianych aktorskich wyczynów chce się „Elegię” oglądać.

Howard nakręcił film ku pokrzepieniu, choć właśnie tego rodzaju unik okazał się politycznie podejrzany. Podobnie jak zawarta w filmie pochwała rodziny, pod wieloma względami destrukcyjnej, zamykającej kolejne pokolenia w fatalistycznym potrzasku. Ryzykowna może być także nasza sympatia do babci Mamaw, która z właściwą sobie swadą dyskredytuje kulturę rdzennych mieszkańców Ameryki i opowiada grube dowcipy o Polakach. Nikt, nawet wykształcony na prestiżowych uczelniach J.D., nie zadaje tu niewygodnych pytań, nie zastanawia się nad zastanym porządkiem, a siostra bohatera Lindsay (gra ją Haley Bennett) w pewnym momencie konstatuje z rezygnacją: „tak już jest”.

Jeśli film ma być elegią, to bardziej niż lament nad upadkiem tytułowych *hillbillies* słychać w nim pojedyncze westchnienie ulgi. To podzwonne dla zdegradowanego świata, który udało się Vance'owi kiedyś porzucić, by wejść w poczet elit. Oczywiście, bez pomocy państwa, siłą swojego charakteru, kilku sprzyjających okoliczności i, rzecz jasna, babcinej determinacji. Szczególnie w dzisiejszych niepewnych czasach ten mentorsko-motywacyjny ton trąci naiwnością i pychą. Scenariusz Vanessy Taylor, odpowiedzialnej niegdyś za oscarowy „Kształt wody”, chce doświadczenia J.D. na siłę zuniwersalizować i wszystkich, niezależnie od światopoglądu, nawzajem ze sobą zgodzić. I nie byłoby w owym geście nic złego, gdyby twórcy sięgnęli czasem po subtelniejsze, bardziej przemyślane środki. ©

ELEGIA DLA BIDOKÓW *(Hillbilly Elegy) – reż. Ron Howard. Prod. USA 2020. Dostępny na Netfliksie.*

WARTO ZOBACZYĆ

1. Boska Komedia

Festiwal, PLAY KRAKÓW, 5 – 13 XII

Pod hasłem „Czuły narrator” odbędzie się trzynasta, tym razem wirtualna edycja najważniejszego w Polsce festiwalu teatralnego. Program obejmuje 23 przedstawienia, w tym 8 premier oraz spotkania z twórcami. Na otwarciu pokazani zostaną „Bieguni” Michała Zadary. Dostęp do spektakli i wydarzeń jest bezpłatny.

2. Wieloryb z Lorino

Dokumentalny, reż. Maciej Cuske, Polska 2019, TVP1, 7 XII, 22.35, TVP Dokument, 8 XII, 21.10

Na Półwyspie Czukockim połów waleni to nie tylko kwestia przeżycia – to także zbiorowy rytuał, zakorzeniony w wierzeniach tutejszych mieszkańców. Doceniony w Polsce i na świecie dokument Cuskego przygląda się codzienności Czukczów, a zdjęcia Piotra Bernasia, nagrodzone na zakończonym niedawno festiwalu Camerimage, ukazują brutalną stronę życia na peryferiach.

3. Dolina łez

Serial, reż. Yaron Zilberman, Izrael 2020, sezon 1, odc. 1-10, HBO GO

Wielki rozmach produkcyjny towarzyszył powstaniu telewizyjnej opowieści o wojnie Jom Kippur. Historia działań wojennych przedstawiona została z perspektywy młodych żołnierzy i wiele w niej emocji, ale wywołuje także pytania o sens niektórych strategicznych decyzji, ich rzeczywistą cenę i o sposób, w jaki 1973 rok zmienił izraelskie społeczeństwo.

4. Na wiarę

Dokumentalny, reż. Alexandre O. Philippe, USA 2019, nc+ go

„Mam poczucie, że jakieś nadprzyrodzone siły umożliwiły powstanie tego filmu” – mówi William Friedkin, twórca „Egzorcysty” (1973). A to dopiero początek fascynującego eseju o powstawaniu przełomowego horroru w dziejach kina. Reżyser przywołuje swoje malarskie inspiracje i ducha epoki, wspomina także o śmiałych autorskich decyzjach, które przesądziły o kształcie filmu.

JAN

Klata:
Upamiętnianie Premiera

Gość w dom, Bóg w dom, a Premier to dopiero gość. Premier Najjaśniejszej, więc wizyta zapisana złotymi zgłoskami na marmurze, w kościele pod wezwaniem św. Marcina, w Łebczu na Kaszubach. „Był też gościem na plebanii" – na wieki wieków amen zapisane przez gospodarza.

Czemu ja się czepiam tablicy pamiątkowej, co to upamiętnia wizytę jednego z najwyższych organów świeckiej władzy na mszy? Toż to nie ja zapłaciłem, jeno wierni kaszubscy, głównie jeden okoliczny rolnik. Okolica piękna, to i nie dziwota, że Premier wpadł. Mógł wybrać dowolny kościół w okolicach Pucka, a objawił się właśnie w Łebczu. Zazdrość mnie zżera, że Premier nie przyszedł do teatru jakowegoś – ale przecież nie ma jak, choćby i chciał, przecie zamknięte na czterdzieści i cztery spusty. Niby mógłby przyjść do pustego teatru, ot tak, posiedzieć, ale widocznie woli w meblowym. Gdyby jednak Premier przyszedł do teatru, wdzięczni ludzie teatru zrobiliby dla niego jakąś okolicznościową premierę, odrobinkę może improwizowaną albo po prostu odmrożoną, żeby się nisko pokłonić za algorytm, ewentualnie zapytać Premiera, jak się mają przekwalifikować, żeby dotrwać do covida'23.

Gdyby Premier przyszedł do teatru, też zrobilibyśmy okolicznościowe tablice, zapewne z tekturki, może nawet mokrej, żeby forma odpowiadała treści. Odrobinkę pożonglowalibyśmy statystykami – to zawsze efektownie wypada na scenie. Choreografowie pofikaliby dramatycznie postteatralne koziołki, w postkolonialnym, nieklasistowskim rozkroku między skrzydłami negocjując granice między odruchem, ruchem a bezruchem. Wymierający suflerzy zrezygnowaliby z podpowiadania tekstu, gdyż to nazbyt opresyjne, wobec tego aktorzy płci wszelakiej mogliby opowiedzieć swoje jarskie sny i kolektywnie przenieść się do internetów, żeby nie przeszkadzać Premierowi w walce z pandemią. Spektakle odbywałyby się w formie eksplikacji z prośbą o granty, trwałyby najwyżej godzinę lekcyjną i mieściły się na macie do jogi. Tymczasem czekamy na Premiera w teatrze życia codziennego. Tekturki nam mokną, ale będą nowe. ©

Lektor:
Profesorowa się zmienia

▪ *Maryla Szymiczkowa*
ZŁOTY RÓG
Znak litera nova,
Kraków 2020, ss. 318.

A więc udało się!
Kiedy pięć lat temu pojawiła się Maryla Szymiczkowa („wdowa po prenumeratorze »Przekroju«, królowa pischingera, niegdysiejsza gwiazda Piwnicy pod Baranami i korektorka w »Tygodniku Powszechnym«") wraz ze swą bohaterką, profesorową Zofią z Glodtów Szczupaczyńską, znudzoną życiem bezdzietną krakowską mieszczką, prócz prowadzenia domu zajmującą się budowaniem własnej pozycji towarzyskiej oraz wspieraniem niezbyt olśniewającej uniwersyteckiej kariery męża – sukces nie był przecież oczywisty. Mocną stroną przedsięwzięcia pisarskiego (i małżeńskiego) duetu Jacek Dehnel–Piotr Tarczyński była od początku niebywała dbałość o historyczne tło i najdrobniejsze detale (akcja pierwszej części, „Tajemnicy Domu Helclów", toczyła się jesienią 1893 r.), a także zamiłowanie do literackich aluzji. Czy jednak mentalna krewna Anieli Dulskiej udźwignie rolę polskiej panny Marple, nie było oczywiste. Otóż – udźwignęła, detektywistyczna praca poszerzyła jej horyzonty, a tom czwarty jej przygód jest bodaj najlepszy. W sukcesie ma swój udział, obok Dehnela i Tarczyńskiego, także niejaki Wyspiański. Trafiamy bowiem wraz z profesorową na bronowickie wesele Rydla i Mikołajczykówny (wkręciła się tam dzięki młodemu koledze męża, Tadeuszkowi Żeleńskiemu) i autorzy czerpią obficie z nieśmiertelnych dialogów arcydramatu. Tyle że w „Złotym rogu" rozwija się wątek nowy. Wernyhora i Upiór nie są już „osobami dramatu", ale realnymi postaciami, przybyłymi z Warszawy konspiratorami. Róg przestał być symbolem. W dodatku morderstwo, od którego akcja jakby mimochodem się rozpoczyna – spiesząc na ślub Rydlów do Mariackiego, profesorowa odkrywa, że przy JEJ ulicy św. Jana, w kamienicy naprzeciwko, znaleziono zwłoki młodego człowieka – a także kradzież kosztownego zegarka z Muzeum Czartoryskich ściśle wiążą się z konspiracyjno-niepodległościową intrygą. Tyle spojlowania.
A przemiany pani detektyw? Otóż po pierwsze, wykazuje ona zdumiewającą trzeźwość i zdrowy rozsądek w odsłanianiu ciemnej strony romantyczno-patriotycznych uniesień. Po drugie – musi pogodzić się z faktem, że jej działania doprowadziły do okrutnej śmierci człowieka nędznego, ale zarazem budzącego współczucie. Po trzecie wreszcie – po raz pierwszy mocniej zabije jej serce dla mężczyzny, który sam nie kryje swoich uczuć. I nie jest to Ignacy Szczupaczyński. Zobaczymy, co będzie dalej. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Zjadacze marż

Sto pięć tysięcy dolarów premii dla każdego pracownika sieci Amazon na świecie – a jest ich prawie 900 tysięcy (z grubsza 20 tysięcy nad Wisłą). Gdyby szef i faktyczny właściciel tego kolosa Jeff Bezos wpadł na taki pomysł, to i tak po tym szczodrym upuszczeniu krwi miałby nadal tyle, ile na początku tego roku. Czy raczej byłby tyle samo „wart", bo nie mówimy tu przecież o płynnej gotówce wyjmowanej z bankomatu, tylko liczonej orientacyjnie sumie bilansowej rozmaitych aktywów.

W miliarderze widzę przede wszystkim człowieka, którego wartość należy oceniać wedle tego, jak wiedzie swoje życie i co czyni bliźnim – a nie robiąc mu remanent majętności. Koncept ze stutysięczną premią dla każdego pracownika jest abstrakcyjnym żartem, ale poznawczo niebanalnym – w odniesieniu do firmy, nie człowieka. Pokazuje nam, jak od początku roku wzbogacił się Amazon dzięki temu, że coraz więcej rzeczy kupujemy na odległość, a we wszelkich usługach świadczonych poprzez sieć wygrywa się skalą i szerokością oferty. Kto przed powodzią zdążył wyrosnąć o głowę ponad resztę, ten przejdzie przez rzekę i na drugim brzegu okaże się relatywnie wyższy – bo mniejsi się po prostu potopią.

Im więcej znosimy trudów, wyrzeczeń i lęków związanych z zarazą i wynikającym z niej zamrożeniem codziennej rutyny, tym bardziej powinniśmy być świadomi, że dla niektórych to złoty czas. Myślę o tym, ilekroć idę do paczkomatu i wyciągam pudełko z czymś, co kupiłem przez największy portal aukcyjny – zamiast, jak dawniej, „na mieście". Oba te podmioty za każdym razem, kiedy z nich korzystam, puchną w swojej przewadze, ale czy mam jakieś wyjście, poza ograniczaniem zakupów do minimum? W momentach nadzwyczajnych widać jeszcze jaśniej, że życie w swoim aspekcie ekonomicznym jest grą o sumie zerowej i nie znosi próżni. Czy to znaczy, że nasza bezradność – bo przecież nie cofniemy się do wymiany dóbr i usług w gronie sąsiadów lub plemienia – ma prowadzić do tego, byśmy je traktowali jako sferę poza dobrem i złem?

Nie wiem. Jedno, co można zrobić, to zachować tego wszystkiego świadomość. A w niektórych przypadkach także jednak działać, zanim wyrośnie kolejny baron, wciskający się tam, gdzie go wcale nie potrzeba. Poza głośnymi, totemicznymi sporami, polską polityką na poziomie przyziemnym rządzi prężny i rumiany PO-PiSowy tandem: obie partie np. zgodnie odrzuciły poprawkę do kolejnej ustawy „tarczowej" ustanawiającą limit prowizji dla firm dowożących posiłki z restauracji. Mowa o paru wielkich światowych sieciach; mijacie codziennie ich kurierów z sześciennymi plecakami. Oprócz tego, że żyłują tych ludzi, w dużej części imigrantów, to pobierają od knajp bardzo wysokie prowizje. Są w stanie zapewnić im dostęp do ogromnej bazy głodnych klientów, o kilka rzędów wielkości liczniejszej niż grono stałych fanów danej placówki. Ale jest to podły układ, bo prowizja sięgająca zwykle 30 – albo i więcej – procent zjada marżę restauratora, chyba że ten zacznie bardzo ciąć koszty, a to oznacza gorszą jakość jedzenia.

„Nie widzimy poważnego zagrożenia dla interesu publicznego, aby państwo musiało podjąć interwencję" – stwierdził ważny senator PO (tego, że PiS nie życzy sobie, żeby cokolwiek mu poprawiać w ustawach, nie trzeba dodawać). Zależy, jak kto ma ustawioną poprzeczkę interesu publicznego. Na ile blisko poziomu ulicy (o ile widzi ją z gabinetu na słynnym piątym piętrze) potrafi go rozpoznać. Jeśli lockdown gastronomiczny potrwa jeszcze dłużej, część knajp przetrwa, ale tylko jako kury znoszące złote jajka nie dla siebie, lecz dla sieci dostawczych. Pewien istotny element miejskiego życia i obyczaju ulegnie zrakowaceniu, zubożeje, jego rozwój cofnie się o parę lat. Dla mnie to zahacza o interes publiczny nie mniej niż kwestia dalszych zmian w sądownictwie.

Nie namawiam was do heroicznych wypraw do dalekiej dzielnicy po kolację – skoro tylko tam robią akceptowalne dla was *biryani*, to korzystajcie z sieci. Ale jeśli jest to kwestia dziesięciu minut spaceru, to naprawdę pójdźcie sami odebrać – jakoś tak wyszło nam tej jesieni, że spacery to pokaz siły bezsilnych. ©℗

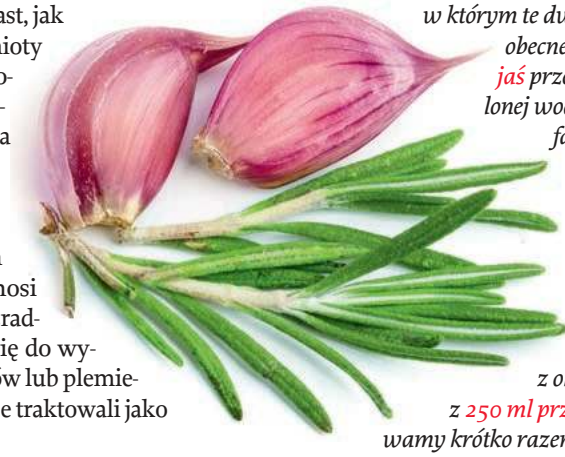

ADOBE STOCK

Patrząc na pseudośnieg za oknem, rozgrzewam na oliwie ząbek czosnku i gałązkę rozmarynu. Mało co mnie tak pozytywnie ładuje jak kombinacja tych zapachów i myślę czule o bliskiej osobie, która straciła węch. Ze wszystkich „lżejszych" objawów nowej choroby to byłoby dla mnie najgorsze. Gdybym był w pobliżu, ugotowałbym jej pożywny krem z fasoli, w którym te dwa składniki aromatyczne są mocno obecne. Moczymy ćwierć kilo drobnej fasoli jaś przez noc, wrzucamy do zimnej nieosolonej wody (powinno być jej pięć razy tyle, co fasoli), dodajemy ząbek czosnku, gałązkę rozmarynu i gotujemy na wolnym ogniu do miękkości. Wyjmujemy rozmaryn i czosnek, miksujemy fasolę z częścią wody na rzadki krem, solimy. Łączymy z beszamelem przygotowanym z ok. 400 ml mleka, a następnie z 250 ml przecieru pomidorowego, podgrzewamy krótko razem. I teraz wkładka turbobiałkowa: podgrzewamy na oliwie 2 ząbki czosnku, dodajemy ok. 250 g mrożonych małych krewetek, obsmażamy krótko, podlewamy kieliszkiem białego wina, dusimy parę minut. Wyjmujemy czosnek i parę krewetek, resztę miksujemy z grubsza ze 100 ml śmietanki. Wlewamy do misek krem z fasoli, na to miksowane krewetki i kilka całych. Zarówno beszamel, jak i gotowe danie trzeba mocno doprawić pieprzem.

POŻEGNANIE

NIEŚMIERTELNY

„Ludzie muszą zrozumieć, że Maradona nie jest maszyną do uszczęśliwiania ich" – mówił, co charakterystyczne, używając trzeciej osoby, zmarły w wieku 60 lat argentyński piłkarz i trener. Nie chcieliśmy tego słuchać.

MICHAŁ OKOŃSKI

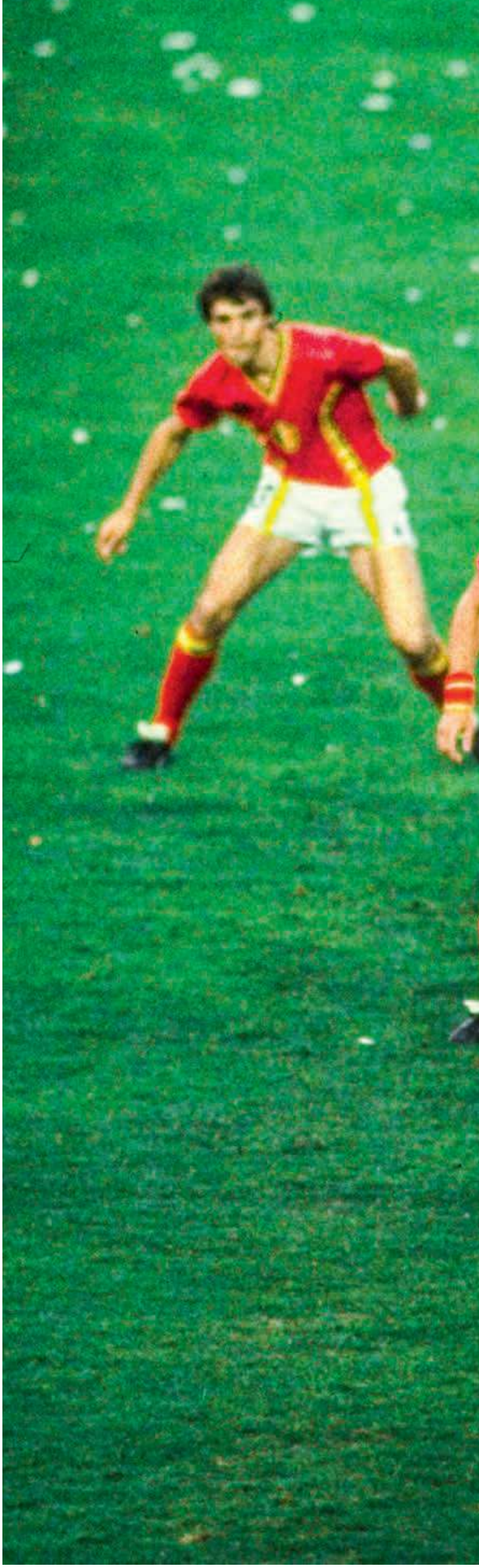

Umierał już wiele razy. Po raz przedostatni zaledwie kilka tygodni temu, kiedy przeszedł operację usunięcia krwiaka mózgu, a przed szpitalem na wieści o jego stanie zdrowia czekały tłumy kibiców z różańcami i transparentem „Cisza. Bóg śpi". To również nie zdarzyło się po raz pierwszy. Kiedy w 2004 r. trafił na oddział intensywnej terapii, znana w Argentynie blogerka Mirta Bertotti, patrząc na ulice pełne rozmodlonych rodaków, pisała, że nie jest wprawdzie świętym jej wyznania, a co więcej: drażni ją niemiłosiernie, ale oddawała mu zarazem to, że swego czasu pozwolił smutnemu narodowi oszaleć ze szczęścia, i przyznawała, że sama się modli, by to wszystko nie odeszło wraz z nim. Kilka lat wcześniej z kolei zapadł w śpiączkę i znalazły się takie media, które podały wiadomość o jego śmierci. „Żyję, skurwysyny" – wykrzykiwał do dziennikarzy, bo powracające pogłoski o zgonie Maradony albo o tym, że jest w stanie krytycznym i przyjął ostatnie namaszczenie, towarzyszyły mu przez pół życia.

W sumie trudno się dziwić. Wypił oceany alkoholu i wciągnął góry narkotyków, kompulsywnie się objadał i przeżył niejedno załamanie nerwowe. Wśród anegdot, którymi się dzielił po pobytach w klinikach psychiatrycznych, była i ta, iż ludzie podający się za Napoleonów i Robinsonów nie chcieli dać wiary, że naprawdę jest Maradoną. Śmiech więźnie w gardle na myśl, iż wszystko to przeżywał na oczach gawiedzi, zachłannej każdego newsa o „bogu futbolu".

Śmierć i busola

Umierał tak często, że jedna z jego biografii – wydana w 1996 r., a zatytułowana, jakże by inaczej, „Ręka Boga" – sprawia wrażenie pośmiertnej. Kiedy Jimmy Burns kończył ją pisać, jej bohater miał ledwie 36 lat, a przecież tytuł ostatniego rozdziału brzmi „Powolna śmierć Diego Maradony". Już wtedy wykradane przez dziennikarzy raporty lekarskie mówiły o spowodowanych przez kokainę nieodwracalnych zmianach w mózgu, a działacze Boca Juniors – klubu, w którym kończył karierę piłkarską – przyznawali się do lęku, że padnie trupem podczas meczu, bo jego serce nie wytrzyma kilkudziesięciu minut biegania.

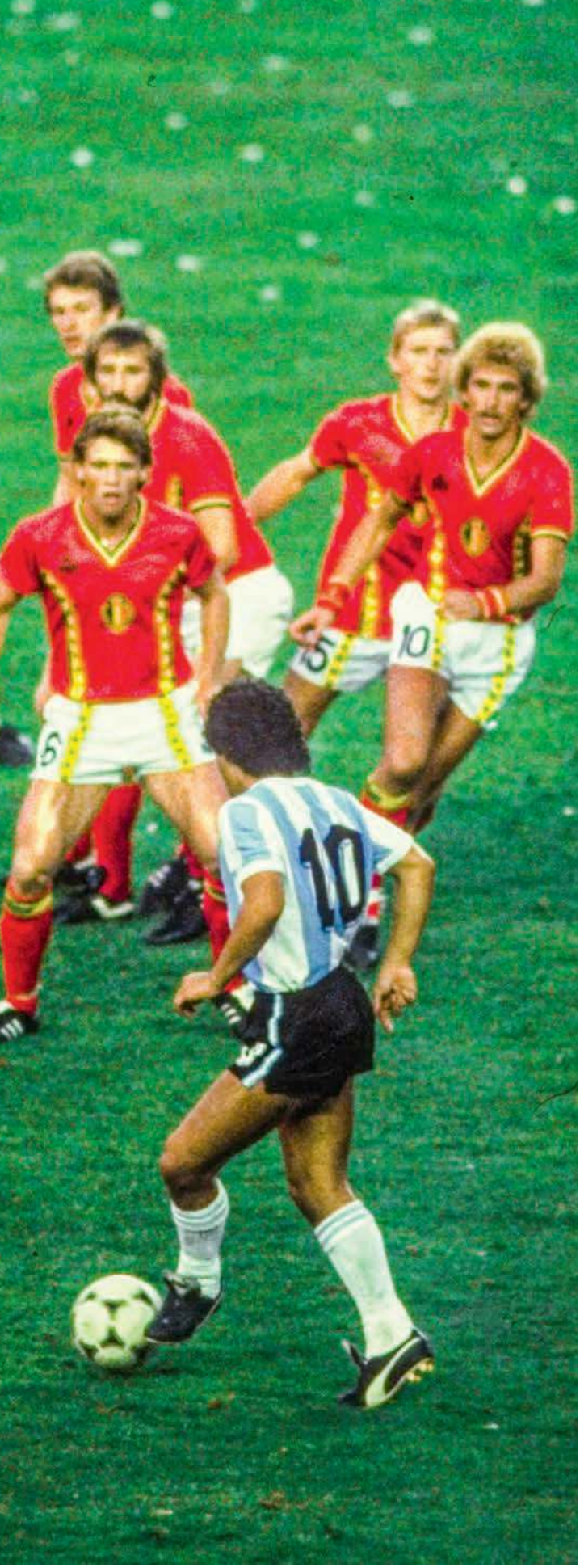

STEVE POWELL / ALLSPORT / GETTY IMAGES

Sam przeciwko szóstce Belgów, mistrzostwa świata w Hiszpanii, Barcelona, 13 czerwca 1982 r.

Biograf nie miał, jak widać, złudzeń, ba: przewidywał nawet, że pogrzeb Diego będzie równie wielki jak pogrzeb Evity Perón. Z pewnością byłby, gdyby nie pandemia, choć i w jej trakcie wystawionej na widok publiczny trumnie hołd oddały dziesiątki tysięcy rodaków, a samą ceremonię trzeba było opóźnić nie tylko dlatego, że grabarze zdjęli wieko, by sfotografować się ze zmarłym – po prostu nie wszyscy chętni zdążyli pokłonić się Maradonie umieszczonemu w prezydenckiej rezydencji Casa Rosada.

Że to wszystko za wcześnie, bo w ciągu ostatnich dwóch dekad zdążył jeszcze poprowadzić reprezentację Argentyny na mundialu w 2010 r. w roli selekcjonera? Że urządził przy tym masę skandali, o których media rozpisywały się równie chętnie, jak piłkarscy działacze karali go za wulgarne gesty i komentarze? Że na ławce trenerskiej drużyny Gimnasia y Esgrima zasiadał – a raczej bywał sadzany, bo z samodzielnym poruszaniem było u niego coraz trudniej – jeszcze kilka tygodni temu?

Wszystko to nieważne. Kibice z całego świata, ogłaszający dziś wszem wobec śmierć Boga, wielbili go za to, jakim kiedyś był graczem, a nie za to, kim się stał w ciągu ostatnich lat. Niewątpliwie, żyjąc w sposób tak straceńczy, zmarnował znaczną część swojego talentu. Fakt, że to zrobił, pozwala zaryzykować twierdzenie, że nie był najlepszym piłkarzem w historii: że nie wymyślił futbolu na nowo, jak to zrobił Johan Cruyff, i że naprawdę wielką formę prezentował tylko przez kilka sezonów (gdyby zestawić go z będącym od kilkunastu lat na szczycie innym wielkim Argentyńczykiem, Leo Messim, porównanie musiałoby wypaść na korzyść obecnego gracza Barcelony).

Napisałem ostatnie zdanie z obawą, że niejeden fan futbolu przerwie w tym miejscu lekturę, był bowiem Diego Maradona z pewnością najbardziej kochanym piłkarzem wszech czasów. Nikt inny nie wnosił na boisko tak silnej aury radości i wolności, nikt nie bawił się piłką z tak dziecięcą swobodą, nikt do tego stopnia nie przechodził do porządku dziennego nad fatalnym stanem murawy.

Uczestnicy treningów z jego udziałem wspominają, że wykopywał piłkę wysoko, po czym zdawał się o niej zapominać. Wykonywał zadane mu ćwiczenia, a kiedy spadała, przyjmował ją niemal niezauważalnym ruchem stopy, wykopywał z powrotem, ćwiczył dalej, ona zaś znów do niego wracała, jakby nie chciała nigdy słuchać nikogo innego.

Ogród o rozwidlających się ścieżkach

„*Viva el futbol! Golaaaaazooo! En una corrida memorable, barrilete cósmico!*" – po hiszpańsku brzmi to znacznie lepiej niż po polsku, ale spróbujmy. Jest 54. minuta meczu Anglii z Argentyną na mundialu w 1986 r. – meczu podwyższonego ryzyka ze względu na zakończoną cztery lata wcześniej upokorzeniem Argentyńczyków wojnę o Falklandy i meczu, w którym przed paroma minutami emocje sięgnęły zenitu, bo sędzia nie zauważył, że pierwszą bramkę kapitan Argentyny strzelił ręką, a nie głową (pytany o to zaraz po zakończeniu spotkania powie, że była to głowa Maradony i ręka Boga).

↦

↦ 26-letni wówczas Diego rusza z własnej połowy, rozpoczynając slalom między nogami próbujących go powstrzymać pięciu Anglików. A komentator argentyńskiej telewizji z każdą sekundą woła coraz głośniej: „Podanie do Diego, Maradona ma piłkę, dwóch go kryje, Maradona pędzi z piłką, geniusz światowego futbolu kieruje się w prawo, zostawia ich z tyłu i będzie podawał do Burruchagi... Wciąż Maradona! Geniusz, geniusz, geniusz! Ta-ta-ta-ta-ta-ta-ta... Gooooool!!! Goooooool! Chce mi się płakać! Dobry Boże, niech żyje futbol! Co za gol! Diegoooool! Maradona! Najmocniej przepraszam, ale mam łzy w oczach. Maradona w niesamowitym rajdzie, w akcji wszech czasów! Ty kosmiczny latawcu, z jakiej planety do nas przybyłeś, żeby ograć aż tylu Anglików, żeby zamienić cały naród w wielką zaciśniętą pięść wołającą »Argentyna«? Argentyna dwa, Anglia zero, Diegol, Diegol, Diego Armando Maradona! Dzięki ci, Boże, za piłkę nożną, za Maradonę, za te łzy, i za to Argentyna dwa, Anglia zero!".

To chyba w ciągu tych kilku minut, które upłynęły od bezczelnego oszustwa do błysku geniuszu, stanowiących – jak napisał włoski dziennikarz Gabriele Marcotti – futbolowe *yin* i *yang*, zapewnił sobie nieśmiertelność i nawet sprawozdawcy BBC wyrwało się wówczas zdanie: „Musicie przyznać, że TO było wspaniałe". Sam Maradona przyznawał zresztą, że tak naprawdę zdobył drugiego gola dzięki uczciwości Anglików, którzy „faktycznie są najszlachetniejsi w świecie", bo w meczu z każdą inną drużyną zostałby podczas swojego tańca z piłką sfaulowany. Statystyki mówią, że był najczęściej kopanym po nogach uczestnikiem mundiali (w samym tylko meczu z Włochami, w 1982 r., nieprzepisowo powstrzymywano go 23 razy), i są tacy, którzy upierać się będą, że nie można przyklejać łatki oszusta komuś, kto – choć traktowany tak bezwzględnie – nigdy nie próbował nabrać sędziego na rzekomy faul.

Tak czy inaczej, mundial w Meksyku to był jego turniej i miało się poczucie, że wywalczone wtedy mistrzostwo dał Argentynie jednoosobowo. Nawet w finale z Niemcami, kiedy inicjatywa była po stronie drużyny z Europy, to on doskoczył do futbolówki spadającej w okolicy środka boiska i z woleja popisał się fenomenalnym podaniem do Jorgego Burruchagi, który uderzył w dolny róg niemieckiej bramki.

Niemal jednoosobowo zdobywał też dwa mistrzostwa kraju z Napoli, w dodatku w czasach, gdy najlepszym klubem świata był Milan z bogatej Lombardii. Przed i po jego pobycie w Neapolu dość przeciętna w sumie drużyna z miasta pod wulkanem nigdy ligi włoskiej nie wygrywała – i nawet dziś przybysz z północy idąc między ulicznymi kapliczkami pełnymi relikwii Maradony przekona się bez trudu, jak żywy jest tam wciąż kult Argentyńczyka.

Temat zdrajcy i bohatera

Były więc w jego życiu wielkie mecze i piękne bramki. Były spektakularne transfery (z Boca Juniors do Barcelony, z Barcelony do Napoli) i wielkie pieniądze, także te uzyskiwane z podejrzanych źródeł, bo w okresie gry we Włoszech stał się ulubieńcem Camorry. Były skandale obyczajowe, głośne romanse i rodzące się w ich efekcie dzieci, których uznania odmawiał. Był ślub w katedrze w Buenos Aires, a później pełne przepychu wesele – moralna i wizerunkowa katastrofa, kontrastująca z trwającym akurat strajkiem zarabiających grosze pracowników argentyńskiego transportu publicznego. Była dramatyczna scena w łazience, gdzie układającego białą kreskę na posadzce piłkarza zastała córeczka. Były śledztwa urzędów podatkowych i antynarkotykowych, było 15-miesięczne zawieszenie za stosowanie środków dopingujących w 1991 r. (wcześniej unikał problemów, wykorzystując plastikowego penisa napełnionego moczem któregoś z kolegów i noszonego przezeń w dresie – ów sławetny obiekt przechowywano, a następnie skradziono z jednego z muzeów Buenos Aires). Była kolejna afera dopingowa i dyskwalifikacja na mundialu w 1994 r. Także wtedy zresztą, patrząc na emitowane przez argentyńską telewizję przy akompaniamencie sentymentalnej muzyki montaże jego najpiękniejszych bramek i akcji, można było odnieść wrażenie, że umarł.

Ale były też heroiczne wysiłki, by zerwać z nałogami, radykalnie zmienić dietę, zrzucić 30 zbędnych kilogramów, odbyć kolejną terapię, a potem jeszcze raz wrócić na boisko i dać rodakom, podobnie jak mieszkańcom południowych Włoch, choć trochę radości. „Za Diego poszedłbym na koniec świata, Maradony nie odprowadziłbym do rogu" – podsumowywał tę dwoistość pomagający mu w jednym z powrotów trener przygotowania fizycznego. „Jedyne, od czego jestem uzależniony, to futbol" – mówił sam piłkarz przed argentyńskim sądem po aresztowaniu za posiadanie kokainy, ale urugwajski pisarz Eduardo Galeano twierdzi, że najbardziej sponiewierał go narkotyk o nazwie „sukces", bo jedynym grzechem śmiertelnym w naszym świecie jest jego brak.

Sekta Feniksa

Zawsze, gdy o nim myślę, przypomina mi się okładka argentyńskiego czasopisma dla dzieci „Biliken", z 1919 r., którą opisał w historii tamtejszej piłki Jonathan Wilson. Wbrew stereotypom o takich publikacjach, zwłaszcza sprzed wieku, nie umieszczono na niej wzorowego ucznia w marynarskim mundurku, lecz niemiłosiernie ubrudzonego i poobijanego urwisa ze szmacianką.

Urwis ten, nazywany nad La Platą *pibe*, to cały Maradona: chłopak z marginesu, idący przez życie z mieszaniną uroku i przebiegłości. Chłopak, który gry w piłkę nauczył się na *potreros*, nierównych miejskich placach, i w związku z tym zmuszony był do polegania bardziej na technicznych umiejętnościach i sprycie niż na zdolności do niestrudzonego biegania po idealnie wystrzyżonym polu trawy. I którego otoczenie, inwestujące w jego talent nadzieje na poprawę własnego losu („Ten chłopiec wybawi nas wszystkich", powiedział matce Maradony jeden z jego pierwszych szkoleniowców), zwalniało z odpowiedzialności od wszystkiego poza futbolem, niemal zachęcając, by nigdy nie dorósł. *Viveza*, chytrość, będąca narzędziem biedaków w nierównym boju z możnymi tego świata, zawsze dopuszczała rozmaite sztuczki – i podejrzewam, że będący skądinąd fanem futbolu papież Franciszek jako biskup Buenos Aires rozgrzeszał znacznie poważniejsze jej przejawy niż ręka w meczu z Anglikami.

Ale kiedy myślę o Maradonie, przypominam sobie też inny epizod, opisany przez Burnsa. Urodzony w slumsach, mieszkający w ruderze bez bieżącej wody i elektryczności chłopczyk pewnej nocy wpadł do szamba. Po latach, zmagając się z depresją, uznał to wydarzenie za symboliczne. „Diegito, trzymaj głowę ponad gównem" – krzyczał doń pędzący na ratunek stryj, więc przez całe życie próbował to robić.

Ze swojego pochodzenia był zresztą dumny; mówił o sobie *cabecita negra* – czarna główka, co było określeniem potomka włoskich imigrantów i Guarani, rdzennych wyrobników z najniższych warstw społeczeństwa. Jako dziecko sam stał się wyrobnikiem: zbierał złom i folię z paczek po papierosach albo usłużnie otwierał drzwi do taksówek. Kiedy zaczął trenować w bardziej profesjonalnym otoczeniu – bo wcześniej futbolówka towarzyszyła mu na ulicach i placach, a po drodze do szkoły podbijał pomarańczę, kulę z gazety albo kłąb szmat, nie upuszczając ich nawet, gdy przechodził przez most nad torami – szybko zrobiono zeń maskotkę do zabawiania publiczności w przerwie meczów dorosłych drużyn i kazano popisywać się żonglerką w telewizji.

GENNARO GIORGIO / AGF / SIPA / EAST NEWS

Jego przekleństwem nie było to, że z niewiarygodną lekkością zdobywał piękne bramki. Chodzi raczej o ciążącą mu świadomość, ile oczekiwań i nadziei zainwestowały w niego miliony fanów, nie tylko z udręczonej ojczyzny.

Koliste ruiny

Szybko jednak zaczęto mu również podawać zastrzyki i tabletki wspierające wzrost. „Od najmłodszych lat – pisze Wilson – Maradona oswajał się z myśleniem, że przyjmowanie rozmaitych specyfików jest dla sportowca czymś normalnym". W czasie żałoby po jego przedwczesnej śmierci trudno nie myśleć także o tym, jak nieludzko był eksploatowany. Nie miał jeszcze 20 lat, a rozegrał już ponad 200 spotkań w lidze argentyńskiej, nieustannie borykając się z kontuzją uda i regularnie przyjmując środki przeciwbólowe; jego ówczesny klub, Boca Juniors, był tak uzależniony finansowo od kibiców domagających się oglądania młodego wirtuoza, że ten musiał grać bez względu na to, jak niszczyło to jego organizm.

Od tego, co pokaże Maradona, zależała nie tylko fortuna otaczającego go dworu – wielu obserwatorów argentyńskiego społeczeństwa podpisałoby się pod zdaniem psychologa Gustava Bernsteina, że ów krępy brunet z dziesiątką na plecach był głównym punktem odniesienia dla całego narodu i że nikt lepiej nie ucieleśnił istoty bycia Argentyńczykiem. W dwóch wymiarach zresztą. „Nasz kraj to kraj, w którym wygrywają spekulanci, i kraj, w którym przy każdej okazji łamie się konstytucję – powie o jednym z nich dziennikarz Bernardo Neustadt, za krytykę „boskiego Diego" mający w ojczyźnie status czarnej owcy. – Argentyna zapłaciła Maradoną za swój styl życia, za nieprzestrzeganie prawa".

O drugim wymiarze napisze biograf piłkarza, tłumacząc, dlaczego nostalgia za jego cudowną grą znaczy w Argentynie więcej niż pisarstwo Borgesa, będącego zresztą autorem jakże nietrafnego zdania, że futbol jest popularny dlatego, iż popularna jest głupota. Otóż nic podobnego: „Diego stał się symbolem upadku Argentyny, obrazem niespełnionych snów i zmarnowanych sposobności – czytamy w „Ręce Boga" i na myśl natychmiast przychodzą nam wszystkie katastrofy, które stały się udziałem rodaków Maradony w drugiej połowie XX i początkach XXI wieku, czyli w okresie upadku peronowskiego snu, „brudnej wojny", a później gospodarczego krachu. – Argentyna, zaludniona przez emigrantów, których jedynym marzeniem było dorobić się jak najszybciej, w pierwszej połowie XX stulecia należała do najbogatszych krajów świata, ale w wiek XXI wkraczała zbankrutowana ekonomicznie oraz pogrążona w chaosie społecznym i politycznym. Argentyna rozpaczliwie czepia się Diego, bo nic innego już jej nie zostało".

Południe

W argentyńskiej prasie sprzed 40 lat nie brakuje błagań Maradony o przerwę, która przywróciłaby mu zdolność cieszenia się piłką, a jeden z wywiadów tłumaczy sekret naszego stosunku do takich jak on – geniuszy, którzy nie rodzą się przecież wyłącznie w świecie futbolu.

Gabriele Marcotti pisze wprawdzie, że zmarły Argentyńczyk był jednocześnie tym, o czym marzymy, i tym, o czym mówimy, że nienawidzimy – być może dlatego, że wszystkie jego cechy widzimy w sobie. Że Maradona jak mało kto umiał wykorzystywać swoje silne strony i jak mało kto ponosił porażki w starciach ze swoimi słabościami. Że dokładnie to czyniło „boga futbolu" człowiekiem.

Jest jednak coś jeszcze. „Ludzie muszą zrozumieć – mówił on sam na łamach czasopisma „El Grafico" – że ten cały Maradona nie jest maszyną do uszczęśliwiania ich. I że nie jest maszyną do rozdawania uśmiechów i całusów. Jest zwykłym człowiekiem, normalnym, chodzącym po ziemi, któremu, owszem, zdarza się czasem zrobić coś, co daje ludziom radość i co daje radość także jemu. Problem w tym, że ludzie myślą inaczej, zwłaszcza jeśli Maradonie czasem coś się nie uda albo jeśli zagra jeden czy nawet dziesięć słabszych meczów. Dlaczego nie mogą mu tego wybaczyć? Czasami, żeby rozpętało się piekło, wystarczy jedno spotkanie, w którym Maradona wypada gorzej albo w którym nie zdobywa bramki".

Oczywiście nie chcę powiedzieć, że jego przekleństwem było to, że z niewiarygodną lekkością zdobywał piękne bramki. Chodzi mi raczej o tę ciążącą mu świadomość, ile oczekiwań i nadziei zainwestowały w niego miliony fanów futbolu, nie tylko przecież z udręczonej ojczyzny. „Jako piłkarz nie miał żadnych wad, jako człowiek był ofiarą" – napisał Jorge Valdano, który wspólnie z Maradoną wygrywał mundial w 1986 r. Czyją ofiarą? Moją i twoją.

W ostatnich dniach życia nad jego domem unosiły się drony, a wokół kłębił się tłum dziennikarzy, tyleż patetycznie, co fałszywie apelujących o uszanowanie jego prywatności. Teraz, kiedy umarł, trudno nie myśleć o tym, że to nie Maradona był niedojrzały, tylko świat, w którym przyszło mu żyć.

I że, choć umierał wiele razy, to nie umarł wcale.

©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Tytuł i śródtytuły pochodzą z dzieł Jorgego Luisa Borgesa

STANISŁAW

Mancewicz:
O zmartwieniach

Lawirując między chmarami tajniaków, gdy oto jedynym kagankiem są nam dziś niebieskie rozbłyski radiowozów, a drogowskazem teleskopowe pały, spróbujemy się skupić nad zasadniczymi problemami polskiej teraźniejszości.

Nie należy do niej wcale szokująca niektórych informacja, która wyszła dopiero co z norweskich kół akademickich, że od 1975 r. wskaźnik IQ ludzkości spada o 7 procent na pokolenie. Ile pokoleń – do stu tysięcy charczących respiratorów – minęło od 1975 r.? W żaden sposób nie możemy się doliczyć. Góra dwa, a więc ubytek gibkości głowowej jest niemały. Czy to nas – jak tu ponuro siedzimy – przejmuje? Otóż to nas nie przejmuje w żadnym sensie, urodziliśmy się bowiem grubo przed tą fatalną datą. Nasze IQ i wtedy było szokująco wysokie, a cóż dopiero teraz. Słowem, nikt nam bruździć nie jest w stanie, ani tym bardziej zaskoczyć zadaniem polegającym np. na dobieraniu trójkątów w pary jednopłciowe. Podobne zadania są w testach IQ – jak wiemy – ohydną normą, odsuwającą badanie inteligencji od granic prostych, polskich wartości i od kształtu tradycyjnej rodziny, żyjącej oczywiście w wielokącie.

Po drugie, wcale nie uważamy, że ważnym problemem dzisiejszym jest skrajne zalęknienie p. Kaczyńskiego. Jest on ponoć tak bardzo straszony przez swych rozpasanych halabardników, że ani na chwilę nie zzuwa odzieży kuloodpornej. Ponoć nocuje teraz w lesie, w trzewikach, na mrozie. Doprawdy żal serce – za przeproszeniem – ściska, ale nie możemy codziennie przejmować się kiepskim samopoczuciem p. Kaczyńskiego. Nie myśmy go namawiali na kurczowe trzymanie się władzy. Niech ma pretensje do pp. Kurskiego albo Ziobry. My w każdym razie śpimy w wygodnych piżamkach, kąpiemy się w pachnącej pianie, mamy ciepłe kapcie i nie błąkamy się nocami po Łomżyńskiem w towarzystwie ochroniarzy.

Po trzecie, a słyszymy to wokół, powinniśmy być załamani gotowym już w zasadzie projektem opuszczenia przez kraj nasz Unii Europejskiej. Nie, tym się martwić nie możemy. Nie mamy bowiem żadnych pól ani krów, ani nierogacizny, ani norek. Nic nie mamy. Nie potrzebujemy nawet kilometra nowej szosy i najeździliśmy się już za granicę aż nadto. Możemy więc teraz spokojnie posiedzieć na przyzbie. Posiedzieć i popatrzyć, jak teraźniejszość zamienia się tu w zamierzchłą wczorajszość. To jest – uważamy – znacznie bardziej interesujące niż bezustanne próby dostrzeżenia polskich marzeń o Zachodzie i modernizacji. Zwłaszcza umysłowej. O polskiej skłonności do modernizowania już żeśmy się naczytali i nasłuchali przez ostatnie trzydzieści lat z okładem, od optymistów po pesymistów. Kolej na powrót do przeszłości i na Wschód.

Po czwarte, powiada się, że problemem dziś poważnym jest zdjęcie z listy wymaganych na egzaminie ósmoklasisty lektur, m.in. „Syzyfowych prac" autorstwa p. Żeromskiego, ale też kilku utworów pp. Mickiewicza, Mrożka, Kochanowskiego i innych lewicowych aktywistów. Ponieważ od lat książki i ich autorzy kojarzą się naszym politykom wyłącznie bieżąco politycznie, nie możemy brać na poważnie tego, co o nich mówią. Nie pamiętamy, by którykolwiek z nich powiedział cokolwiek na temat piękna literatury. To się po prostu nie zdarzyło. Oczywiście co do autora tych trzebieży, p. Czarnka z Lublina, jego powierzchowność i umysłowość to poważne kwestie, na razie jednak przyjrzyjcie mu się pobieżnie. Wy z lewa i koniecznie Wy z prawa. I z ręką na sercu odpowiedzcie: czy na pewno chcecie, żeby ów zalecał dzieciom Waszych wrogów cokolwiek? Nie. Do tego się nie posuwamy, dzieci to dzieci. No właśnie. Naturalnie nieobecność Mickiewicza w spisie lektur to nie jest zmartwienie na dzisiaj.

Co jest zatem dziś problemem w Polsce kluczowym? W dodatku znakomicie przez p. Gowina rozwiązanym? Wyciągi narciarskie będą czynne i p. Duda nie będzie musiał podchodzić. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

REKLAMA

XXIV KONKURS

grand Press 2020

TRANSMISJA GALI NA ŻYWO

8.12.2020 godz. 20.35

TVN24, ONET.PL, PRESS.PL

KSIĄŻKA REPORTERSKA ROKU

Do 7 grudnia trwa głosowanie na Nagrodę Czytelników

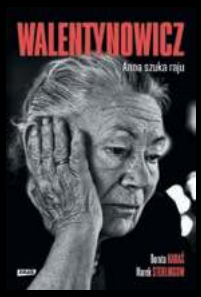

WSKAŻ SWOJEGO FAWORYTA!

Zagłosuj na www.press.pl

ORGANIZATOR

press · GRAND Press FOUND.

MECENAS KONKURSU

KULCZYK INVESTMENTS

PARTNERZY KONKURSU

GRUPA LUXMED · ZAiKS · Jerónimo Martins · storytel

PARTNER GALI

BAT POLAND

PARTNER NAGRODY GRAND PRESS ECONOMY

allegro

PARTNER NAGRODY GRAND PRESS DIGITAL

FACEBOOK

PARTNER NAGRODY IM B. TOMASZEWSKIEGO

BNP PARIBAS

PARTNER NAGRODY KSIĄŻKA REPORTERSKA ROKU

Sopot

REKLAMA

JESTEŚ TYM, KTÓRY PISZE I KTÓRY JEST PISANY

Edmond Jabes, *Księga Pytań*

LIBER AD SCRIBENDUM
B'IBΛOΣ ΓPAΠT'EA
ספר לכתיבה

AUSTERIA

Książkę do pisania zamów na
austeria.eu

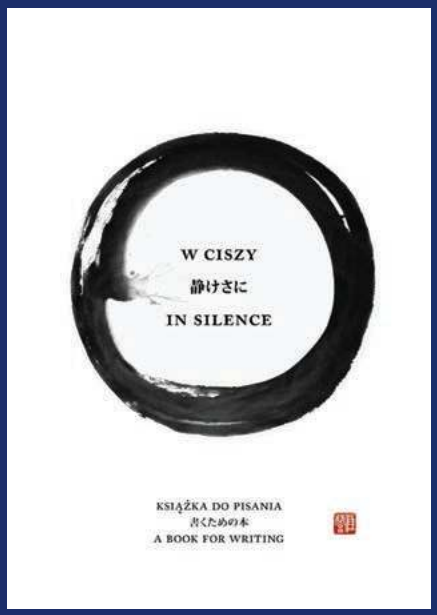

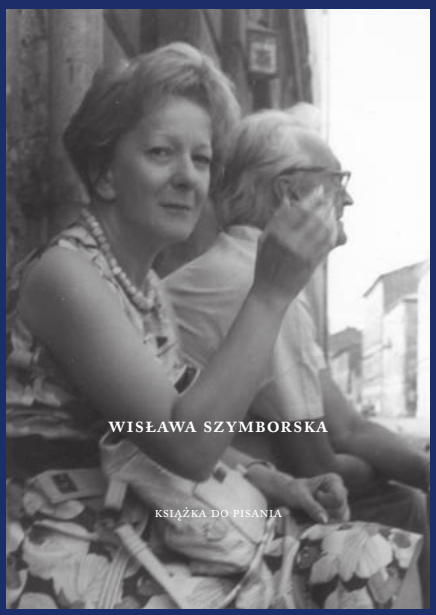

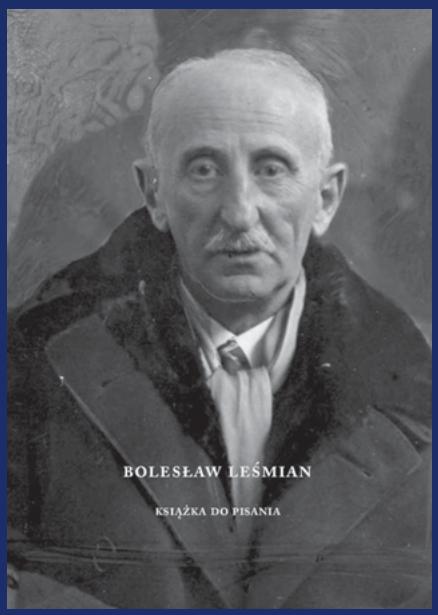

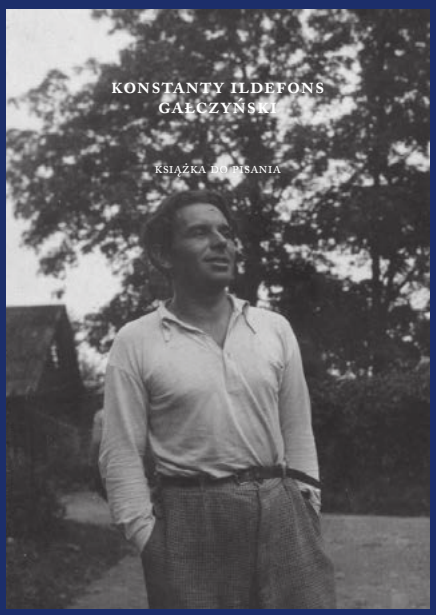

Książki do pisania